

DOUGLAS PRESTON

Jennie

Z angielskiego przełożyła
Zofia Uhrynowska-Hanasz



Świat Książki

Tytuł oryginału

JENNIE

Projekt okładki i stron tytułowych *Magdalena Wenzel*

Redakcja *Barbara Swzewska-Ohzewska*

Licencyjne wydanie klubu „Świat Książki” za zgodą Wydawnictwa FUKS

Copyright © 1994 by *Douglas Preston*

Copyright © for the Polish edition by
Wydawnictwo FUKS. 1996

Copyright © for the Polish translation by *Zofia Uhrynowska-Hanasz*, 1996

Świat Książki, Warszawa 1996

Druk i oprawa GGP

ISBN 83-7129-246-5

Nr 1476

Dla Seleny

Wbrew pozorom „Jennie” jest fikcją literacką. Nie ma w niej jednak nic z science fiction. Opisane w książce eksperymenty naukowe oraz eksperymenty dotyczące zachowania szympanсів w rzeczywistości miały miejsce, choć w innych okolicznościach, a ich wyniki zostały tu podane zgodnie z prawdą.

Przedmowa

Wielu czytelników tej książki słyszało zapewne o Jennie Archibald albo nawet przypomina sobie szczegóły z jej życia, o których pisała prasa w okresie od 1965 do 1975 roku. Ja sam jako chłopiec mieszkający w Wellesley w stanie Massachusetts, czytałem o tym w „Boston Globe” i w innych gazetach. Dla mnie ta historia miała szczególne znaczenie, ponieważ Kibbencook, miasto, w którym żyła Jennie, jest położone w odległości zaledwie trzynastu kilometrów od Wellesley. Pamiętam, jak moi rodzice rozmawiali o niej przy stole, a kiedy bywałem bardzo niegrzeczny, matka często porównywała mnie do Jennie. W pewnym sensie Jennie stała się naszym domowym symbolem świadomej samowoli.

Decyzję napisania tej książki podjąłem trzy lata temu, kiedy na zamówienie „Massachusetts Magazine” przygotowywałem artykuł o Muzeum Historii Naturalnej w Bostonie. Tak się złożyło, że miałem przyjemność przeprowadzić wywiad z doktorem Haroldem Epsteinem, emerytowanym kustoszem tego muzeum. Nagle rozmowa zeszła na Jennie i tylko z najwyższym trudem zdołaliśmy powrócić do głównego wątku mojego artykułu. Wtedy to dowiedziałem się o wielu nie znanych dotychczas szerszej publiczności szczegółach z życia Jennie. Byłem nimi zaintrygowany, a że doktor Epstein opowiadał z wyraźną przyjemnością, umówiliśmy się na drugie spotkanie nieco później, jeszcze w tym samym miesiącu. Tak zrodziła się idea napisania niniejszej książki.

Można postawić pytanie, po co pisać o tym, o czym tak głośno było w prasie? Odpowiedź jest prosta. Im głębiej dążyłem temat, tym bardziej przekonywałem się, że doniesienia prasowe stanowiły zaledwie nikłą część całej prawdy. Z niewielkimi wyjątkami

artykuły cechowała pogoń za sensacją; roilo się w nich od nieściskości i przeinaczeń, a w niektórych przypadkach oczywistych fałszów. Większość dziennikarzy zajmujących się popularyzacją nauki nie miała naukowego przygotowania i nie rozumiała najróżniejszych subtelności całej tej historii. Ci, którym bliska była Jennie, robili wszystko, żeby dać świadectwo prawdzie.

W pewnym momencie wyniki programu badawczego „Jennie” stały się celem zacieklego ataku grupy uczonych, którzy, moim zdaniem, nie spojrzeli na nie jako na całość. Żaden z tych etologów* nie zetknął się osobiście z Jennie. Wszystkie te zarzuty opierały się na szczegółowej analizie dwugodzinnego filmu wideo. Książka niniejsza próbuje przedstawić pozostałe dziewięć lat życia Jennie.

Początkowo postanowiłem napisać prostą historię opowiedzianą przez wszystkowiedzącego narratora-autora. Opracowując moje wywiady i czytając materiały Archibalda, zdałem sobie jednak sprawę, że główne postacie dramatu to ludzie nieprzeciętni — starannie wykształceni, inteligentni i prawie bez wyjątku potrafiący dobrze mówić. W miarę jak ich słuchałem i jak niezwykle losy Jennie stopniowo odkrywały się przede mną w pełnym wymiarze, dochodziłem powoli do wniosku, że nie ma powodu, żebym to ja opowiadał, że wystarczy oddać głos świadkom wydarzeń. Postanowiłem poprzestać na roli redaktora. Swoje komentarze, rozrzucone tu i ówdzie w nawiasach, zdecydowałem się ograniczyć do minimum.

Pierwszym źródłem, z jakiego korzystałem, był pośmiertnie opublikowany pamiętnik doktora Hugona Archibalda, kustosza Działu Antropologii Muzeum Historii Naturalnej w Bostonie i profesora tytularnego na Wydziale Zoologicznym Uniwersytetu Harvarda. Niestety, nie miałem okazji rozmawiać z doktorem Archibaldem osobiście. Zmarł tragicznie w 1991 roku, na niecałe trzy tygodnie przed zaplanowaną serią wywiadów, jakich miał mi udzielić. Jego pamiętnik zatytułowany „Wspomnienia z pewnego życia” był najwyraźniej oparty na szczegółowo prowadzonym przez niemal całe życie dzienniku. Usilne poszukiwania tego dziennika spełzły niestety na niczym i istnieją poważne powody, by sądzić, że został on zniszczony przez autora wkrótce przed śmiercią. Chciałbym też dodać w tym miejscu, że nie zamierzam wnikać w szczegóły dość zaskakujących okoliczności, w jakich doszło do przedwczesnego zgonu doktora Archibalda.

* Etologia — nauka o zachowaniu się zwierząt i o pewnych aspektach zachowania się ludzi. (Wszystkie przypisy tłumaczki).

Wyjątki z jego pamiętnika zostały uzupełnione wywiadami z członkami rodziny i kolegami. Wszystkie te wywiady nagrałem sam, a następnie spisałem i poddałem skromnej redakcji o tyle tylko, o ile wymagała tego klarowność i zwięzłość. Z wyjątkiem komentarza do amatorskich filmów na samym końcu książki nie ma w niej praktycznie moich słów.

Muszę też zaznaczyć, że nie wszystkie osoby związane z historią Jennie zgodziły się na rozmowę.

W trakcie rozmów kilka osób wyraziło swoje wątpliwości co do moich motywów i „punktu widzenia”. Chciałbym tu wyjaśnić, że ja, osobiście, nie mam żadnego poglądu. Ci, którzy będą czytali tę książkę, sami muszą osądzić, co się naprawdę wydarzyło i dlaczego. Mam pełną świadomość, że w kilku przypadkach świadectwa osób udzielających wywiadów przeczą sobie wzajemnie. Wielu tych sprzeczności nie udało się wyjaśnić w toku długich rozmów, dlatego nie umiałbym powiedzieć, kto ma rację i czy w ogóle przedstawiona w tej książce historia jest prawdziwa.

Chciałbym wyrazić wdzięczność Uniwersytetowi Harvarda za udostępnienie mi materiałów doktora Archibalda, a także Muzeum Historii Naturalnej w Bostonie; Centrum Badań nad Naczelnymi Uniwersytetu Tuftsa; Centrum Rehabilitacji Naczelnych w Tahachee oraz rodzinie Archibaldów, a w szczególności Lei i Aleksandrowi Archibaldom.

Rozdział 1

Hugo Archibald, dr nauk, członek Królewskiego Towarzystwa Naukowego, ze „Wspomnień z pewnego życia”, wyd. nakładem Harvard University Press. Copyright 1989 by Prezydent i Członkowie Harvard College. Wykorzystano za zwoleniem.

Kamerun, 15 kwietnia 1965 r.

Nieprędko zapomnę dzień, w którym dwóch mężczyzn Makere przyniosło do obozu szympansię. Jeden z nich przewiesił ją sobie przez ramię, a po jego plecach, wzdłuż błyszczącego zagłębienia, sączył się cienki strumyk krwi; krew lśniła na tle czarnej skóry. Obserwowałem mężczyznę zza uchylonej płachty namiotu. Zatrzymał się na niewielkiej polance na wprost mnie i zsunął bokiem z ramienia swój ciężar. Zwierzę leżało ze skrzyżowanymi ramionami na twardej, ubitej ziemi. Obaj mężczyźni mieli nogi białe od kurzu aż do kolan. Jeden z nich wyprostował się i dwukrotnie klaśnął w dłonie, anonsując w ten sposób przybycie. Czekałem. Wiedzieli, że jestem w namiocie, ale zbyt szybkie pokazanie się im osłabiłoby moją pozycję w negocjowaniu ceny. Wkrótce usłyszałem głos Kwelego, który krzyczał na przybyszów w żargonie stanowiącym kameruńskie wydanie *lingua franca*.

— Co wy przynieść, myśliwi? To złe mięso!

Kwele był natchnionym negocjatorem. Wspólnie wypracowaliśmy wspólny sposób na zmiękczenie miejscowych, którzy mieli coś do sprzedania.

— Masa nie chce to mięso! Masa zły dużo za bardzo! Wynocha!

Wszystko to było zwykłą rutyną, a Kwele lubował się w swojej roli, może nawet nadmiernie. Mnie perspektywa zdobycia czaszki szympansicy wydawała się szczególnie podniecająca. Niewielka gromadka naszych pomocników porzuciła pracę i otoczyła nowo przybyłych. Na twarzach naszych ludzi malowało się znużenie lekko zaprawione nadzieją, że może zupełnie nieoczekiwanie wydarzy się coś nieprzyjemnego. Dwaj mężczyźni stali za zwierzęciem, milczący i nieprzejeđnani.

Nie podnosząc się z krzesła, uniosłem płachtę namiotu. Krzyki ucichły i zobaczyłem Kwelega, który stał z łopatą w ręku i szczyrzył zęby.

— E! — zaczął. — Ten myśliwy przynieść mięso. Masa nie chce to mięso?

Uśmiechnąłem się i — jak nakazywała etykieta — lekko klasnąłem w dłoń.

— Dobry dzień, myśliwi — przywitałem ich.

— Dobry dzień, sir — odparli unisono. Byli chudzi i mieli na podbrzuszach i wokół sutków delikatny tatuaż. Jeden z nich trzymał niewielką kuszę i wiązkę oszczepów.

— Dziękuję ci, Kwele — powiedziałem. Kwele znowu się uśmiechnął, ale zaraz potem spojrzał spode łba na mężczyzn, którzy w kurzu przestępowali z nogi na nogę.

Zwierzę było szympansicą z nizin w zaawansowanej ciąży.

— Wy zabić to mięso zatrutą strzałą? — spytałem mężczyzn.

Jeden z nich wystąpił do przodu.

— On iść na kij, sir, ja go zabić strzałą. — Uniósł do góry kuszę, żeby mógł ją dokładnie obejrzeć. („Kij” oznacza w żargonie drzewo).

Ukląłem przy szympansicy i spojrzałem w jej twarz. Oczy, do tej pory na pół zamknięte, nagle się rozszerzyły. Zląkłem się; ugryzienie szympansa może złamać rękę.

— Oho! To mięso żywa! — wykrzyknął Kwele oskarżycielko, szczęśliwy, że może wytknąć kolejną wadę towaru. — Jak zranić masa, wy płacić!

— Trucizna działać — odparł spokojnie jeden z mężczyzn.

— Ono kiedyś umrzeć. — Po czym dodał z mocą: — Masa zapłacić dwadzieścia pięć szyling!

— Co takiego?! Masa nie zapłacić dwadzieścia pięć szyling! On może wcale nie umrzeć!

— On kiedyś umrzeć — powtórzył flegmatycznie mężczyzna. Znał, podobnie jak ja, moc tej trucizny.

Konające zwierzę patrzyło na mnie ciemnymi okrągłymi oczyma; z jego gardła wydobył się bulgot. Otwarte usta ukazały rząd zniszczonych, popsutych siekaczy. Sierść wokół pyska była siwa, a jedno ucho, dawno już zagojone, w strzępach. Szympanśca była stara i pamiętam, jak sobie wtedy pomyślałem: lepiej umrzeć staro, mając za sobą całe życie. A zresztą i tak by ją zabili na mięso.

— Przynies mi pistolet — poleciłem i Kwele dał nurka do namiotu, skąd po chwili wyłonił się z moim rugerem kaliber .22 magnum. Sprawdziłem, czy broń jest nabita, i wycelowałem ją w serce zwierzęcia. Strzał w głowę zniszczyłby to, co było dla mnie najcenniejsze w moich badaniach nad systematyką — czaszkę.

Nagle zauważyłem ruch — szybki, jednolity ruch całego ciała szympanścy. Cofnąłem się; pomyślałem sobie, że może jednak będzie żyła. Zaraz potem zrozumiałem, że dzieje się coś zupełnie innego: zwierzę rodzi.

— Przewróć ją na plecy! — krzyknąłem.

W grupie zebranych dał się słyszeć pomruk. Było to coś znacznie ciekawszego niż zwykle targowanie się o cenę martwego okazu. Szympanśca zaczęła dygotać i ukazała się główka, biaława i śliska, pokryta mokrymi czarnymi włoskami. W sekundę było po wszystkim. Płód leżał na boku, w kurzu, i widzieliśmy wysuwające się łożysko. Oczy matki, w dalszym ciągu otwarte, patrzyły.

I wtedy usłyszałem cichutki pisk, cienki małpi płacz.

— To małe żyje! — zawołałem. — Kwele, idź przynieś miskę z wodą. A ty, myśliwy, cofnij się.

Tłumek rzucił się do przodu i przez chwilę myślałem, że strątuje maleństwo.

— Cofnąć się! — wrzasnąłem.

Podniosłem małpie dziecko i nie bardzo wiedząc, co począć, a jednocześnie czując się dość głupio, dałem mu lekkiego klapsa

w pupę. Maleństwo zaświstało i zaskrzeczało. Krzyknąłem, żeby mi podano maczetę, i odciąłem pępowinę, a wtedy z wielu ust wyrwało się głośnie „Aach!”

— Pomóż mi — rozkazałem Kwelemu, który właśnie pojawił się z wodą. — Pomóż mi je umyć. A wy wszyscy, wynocha! Nie pchać się, słyszycie? Do roboty!

Cofnęli się tłocząc i popychając, ale nikt nie zamierzał wracać do pracy.

Wykąpaliśmy maleństwo w misce. Kwele trzymał niemowlę ostrożnie, kiedy ja wycierałem je starannie do sucha. Szympaniątko miało biały pyszczyk, a całe ciało pokryte delikatnym czarnym włosiem; była to samiczka. Bardzo długie włosy, porastające zwierzątko, śmiesznie powiewały po wyschnięciu. Owinąłem małe w suchy ręcznik i przytuliłem. Miało nieprawdopodobnie drobną buźkę, pomarszczoną i poważną, i szeroko otwarte oczy. W jakiś dziwny sposób malował się na niej smutek, a jednocześnie mądrość, jakby to nowo narodzone stworzonko zdążyło już poznać świat z jego troskami. Wydało mi się to zabawne, ponieważ jedynym, co ono dotychczas widziało, była moja pochylona nad nim nie ogolona twarz. Maleństwo znów zapłakało cichutko, a jego oczka rozszerzyły się, kiedy patrzyło w moją twarz. Drżąca łapka, cienka jak witka, zakończona pięcioma maleńkimi szeroko rozstawionymi paluszkami, uniosła się w górę i macając niezdolnie dotknęła mojej brody. Był to uroczy gest i w tym krótkim momencie zostałem całkowicie zawojowany.

Wiele razy pytano mnie, jak to się stało, że obdarzyłem to małe zwierzątko takim uczuciem. Mam na to tylko jedną odpowiedź: gdybyś tam był i gdybyś widział, jak to stworzonko z okrągłym brzuszkiem po raz pierwszy patrzy na świat paciorkowatymi zdziwionymi oczkami, i gdybyś usłyszał jego bezradny cienki głosik, zakochałbyś się tak samo jak ja. Może to brzmi śmiesznie i zbyt sentymentalnie w ustach uczonego, który całe życie zbierał martwe szympansy i badał ich szkielety, ale cóż... nie mam nic więcej na swoją obronę, jak tylko to, że uczonego to też ludzka istota i że maleństwo było naprawdę urocze.

Kiedy się wreszcie opamiętałem, dotarły do mnie odgłosy kłótni. Kwele, cały spocony, gestykułował z ożywieniem w stronę

dwóch mężczyzn, którzy jednak nie zwracali na niego najmniejszej uwagi, tylko w skupieniu patrzyli na mnie. To, co zobaczyli, z pewnością bowiem skłoniło ich do podbicia ceny.

— A poszli! — darł się Kwele. — Masa słyszeć? Myśliwy chce więcej pieniędzy! Pięćdziesiąt szyling! Myśliwy nie ma więcej rozmowa z masa. Wynocha! Wynocha! — Z tymi słowy Kwele natarł na mężczyzn, wymachując rękami jak wielki myszołów skrzydłami. Mężczyźni, z kamiennymi twarzami, dalej tkwili w miejscu. Szympanśca, chwilowo zapomniana, leżała na grzbiecie i wpatrywała się uporczywym, przerażającym spojrzeniem we mnie i w swoje dziecko.

Wyrazu jej konających oczu nie zapomnę chyba do śmierci. Patrzyły w górę niczym dwa zmętniałe, bezbarwne, pozbawione światła kamienie. Trucizna miała skład chemiczny podobny do kurary — najpierw powodowała paraliż, a dopiero potem śmierć. Śmierć okrutną — powolną i w pełni świadomą. Afrykańczycy nazywają tę truciznę *chupu*. Jest to wysokocząsteczkowe białko globulinowe i jako takie nie przenika do łożyska, dzięki czemu płód został uratowany. Patrząc wstecz, z perspektywy tych niemal dwudziestu pięciu lat, i wiedząc to, czego nie wiedziałem wtedy, dochodzę do wniosku, że spojrzenie tamtej konającej szympansicy było prorocze, skierowane nie na teraźniejszość, tylko w przyszłość. Zastanawiałem się zawsze, co sobie myślała, balansując na granicy życia i śmierci, kiedy zobaczyła jakiegoś dziwnego białego i bezwłosego osobnika z gatunku naczelnych tulącego do piersi jej małe.

Jeśli takie słowa brzmią dziwnie w ustach uczonego, to trudno. Jednego bowiem nauczyłem się, obcując z nauką przez całe życie: że świat nie jest miejscem, które my, istoty ludzkie, potrafilibyśmy pojąć do końca. Zrozumieć — tak, ale nie pojąć. A przyczyna tego stanu rzeczy tkwi, jak niemal zawsze, w naszym sposobie myślenia — w ewolucji. Nasz mózg nie rozwinął się aż na tyle, by nam pomóc w pojmowaniu prawdziwej istoty zjawisk, a jedynie w rozumieniu ich mechanicznego działania. Poznanie prawdziwego znaczenia rzeczywistości nie przyczynia się do naszej zdolności przetrwania i dlatego nie stało się celem ewolucji.

Odwrociłem wzrok od tego przejmującego przedśmiertnego spojrzenia i stwierdziłem, że patrzę na Kwelego.

— Pięćdziesiąt szyling! — powtórzył. — Myśliwy być złodziej.

— Nie potrzebujemy tej samicy — powiedziałem i zaraz potem, żeby się upewnić, że zostałem zrozumiany, powtórzyłem to samo w żargonie: — Masa nie chce to mięso. Kwele zastrzelić to mięso i powiedzieć myśliwemu, żeby je zabrać i wynosić się do diabła. Do buszu. I daj mu te pięćdziesiąt szyling!

— *Ndefa mu!* Pięćdziesiąt szyling! Te dwadzieścia pięć to i tak za dużo! Masa!

— Na miłość boską, zamknij się i daj mu te pięćdziesiąt szylingów — poleciłem i wszedłem do namiotu z noworodkiem na ręku, opuszczając za sobą płachtę. Słyszałem jeszcze krzyki i podniesione głosy, a potem zapadła cisza, którą przerwał nagły trzask rugera i ponowny wybuch kłótni. Po chwili dotarły do mnie zanikające w dali głosy i na obóz spłynęła cisza.

Kiedy się zastanowiłem nad porannymi wypadkami, uświadomiłem sobie, że moje stosunki z Kwelem wystawiłem na szwank. Naraziłem go bowiem na utratę twarzy wobec obcych — ludzi z buszu bez żadnej pozycji. Należało naprawić szkodę. Uniosłem płachtę namiotu i zawałałem Kwelego.

Przyszedł, każąc mi czekać na siebie nieprzyzwoicie długo, i stanął w cieniu płachty namiotu z jakąś dziwnie nieprzeniknioną miną.

— Kwele, chciałem cię przeprosić. Masa jest przykro. Kwele zrobić dobrą robotę.

Na twarzy Kwelego pojawił się wyraz lekkiego rozczarowania.

— Pięćdziesiąt szyling! — zawałał. — My płacić pięć, dziesięć szyling, masa. Myśliwy być nagi człowiek z lasu.

— Ja wiem — odparłem. — Kwele mądry, Kwele zrozumieć, że masa polubić to małe mięso dużo za bardzo.

— Duże mięso też bardzo dobra. Dlaczego masa nie chceć duże mięso?

— Masz rację — powiedziałem. — Powinniśmy kupić i starą.

— Była to z mojej strony głupota, że nie wziąłem samicy. Potrzebna mi była samica szympansa do badań, a o szympansy było coraz trudniej. Po prostu nie mogłem zapomnieć tamtego matczynego spojrzenia.

Nastąpiła chwila ciszy.

— Kwele, czy mógłbyś mi przynieść trochę ciepłego mleka?

Afrykańczyk obrócił się na swoich płaskich stopach i podniósł płachtę namiotu. Był w dalszym ciągu zły. Należało zrobić coś, żeby go udobruchać.

Kiedy usiadłem przy biurku, szympansiątko dalej patrzyło mi w twarz przymrużonymi oczkami, wymachując bezładnie cienkimi łapkami. Powiedziało „oo oo oo” i złapało mnie za palec obydwoma rączkami ze zdumiewającą siłą.

Nagle poczułem się dziwnie, ogarnęła mnie fala prawdziwie ojcowskiego uczucia.

Poszukiwałem kilku gatunków małp człekokształtnych — szympansów, bonobo (szympansów karłowatych) i goryli do mojej pracy naukowej nad systematyką naczelnych prowadzonej dla Muzeum Historii Naturalnej w Bostonie. Ponieważ ekspedycje naukowe są bardzo kosztowne, zbierałem też okazy pewnych ssaków dla Działu Mammologii Muzeum i jaszczurek dla Działu Herpetologii. Dział Ornitologii z kolei prosił mnie, bym zwrócił uwagę na rzadki rodzaj ptaka drapieżnego, którego poszukiwali.

W ciągu ostatnich miesięcy przebyliśmy ogromne lasy Batuti, idąc szerokimi leśnymi szlakami. Konwojowali mnie ludzie z mojego obozu, niosąc na głowach wielkie tłumoki z ekwipunkiem. Uznałem to za znacznie wygodniejszy sposób podróżowania niż dzipem, który w połowie lat sześćdziesiątych w Afryce był przekleństwem. Dżipy psuły się, grzęzły w bagnach, odmawiały posłuszeństwa z powodu braku benzyny, kradzieży opon i akumulatorów. Dodatkową udrękę stanowił brak części zamiennych, nie mówiąc już o tym, że ludność, której liczba stale rosła, spychała rzadkie już w tej chwili małpy człekokształtne w głębokie lasy tak czy owak niedostępne dla dżipa.

Zauważyłem, że wiadomość o moim przybyciu zawsze mnie wyprzedzała. Jak tylko rozbijaliśmy obóz, zaczynali przychodzić tubylcy z okazami. Uzyskałem zgodę władz Kamerunu na zgromadzenie pewnej określonej liczby okazów z każdego rodzaju naczelnych. Ponieważ tubylcy i tak większość tych zwierząt zabijali na mięso, uzyskanie okazów nie tylko było dość łatwe, ale także nie budziło zastrzeżeń natury etycznej. Skoro więc dane zwierzę miało zostać zabite i zjedzone, nie czułem się winien stałe zmniejszającej się populacji gatunku. Do moich badań potrzebowałem jedynie czaszki, miednicy i skóry; miejscowi ludzie mogli sobie zatrzymać „mięso”. Naturalnie korzyści, jakie płynęły z tego dla nauki, były ważniejsze od wszystkiego innego.

Dokonałem dość szerokiego objazdu Batuti, planując powrót do Lukemby na krótko przed porą monsunową. Czekał tam na mnie obszerny dom ze wzmocnionej gliną plecionki z gałązek, zbudowany w stylu kolonialnym, gdzie mogłem sobie preparować moje okazy, a jednocześnie odnowić dawną znajomość z Mololo, który był czarującym i energicznym przywódcą tego okręgu. Zetknąłem się z nim po raz pierwszy podczas mojej pierwszej wyprawy do Kamerunu, którą odbyłem zaraz po studiach.

Szympaniątko gładko wkomponowało się w nasze życie. Podczas drogi siedziało mi wysoko na plecach w nosidełku dostarczonym przez żonę jednego z pracowników. Zostało uplecione z obrobionych pędów pnączy i wyścielone suchą miękką trawą *bangi*, która jednocześnie pełniła rolę pieluchy. Musiałem trzymać małą blisko swojej głowy, upodobała sobie bowiem moje włosy, których trzymała się łapkami z zadziwiającą siłą, tak jakby się chwytala sierści matki podczas jej wędrówek po drzewach. Poza tym była zupełnie bezradna i nie potrafiła chodzić.

Początkowo, kiedy traciła ze mną kontakt, wpadała w popłoch. Wymachiwała bezładnie łapkami, krzywiła pomarszczoną buźkę i wołała w panice „oo oo oo” — istna kupka nieszczęścia. Małe szympany muszą się trzymać matek, kiedy te skaczą po drzewach czy biegają po ziemi, i dlatego w wyniku ewolucji mają niezwykle mocny chwyt. W miejscach, w których mała czepiała się mojej szyi czy ramion, dorobiłem się niewielkich siniaków.

Czasem, kiedy zsadzałem ją na ziemię, wymachiwała łapkami tak długo, aż spłotła je i wtedy trzymała sama siebie w miażdżącym uścisku, popiskując i płacząc, niezdolna zrozumieć przyczyny dokliwego bólu.

Polubiłem to samotnicze leśne bytowanie, zapach płonącego drzewa *ika*, szum i brzęczenie buzującego wokół życia. Szczególnie lubiłem długie, łagodne zielone światło wieczoru, z błyskiem złota wysoko w koronach drzew wskazującym na zachód słońca. O tej porze siadywałem na leżaku, z fajką w zębach i szympaniątkiem, które zwinięte w kłębek za moją na wpół rozpiętą koszulą albo smacznie spało, albo ssało kosmyki moich włosów na piersiach, szarpiąc je niemiłosiernie. Nigdy do tej pory nie byłem tak zadowolony jak wtedy w ciągu tych czterech miesięcy spędzonych w dżungli Batuti.

Pojednałem się z Kwelem. Powiedziałem mu, że szympaniątko to niezwykle rzadki okaz i że cena pięćdziesięciu szylingów, za którą je kupiłem, jest doprawdy śmiesznie niska. Biedni ciemni myśliwi z buszu zostali wystrychnięci na dudka, co było wyłączną zasługą Kwelego, któremu należały się gratulacje. Utrzymanie tego okazu przy życiu jest dla mnie szczególnie ważne i dlatego powierzyłem zwierzę jego opiece — wyjaśniłem. Te nowe obowiązki, którymi go obarczyłem, znalazły zresztą swój wyraz w podwyższonych apanażach.

Jak słusznie przewidziałem, Kwele natychmiast podnajął dwie spośród obozowych żon, na których barki złożył trudy pielęgnacji małpiego dziecka, płacąc im za to drobną cząstkę własnego uposażenia. Przy każdej czynności głośno je instruował, gestykulując energicznie i strasząc potwornym gniewem masa, gdyby popełniły jakiś błąd. Kobiety doskonale wywiązywały się ze swego zadania, traktując małpkę jak dziecko, podgrzewając jej mleko i karmiąc co cztery godziny. Kiedy uznały, że ich podopieczna jest za chuda, odbyły naradę i znalazły dla małej mamkę — kobietę, której dziecko umarło na biegunkę. Na ludzkim mleku szympaniątko zaczęło

się w oczach poprawiać. Nie mogłem się nadziwić widząc, jak łąpczywie ssie ludzką pierś, ugniatając ją fachowo łapkami i podnosząc lament, ilekroć zostało odstawione od cycka.

Po jakimś czasie uzupełniłem dietę małej mlekiem w proszku. Co rano popiskujące i gruchające małpie dziecko siedząc na moich kolanach, ssalo butlę.

Podczas czteromiesięcznej wędrówki po dżungli Batuti szympansiątko szybko rosło. Szybciej, jak mi się wydawało, niż mój syn Sandy, kiedy był w tym wieku. Skóra małpki pozostała biała (co nie jest rzadkością u szympanców z nizin), ale sierść zgęstniała i stała się krótsza, a buzia z każdym dniem robiła się pełniejsza i ładniejsza. Oczy, początkowo niebieskawe, ściemniały i przybrały odcień niebieskoczarny. Mała nauczyła się chwytać i gdy ssała butlę, wymachiwała łapką, dopóki nie natrafiła na mój guzik albo fałdkę na koszuli, które szarpała wtedy bez opamiętania.

Zaczęła chodzić tuż przed naszym dotarciem do Lukemby. Miała wtedy około czterech miesięcy. Las teraz ciemniał po południu i niebo zaciągało się niewidocznymi chmurami. Czasem gwałtowne porywy wiatru wstrząsały koronami drzew i poprzez wygłuszającą płataninę zieleni przedzierał się odległy grzmot, niosąc ze sobą zapach wilgoci i ozonu.

Szympansiątko czołgało się pod moim biurkiem, próbując złapać panujący tam mrok i gaworząc cichutko, kiedy nagle poczułem, że coś się dzieje z moją nogawką. Zajrzałem pod biurko i zobaczyłem, że mała wynurza się spod niego, stawia parę szybkich, chwiejnych kroków, a następnie pada na pyszczek podpierając się kłykciami. To radosne wydarzenie zostało skwitowane serią tryumfalnych pisków i okrzyków, podczas gdy małpiątko podskakiwało wesoło, trzymając się nogi stołowej.

Deszcze rozpoczęły się wcześniej. Poprzez gęste listowie przedostały się pierwsze duże krople i mała, która nienawidziła deszczu, zaczęła popiskiwać, wyraźnie niezadowolona; wkrótce zrobiło się

ciemno jak w nocy. Do Lukemby przybyliśmy w strugach ciepłej ulewy, ulice przypominały błotniste rzeki. Ze stożkowatych strzech unosił się zapach gotowanej stawy i dym. Jakieś zmokłe kurczę dreptało w miejscu bezradnie, a uwiązana na postronku koza z wezbranym wymieniem przyglądała nam się smętnie.

Spokój trwał tylko chwilę. Zaraz bowiem z chat zaczęły się wysypywać nagie wioskowe dzieciaki z rozdętymi od *kwashiorkor* brzuchami i błyskając bielą uśmiechu, pokazywały w krzyku różowe gardła. Było to zupełnie niewiarygodne, ale niemal każde z nich trzymało w garści jakiś okaz: zdechłą ropuchę, nadzianego na ostrze szczecińca, ptaka, salamandrę, wielkiego żuka, świerszcza ze zwichniętymi skrzydełkami. Dzieciaki skakały dokoła nas, szarpiąc mnie za koszulę, wymachując mi przed nosem zdechłymi zwierzakami i wykrzykując w żargonie najbardziej niedorzeczne sumy. Kwele natychmiast ruszył do akcji, być może nawet zbyt ostro, wymyślając dzieciom, odpychając je i wywijając kijem, a także robiąc groźne miny i klaszcząc w ręce, kiedy rzucały w moją stronę swoim towarem.

— Masa nie chceć to mięso! Masa być bardzo zły! To złe mięso! Siooo!

Na wioskowym rynku — dużej błotnistej kałuży otoczonej starymi drzewami *bala* — zebrał się tłumek mężczyzn. Na ich czele stał wysoki mężczyzna w białej szacie i haftowanej mycce, osłonięty przed deszczem kilkoma trzciniowymi parasolami. Był to Mololo, szef Lukemby. Powitał mnie uściskiem dużej, wilgotnej dłoni i olśniewającym uśmiechem. Jego ludzie popychając się i kłócąc ruszyli, żeby i nade mną rozpiąć parasole.

— *Na foine!* — powiedział Mololo swoim głębokim, dudniącym głosem. — *Na foine* ta rzecz! Witaj! — Tłum powtórzył za nim jak echo: — Witaj! — Mololo wziął mnie za rękę i poprowadził w stronę dużego budynku na skraju placu.

Z przyjemnością wszedłem do starego domu w stylu kolonialnym, z dużą werandą, spadzistym dachem i przestronnym wnętrzem podzielonym na niewielkie łączące się ze sobą pokoiki.

Ogromne pnącza z czerwonymi i fioletowymi kwiatami oplatały ociosane pnie drzew podtrzymujące dach werandy, a w środku widać było wielki kamienny kominek, przeżytek z końca ubiegłego wieku i zapewne pamiątka po którymś z kolonialnych oficjeli.

Kiedy znaleźliśmy się w środku, Kwele stanął w drzwiach, wy-machując kijem i odpychając nim ciekawskie dzieciaki. W tym czasie weszła reszta ekspedycji, rzucając pod ścianą w głębi sprzęt i okazy. Ponieważ większość „materiału” była jeszcze „brudna”, pomieszczenie wypełnił wkrótce odór gnijącego mięsa pomieszany z zapachem przemoczonych ludzi. Od lat przywykłem do tego smrodu.

Mololo zajął miejsce naprzeciwko kominka i otwartą dłonią wskazał mi krzesło, przyzwalając tym samym, bym usiadł. Miejscowe osobistości, ociekające wodą i parujące, stały z szacunkiem dokoła nas. Ktoś wyjął spod długiej szaty butelkę dżinu o nazwie Bombay i z głośnym stuknięciem wraz z dwiema szklankami postawił na stole z palmowej plecionki.

— My pić! — oznajmił Mololo, starannie napełniając oba naczynia. Ja tymczasem wyjąłem z nosidla szympansiątko, które natychmiast wdrapało mi się na głowę i po twarzy zjechało na kolana.

Jak grzeczność nakazywała, opróżniliśmy szklanki, które Mololo powtórnie napełnił.

— Witaj! — rzekł po raz drugi i otaczający go mężczyźni powtórzyli za nim jak echo: „Witaj!” — Ty dostać dobre mięso?

— Tak — odparłem — dużo dobrego mięsa. Była to bardzo owocna wyprawa.

— *Na foine!* My tu mieć dużo dobry myśliwy, ty możesz dostać całe dobre mięso ty chcieć. My czekać na ciebie.

— Dziękuję bardzo — powiedziałem. Podczas moich poprzednich wypraw Mololo okazał mi wielką pomoc, zachęcając swoich ludzi, żeby przeczesywali dżunglę w poszukiwaniu okazów.

— A ta rzecz to co to? — zapytał Mololo, nachylając się nad szympansiątkiem, które siedziało na moich kolanach i przyglądało mu się przymrużonymi oczkami.

— Uiii! — pisnęło małe i skuliło się.

— Znalazłem ją w lesie — wyjaśniłem. — Jej matkę zabili myśliwi.

— Ty znać to mięso? Jak ono urośnie, będzie duży kłopot. Ty dobrze uważać! — Roześmiał się i jednym haustem opróżnił szklankę. — Jak ty nazywać to mięso?

— My je nazywamy szympans.

— Timpans! *Na foine* nazwa. — Nachylił się i przyjrzał zwierzątku. Z uroczystym wyrazem twarzy małpka wyciągnęła cienką łapkę i Mololo ukrył ją w swojej dużej dłoni i potrząsnął. — On podawać rękę jak wszyscy masa! — Mololo wybuchnął serdecznym śmiechem. („Masa” oznacza w żargonie białego człowieka, bez względu na jego status i pozycję). — On wyrosnąć na masa, na pewno!

Moja praca w Lukembie przebiegła gładko. Kwele organizował mi zakup okazów. Wyglądało to w ten sposób, że codziennie o czwartej mieszkańcy wioski ściągali tłumnie na placyk przed domem, Kwele zaś, z kijem w ręku, przechadzał się wśród nich, większość przeganiając, a tych z ciekawymi okazami przysyłając na werandę, by tam na stole mogli położyć swoje zdobycze.

Zaraz po dobieciu targu martwe zwierzę trafiało za dom, gdzie obdzierano je ze skóry i oczyszczano szkielet z mięsa, które wracało do sprzedawcy. Skórę przygotowywano do wyprawienia, a szkielet wrzucano do jednej ze starych wanien, by tam się moczył przed spreparowaniem.

Podczas zawierania transakcji z myśliwymi szympansiatko igrało pod stołem, wdrapując się na jego nogi, spadając, turlając się i cichutko pohukując. Czasami włąziło mi na kolana i ssało moje guziki, to znów kiedy indziej wdrapywało mi się na głowę, skąd patrzyło na świat jak małeńki cesarz chiński. Ten widok z reguły wywoływał ryk śmiechu we wszechobecnym tłumku, który tupął wtedy radośnie. Zdarzało się też, że mała włąziła pod stół, gdzie leżała spokojnie, czekając okazji, by złapać za nogi jakiegoś niczego nie podejrzewającego Afrykańczyka, z reguły z bardzo zabawnym skutkiem. Zawsze wtedy wrzeszczała, chowając się za moje krzesło.

W Lukembie spędziliśmy dwa miesiące. Z zainteresowaniem patrzyłem, jak błyskawicznie rośnie małe szympansiatko i jak szybko pozbywa się nieśmiałości. W drugim miesiącu naszego pobytu dzieci z wioski podchodziły co rano pod nasz dom i siedząc w kucki przed drzwiami, wykrzykiwały w języku *nala* słowa, których nie rozumiałem. Mała wyskakiwała wtedy z domu jak z procy i widywałem ją biegnącą po wiosce w tłumie roześmianych dzieciaków.

Po przybyciu do Lukemby bałem się, jak sobie poradzi z dzieciakami półdzikich psów włączających się po wiosce. Wkrótce jednak okazało się, iż ulubioną zabawą dzieciaków jest właśnie znęcanie się nad psami, i szybko zauważyłem, że szympansiatko nie pozostaje w tych igraszkach w tyle. Psy reagowały na nie, jakby było jednym z wielu ludzkich dzieci, szczekając i warcząc, ilekroć znalazło się w pobliżu. Kiedyś widziałem, jak małpiątko, grożąc psu kijem, zabierało mu jakiś ochłap.

Pewnego dnia zapytałem Kwelego, co takiego dzieci dzień w dzień wykrzykują do małego szympansa.

— To być dobra nazwa tego mięso — odparł Kwele.

— Ale jakie to słowo? Co ono znaczy?

— *Jen ikwa si go*. To znaczy, że to mięso jeżyć włos, żeby wyglądać większe.

— Nie rozumiem.

— Masa widzieć szympans, kiedy on się boi? Albo jest zły? On stawiać włos. Uuuch, o tak. — Kwele uniół ramiona i ruszył z pochyloną głową, przyjmując agresywną postawę.

— Rozumiem.

— *Jen ikwa si go*. Tak go dzieci nazywać.

Zastanowiło mnie to. Nie potrafiłem wymyślić imienia dla małej. Zawsze miałem kłopoty z imionami. Dla dwójki naszych dzieci, Sary i Aleksandra, imiona wybierała moja żona Lea. Przez sześć miesięcy męczyłem się nad wynalezieniem stosownej nazwy dla zwierzątka, ale wszystkie wydawały mi się płaskie i głupie i nie odważyłem się żadnej z nich wymówić na głos. *Jen-Ikwa-Si-Go*. Małe-Zwierzątko-Które-Się-Jeży-Żeby-Wyglądać-Na-Duże. Wreszcie znalazłem właściwe imię. Nazwałem małego szympansa Jennie.

Rozdział 2

Z wywiadów z panią Hugonową Archibald, styczeń 1991, październik 1991 i wrzesień 1992 roku w jej mieszkaniu w Kibbencook Lower Falls, Massachusetts.

Czy to jest rzeczywiście konieczne? Strasznie nie lubię magnetofonów. Od razu jestem zdenerwowana. No cóż, jeśli panu tak bardzo zależy... Tak, rozmawiałam z doktorem Epsteinem. Co za inteligentny i bystry starszy pan i jak patrzy na człowieka tymi swoimi paciorkowatymi oczkami... Odkąd go znam, zawsze był taki stary i pomarszczony. Jeden z tych, co to już się rodzą starzy. Muszę powiedzieć, że nie bardzo mam zaufanie do jego opinii o ludziach. Aż za dużo w nim tej inteligencji. Mam nadzieję, że się co do pana nie pomylił. Powiedział, że pan chce całą tę historię wyjaśnić i sprostować.

Zaraz, od czego zaczynamy? Bo to strasznie długa historia, nie wiem, czy dam radę wszystko panu opowiedzieć. O mój Boże, taka już jestem stara... Ile czasu nam to może zająć?

Mieszkaliśmy w samym Kibbencook, około półtora kilometra stąd. Nasz dom? Stara, wałaca się rudera. Mimo to Hugo ją kochał. Nie bardzo sobie z tym domem radziłam. W niczym nie przypominał pięknych nowych podmiejskich willi. Był za duży i za leciwy, i nie dość szympansoodporny. Kiedy go kupowaliśmy, nie myśleliśmy jeszcze o posiadaniu szympansa. W ogródku pieniały się mlecze — a żywopłot! Pożółkły i jakby powygryzany. Sąsiedzi byli wściekli, bo to ohydnie wyglądało.

Próbowaliśmy dosłownie wszystkiego, ale z roku na rok ten żywopłot nam po prostu usychał. Trawnik cały był upstrzony rudymi plamami. A rododendrony! Tak były przerośnięte, że sięgały okien pierwszego piętra i kiedy wiał wiatr, słyszeliśmy ze środka chrobotanie. Dzieci okropnie się bały. Hugo im powiedział, że tam na zewnątrz siedzi niedźwiedź.

Na podwórku rosła urocza dzika jabłoń z opadającymi gałęziami, które trzeba było popodpierać. Z tyłu posesji ciągnęły się pola golfowe. Jeśli powiem, że nasz ogródek nie był przedmiotem zazdrości sąsiadów, będę bardzo oględna. (Śmiech). Hugonowi nie zależało na pielęgnacji trawników, a ja nie miałam najmniejszego zamiaru popychać przed sobą kosiarki.

Kibbencook było uroczym miasteczkiem, bardzo cichym. Nie to co dzisiaj. Nie było jeszcze tych okropnych domów przy Washington Street, za to na skwerze stała estrada dla orkiestry. Kibbencook to dawna indiańska osada położona nad Charles River. Do dziś widać nad rzeką ich kopce z muszli. A zna pan może drogę nr 9, ten okropny pas ziemi, gdzie jedna przy drugiej znajdują się stacje benzynowe? Kiedyś to był Szlak Kibbencook, stary indiański trakt, który prowadził do Boston Harbor. Wzdłuż rzeki, tam gdzie dziś są pola golfowe, ciągnęły się wioski indiańskie. Zdarza się od czasu do czasu, że komuś z grających w golfa wpadnie do wody piłka i wtedy przy okazji znajduje grot strzały tam, gdzie brzeg uległ erozji. Nie ma u nas wśród grających w golfa nikogo, kto by nie znalazł takiego grotu. Nasz syn, Sandy, nawet wymieniał piłki golfowe na te indiańskie groty. Golf to głupia gra. Mój ojciec, który był z pochodzenia Anglikiem, nazywał ją grą prezbiteriańską. Ja oczywiście wyszłam za mąż za prezbiterianina, ale na szczęście nie grał w golfa.

Ojej, przecież to nie ma nic wspólnego z Jennie. Jeśli będę sobie pozwalała na takie dygresje, to proszę mi zawsze przerwać i sprowadzić rozmowę na właściwe tory, żeby się zbytnio nie rozgadała.

Nasz dom w czasach, zanim jeszcze powstały te wszystkie przedmieścia, był wiejską siedzibą. W lasach za nami do dziś

można natrafić na resztki starego kamiennego muru, który kiedyś otaczał farmę. Ziemia to tu nigdy nie była dobra. Lodowiec narzucił na nią za dużo kamieni. Kiedy więc otworzyły się możliwości wyjazdu na Środkowy Zachód, farmerzy opuścili te strony i wszystko z powrotem porosły lasy. Teraz znowu je wycinają i budują domy.

Nasze miasto to świadek historii, ale większość mieszkańców jest ciemna jak tabaka w rogu. Znają się tylko na cenach budynków. Powiedzą panu co do dolara, ile który jest wart. Połowa kobiet zajmuje się handlem nieruchomościami. Jak się nie ma żadnego talentu ani wykształcenia, to zawsze można się zająć handlem nieruchomościami. Czy pan w dalszym ciągu nagrywa? Może jednak powinien pan jakoś podredagować tę moją opowieść. Ja jestem stara, nie bardzo umiem mówić. Nie do wiary, co się stało z cenami nieruchomości w tym mieście. Nie wiem, skąd ludzie biorą pieniądze.

Rozebrali na przykład ratusz — taki piękny zabytek architektury romańskiej — i postawili paskudną betonową bryłę. Straszne. Pomyśleć, co oni zrobili z tym miastem. Jeszcze dziesięć lat temu chcieli wysadzić w powietrze ten wielki głaz nad rzeką. Mówili, że szpeci krajobraz. Poszłam tam i przez trzy dni siedziałam na tej pięknej skale. Powiedziałam im: „Spróbujcie mnie tylko ruszyć, to zaraz zadzwonię po mojego adwokata!” I przetrzymałam ich. Wściekali się, ale gazety zaczęły o tym pisać i...

No i znów pozwolił mi pan zboczyć z tematu.

A, jeśli chodzi o nazwę miasta... o, to ciekawa historia. Wiąże się z imieniem indiańskiego władcy Kibenquota. Tu, w tym zakolu Charles River, miał swój dwór. Kiedy zjawili się biali, przekupili go wódką i pieniędzmi i praktycznie sprzedał im całą ziemię należącą do plemienia. Wszyscy wymarli. Zostały po nich tylko te groty strzał, które do dziś można znaleźć nad rzeką.

Ach, jak tu było wtedy pięknie. Lasy i pola ciągnęły się bez końca, nie tak jak dzisiaj. Wymarzone miejsce do wychowywania dzieci. No i szympanów...! (Śmiech).

Nasz dom był położony przy Hawthorne Lane pod numerem szesnaście. Stał bokiem do ulicy, nie tak jak inne. Stara rudera. Dach się zapadł, weranda zgniła, a tyle razy był malowany, że od czasu do czasu odpadały kawały farby wielkości talerza. Już dawno farmy nie było, a wdowa po właścicielu jeszcze ciągle tu mieszkała, dopóki jej nie zabrali do przytułku. Hugo i ja kupiliśmy ten dom w 1957 roku za dwadzieścia dwa tysiące dolarów. Obecnie musi być wart z pół miliona. Nie wiem, kto tam w nim teraz mieszka, w każdym razie życzę mu szczęścia. Pewnie jakiś makler giełdowy. Ciekawe, czy wie, że w tym domu wychował się szympanś?

Sąsiedzi za nami nie przepadali. Nie należeliśmy do miejscowego klubu, nie urządzaliśmy w ogrodzie *barbecue* i mieliśmy przyjaciół z Cambridge, którzy byli podobni do Żydów. Mówią, że Massachusetts to stan zamieszkały przez liberałów, ale my znaleźliśmy w Kibbencook tylko republikanów. Strasznie tu wszyscy byli ograniczeni.

Kiedy przybyła Jennie, nagle staliśmy się sławni. A może raczej powinnam powiedzieć niesławni! W każdym razie przynajmniej na początku była wielka radość.

Tak, oczywiście, że pamiętam, jak Hugo przyjechał z Afryki z Jennie. Spodziewałam się go w domu we czwartek, a zjawił się już we wtorek. Usłyszałam zatrzymującą się przed domem taksówkę i patrzę... a tu Hugo ze swoimi ohydnyimi walizami i płócienną torbą zawieszoną na szyi. Sandy wyskoczył z domu jak z procy, a tuż za nim nasze dwa psy. Boże, co za zamieszanie! Trzymałam małą na rękach, a ona skakała jak sprężyna, ciekawa, co się dzieje. Jak Hugo wyjeżdżał, miała zaledwie dwa miesiące, a wrócił po pół roku, proszę sobie to uświadomić!

Hugo ucałował mnie serdecznie, a potem cofnął się z głupim uśmiechem i oznajmił, że ma dla mnie niespodziankę.

Sięgając do torby, miał minę psotnego chłopca. Myślałam, że wyciągnie węża. A tymczasem widzę jakieś maleństwo uwieszone na łapkach. Nie miałam zielonego pojęcia, co to takiego. Zwierzak zamrugał, rozejrzał się dokoła, zaskrzeczał i wskoczył Hugonowi na rękę. Jeszcze chyba nigdy w życiu nie byłam taka zdziwiona.

Sandy pierwszy się zorientował, co ojciec przywiózł, i zaczął krzyczeć:

— Małpka! Małpka, tata przywiózł nam małpkę!

Hugo powiedział, że małpka nazywa się Jennie, a Sandy nie mógł się doczekać, kiedy ją weźmie na ręce.

Pamiętam spojrzenie, jakim mnie wtedy Hugo obrzucił, chłopięce, trzpiotowate, i jak mnie spytał, co o tym myślę i czy chciałabym mieć w domu szympansa jako maskotkę. Bał się, że się nie zgodzę.

Szczerze mówiąc, nie wiedziałam, co o tym sądzić. Stworzonko rozglądało się dokoła z wielkim zainteresowaniem. Jego małe czarne oczka były okrągłe i robiły wrażenie wiecznie zdziwionych.

No cóż, na razie psy szczekały, Sandy krzyczał, mała płakała. Psy dosłownie dostawały szału. Bałam się. Zapytałam: „Ale czy psy jej nie pogryzą?”

Hugo tylko uśmiechnął się szelmowsko, a potem postawił szympansiatko — naprawdę nie większe od niemowlaka — na trawniku naprzeciwko warczących terierów. Nazywały się Frick i Frack. Pan chyba wie, jak złe i zaciekle potrafią być teriery. Rany boskie! Nigdy nie zapomnę tego, co się zaczęło dziać zaraz potem. Szympansiatko zjeżyło sierść, tak że stało się dwa razy większe niż normalnie, i z wielkim wrzaskiem ruszyło na psy. Biegło prosto na nie na czterech łapach, podpierając się kłykciami. Psy rzuciły się do ucieczki, ale Jennie zdołała złapać Fricka za ogon i ciągnęła go oburącz w swoją stronę. Biedne psisko wrywało się jak mogło, ryjąc ziemię pazurami. Potem nagle Jennie puściła go i Frick poleciał na pysk, ale pozbierał się szybko i uciekł przez dziurę w żywopłocie. A jaka była z siebie dumna! Tańczyła po trawniku jak derwisz, pohukując i piszcząc, z różowym pyszczkiem szeroko otwartym. Nigdy nie widziałam tak szerokiego pyszczka u tak małego stworzenia.

Co za powrót!

Hugo wydał prawie osiemset dolarów na łapówki i pozwolenia, żeby móc ją wywieźć z Afryki. Wtedy wzięłam to za jedną z jego fanaberii. Zawsze miał niesamowite pomysły, które potrafił realizować. Naturalnie na swój cichy, spokojny sposób.

Cały czas martwiłam się, jak to będzie z Sarą, naszą maleńką córeczką, denerwowałam się o zarazki. Kto wie, jakie straszne choroby Jennie mogła nam przywlec z dżungli afrykańskiej!

Hugo oczywiście chciał natychmiast Sarze przedstawić Jennie, ale ja powiedziałam, że po moim trupie, że najpierw muszę tę małą wykąpać.

Ani się obejrzałam, jak Sandy był w kąpielówkach, a Hugo siedział na stopniu schodów z tą swoją ohydną fają! Brr! Jak ja jej nie cierpiałam! Wszędzie tylko brud i popiół, i dziury powypalane we wszystkich koszulach...

Zaraz... przy czym to ja byłam? A, tak. Hugo siedział na stopniu i polewał trawnik z węża. Kiedy Jennie zobaczyła wodę, zaczęła się drzeć i schowała się w żywopłot, ale Sandy ją stamtąd wyciągnął i już po chwili oboje skakali przez strumień wody. Sandy był pierwszy, a Jennie, schowana za nim, piszczała z radości. Zmoczona, z sierścią przylepioną do ciała, robiła wrażenie tak maleńkiej, że widać było tylko duże uszy i nieprawdopodobnie szeroką buzię. Kiedy biegła na czterech łapach, podpierając się kłykciami, wyglądała jak kula od krykieta z uszami. A wrzask, jaki się wydobywał z tego pyszczka! Boże, żadna ludzka istota nie byłaby do czegoś takiego zdolna. Jak z filmu o Tarzanie.

Podczas tego zamieszania zobaczyłam, że stara pani Wardell wygląda przez okno swojej kuchni. To była żona dentysty. Nie miałam zielonego pojęcia, co sobie pomyślała. W pewnym momencie zorientowałam się, że wzdłuż całej ulicy w oknach domów pojawili się ciekawscy. Tylko jeden wielebny Palliser, który mieszkał naprzeciwko, miał odwagę przyjść i przekonać się na własne oczy, co to za nieczysty duch narobił tyle hałasu. Dziwne naprawdę, że tak dobrze go jeszcze pamiętam — jak stoi w drzwiach, z zawiniętymi rękawami koszuli i najsmieszniejszym pod słońcem wyrazem zdziwienia na okrągłej twarzy. Wyglądał jak duży Charlie Brown. Biedaczysko, znalazł się w strefie ataku gazowego pod Ypres i myślę, że tak na dobre nigdy się po tym nie pozbierał. A potem przyszła skleroza i łąził nieszczęśnik po sąsiadach...

Ale zaraz, wracam do mojej historii. No więc wreszcie Hugo przyprowadził Jennie do Sary. Ja siedziałam na kanapie z małą na kolanach, a Jennie przykucnęła na podłodze, przyglądając nam się badawczo. Dziecko ją szalenie interesowało. Sara bardzo urosła przez te pół roku, kiedy Hugona nie było. Miała okrągły brzuszek i puciołwate policzki. A słodka była jak cukierek!

Jennie wskoczyła na kanapę i zaczęła się gapić na Sarę. Mała wyciągnęła do niej rączki. Nie bała się ani trochę. Bo ona się w ogóle niczego nie bała. I to jej zostało do dzisiaj. Zawsze była małym dzielnym smykiem.

Hugo przedstawił je sobie. Jennie patrząc prosto w buzię Sary, położyła jej na główce włochatą łapkę. Przez jakiś czas wpatrywały się w siebie, zafascynowane. Żadna z nich nie widziała w życiu nic podobnego. Potem Jennie powiedziała „Oooo” i wsadziła sobie do pyszczka rączkę Sary.

O Boże! Może pan sobie wyobrazić moją reakcję. Wrzasnęłam i porwałam Sarę. Myślałam, że Jennie chciała ją ugryźć, ale Hugo wszystko wyjaśnił. Powiedział, że tak się wita Jennie, że na znak powitania wsadza sobie do pyszczka czyjś palec.

Owszem, może i to było na miejscu w Afryce, ale nie w Ameryce! Później położyłam kres tym niehigienicznym zwyczajom.

Biedna Jennie była przerażona moją reakcją. Przycupnęła na kanapie i nakrywszy głowę rękami, zaczęła się kiwać w przód i w tył. Zupełnie jakbym ją zbiła. Wyglądała naprawdę załóżnie. Pocieszyłam Jennie i podałam jej rękę. Wsadziła sobie do pyszczka mój mały palec, a ja zacisnęłam szczęki, podczas kiedy szympansiatko go ssało. I wtedy Sara, moja kochana Sara, wyciągnęła rączki; chciała, żeby małpka ją przytuliła.

Hugo powiedział Jennie, że może ją uściskać. Ku mojemu zdumieniu małpka przysunęła się i bardzo delikatnie przytuliła Sarę. Oczom nie wierzyłam, widząc moją małą córeczkę w kosmatych objęciach szympansa. Jennie kołysała Sarę jak matka. Mała popatrzyła na mnie i zaczęła wymachiwać rączkami, podczas gdy jej mała, łysa główka podskakiwała na włochatej szympansiej piersi. Czy to nie dziwne, że ja tak dobrze zapamiętałam to pierwsze

spotkanie? O mój Boże...

Nawet w tak młodym wieku Jennie rozróżniała niektóre angielskie wyrazy. A ci beznadziejni, prymitywni badacze będą mi tu opowiadać, że szympansy nie są zdolne do rozumienia języka mówionego. To po prostu śmieszne. Ta szympansica rozumiała później niemal wszystko, co się do niej mówiło. Trzeba było żyć z nią pod jednym dachem, żeby pojąć, co mam na myśli. Kiedy nauczyła się języka migowego, można jej było zadać pytanie po angielsku, a ona odpowiadała w języku migowym. Naprawdę w życiu nie spotkałam koszmarniejszej grupy ludzi, jak ci uczeni zajmujący się naczelnymi, czyli prymatologami. Na przykład ta doktor Prentiss...

Tak, tak, wiem, wszystko po kolei. Później do tego wrócę. Dziękuję.

Hugo zbudował dla Jennie domek na dzikiej jabłoni z tyłu za domem i dał jej kilka starych wojskowych koców. Hugo był strasznym śmieciarzem i dosłownie wszystko gromadził. Strych był załadowany jego papierami — świadectwami szkolnymi, wypracowaniami i Bóg wie czym jeszcze.

Na tym drewnianym strychu było bardzo niebezpiecznie ze względu na możliwość pożaru. Strasznie się o to kłóciliśmy. Nieraz już myślałam, że się przez te papierzyska rozejdziemy. A teraz, kiedy Hugona zabrakło, nie mam serca ich wyrzucić... no właśnie. (Długa pauza).

Zaraz, przy czym to ja byłam? Aha, no więc Hugo zbudował dla niej ten domek na jabłonce i Jennie co wieczór zabierała koce, wdrapywała się na drzewo i mościła sobie legowisko. Rano, o pierwszym brzasku, wystawiała łepkę, a następnie — jeden po drugim — spuszczała koce na ziemię.

Miała też swój cynowy kubek, talerz i łyżkę — prezent od kapitana statku, którym przyплыnęli z Afryki. Kapitan nalegał, żeby Hugo i Jennie co wieczór jadal przy jego stole, i goście dostawali szafę, widząc na honorowym miejscu małpę w pieluszce, ale to już całkiem inna historia.

Kiedy Jennie zrzuciła wszystkie koce, zaraz potem zrzuciła kubek, talerz i łyżkę. Na koniec schodziła sama, zbierała nakrycia

i bębniła w drzwi kuchenne, głośno zawiadamiając nas, że jest głodna. W każdym razie były to okrzyki oznaczające „jedzenie”. Prymatolodzy nazywają to zdaje się „dyszeniem-pohukiwaniem”. Tak naprawdę czasami było to mruczenie, a czasami wycie, w zależności od tego, jak bardzo Jennie była głodna. I teraz proszę sobie wyobrazić: jest piąta albo szósta rano, psy dostają szau, chociaż dobrze wiedzą, kto to, a ja się zrywam i pędzę do drzwi, zanim Jennie pobudzi wszystkich sąsiadów.

Jak tylko wchodziła do domu, psy natychmiast chowały się pod kanapę. Bały się jej śmiertelnie. Jennie siadała w kuchni przy stole i starannie układała nakrycie. Potrafiła tak siedzieć godzinę i więcej, czekając, aż dostanie jeść, złościąc się, pohukując i nieustannie paplając. Im była starsza, tym bardziej robiła się niecierpliwa. Krzyczała i skrzeczała, jakbyśmy ją chcieli zagłodzić na śmierć. Jennie po prostu kochała jeść.

Początkowo dawaliśmy jej to, czym się karmi niemowlęta. Wkrótce zaczęła się domagać tego samego, co jedliśmy my, dorośli. W ogóle chciała robić wszystko to samo co my. To co ona miała na talerzu, nigdy nie było dla niej dość dobre; domagała się naszego. Jej codzienne śniadanie składało się z tostu z masłem, banana i owsianki z miodem. Od czasu do czasu robiła wyjątek i zjadała plasterek bekonu, ale w zasadzie nie przepadała za mięsem. Poza odrobiną wieprzowiny czy kurczęcia.

A jak śmiesznie wyglądała przy jedzeniu! Trzeba to było widzieć. Mały wypłoch z czarnymi jak paciorki oczkami tuż nad stołem. Coś przekomicznego! Okrągła główka, a na niej rzadkie kudełki sterczące we wszystkie możliwe strony i to chrupanie, kiedy jadła tosta. A te wielkie odstające uszy! Jak od tyłu zaświeciło słońce, przypominały różowe chińskie lampiony. (Śmiech).

W sprawach jedzenia Jennie była bardzo podejrzliwa. Od czasu do czasu nadgryzała coś, czego zdecydowanie nie lubiła. Nieustannie też wszystko obwąchiwała. Jakby się bała, że kawałek tostu zamieni się nagle, powiedzmy, w hamburgera z keczupem. A hamburgera z keczupem po prostu nie znosiła. Tak samo jak i wszelkich marynat. Jeśli gdzieś się znalazło coś marynowanego, to nie

daj Boże! Powiedzmy, że dostała do jedzenia coś, czego nie lubiła - pomidora, gotowaną fasolę, homara czy stek — wybierała to starannie z talerza i ciskała z całej siły o ścianę w jadalni. Przypuszczam, że nabrała tego zwyczaju, oglądając „Trzech klaunów” w telewizji. W tym koszmarnym programie bez przerwy rzucali jedzeniem. Czasami naprawdę trudno z nią było wytrzymać. Plama po keczupie na suficie w kuchni przypominała nam Jennie jeszcze długo potem, jak jej już nie było. Zawsze kiedy na nią patrzyłam, robiło mi się smutno, ale nigdy nie mogłam się zdobyć na to, żeby przystawić drabinę i zmasać tę plamę. Bo ona była jak wspomnienie, a przecież nie lubimy ich tracić. To znaczy wspomnień.

Jennie tak celebrowała jedzenie, że patrząc na nią, dosłownie pękaliśmy ze śmiechu. Kiedy żuła, małe włoski na jej brodzie poruszały się rytmicznie w górę i w dół, a brwi zbiegały się, jakby wykonywała skomplikowaną pracę myślową. Może zresztą wykonywała! Po nas jedzenie było chyba najważniejszą sprawą w jej życiu.

Po skończonym posiłku za żadne skarby nie chciała się rozstać ze swoim kubkiem, talerzem i łyżką. Nie było mowy o żadnym myciu. Wykluczone. Strzegła ich jak oka w głowie. Uważała, że ich zniknięcie oznacza dla niej śmierć głodową. Kiedy próbowałam jej te naczynia umyć, dostawała szału. A były tak ohydnie brudne, że bałam się zakażenia salmonellą nas wszystkich. Pewnego dnia rano Hugo zacczał się pod jabłonką, poczekał, aż Jennie zrzuci swój kubek i talerz na ziemię i po prostu je wykradł. Trzeba było słyszeć jej wrzask! Potem już nam pozwalała na mycie, ale kiedy spłukiwałam jej naczynia, a następnie wkładałam do zmywarki, nie spuszczała ze mnie spojrzenia swoich paciorkowatych oczu i cały czas czekała przy maszynie, aż się skończy program. Jak tylko zmywarka się otwierała, natychmiast wsadzała do środka łapę i robiąc piekielny hałas, grzebała wśród naczyń w poszukiwaniu swoich bezcennych przyborów do jedzenia.

Po upływie trzech lat sama zaczęła zmywać. Nie powiem, żeby była w tym szczególnie staranna, ale miała własną indywidualną metodę. Najpierw wylizywała talerz do czysta, a dopiero potem

go myła. Nie sposób zliczyć, ile mi w ten sposób wytłukła porcelany. Ilekroć mieliśmy gości, zawsze gwoździem programu był ten sam numer: Jennie sprzątająca ze stołu i zmywająca naczynia. Ludzie nie mogli się nadziwić, że zwierzę jest zdolne do czegoś podobnego. Zawsze mówili: „Popatrzcie, popatrzcie! My sobie też musimy sprawić taką małpkę”. I wtedy — łomot! — Jennie upuszczała na ziemię całą stertę talerzy albo na przykład zjadała pół mydła. Natychmiast im ten zachwyty przechodził. Hugo zrobił Jennie wspaniałe zdjęcie przy zmywaniu. Zaraz... gdzie ja je mam...? Chciałby pan te zdjęcia obejrzeć?

Te kilka pierwszych lat z Jennie to była sielanka. Szczęśliwy okres w życiu całej rodziny. Wielka przygoda. Nie chcę powiedzieć, że było z nią łatwo. Przyuczenie Jennie do korzystania z toalety to chyba najcięższe zadanie, wobec jakiego stanęłam. O Boże! Ta małpa w żaden sposób nie mogła się nauczyć porządku. Ona nawet próbowała, ale to było po prostu sprzeczne z jej naturą. Jak się żyje wśród drzew, to przecież nie ma żadnego znaczenia, gdzie się to robi. Wprowadziłam taki system, że za każdym razem kiedy Jennie zrobiła to „jak się należy”, dostawała cukierka. A za cukierka robiłaby wszystko. Boże, jak ona się starała. I jaki to był dla niej wysiłek. Bawiła się na przykład w kuchni i nagle widziałam na jej twarzy ten charakterystyczny wyraz i Jennie puszczając się pędem do łazienki. W połowie drogi zatrzymywała się i wsadzała łapkę do puszek z cukierkami. Co z reguły okazywało się zgubne w skutkach. Pielucha była mokra, a nagroda nie zasłużona. Wie pan, co ona wtedy robiła? Odkładała cukierek! Sama z siebie. Z własnej inicjatywy! Taka była ludzka, taka naprawdę ludzka... Gdybym tego nie widziała, nigdy bym nie uwierzyła.

*Ze „Wspomnień z pewnego życia”
Hugona Archibalda.*

Jennie tak gładko weszła w rytm życia amerykańskiego przedmieścia, jakby to było jej naturalne środowisko.

Bardzo szybko rozmiłowała się w telewizji. Mieliśmy jeden z najnowocześniejszych aparatów marki De Luxe, model z brązowego plastiku, stylizowany na erę kosmiczną, z wypukłym ekranem i srebrną skalą. Kosztował sto dolarów bez pięciu centów, okazała suma jak na tamte czasy. Jennie stała się nałogowcem i gapiła się w niego tak długo, jak długo był włączony. Teraz, z perspektywy czasu, zastanawiam się, jaki wpływ mogła na nią mieć agresja i brutalność programów telewizyjnych. W połowie lat sześćdziesiątych nie były one zresztą jeszcze tak demoralizujące jak dzisiaj, a nawet panowała opinia, że spełniają poważną rolę edukacyjną. Dzieci, w których domu nie było telewizora, uważano za pokrzywdzone.

Uwaga Jennie skupiała się na dźwiękowych elementach programów telewizyjnych. Oglądając je, sama nieustannie wydawała pomruki, piski i pohukiwania przerywane bębnieniem i tupaniem w czasie szczególnie podniecających scen jak pościgi czy strzelaniny. Lubiła też, żeby było dużo śmiechu. Ludzki śmiech najwyraźniej ją fascynował.

Po raz pierwszy wpadliśmy na to, że Jennie ma słabość do telewizji, pewnej soboty, wkrótce po moim powrocie z Afryki. Obudziłem się i usłyszałem dochodzące z gabinetu słabe dźwięki telewizji. To był zwyczaj Sandy'ego — zawsze w sobotę, wcześniej rano, lubił się pogapić w telewizor. Dźwięki wydały mi się jakieś dziwne kojące, może dlatego, że nie słyszane od pół roku.

Zastałem ich, jak siedzieli we dwójkę przed telewizorem, na dywanie, po turecku, i oglądali „Trzech klaunów”. Minęło tyle lat, a ja ciągle jeszcze pamiętam ten program. Akcja rozgrywała się w wytwornym salonie pełnym wieczorowo ubranych gości, wśród których szaleli, również wieczorowo ubrani, trzej klauni rzucając na prawo i lewo ciastkami i innym jedzeniem, waląc się po głowach i wsadzając sobie palce w oczy, i to wszystko przy akompaniamencie klaksonów samochodowych i skrzypiec grających pizzicato. Zapytałem Sandy'ego, o co w tym wszystkim chodzi, i przypominam sobie, jak mi wyjaśnił, że pewien profesor, tytułem eksperymentu, usiłował zrobić z trzech klaunów dzentelmenów. I właśnie byliśmy świadkami fatalnych skutków tego doświadczenia.

Była to parodia „Pigmaliiona” i nic dziwnego, że akurat właśnie Jennie tak bardzo przypadła ona do gustu.

Jennie gapiała się w ekran dosłownie oczarowana. Jej małe czarne oczka migotały, a ja cały czas zadawałem sobie pytanie, co się w tym jej małpim mózdzku dzieje.

— Tato! Jennie lubi oglądać telewizję! — wykrzyknął Sandy tonem wielkiego odkrycia. — Popatrz!

Zgasił telewizor i usiadł. Na ekranie pojawiła się kropka. Bez chwili wahania Jennie skoczyła i z powrotem włączyła aparat.

— Hi hi hiii! — zapiszczała widząc, jak powoli ekran wypełnia się obrazem. Uczępiła się telewizora i z pyszczkiem przy samym ekranie zaczęła podskakiwać jak piłka.

— Widzisz, tato, ona potrafi włączyć telewizor — powiedział Sandy, po czym dodał: — Jennie, zasłaniasz mi, ja nic nie widzę!

Na dźwięk swego imienia Jennie rozejrzała się dokoła, ale nie odsłoniła ekranu.

— Odsuń się! — krzyknął Sandy.

Na ekranie pojawiła się reklama. Przedstawiała przystojnego mężczyznę zaciągającego się papierosem przy akompaniamencie chóru głosów, które sławiły smak tytoniu. Z westchnieniem satysfakcji mężczyzna wypuścił dym, a głosy chóru wzniosły się crescendo.

— Huuu, hiii, hiii — powiedziała Jennie, jakby i ona przyłączyła się do śpiewu.

— Jennie! No nie, tata, powiedz jej, żeby się odsunęła! — zniecierpliwił się Sandy.

„Trzej klauni” znów pojawili się na ekranie, z przewodnią piosenką „Trzy ślepe myszy”. Pod naciskiem protestów Sandy'ego Jennie wreszcie wróciła na swoje miejsce, gdzie siedziała z bardzo smutną miną uczeplona jego ręki. Sandy bowiem stał się jej najlepszym przyjacielem. Podziwiała go i chciała robić wszystko to co i on.

— Do diabła — zażartowałem. — Tyle kłopotu. Trzeba było zostawić tego zwierzaka w dżungli.

Sandy i Jennie tak byli pochłonięci tym, co działo się na ekranie, że nie usłyszeli moich słów.

Przybycie Jennie zakłóciło spokój naszego podmiejskiego sąsiedztwa. Pierwszą osobą, która okazała zainteresowanie nowym domownikiem, był pastor kościoła episkopalnego. nasz sąsiad z naprzeciwka. Nazywał się Hendricks Palliser. Przyszedł na polecenie swojej żony, koszmarnej baby. W tamtych czasach prawie nie znaliśmy Pallisera, a z braku motywacji religijnej nawet nie staraliśmy się nawiązać z nim stosunków. Jeden wszakże szczegół z jego życiorysu mnie intrygował. Otóż podczas pierwszej wojny światowej zgłosił się on na ochotnika do francuskiej kolumny sanitarnej i podobno znał osobiście Hemingwaya. W żaden sposób nie mogłem sobie skojarzyć jowialnego, puciołowatego pastora z przedmieścia z bohaterskim ochotnikiem, który został jakoby ranny w drugiej bitwie pod Ypres. Była to bitwa, w której Niemcy po raz pierwszy użyli gazów trujących, i — podobno — Palliser uratował grupę ludzi przed zagazowaniem, biorąc ich do swego ambulansu.

Usłyszeliśmy dzwonek. Po otwarciu drzwi zobaczyliśmy na stopniu wielebnego Pallisera, z szarym kapeluszem borsalino w ręku i wyrazem nerwowej niepewności na okrągłej twarzy. Lea zaprosiła go do środka. Pastor energicznie wytarł buty o słomiankę i wszedł schylając głowę.

Wizyty obcych wpływały na Jennie podniecająco, ale jednocześnie ją onieśmielały. Zobaczyłem tylko czarną błyskawicę, przełatującą korytarzem w stronę kuchni. Zwykle staraliśmy się nie wpuszczać jej do kuchni, ale tym razem, wyjątkowo, udawanie, że Jennie nie istnieje, wydało nam się ze wszech miar rozsądne i wskazane. Oboje wyczuwaliśmy instynktownie, że wizyta wielebnego jest z nią w jakiś sposób związana, ale uważaliśmy, że im później ten temat wypłynie, tym lepiej.

Usiedliśmy w living-roomie i Lea zaproponowała herbatę „albo może coś innego?” Wielebny Palliser poprosił o sherry. Mówił cicho, zacinając się lekko, i robił wrażenie wyraźnie speszonego. Był łysy, dobrze po siedemdziesiątce i miał na nosie kilka dużych brodawek. Nerwowo mrużył spłowiałe niebieskie oczy, jakby chciał uciec nimi od słońca. Trudno go było nazwać przystojnym. Mimo to miał w twarzy coś sympatycznego.

W chwili kiedy Lea nalewała sherry, usłyszeliśmy w kuchni

łomot. Pamiętam, jak wzrok wielebnego biegał niespokojnie do kuchni i z powrotem. Wszyscy wiedzieliśmy, że jest tam szympans, ale żadne z nas nie chciało głośno tego przyznać.

— Dzięki serdeczne — powiedział wielebny, biorąc szklaneczkę i kładąc kapelusz na stoliku. — Jak się udała wyprawa? — Z tym pytaniem zwrócił się do mnie.

W kuchni ponownie rozległ się łomot i zdenerwowanie wielebnego wyraźnie wzrosło.

Paplałem cały czas o tym, jak owocna okazała się wyprawa i czego się po niej spodziewamy, jeśli chodzi o wyniki naszych badań, ale widziałem, że wielebny ma kłopoty z koncentracją. Nie ulegało wątpliwości, że został tu przysłany przez żonę, tak samo jak na jej polecenie wrywał mleczkę z naszego ogródka, kiedy mu się wydawało, że nas nie ma w domu. Żał mi było Pallisera; taka żona to koszmar.

Mniej więcej w środku naszej kulawej, niezdarnej rozmowy dobiegł z kuchni ogłuszający hałas — znajomy odgłos tłuczonego szkła. Już dłużej nie dało się ignorować obecności szympansa.

— O Boże — powiedziała Lea i poszła zobaczyć, co się stało. Na chwilę zaległa cisza, po czym przez living-room przeleciał jak pocisk czarny kształt, który zniknął pod kanapą. Słyszeliśmy, jak w kuchni Lea besztającym tonem nawołuje Jennie.

— Jennie jest tutaj! — krzyknąłem i zwróciłem się do wielebnego: — Ona jeszcze nie całkiem zdołała się przystosować do życia w Ameryce.

— Tak, istotnie — przyznał pastor, bardzo nerwowo.

— Ten huk — dodałem — to mogła być waza do ponczu, którą dostaliśmy w prezencie ślubnym od matki Lei.

— Wielka przykrość — powiedział wielebny.

Zabrzmiało to tak nieszczerze, że nie mogłem się powstrzymać przed dodaniem:

— A przynajmniej mam taką nadzieję.

Ku mojemu zdumieniu wielebny Palliser roześmiał się rubasznie. Weszła zaczerwieniona Lea.

— Dobrała się do lodówki i stłukła dzbanek z mlekiem — wyjaśniła. Po czym zwróciła się do naszego gościa: — Ona uwielbia mleko.

— Tak, rozumiem — odparł wielebny Palliser.
— HUUUUUU — odezwała się Jennie spod kanapy.
— Jennie! — zawołałem. Marzyłem o tym, żeby w miarę szybko zakończyć wizytę. — Wyjdź stamtąd i przedstaw się wielebnemu Palliserowi.

Nasz gość nie potrafił ukryć ciekawości. Na widok dwóch kudłatych łap, porośniętego rzadkim włosiem łebka i czarnych oczu, które się w nas wpatrywały spod kanapy, nachylił się z zainteresowaniem.

— Wyjdź, Jennie — rozkazałem stanowczym tonem.

Szympaniątko wylazło spod kanapy, wstało, złożyło „buzię w ciup” i podeszło do nas spokojnie, a nawet nonszalancko niczym gwiazda filmowa.

— Przywitaj się z panem.

Jennie uniosła łapę jak z łaski, jakby się spodziewała, że ją ktoś raczej pocałuje w rękę, niż uściśnie.

— Jak się masz, miło cię poznać — powiedział wielebny cały w uśmiechach. — Co za urocze z ciebie zwierzątko.

— Hi, hi — pisnęła Jennie.

— Grzeczna dziewczynka — pochwaliłem ją.

Błyskawicznym ruchem Jennie ściągnęła ze stolika kapelusz naszego gościa i wsadziła sobie na głowę.

— Nie wolno, Jennie — pogroziła jej Lea. — Tak nie wolno.

Jennie zdjęła kapelusz i zajrzała do środka wężąc głośno.

— Jennie! — Lea wstała gwałtownie. Jej ton miał w sobie coś takiego, że potrafiła niemal każdego osadzić w miejscu.

Ale było już za późno. Jennie wsadziła łapę do kapelusza, jednym ruchem wydarła jedwabną podszewkę, rzuciła ją wielebnemu Palliserowi na kolana jak jakiś śmieć i z powrotem nacisnęła sobie kapelusz na głowę.

— Ops! — wyrwało się wielebnemu. — O, do licha...

— Jennie! Nie! — wrzasnąłem i rzuciłem się w stronę szympansa, chcąc złapać kapelusz. Ale małpka okazała się dla mnie za szybka — zanim zdążyłem ją schwytać, znów mi zniknęła pod kanapą.

Ku naszemu bezgranicznemu zdumieniu wielebny Palliser śmiał się tak, że aż poczerwieniał na twarzy.

— O rany, no niech mnie, o rany — powtarzał, a po jego policzkach strumieniami płynęły łzy.

— Ja... ja bardzo przepraszam, ale naprawdę nie mam pojęcia, co w nią wstąpiło — tłumaczyła się Lea. — Odkupimy panu kapelusz.

Spod kanapy dochodziło nas „Hi, hi, hi” szympanscy. Jennie śmiała się w kułak. Padłem na kolana i zobaczyłem ją, jak siedzi w mrocznym kącie, w kapeluszu na głowie, i ssie palec.

— Wyłaź, Jennie, jesteś niegrzeczna — zbeształem ją.

— Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi — jękał wielebny, który jakoś powoli zdążył przyjść do siebie. — Co za urocze stworzonko. Kapelusz to naprawdę głupstwo.

Jeszcze raz wezwałem Jennie do wyjścia i wreszcie, z ociąganiem, wytknęła głowę, naturalnie w kapeluszu, tym razem ozdobionym wielkim „kotem” z kurzu. Wgłębienie w główce zostało wyprostowane i kapelusz przypominał teraz lumpiarski melonik. Spod runda widać było jedynie wargi i kosmatą brodę szympansa.

— Jennie! — krzyknąłem i Jennie znowu dała nura pod kanapę.

— Całkiem jej w tym moim kapeluszu do twarzy — uznał wielebny.

Lea robiła wszystko, żeby wytłumaczyć naszemu gościowi, że obecne zachowanie Jennie jest nietypowe i że nie są to jej zwykłe codzienne figle.

— Coś okropnego! — narzekała. — Zupełnie nie wiem, co w nią wstąpiło. Jeszcze nigdy do tej pory nie wyprawiała takich brewerii.

Doszedłem do wniosku, że nie pozostaje mi nic innego, jak tylko zrzucić pychę z serca, wleźć pod kanapę i wyciągnąć stamtąd Jennie wraz z kapeluszem. Złapałem ją za stopę i wywlokłem. Przez cały czas trwania tej operacji darła się, jakbym ją obdzierał ze skóry.

— Biedactwo — powiedział ze współczuciem Palliser. — Jest przerażona.

— I ma powody — odparłem, zrywając jej z głowy kapelusz i wlokąc Jennie do łazienki, gdzie została zamknięta na cztery spusty. Jej tarabanienie w drzwi i przytłumione wrzaski przywodziły

na myśl dziewiętnastowieczny dom wariatów.

Kiedy wróciłem do living-roomu, Lea w dalszym ciągu się usprawiedliwiała, a wielebny Palliser obracał w rękach odzyskany kapelusz. Te pięć minut igraszek Jennie zniszczyło nakrycie głowy pastora doszczętnie.

— Biedactwo — powtórzył wielebny Palliser niemal do siebie, a potem jękając się, bezładnie, zaczął mówić: — Bo... bo moja żona boi się zwierząt. Ona... ona nie życzy sobie, żeby tu w najbliższym sąsiedztwie mieszkała małpa.

Zaległa cisza. Wreszcie powiedział to, z czym przyszedł. Po co został przysłany.

— Ale... ale ja to zawsze lubiłem zwierzęta... — dodał z rozrzewnieniem.

— Zupełnie nie mogę zrozumieć zachowania Jennie — zaczęła od nowa Lea, niezbyt przekonywująco.

— Nie ulega wątpliwości — wtrąciłem — że jak Jennie podrośnie, to się usatkuje.

Jakby na dane hasło wrzaski przybrały na sile i wielebny Palliser skrzywił się.

— Bardzo mi przykro, że musiała zostać zamknięta z mego powodu — powiedział.

Rozmawialiśmy jeszcze przez jakiś czas, ale były to krótkie gwałtowne wymiany zdań w rzadkich chwilach ciszy podczas szalejącego sztormu. A potem obudziła się Sara i do tego wszystkiego doszedł jeszcze ryk niemowlęcia. Lea poszła na górę po małą, a w tym czasie ja uwolniłem Jennie.

Gdy tylko otworzyłem drzwi, krzyki ucichły i Jennie patrzyła na mnie z wyrazem bezmiernego smutku i przerażenia na twarzy. Bardzo skruszona wyciągnęła łapki prosząc, żeby ją przytulić. Zaniosłem ją więc z powrotem do living-roomu.

Palliser siedział na kanapie, zupełnie bezradny, wsparłszy na stole złożone ręce. Jennie podeszła do niego i położyła mu łapkę na dłoni, wydając niski, żalony pomruk. Z góry zeszła Lea, niosąc małą.

— O — wielebny Palliser zwrócił się do Jennie — widzę, że ci jest przykro. Chcesz mnie przeprosić, tak?

Jennie wskoczyła na kanapę i wyciągnęła łapki prosząc,

żeby wielebny ją uściskał, i jednocześnie przytulając swój kudłaty łepiek do łysej głowy pastora.

— Co za słodkie stworzonko — powiedział nasz gość. lekko zdyszany. — Wygląda na to, że mnie polubiła. Tak. na to wygląda.

Jennie usiadła mu na kolanach, bawiąc się jego guzikiem.

— Grzeczna dziewczynka — pochwalił Palliser, poklepując Jennie po grzbiecie. — Masz tu ode mnie mały prezencik. — Z tymi słowy podał jej kapelusz. Wyrwała mu go z ręki i nasadziła sobie na głowę. Pohukując zeskoczyła na podłogę, gdzie bardzo dumna z siebie zaczęła dreptać dokoła.

— Nie musi pan tego robić — powiedziałem do Pallisera.

— Ale chcę. Czy ona nie wygląda w tym kapeluszu rozkosznie? Każda małpka powinna mieć swój kapelusz, prawda, Jennie? — Odwrócił się do nas z wyrazem dumy na twarzy, jakby był szczęśliwym ojcem.

Jennie obróciła się na pięcie, drepcząc drobnymi kroczkami i kłapiąc zębami ze szczęścia. Wreszcie wielebny Palliser podniósł się do wyjścia.

— Nie piśniemy o tym pani Palliser ani słówkiem, zgoda? — poprosił jękając się, zaczerwieniony po uszy. — Bo... bo ten kapelusz to był prezent od niej. Tylko... tylko że ja go tak naprawdę nigdy nie lubiłem. Ja... ja się nie nadaję do kapeluszy, i to dlatego. A moja żona uważa, że powinienem sobie zakrywać łysinę. Uważa, że dzisiaj nie eksponuje się tak łysinę. Powiem jej, że go zgubiłem.

Po tych słowach wymknął się chyłkiem.

— O nie...! — zawołała Lea, wyglądając przez okno. — Popatrz, czyha na niego na stopniach, żeby jak najszybciej usłyszeć nowiny.

I, rzeczywiście, patrzę, a Jej Tłusta Mość istotnie stoi w drzwiach i czeka na wielebnego z bardzo kwaśną miną.

— Co za sympatyczny facet — rozmarzyła się Lea. — Jennie całkowicie go zawojowała. Okazał się zupełnie inny, niż myślałam.

— Nie ma co liczyć jednak na zawojowanie pani Palliser — zauważyłem widząc, jak żona pastora wchodzi za mężem do domu i zdecydowanym ruchem zamyka drzwi.

Rozdział 3

*Z zarejestrowanych na taśmie magneto-
fonowej wywiadów z doktorem Haroldem
Epsteinem, emerytowanym kustoszem
Działu Antropologii Muzeum Historii Na-
turalnej w Bostonie, w jego gabinecie w
muzeum w lipcu 1991, w listopadzie 1992
i w styczniu 1993 roku.*

Czy zna pan powiedzenie: „Słowo szkody nie nagrodzi”? Niestety, obojętne, co powiem, niczego to już nie zmieni. Ani nie nagrodzi żadnej szkody. Spotkaliśmy się tutaj, ponieważ niemal wszystko, co kiedykolwiek zostało na ten temat napisane, jest zwykłym stekiem kłamstw. Wreszcie będzie pan miał okazję powiedzieć prawdę.

„Okres Jennie”, jak ja go nazywam, to lata pomiędzy rokiem 1965 a 1974. Byłem wtedy szefem Działu Antropologii. Hugo, o dwadzieścia lat ode mnie młodszy, pełnił wówczas funkcję kustosza Działu Antropologii. Stanowisko szefa zajął w 1974 roku, po moim odejściu na emeryturę. Do czasu pojawienia się „sprawy Jennie” był to najzdolniejszy i najbardziej twórczy pracownik naukowy, jakim muzeum mogło się poszczycić.

A samo muzeum? W ciągu stu czterdziestu lat swojego istnienia nie zmieniło się ani na jotę. Jest z nim tak, jak powiedział Churchill: było brzydkie wczoraj, jest brzydkie dzisiaj i jutro rano obudzi się równie brzydkie. Ten budynek zawsze mi przypominał jeden z tych ponurych zamków krzyżowców. Kiedy pada, z rzygaczy leci woda. O zmroku spod okapów wyfruwają nietoperze, śmigając

dokoła i przyprawiając sekretarki o palpitacje serca. Dawniej należący do muzeum park był otoczony ogrodzeniem z kutego żelaza, najeżonym szpikulcami. Musieli je zlikwidować po tym, jak pewien facet skoczył z dachu i nadział się na nie. Wycięli wtedy cały kawał tego ogrodzenia. Szpikulce przebiły biedakowi bebechy. Był to jeden z wudeków, który się załamał. Wudeki? To Wieczni Doktoranci. W muzeum jest pełno takich. Kończą studia, ale nie są w stanie zrobić doktoratu. Tkwią latami, żyjąc ze stypendiów, badając okazy, zbierając dane i snując się po korytarzach.

Ten posąg przed budynkiem przedstawia Thierry'ego de Louliza, szacownego założyciela muzeum. Zawsze jest pokryty gołębim łajnem. Gołębie po prostu upodobały sobie jego głowę jako miejsce do fajdania. Sam pomysł pomnika jest dość absurdalny: stary człowiek ze skamieliną ryby w ręku, jak Napoleon z mieczem. Za życia był znienawidzony, a teraz, pośród platanów, wygląda jak zidiociały wujaszek — wyjątkowo głupia sprawa! Całe szczęście, że ja sobie nie zasłużyłem na pomnik. Głównym osiągnięciem naukowym Louliza było twarde i dogmatyczne przeciwstawianie się darwinowskiej teorii doboru naturalnego aż do samego końca. Mam na myśli koniec Louliza oczywiście. Jego ostatnie słowa brzmiały: „A ten Darwin, możecie mi wierzyć, to był wielki dureń”. (Śmiech).

Wewnątrz budynku panował dość specyficzny zapach. Mieszanka wilgotnego granitu i tanich płynów do mycia plus słaby odór obumierania. Rozkładającego się ciała. W muzeum nie brakowało różnych martwych stworzeń. Około trzydziestu milionów eksponatów zrobiło swoje. Dwa miliony liczyły zbiory osteologiczne — eksponaty kostne — i jeszcze trzy miliony alkoholików. Alkoholikami, przyjacielu, nazywaliśmy to wszystko, co trzymaliśmy w słojach, w płynach. Miliony owadów i pajaków. Węże, żółwie, żaby, salamandry, skały, minerały, meteoryty i Bóg wie co jeszcze. Dzieścię tysięcy ludzkich szkieletów i kilkaset mumii. Wcale nie egipskich zresztą. Byli to Indianie, Aleuci, mieszkańcy Ziemi Ognistej, tego rodzaju ludy. Zbiór stanowiący świadectwo ograbiania grobów, morderstw i zbrodni sięgające stu czterdziestu lat wstecz. To oczywiście żarty.

Proszę tego nie publikować. Mam osiemdziesiąt pięć lat i po prostu z przyzwyczajenia gadam, co mi ślina na język przyniesie.

Żeby się dostać do starego Działu Antropologii, trzeba było przejść przez Salę Afrykańską, pod łukiem z kłów słoniowych wprost rekordowej wielkości. Ten słoń został upolowany przez jakiegoś wyjątkowo krwiożerczego członka rady nadzorczej muzeum w latach dwudziestych. Hugo Archibald był specjalistą w dziedzinie antropologii i zajmował się zbieraniem martwych okazów. Ja z kolei jestem etnografem — badam to, co żywe. On się specjalizował w pochodzeniu naczelnych. Spędził wiele lat w Afryce, Azji i Ameryce Południowej na zbieraniu okazów.

Pan i ja należymy do naczelnych. Jesteśmy nagimi małpami. Wczesne prace badawcze Hugona były naprawdę rewelacyjne. Jego koncepcja naukowa polegała na tym, żeby na ewolucję człowieka patrzeć z punktu widzenia filogenezy*, a nie świadectwa zawartego w skamielinach. Badał morfologię — kształt — wszystkich żyjących gatunków najbliższych człowiekowi. A więc przede wszystkim wielkich małp, jak goryle, szympany, orangutany itd. Chciał poznać istotę związków między nimi a nami. Szukał odpowiedzi na pytanie: gdzie jest miejsce homo sapiens?

W ostatecznej konkluzji zaliczył nas do wspólnej rodziny z małpami człekokształtnymi. Powiedział, że nie zasługujemy na to, żeby stanowić odrębną rodzinę. Nie jestem pewien, czy poszedłbym aż tak daleko, ale jest to interesujący pogląd, na który niewątpliwie wpłynęło istnienie Jennie. Z jej też powodu utracił w końcu cały swój obiektywizm.

Do swojej pracy Archibald potrzebował czaszek. Mierzył je i obserwował różnice w ich kształtach. Posługując się metodą wnioskowania o pochodzeniu zwaną kladystyką**, naszkicował drzewo genealogiczne uwzględniające związki pomiędzy gatunkami. Które cechy były wrodzone, a które nabyte?

* Filogeneza — rozwój rodowy organizmów żywych i poszczególnych ich szczepów.

** Kladystyka — metoda tworzenia systematyki organizmów wyłącznie na podstawie liczby rozgałęzień drzewa genealogicznego bez względu na wielkość różnic między końcowymi gałęziami.

Trzeba obejrzeć wiele czaszek przedstawicieli tego samego gatunku, żeby móc odróżnić warianty tego samego kształtu. Powiedzmy na przykład, że wujek Albert ma dziwną narośl na czaszce. Do wniosku, że jest to coś nienaturalnego, możemy dojść dopiero po obejrzeniu ładnych kilku czaszek. Stąd liczne wyprawy Hugona po coraz to rzadsze okazy. Antropologia zawdzięcza mu ogromną kolekcję stanowiącą bezcenny skarb dla nauki.

Hugo uniezależnił badania nad ludzką ewolucją od skamielin jako źródła naukowych porównań.

Przepraszam, że pana zanudzam, ale w moim wieku już się gada bzdury. Ot, starcze rozmiękczenie mózgu. W każdym razie bardzo proszę, żeby pan to, co mówię, poddał ostrej redakcyjnej obróbce i żeby moje gadanie brzmiało zrozumiale, no i inteligentnie — o ile to w ogóle możliwe. Jeżeli pański wydawca pracuje w takim tempie jak mój, nie dożyję ukazania się tej książki.

Jaki był Hugo? To znaczy w sensie fizycznym? W czasach Jennie był szczupły, a nawet chudy. Miał ciemne niemodnie długie włosy i ruchliwe czarne oczy w ciemnych głębokich oczodołach. Muszę nieskromnie przyznać, że ta charakterystyka bardzo dobrze zabrzmiała. Może to ja powinienem pisać tę książkę... Z kosmykiem włosów stale opadającym na czoło wyglądał jak angielski uczeń. Jak już mówiłem, jego oczy były bardzo niespokojne, ale nie dlatego, żeby miał nieczyste sumienie, tylko z ciekawości. Kiedy strzelał nimi dokoła, niemal się słyszało, jak się w jego głowie obracają trybiki. Miał fatalną postawę. Matka nigdy go nie nauczyła prosto stać. Nie to co żydowskie wychowanie. Moja mama nigdy by mi nie pozwoliła tak się garbić! A jego oddech! Kiedy razem pochylał się nad jakimś okazem, słyszałem wyraźnie świst, jakby mi grały pod boki piszczałki. Brakowało mu też czubka lewego ucha. Twierdził, że to od maczety, i nawet przytaczał na ten temat zabawną historyjkę, ale tak naprawdę była to niewielka wada wrodzona. Odziedziczył wiele okropnych uprzedzeń po ojcu — ten dopiero był ekscentrykiem! — ale jako człowiek nieprawdopodobnie naiwny nie rozumiał ani tych uprzedzeń, ani nawet siebie samego. Nie lubił na przykład biznesmenów, aktorek filmowych,

policjantów, ludzi, którzy jeździli cadillacami czy którzy powiedzmy głosowali na Goldwatera. Bredząc o tych sprawach, niesamowicie się podniecał. Ale już za chwilę o wszystkim zapominał. Aha, po jedzeniu potrafił wylizywać talerz. I dłużej w nosie, kiedy mu się wydawało, że nikt go nie widzi. Miał w sobie coś z ekshibcjonisty. Na swój cichy sposób oczywiście. Robił, co mu się żywnie podobało, i wszystkich miał gdzieś... To znaczy cały świat. Zaraz, co to takiego powiedział Wolter? A, już wiem. „Żywym winniśmy respekt, ale martwym tylko prawdę”. Chciałbym uczcić pamięć Hugona, mówiąc o nim właśnie prawdę.

Otóż nigdy w życiu nie miałem przyjaciela, którego bym tak bardzo sobie cenił. Kiedy go poznałem, skończył właśnie trzydzieści lat i był pełen zapału. I naiwności. Szykował się do poważnych zadań. Okropnie narzekał, że w jego dziedzinie nie przyznają Nagrody Nobla. Bo rzeczywiście miał wielkie osiągnięcia. Do czterdziestki działał więcej niż niejeden naukowiec przez całe życie. Pojawienie się Jennie i jej sława sprawiły, że zaczął żyć i rozwijać się w wiecznym pośpiechu. I to był dla niego wielki szok. Szok polegający na świadomości, że może go spotkać jakaś katastrofa. Na ogół wkraczając w dorosłe życie, uważamy się za niezniszczalnych albo przynajmniej czujemy w sobie jakąś wielką siłę, tylko że część z nas jest jak gdyby lepiej przygotowana na spotkanie z ewentualną tragedią niż inni. Hugo nie był przygotowany nawet w najmniejszym stopniu, a jeśli nawet był, to miał klapki na oczach; nigdy się nie spodziewał, że cios może nadejść z tej strony, z której nadszedł.

To go odmieniło. Odmieniło nas wszystkich. Ona nas wszystkich odmieniła. Dotyczyło to głównie Hugona, który już nigdy nie był taki jak dawniej. Powiem panu, co ja o tym sądzę. Od pojawienia się Jennie Hugo skończył się jako naukowiec. No widzi pan... przepraszam, zdaje się, że zdradziłem pointę, zanim wysłuchał pan historii do końca. Powiem tylko tyle: Hugonowi jak wielu innym ludziom nauki wydawało się, że potrafi oddzielić przedmiot od podmiotu. Nie doceniał ludzkiego wymiaru pracy naukowej, wpływu, jaki obserwator wywiera na przedmiot swojej obserwacji.

I na odwrót! Widzi pan, to co my obserwujemy, nie jest w istocie swej przyrodą, lecz tym, co w przyrodzie poddajemy naszym dociekaniom. A z kolei to, kim jesteśmy, wynika z naszej obserwacji. I na tym się właśnie Hugo przejechał.

Ale do rzeczy. Moralizować będziemy później.

Hugo wrócił z Kamerunu wczesną jesienią 1965 roku. W kilka dni później przyprowadził Jennie do pracy. Wywołała sensację. Wsiadł z windy na piątym piętrze i siedł korytarzem, niosąc na barana małego czarnego szympansa. Wszyscy wylegli z pokojów, żeby się pogapić. Pokój Hugona, położony w rogu na samym końcu korytarza, był mniejszy od innych, ale miał wspaniałą widok z okna.

Stał tam ohydny fotel, który Jennie natychmiast zaanektowała na swój tron. Hugo rzucił ją na ten fotel, a Jennie rozsiadła się w nim jak jakaś królowa, przyjmując hołdy. Siedziała z nogami wyprostowanymi i z półprzymkniętymi oczami, omdlewającym ruchem wyciągając rękę do każdego z odwiedzających. Miała na sobie tylko pieluchę, trykotową koszulkę i kapelusz. Tamten sławetny kapelusz, który siedział jej na głowie niby korona, niemal całkowicie przysłaniając oczy i opierając się jedynie na wielkich uszach. Wyglądało to zupełnie absurdalnie. Pamiętam, jak potrząsnąłem dłonią Jennie, która cały czas błędziła wzrokiem po pokoju, spoglądając to ponad moją głowę, to na moje nogi — jak źle wychowany gość na przyjęciu.

Już w wieku sześciu miesięcy była diabłem wcielonym. W pewnym momencie zerwała z nosa jednej z nieszczęsnych sekretarek drogie okulary, wysadzone sztucznymi brylancikami, i trzeba jej było te okulary na siłę wyrywać, a ona się darła jak opętana, jakby ją pozbawiano jej osobistej bezcennej własności. Okulary wróciły do właścicielki w opłakanym stanie. Biedny Hugo ciągle musiał za coś płacić.

Trzeba przyznać, że Jennie była bardzo urokliwym stworzeniem. W obserwowaniu szympansa i dopatrywaniu się w nim cech ludzkich jest coś fascynującego. Zostałem jeszcze potem, jak już wszyscy wyszli. Hugo dał Jennie „National Geographic”, a sami zapaliliśmy fajki; ja swojego dunhilla, Hugo zwykłą fajkę.

Jennie była tak mała, że musiała wlec pismo oburącz po podłodze. Kiedy je dociągnęła do mojego krzesła, wdrapała mi się na kolana i zaczęła przewracać kartki. A potem usiłowała wyjąć mi z ust fajkę.

Uniosłem fajkę do góry, tak żeby nie mogła do niej sięgnąć, i powiedziałem, że jest za młoda na palenie.

Nie lubiła, żeby jej się przeciwstawiać, więc szarpnęła mnie za krawat, a potem urwała mi guzik. Hugo zbeształ ją, ale ona nic sobie z tego nie robiła.

Z powrotem zajęła się „National Geographic”, a natrafiwszy na jakąś szczególnie kolorową kartkę, zaczęła ją wrywać. Po krótkiej szarpaninie, przy akompaniamencie dzikich wrzasków, Hugo zabrał jej pismo.

Powiedział mi, że jego żona Lea świetnie sobie radzi z Jennie. To wspaniała kobieta, ta Lea. Bardzo zdolna. Rozmawiał pan z nią może, tak jak sugerowałem? Fantastyczna osoba. Pochodzi ze starej bostońskiej rodziny Dickinsonów. Emily była jej cioteczną babką*.

Pierwszym seksuologiem, jeszcze przed Mastersem i Johnsonem, też była osoba o nazwisku Dickinson. Wybitna rodzina. Oczywiście jak większość kobiet z rodów arystokratycznych, Lea jest bardzo nieśmiała, nigdy tego nie przyzna. No i oczywiście Dickinsonowie stracili całe swoje pieniądze w 1932 roku, kiedy to Boston i Albany nie wykupiły swoich obligacji.

Jest jedna rzecz, którą się wynosi z dobrego elitarnego wychowania, jakie odebrała Lea: ton, który potrafi zamrozić wodę. Oczywiście kiedy ona tego chciała. Jak jej się coś nie podobało i odezwała się do kogoś tym tonem, to człowiek zastygał w pół ruchu. (Śmiech). Z tą umiejętnością Lea lepiej sobie radziła z Jennie niż ktokolwiek inny. Jennie się z nią liczyła. Bo z Hugona to było w gruncie rzeczy cielę.

Dziwną stanowili parę, Hugo i Lea. Mimo że przewyższała go wzrostem o jakieś siedem i pół centymetra, była prosta jak trzcina; to on się garbił. Miała naprawdę królewską postawę! A włosy! Kiedy ją poznałem, jakieś trzydzieści lat temu, kolorem przypominały sól z pieprzem, a po tamtej historii zrobiły się białe jak mleko.

* Dickinson, Emily Elizabeth — 1830-1886, poetka amerykańska.

Lea i tak była bardzo piękna. W owych czasach mieć w wieku trzydziestu lat siwe włosy — to graniczyło ze skandalem. Lea ani się nigdy nie malowała, ani nie farbowała włosów, a mimo to promieniała jakąś wspaniałą urodą. Nawet jeszcze dziś jest piękna, choć oczywiście w inny sposób. Osobliwa to była para, ale cóż, w sumie dobrana.

Hugo spytał mnie, czy może od czasu do czasu przyprowadzić Jennie do pracy. Nie miałem nic przeciwko temu. Zwróciłem mu tylko uwagę, że Jennie nosi pieluchę i że zastanawiam się, jak długo to jeszcze potrwa, ale Hugo zapewnił mnie, że oboje z żoną usilnie pracują, by nauczyć ją porządku, i że Jennie już bardzo lubi spuszczać wodę. Jeszcze tylko musi zacząć korzystać z toalety...

Ogromnie interesowały mnie okoliczności znalezienia Jennie. Jako etnograf doceniłem znaczenie całej tej historii jeszcze przed Hugonem, który był, biedactwo, zaledwie antropologiem. (Śmiech).

Bardzo dobrze pamiętam naszą pierwszą rozmowę o Jennie. Zraz spróbuję ją odtworzyć na pana użytek.

Powiedziałem do Hugona coś w tym rodzaju:

— To co, widzę, że ci się rodzina powiększyła o zwierzaka.

Odparł, że owszem, z taką dumą, jakby rzeczywiście był najprawdziwszym ojcem.

Zapytałem go następnie, czy Jennie miała po urodzeniu jakikolwiek kontakt ze swoją matką.

Powiedział, że nie. Matka była sparaliżowana i konająca. I że nie sądzi, by ją Jennie w ogóle zauważyła, tak była zajęta tuleniem się do niego i zagładaniem mu w twarz.

Zapytałem go następnie, czy Jennie w ogóle miała jakikolwiek kontakt z innymi szympansami.

Hugo zastanawiał się dłuższą chwilę.

— Nie, chyba nie miała — odrzekł.

— To znaczy, że nigdy nie widziała przedstawiciela swojego gatunku.

— Zgadza się — przyznał Hugo.

Zapytałem go wtedy, czy czytał coś z rzeczy Konrada Lorenza.

Wreszcie udało mi się wzbudzić jego podejrzenia. Zainteresował się, do czego zmierzam.

Wyjaśniłem mu, że powinien sobie przeczytać pracę Lorenza o gęsiach gęgawych.

To go zirytowało, naturalnie wiedział o Lorenzu, ale nigdy nie miał czasu przeczytać jego prac. Jak już mówiłem, zajmował się antropologią. Zachowania zwierząt go nie interesowały.

Kiedy Hugo był zły, robił się szalenie sztywny i oficjalny. Obiecał, że „się tym zajmie”, ale przez długi czas nie wiedziałem, czy to istotnie zrobił.

Bo ja zorientowałem się natychmiast, jak wielkie znaczenie miały narodziny i wczesny okres wychowania Jennie. Jak każdy wykształcony człowiek wie, Konrad Lorenz odkrył, że nowo narodzona gęś gęgawa ma wpojony obraz pierwszej poruszającej się rzeczy, jaką zobaczy po wykluciu się z jajka. Biorąc ją za matkę, wszędzie za nią chodzi. Najczęściej zresztą jest to matka. Lorenz pokazał jednak, że z punktu widzenia pisklęcia gęsi gęgawej może to być równie dobrze na przykład piłka futbolowa czy odkurzacz. Dla dobra eksperymentu użył nawet własnej głowy, w wyniku czego tuziny małych gąsek pływały po Jeziorze Bawarskim za jego bujną siwą czupryną jak za matką. Od razu przyszło mi do głowy, że coś bardzo podobnego, tylko na wyższym poziomie, zostało wpojone Jennie, jeśli chodziło o Hugona. Jennie nie tylko uważała się za człowieka, ale jeszcze do tego wierzyła, że Hugo jest jej matką.

Wszystko to wyjaśniłem Hugonowi.

— Czy to rzeczywiście taka zupełnie niewinna sprawa? — spytałem. — Czy nie ma powodu do żadnych obaw?

Zirytowało go to jeszcze bardziej. Powiedział, że według niego każdy, kto próbuje przenieść zachowania gęsi na szympansa, jest idiotą. W sprawie tej mały i przyczyn, dla których ją przywiózł, był okropnie drażliwy.

— Posłuchaj mnie, Harold — powiedział. — Potraktujmy to jako mały, zupełnie niewinny eksperyment z dziedziny zachowania

naczelnym. Eksperyment. Przestańmy się tym tak bardzo przejmować. Jennie jest zwykłym stworzeniem domowym, a mnie interesuje, co się będzie działo z szympansem wychowywanym jak ludzkie dziecko. I to wszystko. Niewinny eksperyment o charakterze anegdotycznym. Nie widzę w tym nic złego, a ty widzisz?

Podkreśliłem, że w żadnym razie nie można nazwać tego eksperymentem. Jakie są cele? Jakie mechanizmy kontroli? Jaka hipoteza? I dodałem, że musi być bardzo naiwny, nie widząc w tym żadnego niebezpieczeństwa. To nie jest wychowywanie szczeniaka. Ale cała reakcja Hugona na moje uwagi sprowadzała się do kiwania głową i uśmieszków.

— Harold, Harold, Harold — potrząsnął głową z uśmiechem. — Okay, Harold, masz rację. To nie jest eksperyment. Robię to dla zabawy. Dla czystej zabawy, zgoda?

Zaraz... kto to powiedział: „Ten, kto się śmieje z własnego żartu, traci wszystko”? Hm. Zresztą nieważne. Może Schiller...

W każdym razie było coś, z czego nawet ja nie zdawałem sobie wtedy sprawy, a co widzę teraz z całą jasnością: że to wpajanie, o którym mówiłem przed chwilą, działa czasem w obie strony.

*Ze „Wspomnień z pewnego życia”
Hugona Archibalda.*

Na starość mój ojciec, Henry S. Archibald, zaczął przemyśliwać o śmierci. Ponieważ był zaprzysiężonym ateistą, to zainteresowanie przybrało szczególną formę. Zamiast się kłopotać o ostateczne losy swojej duszy, martwił się o miejsce rodzinnego pochówku. Kiedy byłem na studiach, ojciec otarł się o śmierć — cierpiał na zapalenie żył — i gdy przyjechałem do domu na wakacje, ta jego nowa obsesja zdążyła już przybrać niepokojące rozmiary. Zrobił też wszystko, żeby i mnie w to wciągnąć. Rodzina ojca pochodziła z Newburyport w Massachusetts i wobec tego odbyliśmy wiele wypraw do różnych zapomnianych i zaniedbanych cmentarzy w tamtych stronach.

W Newburyport było w sumie sześć cmentarzy, z czego cztery mogły się poszczycić szacownymi szczątkami jakiegoś Archibalda. Na cmentarzu na Plum Island na przykład spoczywało dwóch Archibaldów. W ciągu ostatnich lat życia mojego ojca poznałem wszystkie te groby, a nawet jeszcze więcej.

Ojciec wziął na siebie obowiązek dbania o te mogiły. Brodził wśród dzikich róż z groźnie wyglądającą szczotką na długim kiju i omiatał wszystkie nagrobki Archibaldów. Zeskrobywał porosty, pielił i przycinał trawę i kładł świeże kwiaty. Ten „fioł” wydawał mi się równie dziwny jak japoński kult przodków, ale byłem wtedy młody i nadmierne zainteresowanie ojca problemami śmierci nawet mnie dość bawiło.

Ojciec jednak dziwaczał coraz bardziej i towarzyszenie mu w tych cmentarnych wyprawach było praktycznie jedyną możliwą dla mnie formą naszego wzajemnego obcowania. Często narzekał: „Twój brat nie interesuje się grobami rodzinnymi, dobrze, że przynajmniej jednemu z moich synów historia rodziny nie jest obojętna. Dbanie o groby Archibaldów to ciężka praca, a kiedy mnie zabraknie, zajmie ci to sporo czasu. Mam nadzieję, że zdajesz sobie w pełni sprawę z odpowiedzialności, jaką na siebie wzięłeś”.

Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek brał na siebie taką odpowiedzialność, a już w żadnym razie nie zamierzałem po śmierci ojca kontynuować jego dzieła, nie miałem jednak serca wyprowadzać go z błędu.

Podczas pierwszej wojny światowej mój ojciec był pierwszym mechanikiem na amerykańskim okręcie wojennym. W tym czasie przyszedł mu do głowy pewien pomysł dotyczący ulepszeń w dziedzinie zamrażalnictwa. Ożenił się z moją matką, szesnastoletnią wówczas dziewczyną z Cincinnati, i przeniósł się do Waltham w Massachusetts, gdzie dokładniej opracował i opatentował swój wynalazek. Sprzedał go General Electric, na czym zrobił niewielki majątek.

Resztę życia spędził na majsterkowaniu i łagodnych wariactwach. Teren wokół naszego domu przypominał wysypisko złomu. Był tam wiatrak, który napędzał generator elektryczny, powodujący palenie się żarówki wewnątrz obracających się

soczewek Fresnela, uzyskanych ze starej latarni morskiej Shadd's Rock. Krótko mówiąc, była to latarnia morska z napędem wiatrowym. Nikt się tym nie interesował. Był tam też eksperymentalny klimatyzator, który ojciec skonstruował w latach dwudziestych. Ważył czterysta kilogramów i tkwił wciśnięty w kąt stodoły jak kanciasty byk. Machina dygotała i łomotała przez trzy do czterech minut, wypuszczając potężny strumień zimnego powietrza, co się z reguły kończyło przepaleniem bezpieczników. Ilekroć jakiś naiwny gość podnosił problem klimatyzacji (nie do wiary, jak często ten temat wypływa w zwykłej towarzyskiej rozmowie), mój ojciec pędził do stodoły, żeby pokazać, że to właśnie on, Henry S. Archibald, jest wynalazcą klimatyzatora. Moja nieszczęsna matka krzyczała za nim z rozpaczą w głosie: „Henry, bezpieczniki!”, ale on, wyższy ponad to, odpowiadał niezmiennie: „Niech cholera weźmie bezpieczniki!”

Jako chłopak nigdy nie zdradzałem skłonności do majsterkowania ani nie interesowałem się żadnymi maszynami. Pasjonowała mnie znacznie bardziej skomplikowana budowa zwierząt. Podobały mi się kości, ich kształty, sposób, w jaki do siebie pasują, niby puzzle tworzące całość z setek drobnych elementów. Fascynowała mnie gra światła w otworach czaszki i na kościach ciemniowych nadająca czaszce tajemniczą poświatę świątyni greckiej. Zachwycała krzywizna oczodołu, delikatność wyrostka jarzmowego. Podziwiałem istnienie takich struktur powstających w tajemnicy, pod osłoną ciała, i ukazujących się w całym swoim pięknie dopiero po śmierci.

W tamtych czasach nasz dom, położony na przedmieściach Bostonu, otaczały lasy i łąki, często więc znajdowałem martwe zwierzęta czy choćby same szkielety, które zwoziłem taczkami do domu. Większe zwierzęta, takie jak krowy i konie, kładłem na dachu starej szopy, tak żeby były poza zasięgiem psów, a jednocześnie dostępne wronom, które je oczyszczały z resztek mięsa. Mniejsze zakopywałem na miesiąc czy dwa. Muszę przyznać, że rodzice nie przeszkadzali mi w uprawianiu tego hobby, chociaż matka martwiła się o zarazki i niebezpieczeństwo zaprószenia ognia z powodu nafty, której używałem do odtłuszczenia kości.

Moim największym osiągnięciem z tamtych czasów było znalezienie padłego łosia w okolicy bagien Sudbury. Tropiłem go w lesie, w promieniu półtora kilometra, wiedziony odorem rozkładu. Leżał sobie spokojnie na mchu, wielki zwierzak ze wspaniałym porożem. Musiał paść niedawno i nie było mowy, żeby go przetransportować w całości, więc tylko zachodziłem tam od czasu do czasu i w miarę jak psy rozszarpały ścierwo, zabierałem a to nogę, a to część poroża. Nieraz zwierzęta rozwłóczyły te kości na przestrzeni setek metrów po lesie i wtedy godzinami przeszukiwałem poszycie, starając się znaleźć poszczególne części szkieletu. Po upływie trzech miesięcy brakowało mi już tylko klatki piersiowej i miednicy, co wymagało więcej czasu i z czym postanowiłem poczekać do wiosny, aż stopnieją śniegi.

Kiedy już oczyściłem kości takiego zwierzaka z mięsa i skóry, zabierałem się do roboty. Gotowałem je w specjalnym kotle za stodołą, odcinałem chrząstki, moczyłem w beczce z naftą, a następnie myłem wodą i mydłem, wybielałem i układałem na dachu szopy, pozwalając słońcu dokonać reszty dzieła. Gdy kości osiągnęły już nieskazitelną biel i stały się lekkie jak wysuszona sosna, przystępowałem do składania szkieletu. Była to niesłychanie żmudna praca wymagająca nawiercania otworów, skręcania, klejenia, drutowania i podwieszania. Końcowy efekt nigdy, ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu, nie dorównywał doskonałością eksponatom z Muzeum Historii Naturalnej w Bostonie. Moje większe szkielety okazywały się też nietrwałe. Łoś na przykład wytrzymał tylko do momentu, kiedy próbowałem osadzić w czaszce róg. Co stało się przysłowiową kroplą, która przepełniła kielich. Wszystko runęło z potwornym hukiem, a moja nieszczęsna matka wybiegła z domu w panice, przekonana, że spadłem z dachu. Był to dla mnie potworny cios i pamiętam, że już nigdy nie zdobyłem się na odbudowanie szkieletu łosia.

Mój ojciec był zatwardziałym ateistą. W tamtych czasach w Nowej Anglii tolerowano ateizm jako niegroźne dziwactwo;

gorzej było z unitarianizmem. Ojciec twierdził, że przeszedł na ateizm w wieku lat sześciu, gdy jego nauczyciel ze szkółki niedzielnej ze szczególnym upodobaniem opisał im w klasie wieczne ognie piekielne. Kiedy ojciec obnosił się ze swoim ateizmem, ludzie wznosili oczy do nieba. Zawsze uważałem (przynajmniej do końca), że chodziło o nadmierny kult kobiety. „Maria i Józef — mawiał — potrafili najbardziej krępującą sytuację, jaką sobie można wyobrazić, obrócić w coś chwalebne! Baaardzo sprytnie, bardzo sprytnie”. — I kiwał swoim tłustym palcem przed nosami oburzonych słuchaczy.

Matka co niedziela prowadziła nas do kościoła. Ojcu to nie przeszkadzało. „Wasza babcia też co niedziela wysyłała mnie do kościoła i jakoś nic mi się nie stało” — opowiadał. „To właśnie Kościołowi zawdzięczam swój ateizm. A poza tym jest to niezła asekuracja. Zawsze mogę się przecież jeszcze nawrócić na łożu śmierci”.

Kiedyś spytałem matkę, czy się nie boi, że ojciec pójdzie do piekła.

— Pan Bóg nie wysyła do piekła dobrych ludzi — powiedziała ze spokojem płynącym z głębokiego przekonania. Żywiła niewzruszoną wiarę w ludzką dobroć, jak i w absolutne dobro Boga. Według jej kosmogonii piekło — o ile coś takiego w ogóle istniało — musiało być kompletnie pustym miejscem.

Zawsze wierzyłem, że ojciec — jeśli tylko będzie miał na to czas — nawróci się na łożu śmierci. Umarł w St Clare's Hospital w roku 1958 na niewydolność serca. Szpital ten jest położony naprzeciwko bostońskiego Muzeum Historii Naturalnej (pisząc te słowa, widzę przez okno jego fasadę) i kiedy matka do mnie zadzwoniła, byłem jedynym spośród ich dzieci obecnym na miejscu. Ojciec leżał w separacie, na oddziale intensywnej terapii. Ze wszystkich najbardziej nieprawdopodobnych miejsc wychodziły mu rurki, a jego szara tłusta twarz i ogromne ciało zlewały się z pościelą. Niesforny einsteinowski kosmyk włosów, sterczący zazwyczaj zawadiacko, leżał teraz, mokry od potu i przylepiony do czoła. W oczach ojca dostrzegłem panikę. Kiedy wszedłem, uniósł rękę i gestem dał mi znać, żebym się zbliżył; najwyraźniej chciał mi coś powiedzieć.

To jest to, pomyślałem. Każe mi posłać po pastora albo księdza, albo (co wcale niewykluczone) po rabina. Nachyliłem się nad nim, a on mnie złapał za ramię z zadziwiającą siłą.

— Posłuchaj mnie! — powiedział tak głośno, że aż pielęgniarka drgnęła i zwróciła mu uwagę, żeby się nie podniecał.

— Słuchaj! — wysyczał. — Musisz mi coś obiecać. Nie ufam w tej sprawie twojej matce. Wiesz przecież, że ona wierzy w Boga. Ona nie rozumie.

— Tak, naturalnie — rzekłem. — Obiecuję wszystko, co tylko zechcesz. — Poczulem się zaskoczony. Nie tak sobie wyobrażałem naszą rozmowę. Głos ojca rozbrzmiewał w wychodzących z jego nosa rurkach przypominając głos Kaczora Donalda. Nie było w tej scenie nic godnego.

— Obojętne, jak bardzo będzie źle, bez względu na moją chorobę...

Przerwał dla nabrania tchu.

— ...nawet gdybym został kompletną jarzyną, nawet gdyby moje EEG nie wykazało śladu istnienia szarych komórek...

Rzęzenie.

— Tak, słucham?

— Nawet gdyby nie było już żadnej, ale to żadnej nadziei...

Rzęzenie.

— Tak?

Znów rzęzenie.

— Nie pozwól, nie pozwól...

Rzęzenie.

— Nie pozwól im wyciągnąć...

Rzęzenie.

— ...wtyczki. — Jego chwyt zelżał w tym momencie i ojciec opadł na poduszki z wyrazem spokoju na twarzy. — Obiecujesz? — wycharczał.

— Obiecuję — odparłem. Matka, która zza mojego ramienia chłonęła każde jego słowo, była zirytowana.

— Henry, ile razy każesz mnie, lekarzom, pielęgniarkom, a teraz jeszcze i Hugonowi, powtarzać te obietnice? Na miłość boską, nikt nie zamierza wyciągać żadnej wtyczki... Czy nie masz innych

zmarł? Skup się na tym, żeby wyzdrowieć.

— Skupiam się — odparł — ale to nic nie pomaga.

I umarł.

Matka płakała, głównie z urazy i rozczarowania. W jej pojęciu stary świr na próżno tracił resztki tchu, zamiast nas przynajmniej zapewnić, jak bardzo nas kochał. Nie zostawił nam nawet paru serdecznych, krzepiących słów na pożegnanie. Według mnie jednak ojciec na swój szczególny sposób nam to wszystko powiedział, okazał nam swoją miłość demonstrując, jak bardzo się boi zostawić nas samych. Szczerze mówiąc, aż do jego śmierci nie zdawałem sobie sprawy z tego, czy ojciec nas w ogóle kochał.

Umarł zaraz po tym, jak skończyłem studia na Uniwersytecie Columbia i podjąłem pracę naukową w Muzeum Historii Naturalnej w Bostonie jako młodszy kustosz. Jego ateizm pozwolił mi odrzucić chrześcijaństwo bez bólu czy rozterek. To właśnie wtedy, pod wpływem śmierci ojca, sam doznałem swoistego nawrócenia: doszedłem mianowicie do wniosku, że moją religią jest ewolucja.

Może to zabrzmieć ekscentrycznie, pozwolę więc sobie na pewne wyjaśnienie. Co do jednego nie ma wątpliwości: życie to coś cudownego, ale jeszcze większym cudem jest ludzka inteligencja. Nasz świat, ta ziemia, to niewyobrażalnie piękne miejsce przystosowane do naszych potrzeb, jest tak doskonałe, jakby zostało stworzone specjalnie dla nas. Ale nie ulegajmy złudzeniom: w gruncie rzeczy to my zostaliśmy stworzeni dla świata, który jest dla nas dobry, ponieważ przystosowujemy się do niego od milionów lat.

Miłość, seks, rodzina, rozkosze stołu, przyjemności intelektualne, przyjaźń, poczucie piękna, radość płynąca z wysiłku fizycznego, zdrowia, sportu czy przygody — wszystkie te wartości zawdzięczamy nie Bogu, tylko ewolucji.

Jest w tym jednak pewien haczyk. Otóż ewolucja pociąga za sobą koszty. A te koszty to choroba, starość, śmierć. Aby ewolucja mogła funkcjonować, muszą istnieć tragedie, głód, troski, zmartwienia, ból i cierpienie. Bez śmierci nie ma ewolucji. Bez choroby, bólu i tragedii nie ma adaptacji ani naturalnego doboru. Wszystkie żywe stworzenia muszą płacić słoną cenę za sam cud

istnienia. A my, istoty ludzkie, płacimy najdrożej, ponieważ ewolucja obdarzyła nas mózgiem zdolnym do rozumienia śmierci. I ta śmierć kładzie się cieniem na naszym życiu jak kiepski, wulgarny żart.

Czy można to nazwać religią? Uważam, że tak. Daje nam ona zasady, według których powinniśmy żyć. Podkreśla znaczenie rodziny, kładzie nacisk na ochronę i wychowanie dzieci, na przekazywanie naszych wartości następnym pokoleniom. Daje nam legitymację do tego, byśmy w pełni korzystali z dobrodziejstw ewolucji, takich jak seks, miłość, jedzenie, rodzinna bliskość, przyjemności — bez żadnego poczucia winy. Stąd też czerpiemy motywację, by rozwijać to, co w nas najcenniejsze: intelekt. Ewolucja uczy nas korzystać z życia w najpełniejszym sensie, ponieważ tylko jedno życie jest nam dane.

I w tym widzę właśnie moją religię.

*Z nie publikowanych dzienników wielb-
nego Hendricksa Pallisera, byłego pro-
boszcza kościoła episkopalnego w Kib-
bencook. Dzięki uprzejmości Elspeth Pal-
liser Wallace, New London, Connecticut.*

30 września 1965 r.

Był to wspaniały wietrzny jesienny dzień. Po niebie gnały chmu-
ry, na domach igrały cienie. Brzoza pożółkła i każdy poryw wiatru
ciskał jej liśćmi przed moimi oknami, niosąc je gdzieś do lasu. Był
to dzień tajemnic i dziwnej siły.

Nie miałem do tej pory okazji wspomnieć o profesorze z naprze-
ciwka. Wrócił właśnie ostatnio z Afryki i przywiózł ze sobą małpę.
Rano R. kazała mi iść do profesora. R. denerwują hałasy, a poza tym
boi się, że ta małpa mogła tu przywlec jakieś „choroby dżungli”.
Poleciła mi dowiedzieć się, kiedy profesor zamierza oddać małpę
do muzeum albo do zoo.

Wobec tego poszedłem tam i zadzwoniłem do drzwi. Podczas
wizyty małpa — jest to szympansica Jennie — pozbawiła mnie

kapelusza. Kłopotliwa sytuacja, wesołe momenty, zabawa w kotka i myszkę. Małpa, tak jak zrozumiałem, ma tu zostać na zawsze. Wróciłem do domu bez kapelusza. R. była zła. Proszę Boga, żeby zesłał jej spokój.

Muszę się przyznać do pewnej szczególnej myśli. Nigdy do tej pory nie miałem okazji przyjrzeć się małpie z tak bliska. To bardzo dziwne zwierzę. Kiedy obserwowałem, jak figluje, uderzyło mnie jej wielkie podobieństwo do człowieka — zwłaszcza do dziecka — w tym, co robiła i co rozumiała. Zastanawiam się, czy zwierzę może mieć jakąś duszę. To ciekawe, że Biblia, pomimo niektórych wypowiedzi, w mniejszym czy większym stopniu milczy na ten temat. Jennie, jak ją nazywają, tak bardzo przypominała mi dziecko, z wyjątkiem mowy oczywiście, że poczułem się zaniepokojony. Sięgnąłem więc do Biblii, na jej kartach szukając oświecenia, ale mimo iż przeczytałem wiele fragmentów, nie znalazłem w nich odpowiedzi na dręczące mnie pytania. Nie wiem, dlaczego do tej pory nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Człowiek zajmuje naturalnie poczesne miejsce wśród stworzenia, ale jakie miejsce przypada zwierzętom? Czy zostały stworzone jedynie po to, żeby służyć ludziom? Czy służą Bogu na swój sposób, niezależny od człowieka? Czy świadomość zwierzęcia istnieje dalej po śmierci jego ciała? Czy w niebie są zwierzęta? W tym momencie doszedłem do wniosku, że muszą być, w przeciwnym razie niebo nie byłoby niebem. Co dzieje się na przykład z wiernym psem, który cieszy się miłością swego pana? Czy spotyka się z nim w niebie? Nigdy do tej pory nie zadawałem sobie tego pytania, ale teraz odpowiedź na nie wydała mi się oczywista. Czy Bóg mógłby odmówić pocziwemu emerytowi ukochanego towarzysza jego ostatnich lat? W żadnym wypadku.

Następnym pytaniem, jakie się musi w sposób naturalny nasuwać, to czy zwierzęta podlegają osądzeniu — czy mogą być zbawione lub potępione? Uważam, że nie; stworzenie, które nie jest zdolne pojąć łaski Chrystusa, nie może być za to potępione. Bóg musiałby być bardzo okrutny, żeby osądzać zwierzę niezdolne do pojmowania miłości Bożej. A zatem prowadząc dalej logiczną linię tego rozumowania: wyżej zorganizowane zwierzęta mają duszę

i te automatycznie zasługują na zbawienie. Jedynie człowiek, posiadający zdolność rozróżniania między dobrem a złem, może być potępiony. To dość szczególny sposób rozumowania i trochę niepokojący. A jednak nieunikniony.

Nie podpisywałbym się, jak baptyści i niektórzy spośród moich współwyznawców z kościoła episkopalnego, pod koncepcją stworzenia dosłownego. Dla mnie pogląd, że Bóg stworzył wszechświat i ludzkość w pięć miliardów lat w procesie ewolucji, jest równie niepojęty jak pogląd, że wszystko to stało się z mocy jednego aktu, który trwał siedem dni. Znacznie wspanialsze jest kontemplowanie nieskończonej cierpliwości, mądrości i wizji Bożej w owym bezmiarze czasu, jak również pojmowanie piękna gwiazdnych przestrzeni wspaniałego dzieła Boga w sposób poddany ścisłym rygorom nauki. Czyżby więc ten szympan miał być przystankiem na drodze do ludzkości? Naturalnie, że tak. Ale w którym punkcie ewolucji człowiek osiągnął zdolność rozróżniania między dobrem a złem, a tym samym możliwość bycia potępionym? W świetle tego rozumowania historia Adama i Ewy nabiera głębszego znaczenia. Paraboli ewolucji.

Kiedy to piszę, przychodzi mi do głowy jeszcze jedna myśl. Czy Jennie jest zdolna do poznania Chrystusowego Baranka w sposób prosty, raczej przez czucie niż przez intelekt, jak to często bywa u dzieci? Wygląda na to, że ona wiele rozumie.

Są to oczywiście bardzo głębokie pytania, na które odpowiedzi przyniosą z czasem modlitwa i medytacja. Pozostaje jeszcze problem R. i jej stosunku do tego zwierzęcia. Mówiła o przepisach nakazujących prowadzenie zwierząt na smyczy i o tym, że należy „zdusić to w zarodku”, itd., itd. Uwiązanie biednej Jennie na smyczy byłoby zbrodnią. Modlę się za R. Muszę porozmawiać z profesorem.

Kiedy to piszę, czuję, że Bóg w swojej niezmierzonej mądrości uchylił drzwi do ciemnego korytarza. Nie wiem, dlaczego to uczynił ani dokąd ten korytarz prowadzi. Będę więc pilnie patrzył, uczył się i modlił, aż wreszcie prędzej czy później ów kręty labirynt doprowadzi mnie do pokoju pełnego światła i wtedy będę wiedział.

Na obiad pieczeń wołowa.

Rozdział 4

Z wywiadu z Leą Archibald.

Bardzo szybko Jennie i Sandy stali się parą nierozłącznych przyjaciół. Sandy obnosił się z nią wszędzie, każąc jej się obsługiwać we wszystkim, a ona dreptała za nim całując, jak to się mówi, ślady jego stóp. Czasami siedziała mu na ramionach, trzymając się jego uszu. Patrząc tak na nas z góry, wyglądała naprawdę przekomicznie! Kiedy Sandy szedł do szkoły, Jennie była wściekła. Wdrapywała się na drzewo i ze swego domku patrzyła, jak idzie, z książkami, drogą wzdłuż rzeki. Siedziała wtedy, kiwając się w tył i w przód i obejmując się ramionami; przedstawiała sobą naprawdę smutny widok. W ciągu dnia co chwila wchodziła na drzewo, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie wraca. Kiedy go wypatrzyła, wydawała okrzyk, spuszczała się z drzewa i biegła mu na spotkanie, dosłownie rzucając się na niego. Gdy podrosła, dochodziło czasami do tego, że go w ferworze powitań przewracała na ziemię. Jej twarz była tak pełna wyrazu, że można w niej było czytać jak w książce.

Taka była serdeczna i taka ciepła! Ta jej cecha szczególnie rzucała się w oczy. Nie odstępowała nas na krok, zawsze domagając się czułości — a to żeby ją przytulić, a to podrapać. Wydawało się, że Jennie tylko po to żyje — że pieszczoty są dla niej ważniejsze od jedzenia, a to naprawdę wiele o niej mówi. Potrzebowała więcej czułości niż jakiegokolwiek znane mi ludzkie dziecko.

Hugona po prostu uwielbiała. Hugo był taki miły, taki łagodny... (długa przerwa). Proszę mi wybaczyć. Kiedy wracał z pracy

do domu, tuliła się do niego, całowała go, śmiała się, popiskiwała i w kółko mówiła to swoje „huuu, huuuu”. Jak tylko usłyszała na podjeździe jego samochód, zaczynała tupać i walić w podłogę albo kręcić się w miejscu jak młynek! Boże, a ile przy tym naprzewracała rzeczy! Wytlukła praktycznie całą porcelanę w domu, nie wyłączając chińskiej wazy z okresu dynastii Sung po babce. Połamała też drobiazgi z kości słoniowej wujka Nata. Kiedyś próbowała zjeść główkę z nefrytu, dzieło sztuki Indian Olmeków, a kiedy się okazało, że nie smakuje tak, jak się spodziewała, roztrzaskała ją ze złości w drobny mak. Zawsze kręciła się jak fryga. Czasami to było naprawdę nie do zniesienia. Łaziła za mną całymi dniami krok w krok, popiskując i domagając się, żeby ją podrapać czy przytulić.

Sandy nie miał młodszego rodzeństwa, które mogłoby go słuchać. Sara była za mała. A zresztą nawet kiedy podrosła, to i tak nie chciała się nikomu podporządkować. Jennie więc trafiła się Sandy'emu jak ślepej kurze ziarno. Przestał być nieśmiały, nabrał pewności siebie. Codziennie po południu obserwowałam przez okno z kuchni, jak się bawili za domem. Mogłam tak na nich patrzeć godzinami i nigdy nie miałam dość. Sandy nauczył ją bawić się w „Najeźdźców z kosmosu”. Jennie była przybyszem z kosmosu. Mój Boże, naturalnie, że często nie wiedziała, o co chodzi, ale zawsze jakoś sobie w końcu poradziła. Nigdy nie zapomnę tych chwil. Żałuję, że Hugo nie miał wtedy kamery. Widział pan jego filmy z Jennie? Musi je pan koniecznie zobaczyć. Koniecznie.

Najeźdźcy z kosmosu? To była zabawa, którą wymyślił Sandy. Jennie pełniła rolę najeźdźcy z Alfa Centauri, a Sandy astronauty, który ratował Ziemię. Sandy zrobił miotacz promieni z jakiegoś opakowania po owsiance. Kazał Jennie stać na trawniku, a sam chował się w krzaki. No więc ona stała, tak jak jej polecił, ale robiła wrażenie strasznie zagubionej. Czasami próbowała za nim iść i wtedy Sandy wpadał w złość i ją beształ. „Nie, nie! — mówił — ty masz tu zostać. I czekać, aż ja wyjdę!” Więc Jennie na niego czekała z bardzo nieszczęśliwą miną, bo okropnie nie lubiła, żeby na nią krzyczeć.

I wtedy Sandy wyskakiwał ze swojej kryjówki, strzelając z miotacza i wrzeszcząc: „Kosmici!” (Śmiech). Na ogół Jennie nie padała martwa, kiedy tego po niej oczekiwał. Podskakiwała popiskując i próbując wyrwać mu miotacz. Zdarzało się, że wybuchała między nimi gwałtowna szarpanina o tę broń i Sandy się obrażał. Jennie nie przestrzegała reguł gry. Tak jakby ich kiedykolwiek i w czymkolwiek przestrzegała!

Musiał jej wtedy demonstrować, jak się umiera. Boże! Trzeba to było widzieć! Łapał się za serce i ze strasznym krzykiem padał na trawę. A potem się wił, zanim na koniec zastygł w bezruchu. Jennie była przerażona. Zwłaszcza kiedy Sandy wydawał swój mroźny krew w żyłach wrzask, drgał i nieruchomiał.

Biedna Jennie. Kucąca koło niego i szturchała go palcem, a potem cofała się i z koszmarnym grymasem strachu na buzi chowała się w krzaki. Bo kiedy była przestraszona, robiła niesamowitą minę. Zupełnie groteskową. Coś w rodzaju upiornego diabolicznego uśmiechu — z wyszczerzonymi zębami i obnażonymi różowymi dziąsłami. Nieraz słyszałam dochodzące z krzaków jej żalosne szlochy. Serduszko Jennie mało nie pękło z rozpacz; była przekonana, że jej Sandy nie żyje!

I wtedy Sandy zrywał się na równe nogi i krzyczał: „Dała się nabrać! Dała się nabrać!”, a Jennie rzucała mu się na szyję i próbowała go pocałować. Taka była słodka, taka zawsze troskliwa.

Mam nadzieję, że nie wyrobi pan sobie fałszywego zdania o Sandym. Pamiętam, że zastanawiałam się czasem, czy on nie zdaje sobie sprawy z tego, że rozmawia z małpą? To śmieszne, ale właściwie od samego początku odnosił się do Jennie tak, jakby była jego młodszą siostrą czy raczej młodszym bratem. A Jennie to na swój sposób rozumiała.

Pewnego popołudnia dosłownie mnie zatkało. Był to dzień, w którym Jennie nauczyła się umierać. Sandy wyskoczył z krzaków, strzelając z tego swojego idiotycznego miotacza, i wtedy Jennie zrobiła salto, padła w drgawkach na ziemię, wydała rozdzierający okrzyk i... zastygła w bezruchu. No cóż, nie trwało to długo, ale te kilka sekund wystarczyło. Zaraz potem z wrzaskiem zerwała się

z ziemi i wskoczyła na plecy Sandy'emu, który krzycząc: „Kosmici! Kosmici!” i „Ludzie, ratunku! Chcą mnie zjeść!” kręcił się dokoła swojej osi i strzelał z miotacza.

Nie mogę odżałować, że się ich wtedy nie sfilmowało. Był to najzabawniejszy widok, jaki można sobie wyobrazić. Uganiali się dokoła niestrudzenie, a Jennie wyglądała jak czarna kula, która potrafiła wystrzelić nieoczekiwanie z krzewów i zniknąć w gąszczu żywopłotu, z Sandym depczącym jej po piętach. Ta sama historia powtarzała się każdego popołudnia.

Sandy nie był specjalnie lubiany w szkole. Jak na tak inteligentnego chłopca wydawał się psychicznie niedojrzały. Dlatego nie miał wielu przyjaciół. Ale gdy tylko dzieci dowiedziały się, że u nas w domu jest szympan, jego popularność wzrosła z dnia na dzień.

Wydarzyło się to w trzy dni po przyjeździe Jennie. Zobaczyłam Sandy'ego, jak idzie ze szkoły ścieżką nad rzeką, ciągnąc za sobą całą bandę dzieciaków. Musiała to być co najmniej połowa jego klasy. Kiedy Jennie zobaczyła ich ze swojego domku na drzewie, nie mogła opanować podniecenia i zdenerwowania zarazem. W tym okresie swego życia była bardzo nieśmiała. Gdy tylko zauważyła, że dzieci wchodzą przez dziurę w żywopłocie, z piskiem schowała się w krzakach.

Sandy zaczął ją nawoływać. Szukał jej w domku na drzewie i wszędzie dokoła, ale po Jennie wszelki ślad zaginął. Dzieci zaczęły się z niego naśmiewać, a jedno z nich powiedziało: „Wyłaż stamtąd! Tam nie ma żadnej małpy!”

W tej sprawie Sandy był bardzo zasadniczy. Zupełnie jak Hugo. Dla nich Jennie nie była żadną pierwszą lepszą małpą. Należała do naczelnych! (Śmiech). Wybuchła kłótnia. Już miałam wyjść z domu i przepędzić te paskudne dzieciaki, kiedy zobaczyłam wyłazącą z krzaków koło domu Jennie. Trzymała w ręku ten stary nędzny kapelusz, który wyglądał odrażająco. Na szczęście latem zgubiła go w lesie.

Usłyszałam, że Sandy znów ją nawołuje, ale te koszmarne bachory zaczęły się z nim drażnić. „Małpa! Małpa! Małpa!” —

powtarzały w kółko. Biedny Sandy. Wyczuwałam w jego głosie panikę. Jeśli Jennie zaraz się nie pokaże, to mu nigdy nie dadzą spokoju. Jennie jednak już się szykowała do działania.

Rany boskie! Wskoczyła z krzaków z wrzaskiem tak przejmującym jak zgrzyt piły tarczowej. Nikt, łącznie z jakimś wynaturzonym dziwolągami cyrkowym, nie wydobyłby z siebie tak przenikliwego dźwięku. Z włosami stojącymi dęba i różowymi ustami szeroko rozdziawionymi Jennie szarżowała na nich, wymachując na wszystkie strony tym koszmarnym kapeluszem.

Trzeba to było widzieć! Tak im pogoniła kota, że pryskali w przerażeniu przez nasz nieszczęsny dziurawy żywopłot, mało nóg nie pogubili. Jakaś mała histeryczka zaczęła krzyczeć, że ją Jennie ugryzła. Przez chwilę nawet żałowałam, że tego nie zrobiła. Większość z tych dzieciaków była okropnie zepsuta i miała beznadziejnych rodziców. Nic dziwnego, że tacy rzucają szkołę, biorą narkotyki i pałą flagi. Dzieci potrafią być okrutne.

Niektórzy chłopcy wrócili zaraz potem i dopiero wtedy rozpełtało się prawdziwe piekło! Latali po podwórku, Jennie skrzeczała i panował tak nieopisany wrzask, że do dziś nie rozumiem, dlaczego stara pani Wardell nie wezwała policji.

Następnego dnia dzieciaki przywlokły duży czerwony wózek i zaczęły obwozić Jennie po okolicy. Jeżeli do tej pory był ktoś w całym Kibbencook, kto nie wiedział, że w mieście jest szympan, to się dzięki temu dowiedział. Jennie stała w wózku, w tym idiotycznym kapeluszu na głowie, i trzymając się bocznych desek kiwała się w tył i w przód. Nie wiem dlaczego, ale w pewnym sensie przypominała mi taki głupi obraz przedstawiający Jerzego Waszyngtona przepływającego się przez Delaware. A hałas, jaki przy tym robiła! Ruszyli Benvenue Street, a potem Dover Street i zrobili rundę, a ja mogłam po krzykach i pohukiwaniu Jennie zorientować się, gdzie akurat w tej chwili się znajdują. A jak niósł się jej głos! Hugo mówił, że szympany mają donośny głos, bo się muszą między sobą porozumiewać w dżungli. Wierzę, że było ją słyhać na odległość półtora kilometra.

Następnym razem dzieciaki przyjechały na rowerach. Jennie była niesamowicie podniecona! Koniecznie chciała się przejechać. Podskakiwała jak piłka, usiłując jednemu z chłopaków wyrwać rower. Jakiś dureń posadził ją na rowerze, który się naturalnie zaraz przewrócił. Jennie przybiegła z płaczem, dobijając się do drzwi; zdarła sobie skórę z kolana! Kiedy jej otworzyłam, rzuciła mi się w ramiona jak pokrzywdzone dziecko domagające się pocieszenia. Przemysłam jej skaleczenie i zalepiłam plastrem. Natychmiast odlepiła plaster, zaglądając pod niego ciekawie. Nie wiem, co się tam spodziewała znaleźć, w każdym razie nigdy nie byliśmy w stanie utrzymać plastra na tym szympanisie ani przez chwilę.

Kiedy opowiedziałam Hugonowi o rowerze, postanowił kupić Jennie rower na trzech kółkach.

Rower na trzech kółkach! Wyobraża pan sobie? To jest chyba jedno z moich najsilniejszych wspomnień: ta mała kudłata osóбка śmigająca na rowerku! Mam go do dziś, po tylu latach! Nie jestem sentymentalna, ale nie miałam serca go wyrzucić. Stoi w stodole w Maine, w naszym letnim domu. Niedawno natknęłam się na ten rowerek, cały zardzewiały i bezużyteczny. Po czerwonej farbie nie ma nawet śladu. Zrobił na mnie tak smutne wrażenie, że się popłakałam. Czy pan uwierzy?

Zatem Hugo postanowił kupić Jennie rowerek na trzech kółkach. Chciał, żeby wszystko było jak należy. „Kupno trzykołowego rowerku to wielka chwila w życiu dziecka” — powiedział. Czuł się dumny. Zupełnie jak ojciec. Biedny Hugo był niesamowicie przywiązany do Jennie. Na dobrą sprawę nigdy się już właściwie nie pozbywał. Tak więc pewnego pięknego jesiennego weekendu, kiedy powietrze dosłownie śpiewało, wybraliśmy się wszyscy razem po rower dla Jennie. Jak żyję, nie zapomnę tego dnia.

Był to jedyny w mieście sklep z rowerami i znajdował się w pobliżu mostu kolejowego. Oczywiście już dawno nie istnieje. Na jego miejscu powstał jeden z tych koszmarnych sklepów, w których sprzedaje się domowej roboty spaghetti po dziesięć dolarów za pół kilograma. Pralnia chemiczna, która z nim sąsiadowała, zamieniła się w ciastkarnię, a w starym pocziwym spożywcza-

za mostem sprzedają teraz luksusowe artykuły gospodarstwa domowego. Na przykład maszynki do parzenia kawy po dwieście dolarów sztuka. Czy pan to sobie wyobraża? Z tą różnicą, że teraz to już nie jest maszynka do kawy, tylko ekspres. Koniec świata!

Magazyn ze sprzętem sportowym miał dwie wielkie wystawy od frontu z nazwą firmy wymalowaną złotymi literami. Przez szyby było widać rząd najwspanialszych rowerów, jakie tylko można sobie wyobrazić, z grubymi oponami i pięknymi chromami. Pastelowo-niebieskie rowery dla dziewczynek i cukierkowoczerwone dla chłopców. W tamtych czasach produkowali rowery jak cadillaki — duże, błyszczące i pełne bajerów.

Sklep prowadził stary Sam Hoyt z synem. Stary Hoyt! Oschły, milczący facet z twarzą Buddy. Ten człowiek nigdy nie powiedział nawet słowa. Kiedy się go o coś prosiło, człapał po prostu i to coś przynosił. W całkowitym milczeniu. Ale za to jak szybko obsługiwał kasę! A spróbowaliby pan uzyskać od starego kutwy zwrot pieniędzy za jakiś nie udany sprawunek! Jego żona uciekła z Fullerem od szczotek.

Za to synowi Hoyta nie zamykały się usta. Był tłusty i zawsze potykał się o rowery i o kije hokejowe. Nie pamiętam jego imienia. Zgłosił się na ochotnika do Wietnamu, z czego stary Hoyt był bardzo dumny, ale rozerwało go na kawałki, kiedy podczas rabowania jakiegoś sklepu z upominkami wlaź na minę. Bardzo współczuliśmy staremu, ale nawet wtedy nie powiedział słowa, tylko sprzedał sklep i zniknął. Zastanawialiśmy się zawsze, dokąd wyjechał.

Pierwszy wszedł Sandy, ciągnąc Jennie za rękę. Nie dając nam nawet dojść do słowa, wypalił prosto z mostu: „Przyszliśmy kupić mojej młodszej siostrze Jennie rower na trzech kółkach!” I wypchnął Jennie do przodu. Przyznam, że ta historia z siostrą trochę nas zaskoczyła. Pytaliśmy go później, dlaczego tak powiedział. Wyjaśnił nam, że gdyby powiedział, że kupujemy rowerek dla szympansa, to zabrzmiałoby to jeszcze głupiej. A zresztą, Jennie z powodzeniem mogła być jego siostrą; wcale się tak bardzo od nas nie różniła. Zwłaszcza że zaczęliśmy ją ubierać w szorty i

trykotową koszulkę. Sama muszę przyznać, że coraz bardziej przypominała małego człowieczka. Nie przychodziło nam łatwo myśleć o niej jako o zwierzęciu. Naprawdę, proszę mi wierzyć.

Sandy był z niej niesamowicie dumny. Nauczył ją podawać rękę i Jennie ze wszystkimi się witała. Stary Sam Hoyt, który stał z twarzą sfinksa, potrząsnął ręką Jennie jakby nigdy nic. Ostatecznie handel jest handlem.

Myśmy z Hugonem też się nie odzywali. Zostawiliśmy Sandy'emu pole do popisu.

Młody Hoyt, ten tłuścioch, miał taką minę, jakby go trafił grom z jasnego nieba. Nie wierzył własnym uszom. „Co takiego powiedziałeś? Twojej siostrze?” — wyrzucił z siebie, opluwając wszystkich dokoła. I stary Hoyt, i jego syn, obaj mieli ten koszmarny akcent z Północnego Wybrzeża. Okolice Danvers, jak sądzę.

Sandy nie dał się zbić z pantałyku. „Tak, siostrze, a bo co?!” — odparował.

Przepraszam, ale to było niesamowicie śmieszne. (Wyciera oczy). Sandy był taki... taki twórczy w swoim stosunku do życia. Jego siostra! Coś niebywałego!

W każdym razie młody Hoyt wykrztusił „Oooo”, jakby nagle wszystko stało się dla niego jasne.

I wtedy Sandy oznajmił mu stanowczym tonem, że jego siostra chce mieć trzykołowy rower. Biedny Hoyt był strasznie zdenerwowany. Zaprowadził nas do miejsca, w którym stały rzędem trzykołowe rowerki, cały czas starając się nie patrzeć na Jennie. Musiał ją uważać za straszną pokrakę. Sandy wyjaśnił mu, że Jennie chce czerwony rowerek, nie niebieski. Hoyt wyprowadził z szeregu czerwony rowerek i Jennie zahuczała. Wydała z siebie prawdziwe szympanсие pohukiwanie. Młody Hoyt podskoczył, jakby dostał policzek. Jego niespokojne oczy strzelały po kątach, skrzętnie omijając Jennie. Wreszcie spojrział na nią i wrzasnął: „Wynoś się stąd! Ty nie jesteś żadnym dzieckiem!” (Śmiech).

Boże! Zaległa brzemienna cisza i Sandy zwrócił się do niego z całą godnością, na jaką go było stać: „Zamknij się, ty tłuściochu! Właśnie że ona jest dzieckiem!”

Boże... Boże... co się wtedy działo! Młody Hoyt zaczął przeproszać. Nie wiem, za co biedak już potem uważał Jennie. A Sam Hoyt siedział cały czas spokojnie za kasą, jakby nigdy nic, gotów w każdej chwili sfinalizować transakcję.

Wyprowadziliśmy więc czerwony rowerek, żeby Jennie mogła się do niego przymierzyć, i Sandy wsadził ją na siodełko.

Nie należy zapominać, że jej ostatnia przygoda z rowerem nie należała do przyjemnych. Pamięć tej szympansicy przypominała stalową pułapkę. Otworzyła więc swoje „rózane usteczka” i wydała z siebie wrzask, od którego mało nie powypadały grube szyby wystawowe. Nieszczęsny Hoyt zrobił się cały mokry ze zdenerwowania. Sandy zсадził Jennie na ziemię i krzyk ucichł. Całe szczęście. A potem Jennie pochyliła się i obejrzała sobie nogę; było to bardzo wrzuszające — bała się, że i tym razem obetrze sobie kolano!

Sandy wsiadł na rowerek i zaczął jeździć dokoła sklepu, cały czas powtarzając: „Popatrz, Jennie, jak to przyjemnie”. I wtedy Jennie, jak to ona, zaczęła podskakiwać i wyciągnęła ręce do rowerku. Chciała robić wszystko to samo co Sandy. Sandy podał jej rowerek i Jennie wdrapała się na siodełko. Nastąpiła chwila pełnej napięcia ciszy. Młody Hoyt tak się gapił, że mało oczy nie wyszły mu z orbit. Jennie miała, jak wszystkie szympansy, przeciwstawne palce u nóg. Jej stopy były w gruncie rzeczy rękami. Zaraz, jak to się nazywa? Tak, miała chwytne stopy. Zamiast więc postawić je na pedałach, ona te pedały schwyciła stopami. Nacisnęła jeden pedał i posunęła się kawałek, a potem mocno nacisnęła drugą nogą i rowerek pojechał do przodu.

Boże! Jakaż była podniecona! Stała na pedałach i wydała głośny okrzyk tryumfu. A potem zaczęła pedałować jak szalona. W nogach była znacznie sprawniejsza od ludzkiego dziecka. Rowerek wystrzelił najpierw do przodu, a potem jechał chwiejnie po sklepie, bo Jennie nie potrafiła nim kierować. Sandy usiłował złapać za kierownicę, kiedy Jennie przejeżdżała obok, ale nie zdążył i Jennie wyrzuciła w rząd rowerów, które z brzękiem runęły na ziemię.

Hugo wyciągnął portfel i powiedział, że płacimy, zanim Jennie narobi większych szkód.

Ale ona chciała jeździć. Złapała za kierownicę i próbowała wyrwać Sandy'emu rowerek. Zaczęła się szarpanina przy akompaniamencie wrzasków sfrustrowanej Jennie. A potrafiła się drzeć, jak była zdenerwowana! Sandy nie chciał puścić rowerku, a ja zaczęłam krzyczeć na Jennie. Ale oczywiście nic nie pomagało. Czepiała się rowerku z całej siły i po prostu mnie nie słuchała; matki się nie słucha. Jediną osobą, z którą się Jennie liczyła, był Hugo, a i to nie zawsze.

Im bardziej staraliśmy się oderwać ją od rowerku, tym mocniej się go trzymała. Nie zapominajmy, że miała do dyspozycji cztery ręce! A jaki silny chwyt! Nic jej nie można było odebrać. Wobec tego Hugo wziął ją razem z rowerkiem, wyniósł ze sklepu i wrzucił na tył swojego kombi. Była to jedna wielka płatanina czarnych kudłatych nóg i błyszczących chromów.

Po przyjeździe do domu wywlókł Jennie z samochodu, w dalszym ciągu wczepioną w rowerek, i postawił na trawie. Odsunęliśmy się wszyscy, żeby móc się jej przyglądać, a Jennie, jak tylko zobaczyła, że jesteśmy wystarczająco daleko, wyplątała się i wsiadła na rower, który jednak po trawie nie chciał jeździć. Była wściekła. Kilka razy szarpnęła rowerkiem porządnie, a jak to nie pomogło, wpadła w szał. Kiedy dostawała ataku wściekłości, potrafiła wyć aż do utraty tchu, aż do chwili kiedy się dosłownie zaczynała dusić. Początkowo byłam przerażona, ale po kilku takich numerach chciało mi się po prostu śmiać. Przypominała mi chłopca, który wstrzymywał oddech, aż się robił siny na twarzy. Szypansy są tak samo głupie jak ludzie. Co za szczęście, że nie jesteśmy jedynym zwariowanym gatunkiem na świecie!

Wreszcie Jennie przeniosła się na podjazd, gdzie rower działał bez zarzutu, a Sandy pokazał jej, do czego służy kierownica. I wtedy Sandy wyciągnął swój rower i we dwójkę pojechali na spotkanie zachodu słońca.

Oto jak Jennie dochrapała się swego słynnego rowerku.

25 października 1965 r.

Zimny wiatr z północnego wschodu zwiął z brzozy resztę liści. Obserwowałem, jak ostatni listek drga i tańczy w szarym świetle poranka i ten widok nasunął mi myśli o Bogu. W południe chmury zgęstniały, zaczął padać paskudny deszcz, a na rzekę opadły mgły. Ogród za domem, z pustymi rabatami, drzewem wiśniowym poczerniałym w deszczu i nagim, mokrą, zmierzwioną i zrudziałą trawą — wszystko to przywiodło mi na myśl wielki powszechny system życia i śmierci. Otworzyłem okno mojego gabinetu i zacząłem wdychać wilgotne powietrze. Pachniało zimnem, ale było brzemienne zapowiedzią uśpionego życia. Wspaniały zapach — prawdziwy dar od Boga. Wszystko to również w jakiś dziwny sposób przypomniało mi te ciche poranki w Belgii, tuż przed świtem, kiedy z pól unosiły się zjawiskowo piękne mgły, a zaraz potem odzywała się artyleria.

Pomyślałem sobie, że jesteśmy — jak ten ostatni liść, zmierzwiona trawa, uśpione drzewo — częścią wielkiego niewidzialnego planu, tak niepojętego dla nas, jak niezrozumiałe są pory roku dla ostatniego jesiennego liścia. Być może, skoro komórki liścia marzną i zmieniają kolor, a następnie obumierają... być może ten liść w jakiś niejasny sposób cierpi. Ale cierpiąc, w całym przepychu swego piękna, nie więcej wie o przyczynie tego cierpienia niż każde z nas. Tak samo my, istoty ludzkie, cierpimy ku chwale Boga, nie wiedząc ani skąd owo cierpienie pochodzi, ani dlaczego cierpimy.

To wspaniała metafora. Wykorzystam ją w jednym ze swoich kazań.

Męczyłem się nad niedzielnym kazaniem aż do lunchu, szkicując je w głównych zarysach. Nadałem mu tytuł: „Przeznaczenie i post”. Zasadniczy problem, jaki staram się w nim przedstawić, to próba integracji mistycznej strony protestantyzmu z życiem codziennym. Wadą mojego Kościoła jest zbyt przyziemność. Brak nam poczucia mistycyzmu, tego, co niepoznawalne, niewypowiedziane.

Kiedy wchodzę w niedzielę na ambonę i widzę moich parafian, siedzących równo w ławkach, przyzwoicie ubranych, takich spokojnych i pełnych wyczekiwania, ogarnia mnie panika. Nie spełniłem pokładanych we mnie nadziei. Co ja tym ludziom dałem w ciągu czterdziestu lat pracy duszpasterskiej? Jedyne poczucie samozadowolenia?

Nie jestem rad z tytułu kazania. „Przeznaczenie i podpływy”? Obie wersje mają w sobie jakiś sztuczny patos. Z przykrością muszę stwierdzić, że ze słowami nie radzę sobie najlepiej.

Wszystko to kojarzy mi się z pewnym niezwykłym wydarzeniem, które miało miejsce dzisiaj. Regularnie od kilku dni o trzeciej po południu przejeżdża koło nas na rowerze chłopak od sąsiadów z naprzeciwka, Sandy, a tuż za nim na trzykołowym rowerku jedzie małpa. Zapewne mieści się to w programie jakiegoś treningu. Zwykle ta dwójka dojeżdża do ścieżki biegnącej wzdłuż rzeki, a stamtąd udaje się do parku.

Kiedy minęli nasz dom i znaleźli się w miejscu, gdzie ulica ma dosyć ostry spadek, biedna małpka straciła panowanie nad kierownicą i wjechała na trawnik, gdzie się wywróciła i potłukła. Usłyszałem rozpaczliwy krzyk i pobiegłem na pomoc. Pochyliłem się nad nią, nie bardzo wiedząc, co robić, i w tym momencie biedactwo wyciągnęło do mnie łapki i pozwoliło się podnieść, a potem przytuliło się w niesłychanie wzruszający sposób. Było przerażone.

Nie zastanawiając się nad tym, co robię, zaprosiłem tę dwójkę do domu na ciasteczka i mleko, żeby ich jakoś pocieszyć. Posmarowałem małpcę merкуроchronem otarte kolano, co wywołało z jej strony głośne pojękiwanie. Obudzona z popołudniowej drzemki R. zeszła z góry i zapytała: „Co to za jakieś ryki?” i jeszcze coś w tym sensie. Nastąpiła niezbyt miła scena, złagodzona jednak nieco obecnością chłopaka od Archibaldów. Ale to stworzonko jest tak urocze, że nawet R. zmiękła. Poszła do kuchni i przyniosła ciasteczka i mleko.

Jennie i Sandy usiedli przy stole; Jennie trzymała ręce złożone przed sobą, a jej żywe, wesołe oczy strzelały ciekawie dokoła.

Kiedy R. postawiła przed nią ciasteczka, poczęstowała się grzecznie, biorąc z właściwej, czyli bliższej. strony talerza. Jadła wolno, gryząc po kawałeczku, podczas gdy Sandy brudnymi łapami zgarniał jedno po drugim, polując na trzy czy cztery największe i ładując je sobie do ust łapczywie. Kontrast był bardzo zabawny i nie uszedł uwagi nawet R., którą dosłownie zamurowało. Jennie wypła mleko z dość nieeleganckim siorbaniem i kiedy odstawiła szklankę, ciekło jej po brodzie, ale wytarła ją serwetką, jak się należy, i wszystko było w porządku. Sandy wytarł usta ręką, tą samą, którą notabene przed chwilą wycierał nos.

Jennie miała na głowie kapelusz, więc przeżyłem niemiły moment, kiedy R. zrobiła uwagę na temat „tego dziwnego kapelusza”, ale niepotrzebnie się denerwowałem; tak zmienił wygląd, że w niczym nie przypominał tamtego mojego. Był odrażający i nieapetyczny, zwłaszcza że Jennie nie zdjęła go, siadając do stołu. Jeśli chodzi o manery, to naturalnie trzeba w nią włożyć jeszcze dużo pracy. Muszę tu dodać, że profesor i jego żona powinni raczej zacząć od Sandy'ego, który zdumiewa swoim brakiem wychowania.

Popęniłem wielki błąd mówiąc o Jennie „małpa”; Sandy natychmiast zwrócił mi uwagę, że ona tak samo należy do naczelnych jak i my i że podkreślanie, iż jest małpą, uważa za obraźliwe i niewłaściwe. Wygląda na to, że Jennie na dobre zadomowiła się w rodzinie Archibaldów.

Obserwowałem ją podczas jedzenia przez pryzmat moich wcześniejszych spostrzeżeń. Robiła wrażenie takiej bystrej, takiej inteligentnej, że znów zacząłem się zastanawiać, czy byłaby zdolna do pojmowania miłości Boga i Chrystusa. Oczywiście tak jak to dzieci, bardziej intuicyjnie, poprzez obrazki i opowieści, niż rozumowo.

Kiedy skończyła ciastko i popiła mlekiem, oparła się wygodnie na krześle i usatysfakcjonowana posiłkiem, spojrzała mi prosto w oczy. W jej wzroku dostrzegłem wtedy jakby iskierkę — pytanie, nadzieję, poszukiwanie? Tajemniczą świadomość siebie, która pojawia się czasem w oczach dzieci, gdy zaczynają rozumieć świat. To pytanie jest właśnie pierwszym krokiem do Boga. I wtedy szympanśica położyła rękę na mojej dłoni! Jakby mi dziękowała za

pomoc! Przelotny, ciepły, pełen czułości dotyk i spojrzenie, w którym było zawarte nieme pytanie. Ten serdeczny gest zasypał przepaść pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem, wymazał miliony lat ewolucji. Bo nacisk jej palców przemówił do mnie nie przez intelekt, tylko przez serce. Uniwersalnym odruchem miłości Jennie dała mi sygnał, że ma duszę. Odpowiedziała na moje wątpliwości.

Sandy wziął Jennie za rękę i wstali, żeby iść. Szybko poprosiłem, żeby chwilę poczekali, sam zaś poszedłem do swojego pokoju. Nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego, co robię, wiedziałem jedynie, że pragnę Jennie coś ofiarować. W rękę wpadł mi srebrny meksykański krucyfiks na łańcuszku, który dostałem od Henry'ego Cruikshanka po pogrzebie jego ukochanej żony. Jest to piękny drobiazg, ręczna robota, cyzelowany i bogato zdobiony.

Kiedy wróciłem, Jennie popatrzyła na mnie wyczekująco. Ukłąłem przed nią, z rękami do tyłu. „Mam dla ciebie prezent” — powiedziałem. Nie wiem, czy zrozumiała słowa, w każdym razie wyciągnęła rękę. Dałem jej krzyżyk, a ona natychmiast wsadziła go sobie do ust! Wyjąłem jej delikatnie krzyżyk z pyszczka i zawiesiłem na szyi. Wzięła go do ręki i przyglądała mu się uważnie, wachając, liżąc i obracając w palcach. Była zafascynowana! Obserwowałem ją pilnie w obawie, że połknie krzyżyk, ale w końcu puściła go i oboje z Sandym wyszli.

Potem znalazłem śliczny obrazek przedstawiający Dzieciątko Jezus, który zamierzałem dać Jennie następnym razem.

Powziąłem dziwne postanowienie. Pewnie niejedną mnie wyśmiejcie, ale zdecydowałem, że zrobię wszystko, żeby to zwierzę mogło doświadczyć miłości Bożej. Bo miłość jest uczuciem obecnym w świecie zwierząt, a wzbogacona pierwiastkiem rozumowym może z instynktowej więzi pomiędzy zwierzętami przerodzić się w uczucie wyższe — miłość Niewypowiedzianego.

Uwaga. Jennie była tak czarująca, że po jej wizycie nieustannie narzekania R. na temat „zwierzęcia” przycichły. Zobaczymy, co będzie dalej. W każdym razie wielkim darem, jaki otrzymałem od

R., jest to, że wyrobiła we mnie cierpliwość i wyrozumiałość, dwie najważniejsze cechy ludzkiej osobowości. Cierpliwość i wyrozumiałość.

*Ze „Wspomnień z pewnego życia”
Hugona Archibalda.*

Minęły dwa miesiące od nastania Jennie w naszym domu. Pogoda się zmieniała i zrobiło się zimno. Już nie mogła sypiać w swoim małym domku na drzewie; trzeba ją było przenieść do domu i naturalnie powstało pytanie, gdzie ma nocować.

Ta sprawa po raz pierwszy na dobre uzmysłowiła nam skalę problemu, jakim było posiadanie małpy w rodzinie. Dopóki mieszkała na drzewie, mogliśmy ją od biedy traktować jak zwierzę domowe. Wiadomo było jednak, że z chwilą gdy się do nas wprowadzi, ani ona nie będzie się uważała za zwierzę domowe, ani nie zaakceptuje u innych takiego stosunku do siebie.

Na początek zaproponowaliśmy jej eleganckie psie legowisko w kuchni na podłodze. Sam pomysł jednak okazał się dla Jennie policzką: podłoga była miejscem, gdzie sypiały znienawidzone psy. Pierwszej nocy, kiedy spróbowaliśmy ją tam położyć, wstała zaraz i zaczęła walić do drzwi Sandy'ego, pohukując i wrzeszcząc. Sandy nie najlepiej zniósł te zakusy na swoje królestwo.

— Wynoś się! To jest mój pokój! — krzyczał. — Sama sobie znajdź pokój, ty głupolu! — Wtedy Jennie zaczęła walić swoimi małymi piąstkami w drzwi naszej sypialni.

Próbowaliśmy ją zainstalować w jednym z pokojów gościnnych, ale nie chciała być sama. Jak tylko poszliśmy się położyć, od nowa zaczęło się bębnienie w nasze drzwi. Próbowaliśmy ją zamknąć na klucz, ale robiła takie piekło, że dom trząsł się w posadach.

Zdecydowaliśmy się dzielić sypialnię z Jennie. Wymościliśmy jej róg pokoju kocami i próbowaliśmy ją namówić, żeby się tam zagnieździła, ale nawet nie chciała o tym słyszeć.

Kiedy zobaczyła, że położyliśmy się z Leą do łóżka, natychmiast wskoczyła na nas podrygując, śmiejąc się i mlaszcząc,

— Jennie! — krzyknąłem na nią pierwszej nocy. - Wynoś się, ty paskudny szympansie!

Zeskoczyła z łóżka, ale zaraz potem wskoczyła na powrót i tak w koło Macieju, bez wytchnienia.

— Niedobra Jennie! Uspokój się, do licha!

Jennie przycupnęła w swoim kącie, zanosząc się od płaczu. Musiałem przysnąć, bo kiedy się obudziłem, stwierdziłem, że nasza kołdra gdzieś zniknęła.

— To ta cholerna szympansica — powiedziała moja żona. I rzeczywiście: Jennie siedziała zaparta w samym rogu łóżka i ciągnęła za kołdrę z całych sił. Była zdecydowana spędzić noc z nami.

— Jennie! — wrzasnąłem. — Nie!

Zeskoczyła z łóżka i przykucnąwszy na podłodze, zakryła rękami głowę szlochając żałośnie.

— Do jasnej cholery, Jennie! Przestań się drzeć!

Zaczęła się kiwać w przód i w tył, zawodząc coraz hałaśliwiej.

— Hugo, przecież wiesz, że im głośniejsze na nią krzyczysz, tym głośniejsze ona płacze — przypomniała Lea.

Wziąłem Jennie na ręce i wystawiłem za drzwi, zamykając je na klucz. W odpowiedzi zdwoiła wysiłki: waliła w drzwi, prychała, szarpała za klamkę. Kiedy wstałem, zobaczyłem w szparze pod drzwiami jej zakrzywione palce, podczas gdy sama Jennie po drugiej stronie podsadzała się stękając i sapiąc.

— Rób, co chcesz — usłyszałem słynny ton Lei — ale w tej chwili ma być cisza.

Otworzyłem drzwi, żeby spacyfikować Jennie, ale ona śmignęła koło mnie jak błyskawica, chowając się pod kołdrę i moszcząc się tam bezceremonialnie.

— Tylko tego brakowało — powiedziała moja nieszczęsna żona, już teraz rozbudzona całkowicie, śmiejąc się wbrew sobie samej.

— Hugo, mamy w naszym małżeńskim łożu małpę. — Wydało jej się to bardzo śmieszne. Na Jennie nie sposób było się gniewać.

Wierciła się pod kołdrą, śmiejąc się i kłapiąc zębami.

— Jeżeli raz jej pozwolimy tu z nami spać — odezwała się Lea — jesteśmy załatwieni na zawsze!

Powiniem być posłuchać mojej żony, ale wtedy, po czterech nocach szarpania się z Jennie, nie miałem siły z nią walczyć.

— Ona już będzie grzeczna — obiecałem w jej imieniu. — Niech tu śpi z brzegu, to może wreszcie się zamknie. A na wiosnę znów ją wyrzucimy na dwór.

— Chciałabym to widzieć — mruknęła Lea.

Próbowaliśmy spać. Jennie kopała, rzucała się i wierciła i efekt był taki, że my z Leą dosłownie spadaliśmy z łóżka, a ona leżała rozwalona pośrodku. Od czasu do czasu sięgała kosmatą łapą sprawdzając, czy jesteśmy. Lea miała tego dość. Zerwała się z okrzykiem wściekłości i ściągnęła kołdrę z Jennie, która wyprysnęła jak sprężyna, przekonana, że to jakaś nowa wspaniała zabawa. Lea próbowała ją zbesztać, ale Jennie zawsze miała w pogotowiu jeden ze swoich starych numerów: zaczęła tańczyć jak derwisz, owijając się prześcieradłami. Lea zdołała ją jakoś w końcu złapać i wspólnymi siłami przesadziliśmy Jennie na legowisko w kącie pokoju. Dotarło do niej wreszcie, że to nie żarty, i tym razem zasnęła już bez dalszych psikusów.

Przez trzy czy cztery noce spała w kącie w uwitym z koców gnieździe. Nie chrapała i nie hałasowała i wobec tego uznaliśmy, że wszystko już teraz będzie w porządku. Aż do pewnej nocy, kiedy zebrało mi się na amory. Zanim się zorientowałem, co się dzieje, Jennie siedziała na mnie, wrzeszcząc i okładając mnie pięściami w ataku rozpacz. Kiedy próbowałem ją odepchnąć, ugryzła mnie w ramię. Nie było to nic poważnego, raczej lekkie uszczypnięcie, ale mnie zaskoczyło. O ile wiedzieliśmy, Jennie nigdy do tej pory nie ugryzła człowieka.

Kiedy opowiedziałem tę historię Haroldowi Epsteinowi, spytał mnie, czy znam wyniki badań prowadzonych przez doktor Jane Goodall nad szympanсами w Tanzanii. Otóż doktor Goodall dokonała ciekawej obserwacji, a mianowicie, że młode szympansy są bardzo zdenerwowane, kiedy widzą, gdy samce kopulują z ich matkami, i często próbują im w tym przeszkodzić. Harolda bardzo zainteresowała ta reakcja Jennie, potwierdziła bowiem jego przekonanie, że te zachowania młodych szympanсів są uwarunkowa-

ne genetycznie.

Tak się skończyło spanie Jennie w naszym pokoju. Zmusiliśmy ją do zajęcia jednej z wolnych sypialni. Był to długotrwały i bolesny proces, który nas kosztował wiele nie przespanych nocy. Z zaciśniętymi zębami słuchaliśmy jej stłumionych krzyków, które odbijały się echem od drewnianych ścian naszego domu. Jennie uznała, że ją bardzo źle potraktowaliśmy. Nigdy już potem nie używała swojego domku na drzewie, chyba że czasem w dzień, i na zawsze pozostała w tamtym pokoju.

Jennie, jak się zorientowaliśmy, miała bardzo wyrobione poczucie sprawiedliwości. Szczerze wierząc w to, że jest człowiekiem, uważała, że ma prawo do korzystania z wszelkich należnych człowiekowi przywilejów. Nigdy nie pozwoliłaby na to, żebyśmy ją traktowali inaczej niż nasze dzieci. Każdą najdrobniejszą różnicę — jeśli na przykład Sandy dostał batonik, a ona nie — odczuwała jako wielką niesprawiedliwość. Dokładnie tak, jak to bywa w rodzinie, gdy jedno z dzieci jest faworyzowane kosztem innych.

Wkrótce po tym, jak przywiozłem Jennie, Harold spytał mnie, czy ona kiedykolwiek widziała swoje odbicie w lustrze. Jennie zainteresowała go z naukowego punktu widzenia i Harold często pytał mnie o jej zachowania. Zastanowiłem się i doszedłem do wniosku, że nie. Wiele napisano na temat koncepcji „ja” u szympanów. Testy na inteligencję przeprowadzane z udziałem szympanów i lusterek dowiodły ponad wszelką wątpliwość, że szympany mają poczucie „ja”.

Tego wieczora Jennie po raz pierwszy zobaczyła w lustrze swoje odbicie. Zastanawialiśmy się, jak na to zareaguje. Uważała się za człowieka i najprawdopodobniej nie przyszło jej nigdy do głowy, że może wyglądać inaczej niż my wszyscy. Był to nasz pierwszy „eksperyment” z Jennie. Przyniosłem więc lustro z toaletki Lei i umieściłem je na szczycie schodów. I wtedy zawołaliśmy Jennie.

Przybiegła skacząc beztrosko, jak zwykle, a kiedy znalazła się

na górze i zobaczyła swoje odbicie w lustrze, stanęła jak wryta. Zjeżyła sierść i zaczęła „popisywać się” paradując, tupiąc i patrząc w lustro agresywnie. Kiedy obraz nie zniknął, tak jak tego oczekiwała, wpadła w złość i ruszyła do ataku. Naturalnie jej odbicie okazało równą odwagę i odpowiedziało takim samym atakiem, co ją śmiertelnie przerażyło. Zahamowała z poślizgiem i wycofała się krzycząc i strojąc miny. Na koniec odwróciła się i zbiegła po schodach. Gdyby miała ogon, z pewnością tkwiłby między jej nogami.

Na dole zebrała się na odwagę i wróciła. Niemiłe doświadczenie polegające na tym, że zobaczyła w lustrze czarne, kudłate stworzenie, które na nią patrzyło, powtórzyło się dokładnie tak jak za pierwszym razem. Stała w osłupieniu. Nagle jej zachowanie zmieniło się całkowicie. Co się stało? Ten paskudny zwierzak miał na głowie jej kapelusz! Zjeżone włosy Jennie powoli zaczęły opadać, w miarę jak sobie uświadamiała, że ta postać w lustrze to ona! Zdjęła z głowy kapelusz, przyjrzała mu się dokładnie, włożyła go z powrotem, podeszła do lustra, przejechała palcami po jego powierzchni i na koniec po prostu odeszła.

Po tym wydarzeniu przestała się interesować lustrami i po prostu je ignorowała. Dopiero znacznie później inne eksperymenty uświadomiły nam, jak skomplikowany obraz siebie samej miała Jennie.

W grudniu, pod koniec miesiąca, spadł śnieg. Byliśmy bardzo ciekawi, jak Jennie zareaguje na tę pierwszą burzę śnieżną w sezonie. Zaczęło się po południu. Od kiedy zrobiło się zimno, Jennie wiele czasu spędzała w bibliotece. Mogła tam bębnić na starym pianinie, siedzieć na parapecie, wypatrywać wracającego ze szkoły Sandy'ego i grzać się przy kominku. Obawa, że narobi szkód, była niewielka, ponieważ wszystkie książki i przedmioty tłukące zostały zabezpieczone specjalnymi ekranami. Lea wstawiła nawet do biblioteki wielką skrzynię pełną lalek i innych zabawek Jennie.

Tego dnia Jennie jak zwykle siedziała w oknie, wypatrując

Sandy'ego. Nagle z ołowianego nieba spadły pierwsze płatki śniegu. Kiedy zaczęło sypać intensywniej, wstała i przycisnęła twarz do szyby, a gdy od jej oddechu szybę zaparowało, przetarła palcem miejsce na tyle duże, żeby móc coś zobaczyć. Zafascynowana przyglądała się dziwnemu zjawisku. Wreszcie podeszła do szafy, w której trzymaliśmy jej kurtkę i buty i zaczęła bębnić w drzwi swoimi małymi piąstkami. W ten sposób sygnalizowała, że chce wyjść na dwór.

Ubraliśmy ją z Leą i wyszliśmy we trójkę. Świat stał się biały. Jennie patrzyła w niebo przestraszona i zaniepokojona zimnymi płatkami, które siadały jej na twarzy. W pewnym momencie zaczęła kręcić głową i wycierać się, jednocześnie młócąc rękami i usiłując trafić nimi w poszczególne płatki. Jej pełne podniecenia pohukiwanie niosło się echem po całej okolicy.

Następny dzień był słoneczny i mroźny i Sandy zabrał ją na sanki. Jennie siedziała na sankach, a Sandy ciągnął ją po ulicy przed domem. Jennie cały czas zajadała śnieg. Kiedy tylko osiadł w większych kupkach na jej butach, podnosiła nogi do buzi i starannie zlizywała białe „lody”. Wkrótce zaroilo się od dzieci z sankami, plastikowymi talerzami i toboganami i cała ta gromada ruszyła na pole golfowe zjeżdżać z ulubionej górki. Godzinami nad zaśnieżonym polem golfowym niosły się pokrzykiwania podnieconej Jennie. Od tej pory często chodziła na sanki z Sandym i innymi dziećmi z sąsiedztwa.

W zimie biblioteka pełniła rolę pokoju dziennego Jennie. Lubiła na przykład piec jabłka na kominku. Nauczyła się nawet owijać je w folię aluminiową, wrzucać do ognia, a potem wyławiać pogrzbaczem, kiedy już były gotowe. Kucała wtedy nad nimi, czekając, aż wystygną, i wpatrując się w nie, wydawała pomruki radosnego zadowolenia i kłapała zębami. Czasem, nie mogąc się doczekać, chwytala gorące jabłko. Oparzywszy się piszczala rozzalona, tupiąc ze złości przed paleniskiem.

Spędzała też sporo czasu w gabinecie, oglądając z Sandym telewizję. Szczególnie gustowała w westernach, upajając się odgłosami strzelaniny i tętentu galopujących koni. Chyba najbardziej lubiła telewizyjne reklamy żywności. Za każdym razem, gdy na ekranie

pojawiało się jedzenie, wydawała swoje charakterystyczne pohukiwanie oznaczające, że jest głodna. Podchodziła do telewizora, dotykając palcem ekranu i starając się obejrzeć przysmaki z bliska. Jakby zawsze wbrew wszystkiemu żywiła nadzieję, że nagle jakiś smakowity kęs wpadnie jej z ekranu do rąk. W owym czasie szczególnie często na ekranie pojawiała się lodówka, która otwierała się powoli przy dźwiękach wznoszącej się crescendo muzyki i z której, jak z rogu obfitości, wysypywały się wszystkie ulubione owoce Jennie: jabłka, winogrona, banany, brzoskwinie i pomarańcze. Na widok tej reklamówki Jennie dosłownie wychodziła ze skóry, wydając okrzyki radości. Już na sam dźwięk towarzyszącej reklamie muzyki zaczynała pohukiwać albo przybiegała z sąsiedniego pokoju. Ta reklamówka wpływała na nią niebywale podniecająco. Często zaraz po jej zakończeniu biegła do lodówki, bębniąc w zamknięte drzwi. Jennie potwierdziła moje podejrzenie, że tego typu filmy telewizyjne są przeznaczone głównie dla ludzi o ilorazie inteligencji małpy człekokształtnej.

Z wywiadu z Leą Archibald.

Nawet się nie spostrzeżliśmy, kiedy Jennie odmieniła nasze życie. Jeśli uważacie, że przyjdzie na świat dziecka wprowadza w życie człowieka zamęt, to sprawcie sobie szympansa! Jennie zawsze miała w zanadrzu jakiś numer. Na przykład podczas kolacji potrafiła wejść pod stół i po rozwiązywać nam wszystkie sznurówki. Na nasze szczęście nigdy nie nauczyła się wiązać węzłów, boby nas z pewnością razem powiązała. A poza tym był jeszcze ten wulgarny dźwięk, który wydawała wargami, typowy dla mieszkańców Bronxu wyraz pogardy, coś w rodzaju „prrr”. Hugo oczywiście próbował mi wmówić, że to naturalny odgłos, jaki małpy wydają w dżungli, ale ja wiem swoje. To on ją tego nauczył, po kryjomu. Hugo był strasznym kawalarzem i miał wyjątkowy zmysł humoru. A do tego jeszcze te jej wargi! Uwielbiał popisywać się nią przy gościach.

Na przykład trzymał przed samym nosem Jennie cukierka, do którego ona wyciągała wargi, robiąc regularny ryjek. A wtedy Hugo zaczynał przesuwając cukierek w tę i z powrotem i ten ryjek przemieszczał się na „ustach” Jennie zgodnie z kierunkiem jego ruchu. Było to doprawdy komiczne!

Jennie próbowała naśladować nas dosłownie we wszystkim. Rano, kiedy już Hugo skończył czytać gazetę, ściągała ją ze stołu na podłogę i w przezabawny sposób powtarzała wszystkie ruchy związane z jej czytaniem: a więc rozkładała gazetę, wpatrywała się w tekst i przewracała strony, kłapiąc zębami. Czasem przerywała „czytanie”, żeby powąchać jakiś obrazek. Nie muszę mówić, że wkrótce gazeta była w strzępach. Podarte kartki zasłaniały jej oczy albo spadały na głowę. Jennie dostawała szału i zaczynała walić rękami w gazetę. Ale wtedy było jeszcze gorzej, więc szarpała ją z wściekłością, papiery latały w powietrzu i z reguły kończyło się tym, że wrzeszcząc ze złości, siedziała na kupie pogniecionych świstków.

Bardzo lubiła się przyglądać, jak robię makijaż. Była tym zafascynowana. Ale wystarczyło, że się odwróciłam, a już zaczynały się wszędzie unosić obłoki pudru, Jennie zaś przypominała koszmarnie czupiradło, w którego białej twarzy błyskały małe czarne oczka. O Boże! Jej ukochanym zajęciem na przykład było chodzenie z teczką Hugona. Przy każdym kroku waliła nią naturalnie o podłogę, robiąc do tego bardzo ważną minę. Jeżeli zdarzyło się, że Hugo zapomniał zamknąć teczkę, grzebała w niej z upodobaniem, rozrzucając niefrasobliwie dokoła jego bezcenne papiery. Albo po prostu wywalała wszystko na podłogę i robiła sobie z tych papierów gniazdo. Dobrze mu tak, bo się wszędzie z teczką nosił. Jedziemy na weekend do Maine, ja patrzę, a tu przy drzwiach stoi naszykowana teczka i Hugo mi tłumaczy, że ma coś tam jeszcze drobnego do zrobienia. A potem haruje przez cały weekend i widujemy go tylko przy kolacji! Boże, jak ja nienawidziłam tej ohydnej teczki!

No i proszę, znów mnie poniosło i gadam nie na temat.

*Simia quam similis, turpissima bestia, nobis!** Niech pan to zapisze. Tak powinno brzmieć motto naszej książki. „Jak podobna jest do nas małpa, najpodlejsze ze zwierząt, i jak szlachetna!” To chyba Cyncero... Ale jakież to prawdziwe! Jennie prezentowała bowiem zarówno najgorsze, jak i najszlachetniejsze cechy ludzkiego charakteru. Przyglądanie się jej było jak objawienie. Naprawdę nie wiem, od czego zacząć. Moje obserwacje poczynione na Jennie postawiły pod znakiem zapytania prawo naszego gatunku do przypisywania sobie jakiejś szczególnej pozycji wśród stworzenia.

W ciągu półtora roku od swojego przyjazdu Hugo prowadził ją do pracy po kilka razy w tygodniu. W budynku są bardzo długie, proste korytarze. Od czasu gdy Jennie opanowała sztukę jeżdżenia na trójkołowym rowerku, stała się kudłatym postrachem muzeum: rozbijała się po korytarzach, gaworząc coś i pohukując i wywołując przerażenie wśród odwiedzających nas naukowców. (Śmiech).

Kiedy Hugo pracował, Jennie jeździła. Od czasu do czasu zatrzymywała się przed drzwiami jakiegoś gabinetu i pukała. „Pukała” to może za łagodnie powiedziane. Raczej waliła i kopała w drzwi, które o mało nie wyleciały z zawiasów. Była nieznośnym bachorem, jak ta dziewczynka z książeczki dla dzieci, Eloise. A kiedy wparowywała do pokoju, to już koniec świata, trzeba było wszystko łapać w popłochu, bo cokolwiek znalazło się w jej zasięgu, zostało zniszczone, zjedzone albo ukradzione.

Można się naturalnie zastanawiać, dlaczegośmy to znosili. Odpowiedź jest prosta: wszyscy uwielbialiśmy Jennie. Przepraszam. Był jeden facet, który jej nie lubił. Mam na myśli windziarza, zgorzkniałego starego Szkota, który miał na imię Will. Ku jego rozpaczy Jennie odkryła uroki windy, a ponadto uznała, że im

* Dokładne tłumaczenie cytatu łacińskiego powinno brzmieć: „Małpa, choć tak podobna do nas, jest najszeptniejszym ze zwierząt”. Prawdopodobnie autor pomylił łac. „nobis” — nam, do nas z „nobilis” — szlachetny.

mocniej będzie naciskała guzik, tym szybciej winda przyjedzie. Do dziś mam przed oczami, jak z całej siły naciska guzik, i słyszę rozbrzmiewający w szybie windy głos Willa: „Już jadę! Uspokój się, ty cholerna małpo!” (Śmiech).

Jennie często odwiedzała mój gabinet. Byliśmy naturalnie serdecznymi kumplami. Już z daleka słyszałem klekot rowerku, a potem ogłuszające walenie w drzwi. Wchodziła z wyciągniętymi ramionami, z miejsca domagając się pieszczot. Kiedy już zaspokoilem tę żywotną potrzebę, zaczynała kręcić się po pokoju, ruszając papiery, biorąc do ręki i wkładając sobie do ust różne przedmioty, wdrapując się na stoły i krzesła i ni z tego, ni z owego sięgając po moją fajkę. Tak strasznie chciała ją mieć! Ale byłem szybszy od tego kosmatego diabła.

Zawsze leżała u mnie sterta starych numerów pisma „Natural History”, które Jennie chętnie przeglądała, przewracając kartki i wodząc palcami po zdjęciach, jakby sprawdzała ich dwuwymiarowość. Bardzo ciekawe. Miała też nieprzyjemny zwyczaj wydzierania kartek. Interesowały ją zdjęcia zwierząt; na ludzi w ogóle nie zwracała uwagi.

W jednym z numerów pisma był artykuł o szympanсах i pokazałem go Jennie tytułem eksperymentu. Jej reakcja była bardzo ciekawa. Na widok pierwszego zdjęcia dosłownie zamarła. Wtedy już wiedziała, jak sama wygląda, widziała się w lustrze.

Najpierw przyglądała się fotografiom bardzo uważnie, przewracając kartki w tę i z powrotem i przysuwając sobie pismo do nosa. A potem dotknęła swojej twarzy. Jakby sprawdzała, czy te zdjęcia to jej odbicie. Powiedziała „oo-oooo ooo” — był to niski dźwięk, jaki wydawała tylko wtedy, kiedy ją coś szczególnie zaciekało. Spędziła dobre pół godziny na oglądaniu tych fotografii, zanim się zajęła czymś innym. A musisz wiedzieć, przyjacielu, że pół godziny dla Jennie to bardzo długo.

Lunch jadała z Hugonem w stołówce muzealnej przy stoliku kustoszy, gdzie zajmowała honorowe miejsce. Często chodziliśmy razem z Hugonem na posiłki. W miarę jak zbliżaliśmy się do stołówki, Jennie była coraz bardziej podniecona.

Jechała przodem na swoim rowerku, pedałując jak szalona, a cały korytarz rozbrzmiewał echem jej zwariowanych pohukiwań. Przed wejściem do stołówki była przeszkoda, występ w kamiennej podłodze korytarza. Na ogół Jennie zatrzymywała się w tym miejscu i przenosiła rowerek przez ten garb, ale czasem o tym zapomniała. Nadjeżdżała w zwariowanym tempie, pedałując i pohukując, a potem zakręt, łomot, bęc! i wrzask. Próbowaliśmy ją nieraz ostrzec, wołając „Uważaj, Jennie, nie przewróć się!”, ale kiedy była głodna, nawet nie chciała słuchać. Nigdy nie chciała słuchać. Kropka.

Z chwilą gdy usłyszała brzęk naczyń, poczuła zapach jedzenia i zobaczyła stołówkę pełną ludzi, traciła głowę z radości i zaczynała szaleć piszcząc i krzycząc. Były to tak przeszywające dźwięki, że wszelkie rozmowy cichły. Przyszła Jennie! Tych, co ją znali, te wizyty naturalnie bawiły. Ale nieraz widziałem, jak jacyś goście z zewnątrz czy nowi pracownicy oblewali się zupą, kiedy Jennie wrzaskiem obwieszczała swoje przybycie.

Siedziała na wysokim krześle przy stole kustoszy i jadła, prezentując nienaganne maniery. No, może niezupełnie nienaganne. Po skończonym jedzeniu wielu z nas wyciągało papierosy. Jennie uwielbiała je zapalać. Obchodziła cały stół z pudełkiem zapalek i po kolei każdemu zapalała papierosa. Proszę nie zapominać, że to były czasy, kiedy jeszcze prawie wszyscy palili. Pewnego dnia jeden z kustoszy poczęstował ją papierosem, kiedy siedziała u niego na kolanach. Papieros jej zaszkodził i facet słono zapłacił za swój głupi żart: całe kolana miał w małych wymiotach.

Przez te pierwsze półtora roku obserwowałem Jennie ze wzrastającym zainteresowaniem. Mam na myśli zainteresowanie naukowe. *Simia quam similis*. Jakżeż była podobna do człowieka! Wyglądało na to, że rozumie przynajmniej tyle, ile ludzkie dziecko w jej wieku. Przejawiała zdumiewającą inteligencję. Podam dwa przykłady. Mieliśmy w muzeum pracownicę, która przychodziła trzy razy w tygodniu załatwiać sprawy reklamy. Była na swój sposób wspaniała, typowa damuła. Nadmuchane uczesanie, wysokie obcasy, długie jaskrawoczerwone paznokcie i mocny makijaż.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyła Jennie, narobiła wrzasku, co przstraszyło naszą pupilkę, która też narobiła wrzasku, więc kobieta zaczęła krzyczeć jeszcze głośniej. Nie był to najszcześniejszy początek znajomości.

Jennie zorientowała się natychmiast, że kobieta jej nie lubi. Od tamtej pory ilekroć przejeżdżała na rowerku koło jej pokoju, zatrzymywała się, cicho otwierała drzwi i wydawała dziki wrzask. Zawsze w odpowiedzi rozlegał się pisk, a zaraz po nim wściekłe: „Wynoś mi się, ale już! Ma być cisza! Niech ktoś wreszcie stąd weźmie tego bydlaka!” Od czasu gdy kobieta zaczęła zamykać drzwi swojego pokoju, Jennie nie ominęła okazji, żeby w nie kopnąć przejeżdżając.

Widzę, że to wszystko wydaje się panu bardzo śmieszne. I rzeczywiście było. Ale warto zastanowić się chwilę nad tym, co takie zachowanie musiało oznaczać. Dokonajmy analizy tego, co powinna była wiedzieć Jennie, żeby móc się znęcać nad tą kobietą. Po pierwsze, posiadała zdolność przypisywania stanu ducha innej istocie ludzkiej. Przepraszam, chciałem powiedzieć: istocie ludzkiej. Musiała wiedzieć, że tej osobie niemiła jest jej obecność. A to już było wielce skomplikowane rozumowanie, mój przyjacielu! To nie to samo co kiedy pies ugryzie nieprzychylnego mu człowieka. Jennie znęcała się nad tą kobietą świadomie, strasząc ją i denerwując i tym samym dowodząc, że była zdolna do manipulowania stanem ducha istoty ludzkiej. I — co dla mnie najdziwniejsze — że znała psychikę człowieka.

Drugi incydent był jeszcze bardziej niezwykły. Wydarzył się w rok od chwili, kiedy Jennie zaczęła bywać w muzeum. Przez jakiś czas miała lalkę Barbie, którą stale ze sobą nosiła, całowała, ubierała, rozbierała, karmiła itd. Czasami wręczała komuś lalkę, żeby ją przytulił, i potem znów ją zabierała. Pewnego dnia Hugo poprosił mnie, żebym przyszedł do jego gabinetu. Była tam też Jennie, która siedziała w swoim fotelu i tuliła lalkę. Tylko że tam nie było żadnej lalki. Jennie zapomniała zabrać ją z domu. Tuliła więc wyimaginowaną lalkę, „przemawiając” do niej i głaszcząc ją. Hugo powiedział: „Jennie przytulić”, na co Jennie wstała, z lalką w ramionach,

i podeszła do niego. Hugo uściskał ją, a potem Jennie podała mu do przytulenia tę wymagowaną lalkę, którą zaraz potem zabrała.

Czy zdaje pan sobie sprawę ze znaczenia tych faktów? Wyciągnąłem z nich błyskawiczne wnioski, od których włos zjeżył mi się na głowie. Etologowie zawsze uważali, że jednymi z ważniejszych czynników odróżniających ludzi od zwierząt są wyobraźnia i zdolności twórcze. Możliwości twórcze uznano za jeden z podstawowych czynników definiujących istotę ludzką.

To czego staliśmy się świadkami, oznaczało ni mniej, ni więcej, tylko obalenie tej wielkiej tezy.

Pozwolę sobie w tym miejscu na garść fachowych uwag. Gdyby okazały się one dla pańskich czytelników za trudne, proszę je po prostu usunąć.

Są ludzie, którzy w dalszym ciągu przypisują ludzkiemu zwierzęciu pozycję wyjątkową, którzy wciąż utrzymują, że człowiek jest niepowtarzalny w swojej wielkości. Dzielią się oni na dwie grupy: fanatyków religijnych i etologów. Bigotów można spokojnie pominąć, ale z etologami trzeba się liczyć.

Otóż owi etologowie — nie będę wymieniał nazwisk — odnieśli się bardzo krytycznie do większości badań przeprowadzanych na szympanсах. Twierdzą, że przez używanie takich terminów, jak „wyobraźnia”, antropomorfizujemy zachowania zwierząt. Przypisujemy im ludzkie cechy. Argumentują w ten sposób: skąd możecie wiedzieć, że zwierzę posługuje się wyobraźnią czy że ma zdolności twórcze, skoro nie znacie stanu jego umysłu? Mogą to być równie dobrze znakomicie rozwinięte zdolności naśladowcze. A zresztą, czy istnieje właściwa definicja słowa „twórczy”? Czy mimo wszystko nie polega to na przypisywaniu ludzkich właściwości zachowaniom zwierząt? W ten oto sposób oskarżają nas o antropomorfizację, jeden z najpoważniejszych grzechów etologii.

Te obiekcje pochodziły od ludzi, którzy byli (i nadal są) niepewni „twardości” swojej nauki. Którzy boją się „miękości” etologii. Chcą być jak fizycy. Fizycy naturalnie zaniechali czystego obiektywizmu, ale socjologowie tak czy inaczej są o jakieś dwadzieścia lat w tyle za innymi.

Te zastrzeżenia są absurdalne. Mam serdecznie dosyć tych ludzi z ich ciągłym pojękiwaniem. Przecież, na miłość boską, my naprawdę nie wiemy, czym jest „wyobraźnia” i „zdolności twórcze” zarówno u ludzi, jak i u szympanów. A poza tym, czy ci etolodzy rzeczywiście wierzą, że my sami znamy swój własny stan umysłu? To tylko świadczy o tym, jak niewiele wiedzą o psychice człowieka. Problem polega na tym, że zachowanie Jennie przypominało zachowanie ludzkiego dziecka z całym jego aparatem wyobraźni. Jeśli coś chodzi jak kaczką, kwacze jak kaczką i wygląda jak kaczką, to czymże jest do cholery jak nie kaczką? Aha, możemy przecież odwrócić ich argument i powiedzieć, że ludzka wyobraźnia i zdolności twórcze to nic innego, jak zachowania polegające na „wysoce rozwiniętych zdolnościach naśladowczych”. Rozumie pan, do czego zmierzam?

Chciałbym zadać tym etologom jedno pytanie: czy potraficie przeprowadzić wyraźną granicę pomiędzy człowiekiem a małą człekokształtną? Pokażcie mi różnicę jakościową, a nie ilościową pomiędzy tymi dwoma gatunkami. Im bliżej bowiem poznajemy szympany, tym jaśniej widzimy, że jest to niemożliwe. Etykieta „antropomorfizacji”, jaką nam przylepili, służy im tylko za parawan; w gruncie rzeczy boją się, że tak czy inaczej wszyscy jesteśmy zwierzętami. (W tym miejscu doktor Epstein śmiał się szczególnie długo).

Chwileczkę, wyprzedzam własny tok rozumowania. W połowie lat sześćdziesiątych wszyscy wierzyli, że pomiędzy człowiekiem a innymi gatunkami istnieją bardzo głębokie różnice. Kiedy zobaczyłem Jennie z tą wymyśloną lalką, od razu wiedziałem, że jestem świadkiem faktu o ogromnym naukowym znaczeniu. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że szympany są znacznie bliższe człowiekowi, niż się komukolwiek śniło. „Czułem się jak obserwator nieba, kiedy na jego horyzoncie pojawia się nowa planeta!”

Ale to nie wszystko. Dostrzegłem bowiem rysującą się przed nami niezwykłą szansę przeprowadzenia rewelacyjnych badań naukowych. Mieliśmy oto idealny materiał do eksperymentowania. Zwierzę wychowane na człowieka. Czy pan potrafi docenić, jak wspaniała okazja nam się nadarzyła?

Dla mnie, jako antropologa od spraw kultury, był to po prostu cud. Szympan, który nigdy nie miał kontaktu z przedstawicielami własnego rodzaju, okazji, by być poddanym działaniu własnego dziedzictwa; szympan, który uważał się za człowieka pod każdym względem! Szympan, który — żeby się posłużyć terminem Lorenza — miał w p o j o n e , że jest istotą ludzką! Cóż, nawet Yerkes nie dysponował takim zwierzęciem.

W ten sposób rozpoczął się program zwany Jennie.

Chciałbym zaraz na wstępie zaznaczyć dwie rzeczy. Po pierwsze, zarówno my, jak i nauka zawdzięczamy Jennie bezcenne wprost informacje. To, czego się dzięki niej dowiedzieliśmy, kazało nam na nowo określić, co znaczy być zwierzęciem, a mnie osobiście — co znaczy być człowiekiem.

I druga sprawa. Jennie ubóstwiała te zajęcia, badania nad nią były bowiem prowadzone w nastroju łagodności i zabawy, bez żadnego stresu czy jakiegokolwiek przymusu. Atmosfera, jaką stworzyli Jennie naukowcy z Ośrodka Badań nad Naczelnymi, przypominała salę zabaw dziecięcych czy przedszkole. Czytał pan może artykuł, jaki się ukazał na ten temat w „Esquire”’? Stek bzdur i pomówień. Brukowe dziennikarstwo. A zresztą, czego się można spodziewać po piśmie poświęconym modzie męskiej. Boże się pożał.

Po raz pierwszy zadzwoniłem do Pam Prentiss z Ośrodka Badań nad Naczelnymi po tym, jak zobaczyłem Jennie z tą wyimaginowaną lalką, czyli w lutym albo w marcu 1967 roku. Prentiss była wtedy dyrektorem ośrodka i spytałem ją, czy jest zainteresowana przeprowadzeniem badań nad Jennie.

Była szalenie podekscytowana. „Podekscytowana” to za mało powiedziane. Dosłownie wychodziła ze skóry. Wtedy powiedziałem o tym pomyśle Hugonowi. Niby go to zaintrygowało, ale miał wątpliwości. „Hugo, to ty pierwszy wspomniałeś o eksperymencie” — przypominałem mu. Okazało się, że już o tym zapomniał. Jako antropolog nie dostrzegał zawartych w całym tym programie implikacji. Wyjaśniłem mu, że byłby to test psychologiczny i poznawczy, z rodzaju tych, jakim się poddaje szczególnie zdolne dzieci. Dużo frajdy i zabawy. Jennie nauczyłaby się języka

migowego i uczestniczyłyby w wielu pouczających sytuacjach. Powiedziałem mu, że to tak, jakby posłał Jennie do szkoły.

Hugo był w dalszym ciągu sceptycznie nastawiony do mojego pomysłu, ale zgodził się na spotkanie z doktor Prentiss. Widać było, że jest niespokojny o Jennie. Postawił dwa warunki: Jennie musi mieszkać w domu, a poza tym, dodał, nie pozwoli, żeby została poddana takim działaniom, którym by z całym spokojem i przekonaniem nie poddał własnych dzieci. Tymczasem było wręcz odwrotnie. Stworzono Jennie wspaniałe, rozwijające warunki.

A teraz ważna rzecz. W tamtych czasach panowało jeszcze bardzo silne przekonanie, że to przede wszystkim wychowanie, a nie natura przesądza o tym, kim jesteśmy. Środowisko, a nie geny determinują nasze życie. Upajano się wiarą, że potrafimy kształtować siebie i świat niemal dowolnie i że biologia nie stawia nam żadnych granic. Socjobiologia była jeszcze w powijakach i traktowano ją jako coś przeraźliwie reakcyjnego, cofnięcie się nawet w stosunku do społecznego darwinizmu dziewiętnastowiecznego. Wielkie dzieło E. O. Wilsona miało zostać opublikowane dopiero w 1975 roku. Wydawało nam się, że Jennie, wychowywana na człowieka i obdarzona inteligencją porównywalną z inteligencją ludzkiego dziecka, już zawsze będzie człowiekiem. Zapomnieliśmy wszakże o jednym: że Jennie nigdy nie była człowiekiem, że miała odruchy, pragnienia i agresję zaprogramowane genetycznie i że ani ona, ani my nad nimi nie panowaliśmy. Biologia to przeznaczenie.

Cóż się więc dzieje, gdy ktoś zostanie wychowany w sposób, który każe mu wierzyć, że jest kimś, kim w rzeczywistości nie jest? Myślę, że mieliśmy już okazję się o tym przekonać, prawda?

Rozdział 5

*Ze „Wspomnień z pewnego życia”
Hugona Archibalda.*

Doktor Pamela Prentiss po raz pierwszy spotkała się z Jennie w kwietniu 1967 roku. Jennie, która była wytrawnym znawcą natury ludzkiej, bardzo szybko potrafiła zakwalifikować nowo poznaną osobę: albo ją lubiła od pierwszego wejrzenia, albo nie. Przesadna serdeczność, napuszość, ale również zbytnia powściągliwość czy nadmierna „sympatyczność” z miejsca budziły jej podejrzenia. Sposób, w jaki potrafiła upokarzać ludzi prezentujących wymienione cechy, nie przestawał mnie zdumiewać.

Dlatego byliśmy szalenie ciekawi jej reakcji na doktor Prentiss. W sprawach oceny ludzi mieliśmy bowiem do Jennie większe zaufanie niż do samych siebie. W głębi duszy więc od tego, jak ją przyjmie, uzależnialiśmy wyrażenie zgody na udział Jennie w programie badawczym.

Bawiliśmy się z nią właśnie na trawniku, kiedy zjawiła się pani doktor. Zrobiła na nas dość mocne wrażenie. Podjechała szybko zabłoconym dżipem, z rozpuszczonymi blond włosami do ramion i w sfatygowanym kapeluszu, który bardzo przypominał stary borsalino Jennie. Miała na sobie dżinsy i roboczą koszulę, co wzbudziło moje uznanie. Gdyby się ubrała w sukienkę, byłbym bardzo sceptyczny co do jej powodzenia w kontaktach z szympanсами.

Ignorując nas całkowicie, podeszła prosto do Jennie i kucnęła przed nią.

— Cześć, Jennie — powiedziała. — Nazywam się Pam.

Uściskamy się? — Miała naturalny, pewny siebie, spokojny sposób bycia, czyli akurat taki, jak trzeba, i Jennie natychmiast wyciągnęła do niej rękę. Doktor Prentiss uściskała ją serdecznie, na co Jennie odpowiedziała pocałunkiem, rzadkim u niej w stosunkach z obcymi, szczególnie kobietami. Na ogół bowiem wołała mężczyzn.

Dopiero po zawarciu znajomości z Jennie doktor Prentiss przywitała się z nami. Muszę przyznać, że mi się to spodobało. Wobec nas zachowywała się trochę nieśmiało czy nawet z dystansem i podejrzewałem, że należy do tych behawiorystów * od zwierząt, którzy lepiej sobie radzą ze swoimi podopiecznymi niż z ludźmi.

Poszliśmy wszyscy do living-roomu, łącznie z Sandym, jako że sprawa dotyczyła całej rodziny. Doktor Prentiss przedstawiła nam z grubsza założenia programu wyjaśniając, jakie są jego cele i metody. Ośrodek Badań nad Naczelnymi na Uniwersytecie Tuftsa prowadził grupę szympanсів, które, bez wyjątku, uczyły się języka migowego, i potrzebny był materiał porównawczy. Takim materiałem miała stać się właśnie Jennie. Chciano zobaczyć, czy Jennie, żyjąca w całkowitej izolacji od własnego gatunku i wychowana na człowieka, będzie się uczyła języka migowego inaczej niż szympansy z ośrodka.

Całe przedsięwzięcie koncentrowało się przede wszystkim wokół problemów lingwistycznych; w mniejszym stopniu chodziło o badanie zachowania naczelnych. Co zaś do wspomnianych problemów z zakresu lingwistyki, są one zbyt specjalistyczne, by je poruszać w tego rodzaju wspomnieniach. Nawet ja nie byłem w stanie ich pojąć.

Dokładność i staranność, z jakimi doktor Prentiss i jej zespół nakreślili sobie cele, wywarły na mnie ogromne wrażenie. Nie był to żaden mglisty plan bez konkretów ani mrzonki w rodzaju „będziemy uczyć szympansa języka migowego i zobaczymy, co z tego wyniknie”, tylko poważne przedsięwzięcie naukowe, które miało odpowiedzieć na pytanie, w jaki sposób szympansy przyswajają sobie „język” i jak się to ma do teorii przyswajania języka przez

* Behawioryzm — kierunek w psychologii, rozpowszechniony głównie w USA, zakładający badanie nie zjawisk psychologicznych, ale zachowania w oderwaniu od aktów świadomości.

ludzkie dziecko.

Był to pomysł fascynujący i oboje, zarówno Lea, jak i ja dostrzegaliśmy zalety poddania Jennie eksperymentowi. Ukułem na ten temat swoją własną hipotezę. Uważałem, że Jennie, wychowywana w ciepłej, kochającej ludzkiej rodzinie, będzie się uczyła znacznie szybciej niż szympanse trzymane w klatkach i nie traktowane jak ludzie. Ostatecznie każdy język — czy to język migowy, czy po prostu angielszczyzna — jest wynalazkiem człowieka.

Pamiętam, że właśnie tamtego dnia podzieliłem się swoją opinią z doktor Prentiss.

Spojrzała na mnie zdumiona.

— Doktorze Archibald — powiedziała dość cierpko — my w naszej pracy staramy się unikać formułowania przedwczesnych hipotez. Zawsze istnieje niebezpieczeństwo manipulowania danymi przez osoby zainteresowane. — Reakcja typowa dla doktor Prentiss, naukowca w każdym calu, chwilami nawet nie liczącego się z uczuciami innych.

Doktor Prentiss uprzedziła nas, że oboje z Leą będziemy musieli nauczyć się języka migowego. Po czym zapytała Sandy'ego, czy i on chciałby opanować ten język.

Sandy był chyba najbardziej z nas podniecony tą perspektywą.

— No jasne! — wykrzyknął z entuzjazmem. — Czy to znaczy, że będę mógł z Jennie rozmawiać?

— Naturalnie, pod warunkiem, że oboje włożycie w to dużo pracy.

— Ekstra — ucieszył się Sandy.

Sara miała w tym czasie zaledwie dwa lata i pomyśleliśmy, że z wiekiem w naturalny sposób przyswoi sobie język głuchoniemych. Zanosilo się na eksperyment bardzo ciekawy dla nas wszystkich.

Nauka języka migowego nie będzie trudna, wyjaśniła doktor Prentiss i dodała, że w pierwszym roku Jennie najprawdopodobniej opanuje nie więcej niż pięć do dziesięciu znaków. W sumie około stu w przeciągu całego pięcioletniego programu. Nigdy nie osiągnie w tym zresztą ani takiej sprawności, ani szybkości jak osoba głuchoniema.

Doktor Prentiss zaproponowała, że będzie przyjeżdżała do nas trzy razy w tygodniu i że w tym czasie sama zajmie się Jennie. Będą się bawiły na dzikiej jabłonce za domem, będą odbywały przejażdżki dżipem i spacerowały po polach golfowych czy nad rzeką. Zażądała też pomieszczenia, w którym mogłaby się z Jennie uczyć i bawić, więc przydzieliliśmy jej duży pokój zabaw w suterenie. Nasza prywatność zostanie uszanowana, zapewniła nas, i reszta domu w tym czasie będzie święta. Wreszcie oświadczyła, że ośrodek wypłaci nam coś w rodzaju stypendium na pokrycie przynajmniej części kosztów utrzymania Jennie.

Omówiliśmy z Leą tę propozycję i ze zdziwieniem stwierdziliśmy, że oboje marzymy o chwili, w której będziemy mogli porozumiewać się z naszą szympanśką. Jennie w jakiś tam sposób rozumiała niektóre słowa, ale niemożność czynnego posługiwania się nimi wywoływała w niej niepokój i zdenerwowanie. Kiedy czegoś chciała, szarpała mnie za nogawkę spodni, krzyczała, pokazywała ręką, a w szczególnych przypadkach waliła pięściami w podłogę i tupała. Jej potrzeby były proste — zwykle chodziło o zabawki, jedzenie, podrapanie czy przytulenie — i mieliśmy nadzieję, że znajomość choćby nawet kilku znaków otworzy przed nią, ale i przed nami nowe wspaniałe perspektywy. Prawdopodobnie w swoich oczekiwaniach przypominaliśmy rodziców głuchoniemego dziecka.

Był jeszcze jeden aspekt całej tej sprawy, który z naszego punktu widzenia przydawał eksperymentowi atrakcyjności. Otóż zajmowanie się Jennie okazało się dla Lei bardzo kłopotliwe i możliwość posiadania profesjonalnej opiekunki dla naszej „przybranej córki” trzy razy w tygodniu bardzo moją żonę ucieszyła. Jennie wyraźnie lubiła doktor Prentiss i nie mieliśmy wątpliwości, że ich wzajemne stosunki ułożą się pomyślnie.

Zanim jednak podjęliśmy ostateczną decyzję, odwiedziliśmy grupę szympanśków przy wspomnianym ośrodku, żeby się przekonać, jak zwierzęta są traktowane.

Ośrodek Badań nad Naczelnymi była to ogromna posiadłość w Hopkilm w stanie Massachusetts, подарowana uniwersytetowi przez impresaria cyrkowego P. T. Barnuma.

Nieoficjalnie kolonię szympanów nazywano „kolonią Barnuma”. Był to obszar o powierzchni czterdziestu akrów, ogrodzony siatką pod napięciem, na którym znajdowały się ogrody, pola, lasy, sadzawki. Cztery szympansy mieszkały w ogromnej ogrzewanej oborze, która kiedyś pełniła funkcję mleczarni. Została ona zamieniona w przestronne i wygodne pomieszczenie, rodzaj wiwarium, w którym szympansy sypiały na wysokich półkach. Poza tym, że miały całkowitą swobodę poruszania się po całym terenie, spotykały się codziennie ze swoimi nauczycielami na parterze rezydencji Barnuma przerobionym na „szkołę”. Nie było tam żadnych klatek.

Kolonię regularnie odwiedzali lekarz, dentysta i specjalista od żywienia. Szympansy były szczęśliwe w sposób tak oczywisty, że wszystkie nasze obawy ustąpiły. Jestem przekonany, że nie było nigdzie na świecie szczęśliwszej i bardziej rozpieszczanej grupki zwierząt. Nawet człowiek czułby się dobrze w takim otoczeniu.

Doktor Prentiss reprezentowała nowe metody badań naukowych nad naczelnymi. Brzydziła się brutalnym ingerowaniem w psychikę zwierząt dla osiągnięcia celów naukowych, na co pozwalali sobie tacy badacze naczelnych, jak doktor Harry Harlow z Uniwersytetu Wisconsin w Madison. Doktor Prentiss była za stosowaniem ludzkich standardów przyzwoitości i dobroci w stosunkach z szympansami.

Wyjaśniła nam również, że po zakończeniu eksperymentu szympansy z jej kolonii zostaną odesłane na pewną wysepkę na Florydzie, gdzie znalazła dla nich specjalny program „rehabilitacyjny” przeznaczony dla szympansów, które kiedyś przebywały w niewoli. Jednym z najbardziej okrutnych aspektów badań nad naczelnymi, podkreśliła, jest los, jaki spotyka zwierzęta po zakończeniu badań, kiedy to są one odsyłane do laboratoriów czy ogrodów zoologicznych, by tam w klatkach dokonać żywota. Ona czuła się odpowiedzialna za losy swoich zwierząt do końca ich życia.

Propozycja doktor Prentiss wywarła na nas głębokie wrażenie i zgodziliśmy się na nią z wdzięcznością, acz nie bez pewnych zastrzeżeń. Przede wszystkim odmówiliśmy przyjęcia pieniędzy;

pomysł brania pieniędzy za wyrażenie zgody na poddanie Jennie eksperymentowi naukowemu wydał nam się odrażający. Ponadto zastrzeżliśmy sobie prawo do obserwowania doktor Prentiss podczas zajęć z jej podopieczną, jak również do przerywania programu w dowolnym momencie i bez podawania przyczyn.

Doktor Prentiss przyjęła nasze warunki i tak rozpoczęła się doniosła podróż Jennie w świat języka.

Z wywiadu z Leą Archibald.

Doktor Prentiss... co ja mogę panu powiedzieć o doktor Prentiss? Chyba nie powinien się pan zwracać w tej sprawie akurat do mnie. Nie była to osoba ciepła. Zawsze szalenie rzeczowa, posługiwała się w rozmowach żargonem zawodowym, w którym nawet najgłupsze rzeczy brzmią ogromnie uczenie. Nie było między nami zrozumienia. Nie podobał jej się sposób, w jaki wychowywaliśmy Jennie — jej, która nigdy nie miała dziecka! I która nigdy nie wyszła za mąż. Można by się zastanawiać dlaczego, prawda?

Uważała, że jesteśmy w stosunku do Jennie niekonsekwentni. Chciała, żebyśmy się zachowywali zgodnie z jej eksperymentalnym programem badawczym, a ja po prostu wychowywałam dziecko.

Owszem, muszę przyznać, że kochała Jennie — na swój ograniczony sposób oczywiście. I że Jennie odwzajemniała to uczucie. Mój Boże, ona była taka słodka i ufna, nawet w stosunku do takich ludzi jak Prentiss.

A jak wyglądała? Ba! Nienagannie. Zrównoważony, piękny sopel lodu o blond włosach. Miała jakieś trzydzieści pięć lat i pochodziła ze starej, bogatej nowojorskiej rodziny, chociaż trudno byłoby to poznać po sposobie, w jaki się ubierała. Połatane dzinsy, byle jaka koszula i zawsze jakiś zwariowany kapelusz. I wyskubywała sobie brwi; to było widać. Jeździła zupełnie po wariacku starym rozklekotanym dżipem, stanowiąc zagrożenie dla wszystkich dzieci z okolicy. Powinna być strasznie mądra, ostatecznie zrobiła doktorat

na Harvardzie itd., itp. Może i była; nigdy nie przeczytałam ani jednej z jej prac o Jennie. I nie mam najmniejszego zamiaru czytać; dziękuję bardzo.

To może zabawne, ale zupełnie nie rozumiem, do czego oni doszli badając Jennie. Hugo nawet próbował ze mną na ten temat rozmawiać, ale wydało mi się to śmieszne. Odkryli na przykład, że Jennie jest mądra. Brawo! Każdy głupi by im to powiedział.

Doktor Prentiss zaczęła nas uczyć języka migowego, ale nie było to aż tak proste, jak nam mówiła. Chociaż w pierwszym roku nauki Jennie powinna opanować zaledwie pięć czy dziesięć znaków, od nas wymagała setek. Dać, pić, jeść, drapać, przytulać, jeszcze, ty, ja, rowerek, przepraszam, brudne (to ostatnie w gruncie rzeczy oznaczało „muszę iść do ubikacji”) i wiele innych. Wymyśliliśmy do tego specjalne znaki zastępujące nasze imiona. Znak Jennie było to „J” w języku migowym — mały palec wystawiony z zaciśniętej pięści, ale skierowany w stronę jej piersi. (Tu nastąpiła demonstracja tego gestu). Mój znak to było „L” wykonane w sposób przypominający „cześć”. O tak. (Znów demonstracja).

Wymagania doktor Prentiss w stosunku do nas były zupełnie nieodzowne. Kiedykolwiek pojawiła się Jennie, musieliśmy używać języka migowego, niezależnie od tego, czy rozmawialiśmy z Jennie, czy tylko między sobą. Wyobraża pan sobie coś podobnego? Było to absurdalne żądanie i natychmiast je zawetowałam. Zresztą w wielu sprawach musiałam sprowadzać doktor Prentiss na ziemię. Ostatecznie był to mój dom i moja córka. To znaczy moja szympansia córka naturalnie. Wymyśliła sobie też, że mamy wykonywać te znaki w milczeniu. „Dlaczego, do diabła, mamy milczeć, skoro Jennie i tak rozumie angielski?” — spytałam. „Nie, nie, dziękuję bardzo, wykonując znaki, będziemy jednocześnie wypowiadali słowa”. Zwróciłam jej także uwagę, że Sara ma zaledwie dwa lata i dopiero uczy się mówić. Jeśli zaczniemy używać przy niej tylko języka migowego, Bóg raczy wiedzieć, co z niej wyrośnie! Jennie nie jest naszym jedynym dzieckiem. Przy całej swojej mądrości doktor Prentiss potrafiła nie dostrzegać rzeczy oczywistych. Nie miała za grosz zdrowego rozsądku.

Proszę mnie źle nie zrozumieć. Możliwość komunikowania się z Jennie była dla nas wspaniałą perspektywą. I uważaliśmy to za rzecz bardzo ważną. Ogromnie nam zależało na tym, żeby otworzyć jej umysł i uwolnić myśli.

Najwięcej entuzjazmu w tych sprawach okazywał Sandy. Opanował język znaków nie wiadomo kiedy. Wiedzieliśmy naturalnie, że nasz syn jest genialny — we wszystkich testach na inteligencję miał wspaniałe wyniki. Trzeba go było widzieć po paru latach nauki. „Gadał” w języku migowym jak szalony, wykonując znaki z biegłością osoby autentycznie głuchej. Obserwowanie go było naprawdę wspaniałym przeżyciem. Ta płynność ruchu! W języku znaków tyle jest wdzięku i gracji. Bierze w nim udział całe ciało i tym przypomina taniec. Jest w pewnym sensie znacznie piękniejszy niż zwykły język mówiony. Niestety, już prawie wszystko zapomniałam, ale mój Boże, ileż to lat...

No więc doktor Prentiss zaczęła do nas przyjeżdżać trzy razy w tygodniu. Owszem, z sutereny dochodziły niesamowite hałasy, kiedy się tam obie z Jennie bawiły, ale nie zauważyłam, żeby używały języka migowego. Czasem wychodziły na dwór i wdrapywały się na dziką jabłonkę i wtedy, owszem, widziałam, jak ona wykonuje znaki, ale ze strony Jennie nie było żadnej reakcji. Hugo i ja jakoś z trudem brnęliśmy przez język znaków, nasz podręcznik był prawie w strzępach, ale Jennie nie okazywała najmniejszego zainteresowania dla naszych wysiłków. Było to szalenie zniechęcające. Siedziała na przykład na podłodze i bawiła się jakimś pluszakiem albo czymś innym, a my z Hugonem pochyleni nad nią, czerwoni na twarzy, z nabrzmiętymi żyłami, wymachiwaliśmy rękami, zaglądając co chwila do słownika i kłócąc się o znaczenie poszczególnych znaków. I wie pan co? Jennie od czasu do czasu zadzierała głowę i patrzyła na nas z takim wyrazem w swoich słodkich oczach, jakby mówiła: „Co ta para idiotów ode mnie chce?”

Po miesiącu tej zabawy wzięłam doktor Prentiss na bok i powiedziałam:

— Co to wszystko ma znaczyć? Dlaczego Jennie nie robi żadnych postępów? Jest wystarczająco inteligentna, żeby sobie

przyswoić te znaki, więc w czym problem? — Czy nie przyjęto złej metody nauczania? — dodałam w duchu.

Doktor Prentiss była bardzo drażliwą dziewczyną, to znaczy kobietą. Od razu się nadęła i oznajmiła, że mamy zbyt wysokie wymagania i że opanowywanie przez Jennie pierwszego znaku może potrwać i pół roku. Pół roku! Myślałam, że mnie szlag trafi. A to niby dlaczego? Po raz pierwszy była mowa o pół roku. Pobiegłam z tym do Hugona, który próbował mnie jakoś uspokoić, ale nie miałam najmniejszego zamiaru tolerować tej kobiety w naszym domu przez sześć miesięcy. Wybuchła wtedy między nami niezła awantura. Boże zachowaj!

*Ze „Wspomnień z pewnego życia”
Hugona Archibalda.*

Doktor Prentiss rozpoczęła intensywną pracę z Jennie późną jesienią 1967 roku. Uważała, że niezbędnym warunkiem nauczenia szympansa języka migowego jest ustanowienie z nim ciepłej uczuciowej więzi. Laikowi może się to wydać oczywiste, ale w gruncie rzeczy sprawa ta była wśród specjalistów przedmiotem licznych kontrowersji. Wielu utrzymywało, że wcześniejsze próby uczenia szympanców języka migowego okazywały się nieskuteczne właśnie z powodu silnej więzi uczuciowej, jaka powstawała pomiędzy badaczem a zwierzęciem. Że taka więź niszczy w człowieku obiektywizm i prowadzi do „podpowiadania” szympancowi. Ten konflikt w środowisku naukowym niestety trwa do dzisiaj. Dalej wielu etologów z tego właśnie powodu nie docenia znaczenia wszystkich eksperymentów z uczeniem szympanców języka znaków.

Ale doktor Prentiss, doktor Epstein i ja byliśmy w tej sprawie innego zdania. Wiadomo, że ludzkie dzieci podczas nauki języka potrzebują bliskiej więzi z matką i wiele miłości. Nie było powodu sądzić, że z szympancami jest inaczej. Mogliśmy naturalnie wprowadzić rygorystyczną metodę nauczania, która by wykluczała jakikolwiek bezpośredni kontakt „ucznia” z człowiekiem,

eliminując tym samym możliwość „podpowiadania”, ale byłby to typowy eksperyment z gwarantowanym negatywnym skutkiem. W tych warunkach nawet ludzkie dziecko nie nauczyłoby się języka, a cóż dopiero szympanś.

Doktor Prentiss spędzała z Jennie dwadzieścia cztery godziny tygodniowo. Po czterech tygodniach, ku naszemu zdumieniu i rozczarowaniu, nie było żadnych pozytywnych wyników. Jennie miała wielkie zdolności naśladowcze, oczekiwaliśmy więc, że opanuje znaki równie szybko jak, powiedzmy, nauczyła się zmywać naczynia, uruchamiać samochód za naszymi plecami, zapalać zapałki, wykręcać żarówki czy strzyc sobie nożyczkami włosy na brzuchu.

Uważaliśmy, że wystarczy dzień czy dwa, żeby złapała pierwszy znak. Tymczasem czekaliśmy miesiąc bez najmniejszej zachęty w postaci choćby nikłego sukcesu. Najbardziej z nas wszystkich był zawiedziony Sandy. Sam zabrał się do nauki z wielkim zapałem i po miesiącu znał już kilkadziesiąt znaków, ale nie widząc postępów u Jennie, zaczął tracić entuzjazm. Doktor Prentiss podtrzymywała nas na duchu, tłumacząc, że naśladownictwo a komunikowanie się to dwie różne rzeczy. Że nauczenie Jennie naśladowania tych gestów byłoby stosunkowo proste, ale nauczenie jej porozumiewania się za ich pomocą to coś zupełnie innego. Z perspektywy czasu ta nasza reakcja wydaje mi się wręcz śmieszna. Byliśmy typowymi rodzicami o nadmiernych ambicjach w stosunku do własnego dziecka, gotowymi winą za brak jego postępów w nauce obarczyć nauczyciela.

Z rozmowy z Leą Archibald.

Zaraz, zaraz... jak to było? Pewnego dnia, mniej więcej w pięć tygodni od chwili, kiedy doktor Prentiss rozpoczęła swój program, gotowałam w kuchni kolację. Doktor Prentiss właśnie wyszła, a Jennie bawiła się koło mnie na podłodze. Musiała się już znudzić,

bo zaczęła walić kubkiem o podłogę. Odwróciłam się i bardzo zła powiedziałam: „Nie!”

Jennie na chwilę przestała, ale znów zaczęła walić, tylko że tym razem i kubkiem, i łyżką. I do tego jeszcze dodała ten ordynarny dźwięk, to typowe dla Bronxu „prrr”, które robiła wargami, wypinając jednocześnie brzuch. Prosto na mnie!

Wiedziała, jak mi dokuczyć. Podniosłam ją i dałam jej klapsa w tyłek. Niech pan się nie oburza. W gruncie rzeczy danie tej małpie po tyłku miało się z celem. Ona po prostu nic nie czuła. Szympansy nie mają miękkich pośladków, to wszystko jest kość, twarda jak skała. Ale przynajmniej trochę mi ulżyło. A ją zdenerwowało, bo była bardzo wrażliwa na nasze nastroje. Chociaż czasami, kiedy obrywała klapsy, udawała, że to zabawa, i próbowała mi oddać. Doprowadzało mnie to do szału.

W każdym razie teraz siedziała na podłodze i kiwała się w przód i w tył zawodząc „Ooo ooo ooo”. Była bardzo rozżalona. W dalszym ciągu zła, zawołałam: „Zamknij się!”

I wtedy Jennie zrobiła znak. Ostępiała spytałam: „Co?”, a potem wykonałam znak „co?” Jennie powtórzyła swój znak, z naleganiem. Oznaczał on „przytulić”, o tak. (Pani Archibald skrzyżowała ramiona na piersi). Zdumiona pomyślałam, że to po prostu taki zwykły, naturalny gest, nie żaden znak. Ona już takie gesty wykonywała wcześniej, potrafiła się w podobny sposób obejmować. Dlatego zasygnalizowałam „przytulić kogo?” — po prostu żeby się przekonać. I wtedy Jennie odpowiedziała mi w języku migowym: „Przytulić, przytulić, przytulić, przytulić Jennie, Jennie!” Powiedziała w języku znaków swoje imię! Jennie! (Pani Archibald znów zademontrowała znak).

Zaniemówiłam. Pokazałam „kto ty jesteś?”, a ona zasygnalizowała „ja Jennie” obydwoma rękami naraz. Dwa znaki. O tak. (Pani Archibald wykonała oba znaki). Powiedziała „ja Jennie!” z wyrazem takiego tryumfu... tak niewątpliwego tryumfu... To było... przepraszam... proszę mi wybaczyć, ale te wspomnienia... Mój Boże... (Nota wydawcy: w tym momencie pani Archibald się wzruszyła i trzeba było przerwać rozmowę).

15 stycznia 1967 r.

Wczoraj poszedłem do Archibaldów zobaczyć Jennie. Przyjeżdża do niej teraz trzy razy w tygodniu specjalna instruktorka, która ją uczy języka migowego. Już od kilku tygodni widzę tę kobietę, jak zajężdża dżipem. Z przykrością muszę powiedzieć, że to osoba bezwzględna i źle wychowana; kazała mi wyjść, kiedy tam byłem. Wygląda na to, że Jennie porozumiewa się już z niektórymi ludźmi ze swego otoczenia za pomocą języka znaków.

Po wyjściu tej kobiety wróciłem i rozmawiałem z panią Archibald. Przez rok czy nawet dłużej zastanawiałem się nad tą sprawą, zanim wystąpiłem z konkretną propozycją.

Na papierze wygląda ona głupio i tak też musiała odebrać ją pani Archibald. Powiedziałem mianowicie, że moim zdaniem Jennie przydałoby się jakieś religijne wychowanie, i spytałem, czy mógłbym ją zabierać na jedno popołudnie w tygodniu.

Reakcja była dokładnie taka, jakiej się spodziewałem: niedowierzanie, a potem źle ukrywane rozbawienie. Wyjaśniłem pani Archibald naturalnie, dlaczego uważam, że nauka o Chrystusie i Bogu mogłaby się Jennie spodobać. Mówiłem o jej inteligencji i dobroci i opowiedziałem szczegółowo o zainteresowaniu, jakie okazała dla krzyża, przypominałem też o jej niewytłumaczalnym przywiązaniu do obrazka przedstawiającego Chrystusa, który jej ofiarowałem. W końcu zadeklarowałem gotowość nauczenia się języka migowego.

Pani Archibald spytała, jakiego rodzaju wychowanie religijne mam na myśli. Czy chodzi mi o Kościół episkopalny?

Roześmiałem się i odpowiedziałem, że nauka religii, o której myślę, byłaby ponadwyznaniowa, że jest to program przeznaczony dla bardzo małych dzieci. Wyjaśniłem też, że nie chodzi mi o sprawy dogmatyczne, że chciałbym jedynie pomóc Jennie zrozumieć i odczuć miłość Boga i Jego Syna Jezusa Chrystusa. Każda nauka religii, podkreśliłem, zaczyna się od najprostszego uczucia:

miłości. A Jennie z pewnością to uczucie pojmuje. „Tak — wymamrotała pani Archibald — Jennie wie, co to jest miłość”. „A zatem potrafi zrozumieć religię, bo każda religia bierze swój początek w miłości” — skonstatowałem. — „Co więcej: religia jest miłością”. Pani Archibald zasugerowała, że taka nauka religii mogłaby pomieszać Jennie w głowie, a mnie przynieść rozczarowanie. Odparłem, że zostałem do tego powołany i że gdyby mi pozwoliła spróbować, byłbym jej głęboko wdzięczny. „Pomysł ten — dodałem — może się wydawać głupi, ale jest to efekt moich długich przemyśleń i żarliwych modłów”. Na koniec uświadomiłem pani Archibald, że Jennie i tak przynajmniej raz w tygodniu nas odwiedza i że się bardzo zaprzyjaźniliśmy. Wspomniałem też, że nigdy z Rebą nie mieliśmy dzieci i że w pewnym sensie traktujemy Jennie jak własne dziecko. Wzruszyło ją to bardzo i obiecała, że porozmawia z mężem i z nauczycielką Jennie, która jest profesorem lingwistyki na Uniwersytecie Tuftsa i pracę z Jennie traktuje jako naukowy program badawczy.

Z wywiadu z doktor Pamelą Prentiss, byłym dyrektorem Ośrodka Badań nad Naczelnymi i profesorem lingwistyki na Uniwersytecie Tuftsa w Malden, stan Massachusetts, jaki przeprowadzałem z nią na uczelni w jej gabinecie w listopadzie i grudniu 1992 roku.

Doktor Epstein wszystko mi wyjaśnił. Wspominał, jakie pan stawia sobie w tej książce cele. Chciałabym w związku z tym dowiedzieć się czegoś o pańskim wykształceniu. Na jakiej podstawie czuje się pan aż takim znawcą przedmiotu, żeby pisać o tym książkę? (Nota wydawcy: w tym momencie nastąpiła długa dyskusja na temat referencji autora, które nie w pełni usatysfakcjonowały doktor Prentiss. Żeby nie nudzić czytelnika, ominąłem tę dyskusję).

Krótko mówiąc, zamierzam z panem rozmawiać tylko dlatego, że mnie o to poprosił doktor Epstein, czy to jest

jasne? Proszę mi wybaczyć mój sceptycyzm, ale wszyscy dziennikarze, z którymi miałam kiedykolwiek do czynienia, byli tragicznie nie doinformowani. Nie stać ich było nawet na wysiłek, żeby zrozumieć daną tematykę. Nie owijając w bawełnę: są leniwi i głupi. Nie będę tu wymieniała nazwisk, ale jako przykład wystarczy choćby ten młody człowiek z „Esquire'a”. Czy pan wie, że jako dziennikarz zaczynał w dziale „Sylwetki wybitnych postaci”? Pisał o gwiazdach filmowych i to go upoważniło do tego, żeby zająć się Jennie! No bo przecież Jennie była gwiazdą. Śmieszne, nie uważa pan? Ale po „Boston Globe” można by się spodziewać naukowej rzetelności. Tymczasem ten niewydarzony reporter nie odróżniał nawet małą człękoksztalnych od nieczłękoksztalnych. Byłoby to śmieszne, gdyby nie było aż tak żenujące.

Przyniosłam tu dla pana kilka lektur: prace naukowe, odbitki artykułów, monografie. To na początek, a gdyby pan potrzebował więcej... widzi pan te trzy półki? To wszystko materiały naukowe dotyczące badań nad Jennie. Większość z tego też będzie pan musiał przeczytać. Bardzo interesujące, jeśli się poświęci na to trochę czasu.

Chciałabym, żeby jedno było jasne: zamierzam z panem rozmawiać, ale na pewnych ściśle określonych warunkach. (Nota wydawcy: znów większa część tej dyskusji została pominięta).

Spodziewam się, że wreszcie pan napisze rzetelną prawdę. Przeczytałam już na temat naszego programu tyle kłamstw, że mam tego serdecznie dosyć. Jeśli je pan w tej książce sprostuje, odda nam pan wielką przysługę. Sądzę, że nie ma pan nic przeciwko temu, żebym nastawiła podczas naszej rozmowy także i swój magnetofon. Nie dlatego, żebym panu nie ufała, ale...

Wzięłam ze sobą trochę notatek. Ops! Cholera! Może by mi pan pomógł to pozbierać. Do diabła...! Wszystko mi się pomieszało. Zaraz... chwileczkę... Pracę z Jennie rozpoczęłam 1 maja 1967 roku. Pierwszych dwóch znaków nauczyła się po pięciu tygodniach, to znaczy... zaraz, zaraz... 4 czerwca 1967 roku. Były to „prytulić” i „ja”. 6 czerwca Jennie spontanicznie powiedziała językiem znaków do swojej przybranej matki, pani Archibald:

„Przytulić ja Jennie”. Pani Archibald odniosła wrażenie, że była pierwszą osobą, do której Jennie skierowała swoje znaki. Nie wprowadzałam jej z błędu. Dlaczego? Przyczyna jest chyba jasna.

Otóż moja metoda nauczania polegała na tym, że kiedy mówiłam dane słowo, układałam ręce Jennie w odpowiedni znak. Zawsze bowiem wykonując znaki mówiliśmy jednocześnie odpowiadające im słowa. Jennie zresztą wiele słów rozumiała. Układałam więc na przykład jej ręce w znak „przytulić”, po czym w nagrodę ją przytulałam. Gdy tylko Jennie opanowała jakiś nowy znak, spełniałam jej życzenie tylko wtedy, gdy je wyraziła w języku migowym. Na przykład od kiedy opanowała znak „pić”, dostawała pić tylko po jego wykonaniu. Nagrodami za poprawnie wykonane zadania były więc picie, przytulenie czy inne rzeczy, o które jej właśnie chodziło.

W przeciwieństwie do wielu uczonych zajmujących się wcześniej tą problematyką, nigdy nie nagradzaliśmy Jennie jedzeniem. Jediną nagrodą był dla niej fakt, że jest rozumiana. Postępowaliśmy z nią tak, jakby była dzieckiem ludzkim. Chcieliśmy bowiem odtworzyć dokładnie proces, w którym dziecko przyswaja sobie język. Małemu człowiekowi też przecież nie wpychamy jedzenia za każdym razem, kiedy coś powie, prawda? Naturalnie, że nie.

Warunki w domu Archibaldów nie były idealne. Panował tam ogólny bałagan, ale i tak Jennie robiła niebywale szybkie postępy. Nasze szympansy z kolonii Barnuma uczyły się mniej więcej o połowę wolniej. Jennie w dużej mierze zawdzięczała swój sukces synowi Archibaldów, Sandy'emu. Chłopak opanował język migowy tak szybko jak dziecko głuche i bardzo często porozumiewał się z nią za pomocą znaków. Niestety, przybrani rodzice Jennie, w szczególności pani Archibald, nie brali udziału w programie, a szkoda, bo gdyby był on realizowany konsekwentnie, Jennie uczyłaby się jeszcze szybciej. Zwłaszcza gdyby w jej stosunkach z przybraną matką była jakaś konsekwencja.

Wielkim problemem, przed jakim stanęliśmy, okazał się fakt, że Archibaldowie co roku w sierpniu wyjeżdżali na wakacje. Oznaczało to dla mnie zawsze przerwę w pracy z Jennie.

No i ten stary zdziwaczały duchowny z naprzeciwka, który mi nieustannie wchodził w paradę. Zachęcany zresztą przez panią Archibald. Mogłabym to jeszcze zrozumieć, gdyby była ona osobą wierzącą. Ale nie była. Wyraźnie zazdrosna o moje stosunki z Jennie, robiła co mogła, żeby mi dokuczyć. Bardzo trudna osoba. Ten pastor, czy kto to tam był, opanował najprostsze zasady języka migowego i do tego jeszcze sam powymyślał jakieś znaki, a to mi komplikowało realizowanie programu w sposób wprost niebywały. Nigdy jeszcze nie pracowałam w tak trudnych warunkach. Co tydzień musiałam „odrabiać” z Jennie to wszystko, co zdołał zepsuć ten koszmarny człowiek. Przez niego na przykład Jennie nie nauczyła się znaków określających „niebo” czy „chmury”, ponieważ myliła je z jakimś prymitywnym znakiem „Bóg”, którego nauczył ją ten pastor. Ilekroć zobaczyła brodatego mężczyznę, pocierała sobie głowę. Nie mogłam za żadne skarby zrozumieć, o co chodzi. Dopiero później dowiedziałam się, że ten gest miał oznaczać „Jezusa”. Pewnego dnia zobaczyłam, że Jennie wykonuje ten ruch, nie mający zresztą nic wspólnego z językiem migowym, i w osłupieniu doszłam do wniosku — przepraszam, nie wiem, czy mi pan uwierzy — że ona się żegna. Patrząc na to teraz, z perspektywy czasu, sama nie mogę uwierzyć, że ten człowiek chciał zrobić z Jennie chrześcijankę. Dlaczego Archibaldowie się na to godzili, na zawsze pozostanie dla mnie tajemnicą. Doktor Archibald był rozsądnym człowiekiem i niezłym uczonym, ale co się tyczyło spraw Jennie i rodziny, całkowicie zdawał się na żonę. A ona... no cóż... ona była trudną osobą. Trudną kobietą. I ten jej głos... dosłownie lodowaty. Zresztą, pan ją przecież poznał. Czy muszę mówić coś więcej?

Istniały jeszcze inne przeszkody. Jak na przykład to, że żadne z dzieci, które się z Jennie bawiły, nie znało języka migowego. To również musiało wpływać hamująco na jej postępy, ale zarazem potwierdzało tezę, że szympansy w sprzyjających warunkach uczą się znacznie szybciej.

Spodziewaliśmy się, że w pierwszym roku nauki Jennie opanuje około pięciu znaków — opanowała dwadzieścia jeden. Zaraz... chwileczkę, niech spojrzę do notatek. Cholera! Wszystko mi się

pomieszało. Gdzie to ja położyłam moje okulary? O, są. W drugim roku nauki Jennie przyswoiła sobie czterdzieści cztery znaki, w trzecim sześćdziesiąt, w czwartym pięćdziesiąt i w piątym siedemnaście. W sumie sto dziewięćdziesiąt trzy znaki. Zaraz, czy ja się nie pomyliłam? Wydawało mi się, że więcej. Chwileczkę, muszę jeszcze raz to wszystko dodać. Zawsze noszę ze sobą kalkulator. To jest dobrodziejstwo. Hm. Tak, jednak sto dziewięćdziesiąt trzy znaki. Ale to i tak bardzo dużo. Więcej niż jakikolwiek inny szympan w tym samym czasie. Penny Patterson nauczyła tę gorylicę Koko sześćdziesiąt znaków. I nie ma w tym żadnego naciągania. Byłam tam i widziałam to na własne oczy. Jestem przekonana, wiem, że gdybym mogła kontynuować mój program, nauczyłabym Jennie tysiąca znaków. Szympany są znacznie bystrzejsze od goryli.

W każdym razie z tych stu dziewięćdziesięciu trzech znaków dwadzieścia pięć Jennie wymyśliła sama. Nigdy do tej pory nie zauważono, żeby jakikolwiek szympan wymyślił choćby jeden jedyny znak. Nasza pierwsza praca dotyczyła tych właśnie wynalezionych przez nią znaków. O, mam ją tutaj, w tym tomie. „Sprawozdanie z trzydziestej trzeciej dorocznej konferencji Północnoamerykańskiego Towarzystwa Lingwistycznego”. Pan musi mieć gdzieś tam u siebie odbitkę. Czy to może to? Nie. Ale powinna być u pana. Chyba że się zawieruszyła tu u mnie. Zaraz... zobaczmy. Nie, jednak pan ją musi mieć u siebie.

Te cztery szympany z naszej kolonii opanowały: jeden dziewięćdziesiąt jeden, drugi sto jeden, trzeci pięćdziesiąt cztery i czwarty sześćdziesiąt sześć znaków. Żaden z nich jednak nic nie wymyślił. Podczas trwania programu Jennie za pomocą przyswojonych przez siebie znaków dokonała ponad trzydziestu tysięcy wypowiedzi. O tylu wiemy. Ale oczywiście kiedy mnie nie było, nikt nie notował tego, co mówiła. Używamy określenia „wypowiedzi”, ponieważ zakwalifikowanie ich jako zdań jest problematyczne. Istnieje wśród uczonych spór co do tego, czy szympany tworzą zdania. I czy w ogóle mają jakiś język. Ale to jest piramidalna bzdura, bo naturalnie mają. Kiedy na przykład Jennie mówi: „Dać

Jennie jabłko”, to co to, do diabła, jest jak nie język? Ludzie są beznadziejnie głupi. Proszę mi wybaczyć dosadne wyrażenia. Ale to inna sprawa. W dalszym ciągu analizujemy te dane.

Otóż po raz pierwszy zadziwiła nas Jennie tym, że, jak mówiłam, sama wymyślała znaki. Na przykład znak „bawić się”. Zaraz... kiedy to było?... w kwietniu 1968 roku. Na prima aprilis. O! Jest ta praca. Wiedziałam, że muszę ją tu mieć. Na pewno zechce ją pan przeczytać. To zaledwie trzydzieści stron. Gdyby pan miał kłopoty z terminologią, bardzo proszę do mnie zadzwonić. Czy pan zna „Gramatykę generatywną i struktury głębokie: Wstęp do lingwistyki przyszłości”? Co? Naturalnie, że książka. I to wybitna. Wprowadzenie do lingwistyki przyszłości. Doskonale się czyta. Dzieło wybitnego lingwisty V. R. Czerczywicza. Mogę panu pożyczyć ten egzemplarz.

No więc było tak. Miałam właśnie lekcję z Jennie w naszym pokoju do nauki w suterenie. Na zewnątrz świeciło słońce i Jennie zaczęła się niespokojnie kręcić. Wydawała różne odgłosy i usiłowała otworzyć zamknięte drzwi. Nie zwracałam na to uwagi. Zgodnie ze stosowaną przez nas metodą udawałam, że nie wiem, o co jej chodzi, dopóki nie powiedziała mi tego w języku znaków. Jennie nie znała znaku „bawić się”, ale uderzyła w podłogę. Był to świadomy ruch, który w jakiś niesamowity sposób skojarzył mi się ze znakiem. Tytułem eksperymentu powtórzyłam za nią ten gest. W odpowiedzi Jennie uderzyła w podłogę i zaczęła szarpać za gałkę drzwi. Zapytałam ją w języku migowym: „Jennie chce wyjść się bawić?” Na określenie „bawić się” użyłam jej znaku — uderzyłam w podłogę. Jennie uderzyła w podłogę trzy albo cztery razy pod rząd między znakami, sygnalizując „tak, tak, tak”.

W nagrodę poszłyśmy się bawić w jej ulubionego berka łaskotanego.

Od tej pory, kiedy chciała się bawić, uderzała w podłogę albo w ziemię. Robiła to zawsze, gdy widziała dzieci. A czasem na widok psa czy kota. Zabawa z psem w jej pojęciu polegała na gonieniu go i ciągnięciu za ogon.

Kiedy dostała tego kociaka, często zanim go wzięła na ręce i

zaczęła się nim bawić, natarczywie powtarzała znak „bawić się”.

Zaraz, muszę się zastanowić, co jeszcze powinien pan wiedzieć. Aha. Kiedy jej na czymś bardzo zależało, sygnalizowała obydwoma rękami naraz. Początkowo próbowaliśmy ukrócić tę praktykę. Jennie jednak nie ustępowała, więc poddaliśmy się w końcu i najpierw Sandy zaczął sygnalizować na dwie ręce, a potem ja — dla nadania wagi naszym przekazom. Ciekawa rzecz, że dzieci głuche postępują podobnie. Lingwistyczne podobieństwa pomiędzy ludźmi a szympanсами są naprawdę zadziwiające.

I jeszcze jedna interesująca rzecz. Jennie szybko zaczęła posługiwać się językiem migowym w celu wyprowadzenia nas w pole albo obrócenia sytuacji na swoją korzyść. Na przykład kiedy pokazywała znak „brudne”, sygnalizując w ten sposób potrzebę pójścia do toalety. A znak „brudne” wygląda tak. (Doktor Prentiss zademonstrowała znak, poklepując się po podbródku wierzchem dłoni).

Jennie szybko odkryła, że może się wyrwać z nużącej lekcji, sygnalizując „brudne”, mimo że wcale nie miała potrzeby wyjścia. Prowadziliśmy ją wtedy szybko do ubikacji, gdzie nic się nie działo. Zdarzało się to coraz częściej. Wreszcie zrozumieliśmy, o co chodzi: Jennie nas oszukiwała. Naturalnie czasem naprawdę musiała wyjść, kiedy więc zaistniała taka sytuacja, a myśmy jej nie dowierzali, sygnalizowała „brudne, brudne, brudne” obydwoma rękami, o tak. (Doktor Prentiss zademonstrowała mi oburącz znak „brudne”).

Jeśli na przykład prosiła o banana, a nie dostawała go dostatecznie szybko, często sygnalizowała „banan! banan!” obydwoma rękami, o tak. (Doktor Prentiss i tym razem zademonstrowała mi, jak robiła to Jennie).

Jennie posługiwała się językiem nie gorzej od ludzkiego dziecka. Nigdy nie zapomnę, kiedy zdałam sobie z tego sprawę. Usiłowałam zakończyć zabawę i przejść do nauki, ale ona nie chciała współpracować. Byłam coraz bardziej zdenerwowana i wreszcie nie mogąc sobie z nią poradzić, założyłam jej smycz. Dla Jennie była to najwyższa kara. Rzuciła się do mnie zjeżona i zląkłam się, że mnie ugryzie.

Zamiast tego jednak gwałtownie zasygnalizowała obydwoma rękami tuż przed moim nosem: „gryźć, zła, zła, gryźć!” Było to dla mnie wstrząsające i jednocześnie upokarzające doświadczenie.

A zdarzyło się to... zaraz, gdzie się podziały te cholerne notatki?... 5 października 1968 roku.

Z rozmowy z Leą Archibald.

W tym czasie miał miejsce jeden z najdziwniejszych epizodów w życiu Jennie. Czy wspominałam panu o pastorze kościoła episkopalnego, który mieszkał naprzeciwko nas po drugiej stronie ulicy i był podobny do Charliego Browna? Otóż Jennie odwiedzała go regularnie i w czasie tych wizyt dosłownie obżerała się ciasteczkami czekoladowymi, które popijała mlekiem. To zdumiewające, że ta jego żona w ogóle wpuszczała ją do domu. No więc ten pastor zwrócił się do mnie z propozycją — nie wiem nawet, jak to panu powiedzieć — nawrócenia Jennie na chrześcijaństwo i zapewnienia jej wychowania religijnego. Powiedział, naprawdę, nie żartuję, że Bóg go powołał do tego, żeby szerzył chrześcijaństwo wśród biednych niewinnych zwierzątek czy coś w tym rodzaju. Wyobraża pan sobie? Z trudem powstrzymałam się od śmiechu. Mówił jednak tak serio i był tak speszony, że obiecałam porozmawiać z mężem. Okazywał przecież Jennie wiele serca.

Pomyślałam, że Hugo ukręci łeb całej sprawie, bo przecież nie wierzył w Boga ani nic z tych rzeczy, ale ten pomysł wydał mu się niesłychanie zabawny. Ryknął śmiechem i oświadczył, że nie widzi w tym nic złego. „Jennie będzie zachwycona — powiedział — bo ona bardzo lubi, żeby jej okazywać zainteresowanie. Poza tym zyskamy jeszcze jedno wolne popołudnie w tygodniu, a zresztą walebnny Palliser jest człowiekiem bardzo przyzwoitym, poważnym i miłym”.

Powiedziałam o tym doktor Prentiss, a ona — wpadła w szal! Jeszcze dziś, kiedy sobie o tym przypomnę, nie mogę się

powstrzymać od śmiechu. Była oburzona. „Co takiego? Ten klecha chce zapewnić Jennie wychowanie religijne?! Co za perwersja!”

Wyjaśniłam jej, że to nieszkodliwy starszy człowiek, którego Jennie bardzo lubi. Cały ten pomysł wydał jej się dziełem diabła. Widziała w nim wielkie zagrożenie dla swojego eksperymentu. Zastanawiałam się nad tym przez jakieś dwie sekundy i w końcu uznałam, że to, co jest dobre dla Jennie, niekoniecznie musi być dobre dla doktor Prentiss i jej eksperymentów. Są sytuacje, w których matka musi zdecydować, co jest dobre dla dziecka.

Tak więc Jennie zaczęła raz na tydzień chodzić do wielbego Pallisera. Wracała z koszulą obsypaną z przodu okruchami ciasteczek. I z wielkimi białymi wąsami od mleka. Psuł ją niesamowicie. Nie mogę się nadziwić, że jego żona to wszystko tolerowała. No cóż, nigdy nie mieli dzieci. To pewnie dlatego.

Do tej pory Sara zdążyła już skończyć dwa lata i osiągnęła straszny wiek. Chociaż w porównaniu z dwuletnim Sandym wydawała się po prostu aniołem. Kiedy Sandy nauczył się słowa „nie”, nastął sądny dzień. Po przybyciu Jennie „nie” stało się w naszym domu stałym refrenem. Hugo mówił mi, że wykrzykiwałam „nie!” przez sen. O Boże. Sandy dostał kiedyś od swojej ciotki azjatyckiego gadającego ptaszka majna, którego trzymaliśmy w klatce w kuchni. Ten piekielny ptak nauczył się tylko dwóch rzeczy. Naśladował ogłuszający wrzask szympansa i nieustannie powtarzał: „Nie! nie! nie!” Teraz może się to wydawać zabawne, ale wtedy nie widzieliśmy w tym nic śmiesznego, pozbyliśmy się tego ptaka bardzo szybko. I tak bez jego popisów było w domu dosyć hałasu.

Zaraz, na czym to ja skończyłam?

Aha, już wiem. Początkowo Jennie bardzo się interesowała Sarą. Nosiła ją po domu, a nawet od czasu do czasu karmiła. Sadyła ją w wysokim foteliku, dawała jej jeść, a potem wycierała. Był to wrzuszający widok: zwierzę karmiące łyżką dziecko. Kiedy Sara miała około dwóch lat, stwierdziliśmy, że nie przepada za Jennie.

Była dzieckiem spokojnym i lubiła porządek w domu. Zawsze na przykład bez proszenia sprzątała po sobie zabawki. Nie chciała, żeby jej szympans czy ktokolwiek inny w tych zabawkach grzebał. A Jennie włożyła wszędzie i wszędzie robiła bałagan.

Kiedy wzięła jakąś zabawkę Sary, mała wybuchała płaczem. Wtedy Jennie szybko oddawała zabawkę, ponieważ — niech mi pan wierzy — nie znosiła, żeby ktoś z nas płakał. Miała wówczas bardzo zatroskaną minę, popiskiwała, mówiła „Oo oo oo” i próbowała wytrzeć tej osobie łzy. Pan wie, szympansy nie potrafią płakać. Nie mają kanalików łzowych czy jak to się tam nazywa. A może nie mają akurat tych ośrodków mózgowych? Nie, z tym mózgiem to chyba chodziło o mowę. Nie wiem, wszystko mi się myliło z tymi ich eksperymentami.

Kiedy Sara zaczęła chodzić, stało się dla nas jasne, że obecność Jennie jej przeszkadza. Wystarczyło, żeby Jennie spojrzęła w stronę Sary, a już mała ścisnęła zabawki w swoich dziecinnych łapkach i próbowała z nimi uciekać. Biedna Sara! Towarzystwo hałaśliwego i niesfornego szympansa to nie był jej sposób na życie.

Sara oczywiście nauczyła się trochę języka migowego. Nie tak jak Sandy, ale wiedziała, jak powiedzieć Jennie, żeby się wynosiła. „Wynoś się” albo „niedobra Jennie” potrafiła zasygnalizować w wieku dwóch lat. Wyobraża pan sobie?

W pierwszym roku nauki Jennie musiała opanować pięćdziesiąt znaków. Naprawdę była genialna. Po roku Sandy i Jennie „gadali” ze sobą jak zawodowcy. Obowiązywał specjalny rytuał. Kiedy Sandy wracał ze szkoły, szli we dwójkę prosto do kuchni szukać jedzenia. Jennie sygnalizowała jak szalona, że chce jeść.

Co? Mam pokazać? Skąd, ja od siedemnastu lat nie używałam języka migowego. Zaraz... spróbuję... (Nota wydawcy: w tym momencie pani Archibald wstała i pokazała wszystkie znaki, jakie występowały w jej opowieści).

No więc Jennie mówiła: „Ja Jennie jeść” — o tak.

Sandy wracając ze szkoły, zawsze coś pojadał i Jennie wiedziała, że i ona też coś dostanie. W te nieliczne dni jednak, kiedy San-

dy wracał ze szkoły później albo szedł do kolegi się bawić, Jennie chodziła smutna, aż wreszcie wpadała do kuchni z hałasem i pohukiwaniem, domagając się jakiegoś smakołyku.

Ale, jak już mówiłam, zaraz po powrocie Sandy'ego ze szkoły szli razem do kuchni. Sandy pytał: „Co Jennie jeść?” Bo to Sandy musiał jej dawać jedzenie, ponieważ Jennie pod żadnym pozorem nie wolno było dotykać lodówki. Kiedy podrosła, musieliśmy zamknąć lodówkę na kłódkę. Jennie nie panowała nad sobą zupełnie.

Na przykład sygnalizowała: „Jeść Jennie, jeść pomarańcza” albo coś w tym rodzaju. Zanim Sandy zdążył znaleźć tę pomarańczę w lodówce, sygnalizowała jak szalona: „Pomarańcza, pomarańcza, pomarańcza!” Ta szympansica nie miała za grosz cierpliwości! I wtedy Sandy się złościł i mówił Jennie, żeby się zamknęła, o tak: „Jennie czekać, zamknąć się!”

Ciągła konieczność używania języka migowego była dla mnie bardzo uciążliwa, zwłaszcza jeśli akurat gotowałam obiad. Jennie przecież sporo rozumiała po angielsku. Sandy cały czas porozumiewał się z nią znakami. Robił to prawie nieświadomie. Czasem, kiedy się na mnie złościł, zaczynał jednocześnie na mnie wrzeszczeć i sygnalizować mi przed samym nosem.

Początkowo zachowanie Jennie przy stole było tragiczne. Sandy wziął więc na siebie trudny obowiązek poprawienia jej manier. Kiedy piła mleko, pokazywał jej „czysta buzia”. A gdy wypluwała jedzenie: „Nie, Jennie jeść jedzenie”. Wtedy Jennie w odpowiedzi sygnalizowała: „Złe jedzenie, złe jedzenie” o tak, a Sandy na to: „Jennie zamknąć się, nie wypluwać, jeść jedzenie”. W tych rzadkich przypadkach, kiedy to nie pomagało i Jennie dalej wypluwała, Sandy karcił ją ostrzej. „Nie, Jennie, nie wypluwać jedzenie, niedobra, niedobra Jennie”. Zwykle wtedy Jennie spuszczała głowę i sygnalizowała: „Przepraszam, przepraszam, przepraszam”.

Czasami Sandy wykazywał przy kolacji nadgorliwość w strofowaniu Jennie i wtedy bywało, że Jennie się na nim odgrywała. Kiedy na przykład pił mleko, sygnalizowała: „Czysta buzia, czysta

buzia”, jeszcze zanim skończył picie. Oczywiście nie lubił, żeby mu Jennie zwracała uwagę. Odpowiadał jej „Zamknij się”, na co Jennie zaczynała podskakiwać na krześle, powtarzając uparcie: „Czysta buzia, czysta buzia!” Jak to między rodzeństwem. Sandy dostawał szału. Ale czy można się było długo na nią złościć? Dobrze wiedziała, co robić, żeby człowieka rozbroić. Pamiętam, że kiedyś wyszorowałam podłogę proszkiem Babbo i Jennie była oczarowana, widząc, jak wysypuję ten proszek z puszki. Ciągle usiłowała dostać się do schowka i sprawdzić, jak to z tą puszką jest. Powiedziałam jej „nie” i myślałam, że to wystarczy. Wyszedłam z kuchni i kiedy po kilku minutach wróciłam, Jennie siedziała na podłodze, cała obsypana proszkiem, którego pełno też było dokoła niej. Spojrzała na mnie, ale zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, zaczęła sygnalizować: „Przepraszam, przepraszam, przepraszam!”

To mnie rozwścieczyło jeszcze bardziej. Przecież doskonale wiedziała, że robi źle, ale uważała, że sygnalizując „przepraszam” uniknie kary. Złapałam ją za ucho, żeby jej przyłożyć w tyłek, ale w tym momencie pokazała: „Ja Jennie! Przytulić Jennie!” Opadły mi ręce. Jak mogłabym ją uderzyć, kiedy ona mówi do mnie takie rzeczy?! Kiedy krzyczy, że jest Jennie i żeby ją przytulić. Wiedziała, szelma, jak mnie rozbroić.

Jennie, pomimo całej swojej psotności, była bardzo dobrym stworzeniem. Ilekroć kogoś z nas coś bolało czy był chory, okazywała wielką troskę. Kiedy widziała, że Sandy płacze, rzucała to, co akurat robiła, przytulała go, dotykała jego łez i próbowała je obe- trzeć. Można powiedzieć, że nasze dobro leżało jej na sercu.

To musiało być latem 1969 roku. Nigdy w życiu nie miałam wietrznej ospy i musiałam się od kogoś zarazić. Pochorowałam się okropnie.

Stałam akurat w kuchni przy stole i kroiłam pomidory z naszego ogródka, a Jennie bawiła się na podłodze. Cały dzień czułam się źle i nagle dostałam mdłości. Pobiełam na dół do łazienki i wymiotowałam. Jennie przybiegła za mną, bardzo zdenerwowana. Zaczęła mnie obejmować przytulając, popiskując i kładąc mi swoją małą łapkę na czole.

Ale naprawdę zdumiało mnie to, co zrobiła zaraz potem. Zasygnalizowała „złe, złe!” pod adresem muszli klozetowej. którą następnie zaczęła okładać pięściami! „Złe brudne, brudne złe!” powiedziała waląc w sedes, jakby to on był wszystkiemu winien. „Brudne” oznaczało bowiem w języku migowym zarówno potrzebę pójścia do toalety, jak i sam klozet.

Potem poszła za mną na górę i pomogła mi rozścielić łóżko, a kiedy się położyłam, ukucnęła obok, całując mnie w rękę i ocierając mi pot z czoła. Szybko zauważyła pojawiające się na moim czole i ramionach wypryski. Dotykała ich lekko palcami, pohukując smutno i pokazując: „Boli, boli, Lea boli”.

Wtedy już czułam się naprawdę fatalnie. „Boli” było jednym z ulubionych znaków Jennie. Kiedy zobaczyła u kogoś strupek, sygnalizowała „boli”. Dotykała go palcem i pytała „boli?” Albo na przykład gdy uderzyła się w kolano, biegła do nas, sygnalizując nerwowo „boli” i każąc się pocieszać. Dopiero kiedy zaczęła w kółko powtarzać ten sam numer, zorientowaliśmy się, że nas nabiera, że to wcale nie chodzi o ból. Mała oszukanka!

No więc Jennie zaczęła drapać moje wypryski, mówiąc przy tym: „Idź złe, złe”. Kiedy jej powiedziałam, żeby przestała, siedziała smutna i zatroskana, mówiąc: „Boli, Jennie boli”.

Mimo okropnego samopoczucia byłam wzruszona. „Jennie boli”. Moja choroba sprawiała jej ból. Ze wzruszenia chciało mi się płakać. Jennie taka była zatroskana, tak się o mnie martwiła! Hugo przeniósł mnie do pokoju gościnnego i Jennie była przy mnie całą noc, podając mi wodę, kiedy ją o to poprosiłam, głaszcząc mnie po głowie i poczesując włosy, całując mnie i okazując najprawdziwsze współczucie. Więcej niż współczucie; Jennie się o mnie bała. Dawała mi nawet swoje łakocie nalegając, żebym jadła, mimo że nie byłabym w stanie nic przełknąć. Sygnalizowała „jeść, jeść” albo „jeść jabłko, jabłko”, jednocześnie wpychając mi do ust obrzydliwe nadgryzione jabłko.

W ciągu dwóch tygodni mojej choroby prawie nie opuszczała mojego pokoju. Słyszała, jak Sandy bawi się na dworze z kolega-

mi, i wyglądała wtedy przez okno, ale nie wychodziła. Jej stała obecność, w dzień i w nocy, była dla mnie niezmiernie uciążliwa, ale kiedy Hugo usiłował ją zabrać, urządziła taki wrzask, że z dwojga złego woleliśmy ją zostawić. Przez te dwa tygodnie ze zmartwienia tak schudła, że sama robiła wrażenie chorej. Cóż to było za pocziwe stworzenie...

Tak, Jennie była bardzo dobra, co stanowiło jedną z jej głównych zalet. Czasami jednak nie zdawała sobie sprawy ze swojej siły i nie rozumiała, że ludzie są od niej o wiele słabsi. Bywała w związku z tym znacznie brutalniejsza, niżby chciała. Czy pan wie, że dorosła szympanśica jest trzy do pięciu razy silniejsza od mężczyzny?

Jej dobroć zresztą nie ograniczała się tylko do ludzi. Czy ja już panu mówiłam o jej kociaku? Jennie ogromnie lubiła oglądać fotografie zwierząt w ilustrowanych magazynach; w szczególności upodobała sobie koty. Pewnego dnia Sandy, Jennie i ja oglądaliśmy jakieś pismo, już nie pamiętam jakie, w którym był obrazek przedstawiający dwa rozkoszne kocicęta w skrzynce na listy.

Jennie zasygnalizowała, o tak, „kot, kot”. Sandy spytał ją wtedy, czy chciałaby kota. Cała się rozpromieniła i zaczęła sygnalizować: „Dać kot, dać kot Jennie”.

Dlaczego nie? — pomyślałam. Poszliśmy do przytułku dla zwierząt i przynieśliśmy Jennie kociaka. Był to mały szarobiły kotek, mieszaniec ze syjammem, i Sandy nazwał go Booger T. Archibald. Proszę mnie nie pytać, dlaczego akurat tak. Wypuściliśmy kota przy Jennie, ale... okazało się to błędem. Powinniśmy byli wiedzieć, że Jennie nie lubi niespodzianek. Kiedy na przykład przyszła do nas jakaś paczka i ktoś ją przez nieuwagę zostawił w przedpokoju, potrafiła w nią ze strachu uderzyć albo ją nawet podeptać. W ten sposób potłukła kiedyś jakiś przedmiot ze szkła Lalique, który mi przysłała matka: po prostu wskoczyła na pudełko i zgmiotła zawartość. Cały wysiłek poczty, żeby przesyłka dotarła w stanie nietkniętym, poszedł na marne!

Ale wracam do kociaka. Kiedy Jennie go zobaczyła, zasygnalizowała: „Zły kot, zły kot nie chciec!” i rzuciła się na niego cała zjeżona; ledwie go uratowaliśmy. Byliśmy przerażeni. Potem

Jennie poszła do kąta nadąsana, a myśmy się zastanawiali, co z tym fantem zrobić. Tymczasem kociak zaczął łaźić po domu i zauważyliśmy, że zmierza w jej stronę. Sandy skoczył mu na pomoc, ale Jennie była szybsza: delikatnie wzięła go na ręce i zaczęła głaskać. Po prostu przestraszyła się wtedy, i to wszystko.

Od tej chwili stali się nierozłączni. Jennie miętosila tego nie szczęśnika dzień i noc. Sadała go sobie na karku i Booger, uczepony jej kurczowo, towarzyszył Jennie wszędzie, gdziekolwiek się ruszyła. To znów kiedy indziej brała go na ręce i kołysała jak niemowlę, a Booger mruczał jak mały motorek. Nawet próbowała jego jedzenia, okropnie się przy tym wykrzywiając. Kocie jedzenie było dla niej symbolem tego, co najgorsze. Śmierdziało mięsem i rybą.

Okazywała Boogerowi prawdziwą czułość, chociaż nie sędzę, żeby był zachwycony szympansimi pieścotami. Jeśli się na przykład zdarzyło, że akurat jadł, a w sąsiednim pokoju wydarzyło się coś interesującego, Jennie bezceremonialnie przerywała mu posiłek i zabierała ze sobą, nie licząc się z tym, że może wolałby najpierw skończyć jedzenie. Biedny kociak był noszony dosłownie dzień i noc i nigdy nie mógł sobie pospać na kanapie jak przystało na prawdziwego kota.

Jennie i Sandy kłócili się nieraz o Boogera. W „Najeźdźcach z kosmosu” nie było roli dla kota. Sandy mówił, żeby go Jennie zostawiła, a ona na to, że nie, i sadała sobie kota na karku, zajmując wskazaną pozycję na trawniku. Kiedy Sandy ponownie kazał jej zostawić kota, sygnalizowała w odpowiedzi „kot Jennie!”, cały czas trzymając i przerzucając biedaka z ręki do ręki. Kiedyś po długich targach postawiła Boogera na ziemi i przykazała mu na migi: „Zostać, zostać!” Myślałam, że pęknę ze śmiechu.

Jennie w stosunku do wszystkich używała języka migowego — czy były to zwierzęta, ludzie, czy obrazki w książkach. Nie docierało do niej, że zwierzęta nie znają języka znaków i że niewielu spośród ludzi opanowało tę sztukę. Opowiadałam już panu, jak ostro skarciła sedes. Wypowiadanie się było jej wielką potrzebą.

Jennie cieszyła się Boogerem tylko przez trzy miesiące. Pewnego dnia rano usłyszeliśmy z jej pokoju straszny wrzask i walenie do drzwi. W tym czasie byliśmy już zmuszeni zamykać ją na noc, w przeciwnym razie łąziła po całym domu i nieustannie psociła.

Pobiegliśmy natychmiast i stwierdziliśmy, że Booger nie żyje. Miał przetrącony kark. Jennie patrzyła na niego z przerażeniem. Sięgała do martwego kota drżącą ręką i w ostatniej chwili gwałtownie ją cofała. Jednocześnie popiskiwała, obejmując się co chwila ramionami i wykrzywiając się w tym ohydny grymasie strachu. „Kot, kot, kot” — zasygnalizowała, a potem: „Zły kot, zły, zły”. Przypuszczam, że musiała go sobą przygnieść, bo Booger sypiał z Jennie w jednym łóżku. A może po prostu okazała się zbyt brutalna w zabawie. Trudno powiedzieć. W każdym razie taki był koniec Boogera T. Archibalda.

A teraz powiem panu coś ciekawego. W kilka lat później, przynajmniej ze trzy, przeglądaliśmy stare albumy ze zdjęciami. Było wśród nich zdjęcie Jennie z jej kotem. Położyła rękę na tej stronie albumu i zaczęła intensywnie wpatrywać się w fotografię, nie pozwalając nam przewrócić kartki. Nagle powiedziała: „Kot Jennie!” — o tak, obydwoma rękami — „Kot Jennie”. I zamilkła — to znaczy przestała sygnalizować oczywiście — wpatrując się w zdjęcie z bezgranicznym smutkiem. Za każdym razem, kiedy próbowaliśmy przewrócić kartkę, Jennie kładła na niej rękę. Przez jakieś dobre dziesięć czy piętnaście minut wpatrywała się w fotografię, a potem bardzo powoli, niezdarnie, jak gdyby do siebie, zaczęła sygnalizować: „Przepraszam, przepraszam, przepraszam”. Było to ogromnie przykre.

*Ze „Wspomnień z pewnego życia”
Hugona Archibalda.*

W późnych latach sześćdziesiątych, kiedy się wydawało, że cały kraj jest w rozsypce, moja praca w muzeum postępowała sprawnie i szybko. Rozważania nad pochodzeniem naczelnych, jakimi się

zajmowałem, pozwoliły mi dokonać rewizji ich „drzewa ewolucyjnego”, nie wyłączając *Homo sapiens sapiens*.

Istnieje wiele nieporozumień co do tegoż drzewa ewolucyjnego czy też filogenetycznego, jak je wolę nazywać. Nie jest to bowiem wykres pokazujący, jak człowiek rozwinął się z małpy, ponieważ w gruncie rzeczy człowiek nie powstał z małpy. Człowiek i małpy człekokształtne pochodzą bowiem od wspólnego przodka i każdy z tych gatunków przeszedł swoją własną odrębną drogę rozwojową.

Najbardziej kontrowersyjnym spośród wyników moich badań — do dziś nie akceptowanym powszechnie — było całkowite wyeliminowanie rodziny *Pongidae* i włączenie małp człekokształtnych do rodziny *Hominidae*. W ten sposób rodzaj *Homo* połączyłem z rodzajem *Pan* (szympanów), *Pongo* (orangutanów) i *Gorilla* (goryli) w jedną rodzinę. Ujmując to prościej, połączyłem w jedną rodzinę człowieka z wielkimi małpami człekokształtnymi. Człowiek bowiem stanowi, moim zdaniem, tylko jeden z wariantów wzorca rozwojowego wielkich małp, zarówno pod względem morfologii, genetyki, jak i podstawowych zachowań. Rozwój kulturalny, czyli to co najbardziej odróżnia człowieka od małp człekokształtnych, nie ma charakteru biologicznego i dlatego nie należy go brać pod uwagę w klasyfikacji.

My, ludzie, w tym nawet naukowcy, nadal cierpimy na chorobę egocentryzmu. Jeden z prymatologów, czyli badaczy naczelnych, mój dobry przyjaciel Stephen I. Rosen, ujął to najprościej, kiedy napisał, że „człowieka od małpy człekokształtnej odróżnia przede wszystkim ego, a nie anatomia”. Ta sama choroba kazała nam kiedyś uczynić z Ziemi centrum wszechświata i z podobnych względów niektórzy systematycy chcą widzieć w człowieku przedstawiciela odrębnego rodzaju. Ja, osobiście, nie widzę żadnego niebezpieczeństwa w dzieleniu drzewa genealogicznego z kilkoma inteligentniejszymi małpami. Byłby to jedynie niewielki krok na drodze do uznania naszych związków z życiem na Ziemi w ogóle, co stanowi warunek naszego przetrwania jako gatunku. Nie zostaliśmy powołani do życia żadnym szczególnym aktem stworzenia.

W mojej wstępnej klasyfikacji naczelnych przyjąłem za podstawę ustalania związków pomiędzy małpami człekokształtnymi jedynie budowę szkieletu. Chciałem rozszerzyć tę pracę o analizę DNA i białka zawarte w krwi. Zamierzałem odpowiedzieć na pytanie, jak blisko w świetle tych metod powiązane są między sobą małpy człekokształtne. Na ten cel dostałem hojny grant z Narodowej Fundacji Nauki. Ogromny wkład w ten program badawczy wniosło dwoje absolwentów, Ellen Bitterbaum i Giancarlo DiLu-glio, i za ten wielki udział w naszym wspólnym dziele chciałem im serdecznie podziękować. Ellen pracuje obecnie w Instytucie Studiów Wyższych w Princeton, prowadząc poważne badania nad wyodrębnianiem przeciwciał z ludzkich szczątków pochodzących z wykopalisk. Giancarlo kilka lat temu zginął tragicznie w wypadku samochodowym i tym samym nauka straciła bardzo obiecującego młodego uczonego.

Wielu czytelników niniejszych wspomnień jest już z pewnością świadomych „zaskakującej” konkluzji moich badań, a mianowicie, że ludzie i szympanse mają z grubsza w dziewięćdziesięciu ośmiu czy nawet w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach to samo DNA. Wynik ten był szeroko publikowany w prasie, ale jak to zdarza się dziennikarzom, podawali go bez odpowiedniego kontekstu i nie rozumiejąc znaczenia tych liczb. Na przykład ludzie i ter-mity mają to samo DNA w czterdziestu procentach. Ale cóż z tego: bardzo małe różnice w sekwencji zasad w łańcuchu DNA mogą oznaczać bardzo poważne różnice w budowie i zachowaniu. Sama konkluzja, że dzielimy z szympansami DNA w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach, nie była jeszcze tak wielką rewelacją, jaką mogłaby być odpowiedź na pytanie, co się kryje w tym tajemniczym jednym procencie!

Z biologicznego punktu widzenia znacznie bardziej znamienne były podobieństwa pomiędzy ludźmi a szympansami w budowie mózgu, w systemie hormonalnym, w chromosomach, białkach krwi i systemie immunologicznym. Dlatego właśnie szympanse są tak ważne jako materiał badawczy, szczególnie jeśli chodzi o różnego rodzaju ludzkie drobnoustroje chorobotwórcze, jak na

przykład wirus HIV wywołujący chorobę AIDS. Szympany bowiem zapadają niemal na wszystkie te same choroby co ludzie. W czasie gdy doktor Jane Goodall zajmowała się badaniem szympanów w Gombe, cała szympania społeczność została dotknięta epidemią heinemediny, zawleczonej z pobliskiej wioski afrykańskiej, i tylko stosowanie ludzkiej szczepionki przeciwko tej chorobie zapobiegło tragedii.

Dla mnie osobiście największą rewelacją, do jakiej doszedłem w wyniku badań, była konstatacja, że różnice pomiędzy ludźmi a szympanami są znacznie mniejsze, niż można się było spodziewać. Ujmując to inaczej, szympany są znacznie bliżej spokrewnione z ludźmi niż z goryłami czy orangutanami.

Co dziwniejsze, moje domowe obserwacje Jennie całkowicie potwierdzały te spostrzeżenia. W 1968 roku Jennie już biegle posługiwała się językiem migowym, używając około stu znaków. Możliwość porozumiewania się z nią w znacznym stopniu wpłynęła na sytuację naszej rodziny. Nie przesadzę, jeśli powiem, że zmieniła życie Sandy'ego. Osiągnął on taki stopień sprawności w operowaniu tym językiem, że prowadził z Jennie długie rozmowy, wykonując znaki w takim tempie, że prawie nie było widać jego palców. Jennie wpaływała się w nie jak urzeczona, a potem na swój niezdamny sposób odpowiadała, starając się dotrzymać Sandy'emu kroku.

Dla mnie, jako człowieka o dużej potrzebie wypowiedzenia się, możliwość komunikowania się z Jennie oznaczała podniesienie naszych wzajemnych stosunków na wyższy poziom. Nie to żebyśmy prowadzili jakieś poważniejsze dyskusje; wypowiedzi Jennie obracały się zwykle wokół spraw najprostszych: jedzenia, zabawy i funkcji fizjologicznych. Mimo to w naturalny sposób zacząłem traktować ją jak własną córkę i kiedy na nią patrzyłem, nie widziałem w niej zwierzęcia, tylko dziecko. Każdy, kto miał wśród swoich bliskich człowieka głęboko upośledzonego, wie, że z czasem to upośledzenie, tak początkowo szokujące, przestaje być dostrzegane. Tak samo i my przestaliśmy dostrzegać „zwierzęcość” Jennie. Jak dalece jej nie widzieliśmy, niech zilustruje pewien żenujący epizod, który przytoczę poniżej.

Była śnieżna niedziela w 1968 roku. Siedziałem w swoim gabinecie, przeglądając propozycję grantu. Sandy i Jennie poszli na pola golfowe jeździć na sankach, a Lea wyszła z Sarą na spacer. W pewnym momencie usłyszałem z daleka małą krzyk; wyjrzałem przez okno. Zobaczyłem Sandy'ego, jak biegnie ciągnąc sanki z wrzeszczącą wniebogłosy Jennie. Nie były to jej zwykłe krzyki. Z duszą na ramieniu zbiegłem po schodach dokładnie w chwili, kiedy Sandy dopadł drzwi kuchennych.

Zjeżdżając na sankach, Jennie wpakowała się na drzewo i doznała paskudnych obrażeń. Natychmiast wziąłem ją do domu i położyłem na kanapie. Z nosa leciała jej krew, która poplamiła ubranie. Zdjęliśmy jej kurtkę i koszulę, ale za każdym razem, kiedy próbowaliśmy ściągnąć jej spodnie, podnosiła straszny wrzask. Rozciąłem nogawkę nożem i obmacałem nogę Jennie. Ku swojemu przerażeniu stwierdziłem paskudne podwójne złamanie piszczeli i strzałki. Połamane kości nie przebiły wprawdzie skóry, ale czułem ostrą końcówkę złamanej piszczeli napierającą na mięśnie łydki. Jennie szalała z bólu.

Sandy'emu, który był bardzo zdenerwowany, powiedziałem, żeby został, a ja zawiozę Jennie na ostry dyżur do szpitala. Nalegał jednak, żeby jechać ze mną, więc zwinęliśmy Jennie w koce i pojechaliśmy razem do szpitala Newton-Wellesley. Przez drogę Jennie wprawdzie uspokoiła się trochę, ale widok jej szklanych oczu, wskazujących na ciężki szok, przestraszył mnie nie na żarty. W dalszym ciągu jednak była świadoma, bo kiedy ją niosłem do izby przyjęć, sygnalizowała słabo: „Jennie boli, Jennie boli”. Położyłem ją na wolnej leżance i wtedy nadeszła pielęgniarka z książką, żeby nas zapisać. Była to starsza, tęga kobieta, jedna z tych spokojnych, opanowanych pielęgniarek, co to niejedno w życiu widziały. Natychmiast poczułem się pewniej.

— Co się stało? — spytała.

— Złamanie z przemieszczeniem kości piszczeli i strzałki — odparłem. — Wypadek na sankach.

Uniosła brwi lekko zdziwiona.

— Czy pan jest lekarzem?

— Nie.

Spuściła głowę.

— Nazwisko pacjenta?

— Jennie Archibald. — Podałem adres i podpisałem kartę przyjęcia.

— No to teraz zobaczymy, co tam się stało — powiedziała i podeszliśmy do leżanki. Pielęgniarka pochyliła się, krzyknęła i obróciła się do mnie błyskawicznie.

— A to co takiego? — spytała.

— Co...? O co chodzi?

— Czy to jakiś żart? — Jej głos był lodowaty.

— O czym pani, do diabła, mówi? — Zupełnie nie mogłem zrozumieć, co ją nagle naszło.

— Proszę to zwierzę natychmiast stąd zabrać! — zawołała. — To nie jest szpital dla zwierząt.

— C-co takiego? — wyjąkałem, zanim po dłuższej chwili zrozumiałem, o co chodzi: Jennie jest zwierzęciem, a to jest szpital dla ludzi. Kiedy to do mnie dotarło, byłem wściekły.

— Czy pani odmawia przyjęcia jej do szpitala? — wrzasnąłem. — Czy pani nie widzi...?

— Widzę, że to jest zwierzę — odparła pielęgniarka. — Mamy bardzo ściśle przepisy co do obecności zwierząt w izbie przyjęć. Przykro mi, ale jeśli pan jej natychmiast stąd nie zabierze, będę zmuszona wezwać ochronę.

Jennie powiedziała Sandy'emu: „Jennie boli”, na co Sandy w swój nieprawdopodobnie płynny sposób odpowiedział jej: „Nie martw się, Sandy kochać Jennie, Jennie szybko czuć dobrze”.

Jennie odpowiedziała: „Jennie boli, Jennie boli, Jennie przytulić”.

Na twarzy pielęgniarki, która im się przyglądała, pojawił się dziwny wyraz.

— Czy oni rozmawiają ze sobą w języku migowym? — spytała. Okazało się, że ma pewne doświadczenia z dziećmi głuchymi i że sama zna trochę ten język.

— Tak — odpowiedziałem. — Jennie jest członkiem naszej rodziny. Posługuje się językiem głuchoniemych.

— O Boże — jęknęła pielęgniarka — to nie do wiary.

Wreszcie jakoś się pozbierałem i spytałem:

— Czy mógłbym rozmawiać z lekarzem dyżurnym?

— Zaraz go poproszę.

Był to młody internista, niski i krępy. Szedł za pielęgniarką na swoich krótkich nogach z wyrazem troski na twarzy. Robił wrażenie bardzo młodego i bardzo serio, tak że przygotowałem się na ciężką batalię. Nie było mowy o tym, żeby wieść Jennie do innego szpitala, nie mówiąc już o klinice weterynaryjnej. Była w ciężkim szoku.

— To jest Jennie — zacząłem. — Ona należy do naszej rodziny. Ma paskudnie złamaną nogę.

Doktor gapił się na Jennie oszołomiony. Sandy cały czas mówił jej słowa pociechy, podczas gdy Jennie powtarzała w kółko „Jennie boli”.

— A to co takiego? — spytał lekarz. — Mówiący szympans?

— W pewnym sensie — odparłem.

— Dlaczego pan go tu przywiózł?

Odpowiedziałem niezupełnie zgodnie z prawdą:

— Dlatego, że w sensie fizjologicznym szympans jest znacznie bliższy człowiekowi niż kotu czy psu. W klinice weterynaryjnej nie wiedzieliby, co z nią zrobić.

Doktor skinął głową. Lekarze pracujący na oddziale nagłych wypadków są zmuszeni do szybkiego podejmowania decyzji.

— W porządku — powiedział. — Idziemy.

— Ale, panie doktorze, jak ja mam ją zapisać...?

— Jako Jennie... Jennie...

— Archibald — odpowiedziałem.

— Archibald. Nie musimy mówić, czym ona jest. Nie ma w tym pani formularzu rubryki „gatunek”, prawda?

I taki był koniec tej historii.

Rozdział 6

*Wyjątki z dzienników wielebnego
Hendricksa Pallisera.*

12 lutego 1968 r.

W ubiegłym tygodniu kupiłem, być może trochę za późno, książkę o języku migowym dla głuchych, podręcznik z dużą ilością instruktażowych rycin. To naprawdę wielkie szczęście, że Jennie nauczyła się języka znaków i że może porozumiewać się z ludźmi. Zastanawiałem się nad serią przypadkowych zdarzeń, które w rezultacie do tego doprowadziły. Naprawdę trudno dziś wierzyć w przypadki; raz jeszcze uświadomiłem sobie, że coś takiego jak przypadek po prostu nie istnieje.

Przez cały tydzień ćwiczyłem znaki i kiedy przyszła Jennie, powitałem ją pięknym „cześć”, naturalnie w języku migowym. Jennie coś mi odpowiedziała, ale nie bardzo zrozumiałem co. Może po prostu się podrapała. Bardzo niechlujnie wykonuje znaki i czasem się zastanawiam, czy to są w ogóle znaki. Usiedliśmy do porannej lekcji.

Przyniosłem życie Pana Jezusa w obrazkach, moją ulubioną książeczkę z czasów dzieciństwa. Jest już bardzo zniszczona i ma ośle uszy, ale obrazki zachowały wyrazistość i czyste kolory. Jennie przeglądała je, pomrukując i pokazując palcem, ale kiedy doszła do Dzieciątka Jezus w żłóbku, w otoczeniu zwierząt, wykonała kilka znaków, a przynajmniej tak mi się wydawało, z nadzieją, pytająco, zaglądając mi w oczy. W podręczniku nie znalazłem znaku odpowiadającego „Jezusowi”, więc zasygnalizowałem

„dziecko” i Jennie natychmiast odpowiedziała mi tym samym znakiem. Co za inteligentne stworzenie! Kiedy doszliśmy do Kazania na Górze, wymyśliłem znak na „Chrystusa”, jak mi się wydaje, bardzo sprytnie: ręka za głową wykonująca koliste ruchy, jakby pokazywała aureolę świętości. Jennie tego nie chwyciła. Pokazałem więc na obrazek, ponownie wykonałem znak i jeszcze raz to wszystko powtórzyłem, a następnie pomogłem Jennie wykonać znak jej własną ręką. Pod koniec lekcji już prawie go sobie przyswoiła. Kładła rękę na głowie i energicznie ją pocierała. Wyglądało jednak na to, że nie kojarzy sobie tego z Chrystusem. Cóż, te rzeczy wymagają czasu.

R. pod wpływem Jennie dosłownie rozkwitła. Serce mi się kraje, kiedy widzę, jak prowadzi ją za rękę dookoła pokoju, i myślę, jak bardzo ta kobieta pragnęła dziecka. A przecież gdyby nie ja, mogłaby mieć własną córkę. R. przyniosła ciasteczka i mleko. Myśmy w tym czasie przeglądali książkę powoli i Jennie zrobiła się niespokojna. Wreszcie wstała, zaczęła chodzić po domu i brać do ręki różne przedmioty. Zezłościło to R., która dała jej po łapie. Jennie przykucnęła na podłodze, obejmując głowę ramionami i krzycząc wniebogłoso; była to dość denerwująca scena. Odprowadziłem ją do Archibaldów i R. zrobiło się przykro; nawet się popłakała. Jakżeż macierzyństwo odmieniłoby jej życie!

19 lutego 1968 r.

Jennie już sygnalizuje „Jezus”, w oczywisty sposób kojarząc znak z właściwym obrazkiem! Przeglądaliśmy tamtą książkę i kiedy doszliśmy do Kazania na Górze, zaczęła sobie pocierać ręką głowę, wskazując jednocześnie na obrazek. Myślę, że już zostawimy to pocieranie głowy jako znak określający Jezusa; wygląda na to, że pokazanie aureoli, przynajmniej na razie, przekracza jej możliwości. Próbuję ostatnio wpoić jej pewne koncepcje, oczywiście bardzo proste. Jak na przykład koncepcja Boga jako człowieka

mieszkającego w niebie. Naturalnie nie należę do ludzi, którzy wierzą, że Bóg to brodaty mężczyzna siedzący w chmurach na tronie, ale takie wyobrażenie Boga przemawia do dzieci i istot prymitywnych intelektualnie. Jako znak wyrażający pojęcie Boga przyjąłem znak ewangelistów na określenie „jednego kierunku”, czyli uniesiony w górę palec wskazujący. To naprawdę niezrozumiałe, dlaczego podręczniki do nauki języka migowego zupełnie nie uwzględniają pojęć religijnych. Jest to zapewne jeszcze jeden smutny dowód postępującego zeświecczenia naszego społeczeństwa, jakby ludzie głusi nie mieli potrzeby obcowania z Bogiem. W postępowaniu z Jennie przyjąłem taką zasadę: wszystko co dobre pochodzi od Boga. Kiedy więc spotyka ją coś dobrego — ktoś ją podrapie, da jej ciasteczka z mlekiem itp. — wykonuję znak „Bóg” i wskazuję w górę. Próbowałem jej też wyjaśnić, kim jest Bóg, posługując się znakami takimi, jak „osoba”, „dobry”, „piękny” i „miłość”. Nie wiem, które z tych znaków, jeśli w ogóle, poza „miłość”, Jennie zdołała sobie przyswoić, a i ten ostatni zna jedynie w najprostszy ziemski sensie. Czy jest ona zdolna zrozumieć pojęcie miłości wyższej? Tylko czas może odpowiedzieć na to pytanie.

15 marca 1968 r.

Nauka postępuje bardzo powoli. Jennie jest często rozproszona, a poza tym zaczęła się drażnić z R. Dopóki R. nie wejdzie do pokoju, zachowuje się jak anioł, ale kiedy tylko ją zobaczy, wstaje i zaczyna dotykać wszystkiego po kolei, wiedząc dobrze, że ona tego nie znosi. Dziś na przykład R. krzyknęła na Jennie, która z zimną krwią upuściła na ziemię trzymane akurat w ręku cacko. Szczęśliwie nic się nie stało; drobiazg wylądował miękko na dywanie. Potem powiedziała „przepraszam” w sposób, który szczęśliwie tylko ja odebrałem jako ordynarny, ponieważ R. nie rozumie języka migowego. Jennie często używała jeszcze innego znaku, bardzo wulgarne na oko, który sprawdziłem w podręczniku i który znaczy „fuj”. Kto to słyszał, żeby uczyć zwierzę takich

słów?! Byłem jednocześnie zgorszony i ubawiony. W prowokowaniu dorosłych i badaniu granic ich cierpliwości Jennie bardzo przypomina ludzkie dziecko. Czuję, że R. próbuje ją kochać i że chciałaby być przez nią kochana. Obawiam się, że nie potrafi z Jennie postępować. Jest zbyt nerwowa i ma nadmierne przywiązanie do rzeczy materialnych. Jennie z kolei łączy w sobie wrażliwość z dużą przekorą, a to nie najlepsza kombinacja.

Muszę przyznać, że był to ciężki dzień. Jennie wyrwała kilka kartek z „Życia Chrystusa” i nawet usiłowała jedną zjeść. W kółko pokazywała znak „Bóg” w odniesieniu do wszystkiego bez wyboru i naprawdę nie wiedziałem, co zrobić, żeby ją od tego odwieść. Pachniało to nieprzyjemnie bluźnierstwem — wzywaniem imienia Pana Boga nadaremno.

Przecież nikt nie twierdził, że sprawa będzie łatwa. Wielu z moich najżarliwszych parafian trafiło do Pana poprzez zaparcie się Go i zaprawione szyderstwem wątpliwości.

Z wywiadu z Haroldem Epsteinem.

Jestem przekonany, że wysłuchał pan wszystkiego na temat doktor Pamelii C. Prentiss od pani Archibald. Pani Archibald jest osobą inteligentną, zdolną, bardzo bystrą, ale jednocześnie z humorami. Niemal w każdym małżeństwie jedno z partnerów jest stroną dominującą; w tym małżeństwie taką stroną była ona. Nie chcę przez to powiedzieć, że uważam Hugona za człowieka słabego. Pan rozumie, co mam na myśli.

Doktor Prentiss pod wieloma względami była do niej podobna. Może bardziej intelektualnie wyrobiona, ale nie sprytniejsza. Może bardziej agresywna. Tkwiąc po uszy w swojej nauce, mało czym się poza tym interesowała. Jak to często bywa, kiedy się spotkają dwie silne kobiety, nastąpił konflikt. Chciałbym, żeby pan wszystko to, co mówiła pani Archibald, brał z pewną poprawką, rozumiemy się?

Szczęśliwie te dwie kobiety żywiły dla siebie wzajemny

szacunek i tylko temu należy przypisać fakt, że program naukowy doktor Prentiss udało się realizować. Oboje, i Hugo, i Lea, byli nim wprost zafascynowani. Lea jako dobra matka, doceniała rolę, jaką doktor Prentiss odgrywała w życiu Jennie. Pamela ze swej strony, nie aprobując w pełni wzajemnej relacji pomiędzy Leą a Jennie, rozumiała przecież, że Lea jest jej matką. A autorytetu matki się nie podrywa.

Doktor Prentiss traktowała siebie bardzo poważnie. Robiła wszystko, żeby zadać kłam swojemu wyglądowi. Panuje bowiem opinia, że ładne blondynki są głupie, a ona była może odrobinę zbyt gorliwa w chęci zaprzeczenia temu obiegowemu pogładowi. Dżip, niedbały strój, brak jakiegokolwiek makijażu — wszystko to miało służyć temu celowi. Poza tym w tamtych czasach kobiety w nauce były dyskryminowane. Co do tego nie ma wątpliwości. Stąd ta jej pewna agresywność.

Przyczyny konfliktu pomiędzy tymi dwiema kobietami nie były dla nikogo tajemnicą. Feministki skoczą mi pewnie do gardła, kiedy powiem, że doktor Prentiss, jak większość kobiet, miała silny instynkt macierzyński, którego obiektem w naturalny sposób stała się Jennie. Wszystko to oczywiście było podświadome. W podświadomy sposób rywalizowała z Leą Archibald o miłość i względy Jennie. Dwie matki, jedno dziecko. Nie chcę przez to powiedzieć, że obie były niezrównoważonymi histeryczkami. Wręcz przeciwnie. Staraly się swój konflikt utrzymywać w ryzach. Nie sądzę, żeby w jakikolwiek sposób odbił się on na Jennie. Oczywiście mnie nie było, kiedy panie ze sobą obcowały.

Ale przez chwilę pomówmy o nauce. Wytrzyma pan? Troszeczkę. Gdyby to stało się zbyt nudne, zawsze może pan ten fragment wyrzucić. Czy pan bowiem chce, czy nie chce, młody człowieku, muszę panu wyjaśnić pewne naukowe aspekty tej historii.

Od czasu do czasu doktor Prentiss odwiedzała mnie, żeby omówić ze mną niektóre wyniki. Mieliśmy taki nieformalny układ. Jako psycholingwistce brakowało jej wyczucia ludzkiego kontekstu eksperymentów. We mnie, etnografie czy ściślej, specjaliście od antropologii kulturalnej, znajdowała w tej sprawie daleko idącą pomoc.

Dostrzegaliśmy ważne implikacje zawarte w wynikach jej badań. Otóż szympansy z kolonii doktor Prentiss robiły postępy nieporównanie powolniejsze od Jennie. Z czego Pam wyciągnęła wnioski, że stopień przyswojenia sobie języka przez szympansy w znacznej mierze zależy od tego, czy są wychowywane przez ludzi. Wiadomo, że nauka języka u dzieci również zależy od ich wychowania społecznego. Związek pomiędzy ludzką kulturą a językiem jest tak ścisły i tak skomplikowany, że aby przyswoić sobie język, nawet zwierzę wymaga w pewnym stopniu „ludzkiego wychowania społecznego” — uznała Pam. To zdumiewające! Szympansy hodowane w doskonałych warunkach, bez względu na wysiłki osoby uczącej, nie są w stanie osiągnąć takich wyników jak szympan wychowywany w domu. To były właśnie wnioski, do jakich doszła doktor Prentiss.

Wykryłem jednak w jej hipotezie pewną skazę. A jeśli Jennie była geniuszem? Pamela natychmiast pojęła, o co mi chodzi. Zdolność Jennie do biegłego posługiwania się językiem migowym może wcale nie być efektem jej wychowania wśród ludzi; Jennie może być po prostu zdolniejsza od szympansów z kolonii Barnuma.

Możliwość znalezienia odpowiedzi na to pytanie nasunęła mi się dość szybko. Dlaczego nie poddać Jennie testowi na inteligencję? Zgodziliśmy się oboje, że to znakomity pomysł.

Nie mieliśmy zielonego pojęcia, dokąd nas to zaprowadzi i jak zadziwiające osiągniemy wyniki.

Przygotowaliśmy zestaw testów nie opartych na języku po to, by wyróżnić przewagę Jennie nad szympansami Barnuma. Wymyśliliśmy pewne „problemy” i kazaliśmy je szympansom rozwiązywać. Szczegóły są dość skomplikowane, ale postaram się przedstawić kilka z nich. Rozwiązania owych „problemów” wydały nam się tak bardzo zaskakujące, że doktor Prentiss w znacznej mierze rozszerzyła program Jennie. To właśnie wyniki testów na iloraz inteligencji zatarły, w moim pojęciu, granicę pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem.

A problemy były od najprostszych do bardzo skomplikowanych. Te prostsze miały charakter mechaniczny; trudniejsze poznawczy. Zadania wymagały minimalnych umiejętności sygnalizowania.

Doktor Prentiss i ja doznaliśmy wielkiej pomocy ze strony pewnego etologa z muzeum, niejakiego Alfreda R. Jonesa, i psychologa z Uniwersytetu Tuftsa, Murraya Sonnenblicka.

A teraz opiszę niektóre testy i ich wyniki. Wnioski, jak już wspomniałem, były rewelacyjne. Już widzę, jak pan kiwa głową. Niech pan jeszcze chwilę wytrzyma. Obiecuję, że nie będzie pan rozczarowany. To naprawdę nie jest nudne.

Testy z Jennie przeprowadzaliśmy na terenie muzeum w pustym magazynie, który pomalowaliśmy na jaskrawe kolory, zamieniając go w pokój zabaw. W drzwiach zainstalowaliśmy widoczne z korytarza lustro. Muszę powiedzieć, że obskurny korytarz w suterenie, z rurami ciepłej wody bulgoczącymi nad głową, nie był najlepszym punktem obserwacyjnym — ale wystarczającym.

Pierwsze testy polegały na rozwiązywaniu problemów natury mechanicznej. Wiele z nich zostało zapożyczonych od wcześniejszych badaczy naczelnych.

Pierwszy test, o nazwie „banan w rurze”, został wymyślony przez Yerkesa. Przytwierdziliśmy więc do podłogi kawałek rurki otwartej po obu stronach. Następnie umieściliśmy w niej, mniej więcej w środku, poza zasięgiem ręki, banana. Jediną metodą na dobranie się do banana było wypchnięcie go z rurki za pomocą kija. Trochę „antyintuicyjne” doświadczenie.

Zostawiliśmy Jennie samą. W rogu stał długi kij. Jennie najpierw obeszła cały pokój, a potem zajrzała do rurki i zobaczyła banana. Jakaż była podniecona! Krzyczała i pokazywała na rurkę, powtarzając: „Banan, Jennie jeść banan! Dać banan!” Ponieważ nic się nie działo, próbowała wyjąć banana z rurki. Uderzała w nią, fikając kozły i pohukując, a następnie zaczęła walić w podłogę nogami i rękami. Pozwoliliśmy jej szaleć przez godzinę, a potem ją wypuściliśmy. Po trzech godzinnych sesjach rozwiązała problem.

Wpatrywała się w wylot rury pomiędzy swoimi nogami, mamrocząc coś ze złością, aż nagle umilkła, wyprostowała się i poszła do kąta, gdzie oparty o ścianę stał kij. W chwili gdy go złapała, zrozumieliśmy, że wie, co robić. I rzeczywiście, podeszła do rury,

wypchnęła banana i zjadła go z głośnym mlaskaniem. Było to coś niesamowitego. Dokładnie widzieliśmy, w którym momencie wpadła na pomysł posłużenia się kijem.

Nasz psycholog, doktor Sonnenblick, poradził nam, żebyśmy poddali Jennie testowi na zdolność przenoszenia informacji pochodzących od różnych zmysłów. Nie jest to nic innego, jak tylko umiejętność rozpoznawania za pomocą dotyku tego, co widzimy wzrokiem, i vice versa. Według Sonnenblicka zdolność ta jest właściwa wyłącznie człowiekowi.

A jednak nie! Zawiazaliśmy Jennie oczy i najpierw daliśmy jej do pomacania piłkę futbolową, a potem pokazaliśmy zdjęcia pięciu przedmiotów. Bezbłędnie rozpoznała wśród nich piłkę. Potem podsunęliśmy jej obrazek, przedstawiający filiżankę, a następnie zasłoniliśmy oczy i daliśmy do pomacania pięć przedmiotów. I znów Jennie wybrała filiżankę. Inne szympansy z kolonii Barnuma też sobie radziły z tym testem. Ha! Trzeba było widzieć minę Sonnenblicka!

Nie będę naturalnie wdawał się w opisy wszystkich eksperymentów, jakie przeprowadzaliśmy. Testy na inteligencję wskazywały, że Jennie jest bystrzejsza od szympanсів z kolonii, ale nie w sposób znaczący. A więc jej wychowanie między ludźmi przyczyniło się po prostu do szybszego przyswajania sobie przez nią języka. Bardzo, bardzo ciekawe!

Na tym jednak nie kończyły się nasze odkrycia. Sprawa ilorazu inteligencji okazała się drugorzędna w stosunku do tego, czego dowiedzieliśmy się z samych testów, i co do tej pory odkryto na temat szympanсів żyjących dziko. Mówię panu, że ostra linia podziału pomiędzy człowiekiem a małpami człekokształtnymi została wymazana. Wiele cech, które uważaliśmy za właściwe tylko człowiekowi, okazało się wspólnych. Zaraz... chwileczkę... chciałbym panu coś przeczytać. (Nota wydawcy: w tym momencie doktor Epstein wziął z półki książkę i zaczął ją kartkować).

O właśnie! Diogenes. Proszę bardzo. „Kiedy Platon zdefiniował człowieka jako zwierzę dwunożne bez piór, Diogenes oskubał koguta, przyniósł go do Akademii i powiedział: «A oto człowiek Platona». I potem do tej definicji dodano: «Z szerokimi płaskimi paznokciami»,. (Śmiech).

Od dawna staramy się zdefiniować człowieka. To znaczy w przeciwstawieniu do zwierząt. Powiedziałbym nawet, że stało się to swego rodzaju obsesją. Wtedy, dla współczesnych Diogenesa, zdefiniowanie człowieka okazało się dość zabawnym zadaniem i podobnie jest dzisiaj. Ale czy możemy poniechać tych wysiłków? W żadnym wypadku.

Wiele lat temu uważano, że zdolność wytwarzania i używania narzędzi jest właściwa tylko człowiekowi. A jednak nie: Jane Goodall dokonała obserwacji, na podstawie której ustaliła, że dziko żyjące szympansy również potrafią wytwarzać narzędzia i je stosować. Nieco później powiedziano, że to umiejętność posługiwania się językiem czyni z nas ludzi. I znów nieprawda: od późnych lat pięćdziesiątych wiemy mianowicie, że szympansy uczą się języka migowego i innych języków opartych na symbolach.

No więc dobrze — utrzymywano — ale jedynie człowiek ma wyobraźnię i zdolności twórcze. Zgoda, tylko jak wobec tego należy traktować historię z Jennie i lalką? Poddawaliśmy przecież szympansy także i innym testom, które pozwoliły stwierdzić, że nie brak im ani wyobraźni, ani zdolności twórczych.

Z kolei uznano, że tylko człowiek potrafi zrozumieć znaczenie symboli i nimi manipulować. Prawda to? Nieprawda. W wielu testach zarówno Jennie, jak i szympansy z kolonii okazywały szeroką znajomość symboli i obrazków. Pamiętam na przykład, jak Jennie przykładała ucho do zdjęcia muszli, próbując słuchać szumu morza. Potrafiliśmy też udowodnić, że znała pewne litery, a nawet ze dwa czy trzy słowa. Tak, naprawdę, całe słowa. A szympansy z kolonii Barnuma używały kolorowych krążków, kiedy chciały dostać jedzenie albo zabawki.

Aha! — powiedziano — ale szympansy nie mają świadomości siebie, którą odznacza się człowiek. I znów nieprawda. Żeby się o tym przekonać, wystarczyło postawić Jennie przed lustrem i zasygnalizować: „Kto to?” Natychmiast padała odpowiedź: „Ja, Jennie!” Jeśli zna pan lepszy test na sprawdzenie świadomości siebie, to cały zamieniam się w słuch.

Przyznano, że owszem, może, ale za to tylko ludzie mają

zdolność abstrakcyjnego myślenia i dokonywania uogólnień. Tak, naprawdę? Bardzo mi przykro, przyjacielu, ale zarówno Jennie, jak i szympany z kolonii potrafiły sklasyfikować jabłka, pomarańcze i banany jako ogólnie owoce. Jennie na przykład wiedziała, że talerzyki, kubki i łyżeczki to nakrycie stołowe, że niektóre owady to żuki itd. Używała znaku „otworzyć”, kiedy chciała, żeby jej otworzono drzwi, puszkę zjedzeniem, odkręcono kran. Proszę się przez chwilę nad tym zastanowić. Już choćby tylko to wymaga daleko idącej zdolności myślenia symbolami, uogólniania i klasyfikowania.

Przepraszam, a sprawa kłamstwa? A te wszystkie nieprzyjemne ludzkie cechy, których zwierzęta jakoby nie posiadają? Jak chociażby właśnie skłonność do kłamstwa, oszustwa, kradzieży, okrucieństwa i morderstwa? Szympany wcale nie są od nich wolne. Goodall zaobserwowała u swoich szympansów przypadki morderstwa z zimną krwią, złośliwości czy nawet kanibalizmu. A co do kłamstwa...! Jennie potrafiła łąać nie gorzej od pierwszego lepszego człowieka! Zastosowaliśmy całą serię fascynujących testów, żeby się o tym przekonać.

Na oczach Jennie na przykład doktor Prentiss włożyła banana do jednej z trzech zamykanych szkatułek. Następnie do pokoju wszedł „samolubny” uczestnik eksperymentu i zapytał Jennie: „Gdzie banan?”

Za pierwszym razem pokazała właściwą szkatułkę. „Samolub” otworzył ją i sprzątnął jej sprzed nosa całego banana, nie zostawiając ani kawałka. Ta perfidia doprowadziła ją do szału.

Powtórzyliśmy doświadczenie, ale tym razem kiedy „samolubny” pomocnik spytał, gdzie banan, Jennie skłamała! Wskazała mu pustą szkatułkę. A może po prostu zapomniała? „Samolub” zostawił kluczyk w pustej szkatułce i wyszedł. Jennie natychmiast porwała klucz, otworzyła właściwą szkatułkę i zjadła banana.

Na samą myśl o tym przejmuję mnie dreszcz.

Mało tego, kiedy dokonywaliśmy podobnego eksperymentu z udziałem „dobrego” uczestnika, który podzielił się z Jennie bananem, za każdym razem mówiła prawdę.

W wiele tygodni, a nawet miesięcy później pamiętała, kto był „samolubny”, a kto się z nią dzielił bananem. Wobec pierwszego kłamała; drugiemu zawsze mówiła prawdę.

Powiem panu jeszcze coś, co zostało pominięte w sprawozdaniach jako zbyt subiektywne. Coś, co by natychmiast wszystkich etologów postawiło pod bronią. Kiedy Jennie kłamała, odwracała oczy od osoby oszukiwanej. Było to coś niesamowitego, nieprawdopodobnie ludzkiego. Kłamała, a jednocześnie uciekała wzrokiem, ponieważ miała poczucie winy. W tym pasjonującym eksperymencie posunęliśmy się o krok dalej. Czy Jennie pozna, kiedy ktoś będzie próbował ją okłamać? Tym razem „samolubny” uczestnik doświadczenia umieścił banana w jednej z dwóch szkatułek, tak żeby Jennie nie wiedziała w której. Daliśmy jej kluczyk i wpuściliśmy ją do pokoju. Czekala tam na nią osoba „samolubna”, która w języku migowym wskazała jej niewłaściwą szkatułkę. Czy Jennie jej uwierzyła? A gdzie tam! Podeszła prosto do drugiej szkatułki. Kiedy jednak osoba „dobra” pokazała szkatułkę, Jennie uwierzyła jej bez żadnych zastrzeżeń.

Mówię panu, że kiedy obserwowałem tę szympansicę, dostawałem gęsiej skórki. Ogarniało mnie niesamowite poczucie więzi z tym zwierzątkiem. Dosłownie czułem tę więź we krwi.

Jeśli starczy panu cierpliwości, to proszę posłuchać o jeszcze kilku naszych eksperymentach. I dopiero wtedy wrócimy do głównego wątku.

Otóż ten sam eksperyment powtórzyliśmy z szympansami z kolonii Barnuma. Daliśmy im krążki — czerwone oznaczały jedzenie; niebieskie zabawki. Nauczaliśmy je, jak wymieniać te krążki z uczestnikami doświadczenia na pożądane przedmioty. Bardzo szybko opanowały tę sztukę. W porządku.

A więc dalej: wzięliśmy dwa szympansy i umieściliśmy je w dwóch pokojach połączonych niewielkimi drzwiczkami. Jeden szympans, najedzony, został umieszczony w pustym pokoju, z kupką jabłek i żetonem oznaczającym zabawkę. Drugi szympans, głodny, w pokoju z zabawkami i żetonem oznaczającym jedzenie. Rozumie pan, do czego zmierzam?

To co się stało, wprawiło nas w najwyższe zdumienie. Najedzony szympans zauważył zabawki w sąsiednim pokoju i wobec tego wręczył głodnemu żeton niebieski, w zamian za który dostał zabawkę. Tymczasem głodny szympans wymienił czerwony żeton na jabłko.

No i co pan na to? To znacznie więcej niż porozumiewanie się za pomocą symboli. Te dwa szympansy spontanicznie stworzyły coś w rodzaju prymitywnej ekonomii.

Od czasu zakończenia programu badawczego z Jennie mamy już znacznie świeższe wyniki doświadczeń, często jeszcze bardziej zaskakujące od naszych spostrzeżeń. Czy słyszał pan może o szympansicy Washoe, którą nauczono języka migowego? Ostatnio Washoe zaadoptowała dziecko, które z własnej inicjatywy zaczęła uczyć języka znaków, bez żadnej interwencji człowieka. A więc nawet przekazywanie wyuczonych treści może u szympansów wykraczać poza linie genealogiczne.

Wracając jednak do świadomości siebie, pozwoli pan, że na koniec powiem o jeszcze jednym eksperymencie, którego wyniki okazały się w moim pojęciu najbardziej rewelacyjne ze wszystkich. Mieliśmy stos fotografii, wśród nich fotografię Jennie i zdjęcia różnych osób. Pokazaliśmy je Jennie i kazaliśmy jej oddzielić zdjęcia ludzi od zdjęć zwierząt. Zaczęła je przeglądać i bardzo starannie posortowała zgodnie z naszym życzeniem. Popełniła tylko jeden błąd: swoją podobiznę zaliczyła do kupki „ludzkiej”.

Powiedzieliśmy jej, że się pomyliła i żeby naprawiła swój błąd. Jennie i tym razem zaliczyła swoją fotografię do zdjęć ludzi. Powtórzyłem więc, że znów zrobiła źle, i przełożyłem jej zdjęcie na kupkę ze zdjęciami zwierząt, a następnie zasygnalizowałem: „Jennie, jesteś zwierzęciem”.

Wie pan, jaka była jej reakcja? Zaczęła pohukiwać, śmiać się i fikać kozły. Świetny żart, co?

Nalegaliśmy, żeby jeszcze raz poukładała zdjęcia. Tym razem robiła wrażenie zaniepokojonej, ale niczego nie zmieniła. Znów ją poprawiłem i znów przełożyłem fotografię.

To już nie wydało się Jennie takie zabawne. Wzięła zdjęcia i cisnęła nimi o podłogę.

Ale to jeszcze nie wszystko. Dodaliśmy do kolekcji fotografie

innych szympanów. Jennie zaczęła sortowanie od nowa, w dalszym ciągu własne zdjęcie umieszczając wśród zdjęć ludzi. W pewnym momencie natrafiła na fotografię szympana. Zaczęła się w nią wpatrywać, a następnie beztrząsco wyrzuciła i podjęła przerwane zajęcie. „Nie podpada pod żadną kategorię” — uznała. Czy pan sobie wyobraża? Za każdym razem kiedy natrafiła na zdjęcie szympana, ciskała nim o ziemię.

Jak więc widać, Jennie już wtedy miała problemy ze swoją tożsamością. Zupełnie nie rozumiem, jak mogliśmy tego nie zauważyć! To znaczy, owszem, dostrzegaliśmy problem, ale nie traktowaliśmy go serio. Wydawało nam się to takie... rozkoszne, że Jennie uważa się za człowieka.

Niech pan pamięta, przyjacielu, że człowiek to nie żaden klejnot, ostatnie słowo ewolucji, samotny na swoim piedestale. To wcale nie jest tak, że w ogólnym podziale stoimy dumnie po jednej stronie, a po drugiej cały świat zwierzęcy. W żadnym razie. Różnica pomiędzy nami a małpami człekokształtnymi ma charakter jedynie ilościowy. Kiedy bowiem spojrzymy na pełny wachlarz ewolucji, na życie w całej jego wspaniałej różnorodności, od pantofelka poprzez żuka gnojnika do człowieka, szympan w tym całym pejzażu plasuje się tuż koło nas, dosłownie o włos. Najwyższy czas zerwać z mitem, że człowiek powstał z mocy jakiegoś odrębnego aktu twórczego.

Opowiem panu o pewnym swoim dziwnym przeżyciu. Otóż siedziałem kiedyś w stołówce kustoszy i nagle ogarnęło mnie jakieś potężne i dziwne uczucie. Coś w rodzaju *jamais vu*. Rozejrzałem się po ludziach, którzy dokoła mnie jedli i rozmawiali. Ni z tego, ni z owego wydało mi się, że ci ludzie to nic innego jak tylko małpy człekokształtne — paplające, przeżuujące, łączące z kąta w kąt i gestykulujące. Wielkie groteskowe bezwłose małpy, z komicznymi sterczącymi na czubku głowy pióropuszcami. Poodziewane w jakieś dziwne szmatki w rytualnych kolorach. Byliśmy wielkim zgromadzeniem małp przypominającym podobne zgrupowania w dżungli na drzewie, które im użyczają swoich owoców. Cały ten szum, bezsensowna paplanina, przywiodła mi na myśl małpi gaj. Nagle wszystko zdało mi się śmieszne i trywialne... cudaczne i pozbawio-

ne znaczenia... W panice opuściłem stołówkę.

Niech pan sobie to kiedyś uświadomi będąc na lotnisku czy w restauracji. Proszę wtedy zamknąć oczy i słuchając gwaru, wyobrazić sobie, że jest pan w zoo w małpiarni. A potem niech pan otwórzy oczy i poobserwuje ludzi, jak przyjmują pokarm, jak ich wargi się poruszają, stawy obracają, palce manipulują przy różnych przedmiotach, jak ich ręce gestykują, a twarze wykrzywają się w najdziwniejszych grymasach. I niech pan posłucha wybuchów gardłowych dźwięków oznaczających ich śmiech...

Z dzienników wielbnego Hendricksa Palisera.

2 czerwca 1968 r.

Byłem dziś rano z R. na badaniach w szpitalu. Niepewność i rozpacz. Sercem jestem z nią. Istnieje obawa, choć niewielka, że może to być rak. Znowu musimy zacząć się wspólnie modlić, jak to robiliśmy na początku naszego małżeństwa. Boże, zmiłuj się nad nami obojgiem. Ona tak bardzo boi się śmierci.

Po powrocie do domu siedziałem w moim gabinecie przy oknie i patrzyłem na ogród. Widziałem, jak się poruszyła darń i na słońce wylazł rozglądając się dokoła suseł. A potem się schował do swojej norki. Wyszedłem na zewnątrz tupiąc i pokrzykując, żeby go spłoszyć. Chodzi mi o jego bezpieczeństwo. Jeśli R. zobaczy ślady susła, zaraz sprowadzi facetów od trawników. A on tam pod ziemią ma na pewno swój dom i rodzinę.

Nie byłem zbyt pilny, jeśli chodzi o prowadzenie mojego dziennika. Wczoraj przypadła wizyta Jennie. Miałem znowu ciężkie popołudnie. Jennie, tak na ogół słodka i kochająca, potrafi być egoistką jak my wszyscy. Jej myśli obracają się wyłącznie wokół niej samej i jej potrzeb — jedzenia i zabawek. To prawda, że dzieci w wieku Jennie są ogromnie egocentryczne.

Kupiłem jej książeczkę do kolorowania ze scenami z Biblii. Usiłowałem jej opowiedzieć o dobroci i wyrozumiałości naszego Pana w stosunku do małych dzieci. Jennie uwielbia kolorować, chociaż jej malunki są dość abstrakcyjne. Bazgrze zamasyście po całej stronie, nie zwracając najmniejszej uwagi na obrazek. Dałem jej czystą kartkę, którą z wielkim zapałem pokryła „malowidłami”. Jeśli mam być szczerzy, to jej osiągnięcia niewiele odbiegają od dzieł tak zwanych „artystów” nowoczesnych, którzy chlapną trochę farby na płótno i sprzedają to za tysiące dolarów! Zorganizuję w kościele wystawę prac Jennie. Ma niewątpliwie twórczą żyłkę. Kiedy jednak Jennie trzyma w ręku kredki, nie można jej ani na chwilę spuścić z oka, jeśli się nie chce mieć pomazanych ścian i stołu.

12 lipca 1968 r.

Jennie i ja mieliśmy dziś wielkie wspólne osiągnięcie. Teraz, kiedy już bieglej posługuję się językiem znaków, sporządziłem coś w rodzaju katechizmu, żeby ją zapoznać z pewnymi pojęciami religijnymi. Kiedy udzieli właściwej odpowiedzi, dostaje ode mnie w nagrodę ciasteczko. Z wielkim entuzjazmem oddaje się tej zabawie. Zacząłem spisywać nasze rozmowy. No bo gdzie na świecie jest drugie takie zwierzę, które by się uczyło o Bogu? Zdecydowałem zachować coś z tego dla potomności. A oto nasza dzisiejsza rozmowa.

Ja: „Jennie, co to Bóg?”

Jennie: „W górze”.

Ja: „Gdzie w górze?”

Jennie: „W górze, w górze”.

Ja: „Kto Bóg?”

Jennie: „Bóg, Bóg, Bóg”.

Ja: „Kto Bóg?”

Jennie: „W górze”.

Ja: „Nie, kto Bóg?”

Jennie: „Miłość”.

Ja: „Dobrze!” (Dałem jej ciasteczko).
Jennie: „Bóg miłość, Bóg miłość, Bóg miłość”.
Ja: „Kto Jezus?”
Jennie: „Jezus, Jezus”.
Ja: „Nie, Jennie, kto Jezus?”
Jennie: „Jennie ciasteczko”.
Ja: „Kto Jezus?”
Jennie: „Jennie podrapać”.
Ja: „Kto Jezus?”
Jennie: „Jezus podrapać Jennie”.
Ja: „Jezus Syn Boga”.
Jennie: „Jezus”.
Ja: „Kto Syn Boga?”
Jennie: „Jezus ciasteczko podrapać”.
Ja: „Kto Jezus?”
Jennie: „Syn Boga, Syn Boga”.

Kiedy zasygnalizowała „Syn Boga”, dosłownie oniemiałem. Potęga Pana jest tak wielka, że poczułem Jego obecność niby światło wypełniające naszą małą, skromną pracownię. Czy to możliwe, że rozjaśniłem umysł tego szympansa głosząc słowo Boże? A jednak, proszę bardzo, „Syn Boga”. To była odpowiedź Jennie na moje pytanie: „Kto to jest Jezus?” Czego więcej mógłbym pragnąć?

Była to chwila transcendentna.

1 września 1968 r.

Postanowiłem doprowadzić do wyznania wiary przez Jennie. Poproszę ją, aby przyjęła do swego serca Chrystusa Zbawiciela. Pytanie jednak, co mam zrobić, by uczyniła ten ważny krok? A jeśli okaże się to niemożliwe? Jednak z drugiej strony kto by uwierzył, że zajdziemy aż tak daleko? Kto by dał wiarę, że Jennie pojmie tajemnicę Chrystusa jako Syna Bożego?

Pomyślałem, że osiągniemy to za pomocą serii pytań katechetycznych, które pomogą Jennie pokonać kolejne bariery na jej drodze do stania się chrześcijanką. A więc uświadomienie sobie

ułomności własnej natury, uznanie Jezusa jako Syna Bożego, który ma moc odpuszczania grzechów, przyjęcie Chrystusa do swego serca i prośba o przebaczenie.

Przyjąłem następujące pytania:

„Jennie kochać Jezus?”, „Jennie wiedzieć Jennie niedobra?”, „Jezus kochać Jennie?”, „Jezus zabrać niedobroć Jennie?” Zażądam od Jennie, żeby to wszystko powtórzyła albo przynajmniej po każdym pytaniu zasygnalizowała „tak”. Powtarzanie jest warunkiem zrozumienia. Pozostaje jeszcze sprawa chrztu. Wyobrażam sobie, co by na to powiedział biskup. Ale po kolei. Nie należę do tych, którzy niewolniczo trzymają się tezy, że chrzest jest niezbędnym warunkiem zbawienia. W każdym razie przestudiuję odpowiednie znaki.

Chemioterapia R. idzie lepiej, niż można się było spodziewać. Niestety całkowita utrata włosów. Modlimy się razem po raz pierwszy od czasu, kiedy robiliśmy to na początku naszego małżeństwa. Czuję w sobie więcej miłości do niej niż kiedykolwiek. Wydaje się taka załamana i bezradna. Ale i ona, i ja będziemy czerpać siły z miłości Bożej.

Z wywiadu z Leą Archibald.

Zaraz... może sobie przypomnę... W każdym razie to było w 1968 roku... Zadzwoił do mnie ktoś z programu rozrywkowego Eda Sullivana. Nie wiem, skąd wzięli nasze nazwisko, prawdopodobnie od doktor Prentiss. Ta dbała o swoją karierę. Nie przepuściła żadnej okazji, żeby siebie wyeksponować. Nieważne. Jak już mówiłam, zadzwoniła jakaś pani. Nie pamiętam nazwiska...

Spytała słodziutkim głosem, czy ma przyjemność z panią Archibald, właścicielką tej rozkosznej szympansiczki.

Rozkosznej! Powiedziałam, że tak. Otóż chciałyby wiedzieć, czy zgodziłabym się wystąpić razem z Jennie w telewizji. Przy czym dawała do zrozumienia, że występ w telewizji musi być dla każdego największym życiowym osiągnięciem.

Odparłam, że dziękuję bardzo, ale nie.

Po drugiej stronie zaległa cisza; moja rozmówczyni była najwyraźniej w szoku. Jak to — powiedziała — przecież chodzi o program Eda Sullivana.

Ja na to, że mnie nie interesuje występowanie w programie Eda Sullivana.

Całkowicie zmieniła ton — od razu poznałam to twarde nowojorskie brzmienie. Ci ludzie z telewizji są naprawdę koszmarni. Oferowała mi sowite honorarium i była nawet gotowa przyjechać z Nowego Jorku, żeby tylko poznać tę „uroczą małpkę”.

Dobrze, niech jej będzie. Przyjechała któregoś wieczoru. Chciała, żeby w programie wystąpił Hugo, a także ja i ta „trenerka”. Och, jak żałowałam, że nie ma doktor Prentiss i że nie może usłyszeć, jak mówią o niej „trenerka”. No więc najpierw była rozmowa, w czasie której dowiedzieliśmy się, że temat jest nietuzinkowy i że skłonni są zapłacić okrągłą sumkę. Hugo, który, jak pan wie, odziedziczył po ojcu kupę pieniędzy, targował się z nią o każdego centa, a kiedy już wynegocjował naprawdę wysokie honorarium, zdecydował, że darowuje to wszystko na ASPCA*. Trzeba było widzieć minę tej kobiety! I jeszcze do tego nie będzie w programie „trenerki”, tylko my dwoje i Jennie.

Wybraliśmy się do Nowego Jorku pociągiem. Nie zgodzili się, żeby Jennie leciała samolotem, więc postanowiliśmy jechać pociągiem, nie pytając nikogo o zgodę. Zakwaterowali nas w Americana Hotel. Wtedy ten hotel był zupełnie nowy. Typowe nowojorskie ohydne szklane pudło. W dniu przyjazdu poszliśmy kupić Jennie jakieś nowe ubranie. Gdziekolwiek się pokazaliśmy, zbierały się tłumy ludzi i zewsząd było słyhać „ochy” i „achy”. Jennie znajdowała się w centrum zainteresowania — była w swoim żywiole. Zatrzymała nawet ruch na Piątej Alei! Hugo bawił się wyśmienicie, obserwując reakcje ludzi. Antropolog w każdym calu. Ale większość osób po prostu popatrzyła i poszła dalej. Ostatecznie był to przecież Nowy Jork.

* ASPCA — American Society for Prevention of Cruelty to Animals (Amerykańskie Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt).

Jennie tak grzecznie się zachowywała, że postanowiliśmy zaryzykować i zabrać ją do Bloomingdale'a. Windziarka narobiła wrzasku, kiedy próbowaliśmy wsiąść do windy, więc pojechaliśmy schodami ruchomymi. Poszliśmy do działu z odzieżą dziecięcą, gdzie obrugałam sprzedawczynię. Bała się, że Jennie zanieczyści przebiernię albo zainfekuje ubranie jakąś chorobą.

Wybrałam ubranie i zapytałam Jennie: „Podobać się Jennie?”

Co ja najlepszego narobiłam! Nie należy zadawać szympansovi takich pytań. Jennie chciała dosłownie wszystko. „Dać! Dać! Dać!” — sygnalizowała w kółko.

Sprzedawczyni obserwowała to przez chwilę, a potem spytała Hugona, co my robimy.

Hugo wyjaśnił jej, że dyskutujemy z Jennie problem, w jakim stroju powinna wystąpić w programie Sullivana. Naturalnie zmrzył przy tym oko.

Dopiero się zaczęło! Szum i zamieszanie. Program Eda Sullivana! Dziewczyna poleciała po inne ekspedientki, które rzuciły wszystko i przybiegły do nas. Wkrótce otoczył nas okazały tłumek. Wyglądało na to, że gdziekolwiek się pojawimy, Jennie natychmiast staje się ośrodkiem zainteresowania.

Kupiliśmy dla niej rozkoszny strój: bluza w czerwono-białą kratkę, z dużą niebieską muchą, niebieskie porteczki i brązowo-białe półbuty. Bardzo duże. Musiały być takie, żeby Jennie zmieściła w nich swoje długie stopy, które tak naprawdę były rękami. Dreptała przed zachwyconym tłumem, pohukując i pomrukując, z szerokim uśmiechem przylepionym do twarzy. Urodzona aktorka.

Wieczorem zawieziono nas samochodem do studia i dostaliśmy pokój dla siebie. Tak zwany Zielony Pokój. Wzięliśmy ze sobą kilka zabawek i Jennie zajęła się nimi, podczas gdy my siedzieliśmy coraz bardziej zdenerwowani. Żadne z nas nie odezwało się słowem, ale wiedziałam, że oboje wyobrażamy sobie wszystkie najgorsze sytuacje, jakie mogą się wydarzyć. A mogło się wydarzyć praktycznie wszystko. Program Eda Sullivana szedł na żywo.

Wreszcie zaprowadzono nas na plan. Ed Sullivan był w naturze tak samo przygarbiony i tak samo przypominał kościotrupa jak na

ekranie. Niewiele pamiętam z tego, co mówiliśmy. Szkoda, że nie mam kasy z nagraniem programu. Muszę napisać do NBC... czy może było to ABC...?

Ed Sullivan rozpoczął od czegoś takiego: „Gościmy szympansię imieniem Jennie, która mówi w języku migowym. Jennie, powiedz telewizorom: «Cześć»,,

Pokazałam Jennie na palcach „Cześć” i Jennie zasygnalizowała: „Cześć, cześć, cześć!” Następnie Hugo opowiedział, jak ją znalazł i jak praktycznie sam odebrał w dżungli małpi poród. Ja z kolei mówiłam o tym, jak wychowuję Jennie na swoją córkę. Sullivan zapytał, jaki jest stosunek naszych dzieci do całej tej sprawy, więc opowiedziałam o tym, jak Sandy rozmawia z Jennie w języku migowym. A potem Ed Sullivan zadał Jennie kilka pytań, powiedział parę głupich dowcipasów, i tyle.

No, niezupełnie. Napędziła nam niezłego stracha mniej więcej w środku programu, sygnalizując raz po raz „brudne”, zwłaszcza że Ed Sullivan zainteresował się, o co jej chodzi. Musieliśmy zmyślić coś na poczekaniu. O ile pamiętam, powiedziałam, że chce banana. Nie wątpię, że wśród widzów byli jacyś głuchoniemi, którzy z pewnością w tym momencie turlali się ze śmiechu. Naprawdę nie wiedzieliśmy, czy ona to robi, czy tylko jest ciekawa naszej reakcji. Ale wszystko się dobrze skończyło. Niewykluczone, że kłamała. Jennie często sygnalizowała „brudne”, kiedy chciała narobić zamieszania albo się od czegoś wykręcić. Doskonale zdawała sobie sprawę, jak my, ludzie, jesteśmy wrażliwi na punkcie jej czynności fizjologicznych.

Program Eda Sullivana rozpoczął wielką karierę Jennie, niemal równą tej, jaką zrobili Beatlesi. Oczywiście przesadzam, ale po tym występie wszyscy chcieli ją poznać. Telefon dosłownie się urywał. W „Boston Globe” ukazał się artykuł o Jennie. Czytał go pan? Od tej chwili Jennie stała się sławna, a my, można powiedzieć, żyliśmy w jej cieniu. Hugonowi zaproponowano członkostwo w Somerset Club, jednym z najstarszych, jak pan zapewne wie, klubów bostońskich. Dostał też od słynnego nowojorskiego wydawcy telegram z

propozycją napisania książki. Przychodziły zaproszenia na papierze listowym Shreve Crump i Lowe od ludzi i organizacji, o których nigdy nie słyszeliśmy. Dostaliśmy nawet zaproszenie na doroczny bal Towarzystwa Botolphstow, ale jeśli mam być szczerą, poczułam się tym dotknięta. Była to bardzo antysemitcka organizacja, żeby już nie powiedzieć rasistowska. No i naturalnie chcieli, żebyśmy przyprowadzili Jennie. Brr, to wstrętne stowarzyszenie. Czy może pan sobie wyobrazić mentalność tych ludzi? Odcinają się od czarnych i Żydów, a zabiegają o względy szympansa! Powinnam podziękować za zaproszenie i powiedzieć, że Jennie owszem, chętnie skorzysta, ale dopiero po *bar micwah* i czy nie mają nic przeciwko temu, że przyprowadzi ze sobą swojego wujka Jazzbo? Oczywiście nigdy im nie odpowiedziałam, nawet na ponowione zaproszenie, za to znacznie później dowiedziałam się, że jakaś dziumdzia z Cambridge poczuła się głęboko dotknięta. Zostaliśmy wyklęci na zawsze! (Śmiech).

Ukoronowaniem towarzyskich tryumfów Jennie była kolacja w hotelu Ritz-Carlton wydana przez Muzeum Sztuk Pięknych. O Boże! Była to setna czy któraś rocznica powstania muzeum i z tej okazji zaplanowano uroczystość w strojach wieczorowych, z tańcami. Największa bomba sezonu towarzyskiego. Boston jest szalenie prowincjonalny. Gdyby nie Jennie, nie wzięto by nas z Hugonem w ogóle pod uwagę. Nie tylko bowiem przysłali nam zaproszenie, ale jeszcze to napuszone babsko specjalnie zadzwoniło, żeby się upewnić, czy aby na pewno przyjdziemy z Jennie. Odniosłam wrażenie, że jeśli nie zamierzamy jej przyprowadzić, to równie dobrze możemy nie przychodzić.

Było to jedyne zaproszenie, które postanowiliśmy przyjąć. Wydało nam się, że może być zabawnie. Kupiliśmy Jennie na tę okazję rozkoszną czerwoną atlasową suknię na sztywnej halce, z bufkami i drapowaniem przy szyi, w której wyglądała bardzo elegancko. Włożyliśmy jej też na wszelki wypadek pieluchę. Po stresie, jaki przeżyliśmy podczas programu Eda Sullivana, woleliśmy się zabezpieczyć.

Hugo wystroił się w smoking z jedwabnego brokatu, kupiony w

Hongkongu, a ja, nie chcąc przyćmić Jennie, wystąpiłam w błękitnej sukni.

Kiedy zajechaliśmy pod Ritza, hotel płonął od świateł, a orkiestra smyczkowa piłowała zawzięcie i czekała już pokaźna kolejka limuzyn. Portierzy, czy jak tam ich zwał, otwierali drzwi i ci wszyscy prominenci wysiadali i szli po czerwonym dywanie. Trochę było tego za wiele. Za jedwabnymi linami kłębił się tłum fotoreporterów i strzelały flesze.

Gdy przyjechaliśmy naszym chryslerem kombi z 1956 roku, fotoreporterzy nawet nie spojrzeli w naszą stronę. Przecież ktoś, kto jeździ takim starym gratem, nie zasługuje na zdjęcie! Wysiedliśmy i przez chwilę nic się nie działo. Ale za to potem — potem, kiedy się zorientowali, że niewielka postać w rozkosznej czerwonej sukience to szympan, dosłownie oszaleli! Rzucili się do nas, liny puściły i zostaliśmy otoczeni przez spocony tłum pchający nam kamery w twarze. W blasku fleszy nie widziałam kompletnie nic. Przypominało to bombardowanie. Słyszałam tylko krzyki Hugona i wrzaski przepychających się ochroniarzy.

Jennie ze strachu zaczęła drzeć się wniebogłosy. Próbowaliśmy podnieść ją do góry, ale ścisk był taki, że okazało się to niemożliwe i tylko trzymałam ją mocno za rękę. Przestraszona ugryzła jednego czy dwóch fotoreporterów. No, może trzech. I trudno jej się dziwić. Na jej miejscu zrobiłabym to samo. Ścisk i hałas był coraz większy, pogryzieni fotografowie wołali o pomoc i usiłowali się wydostać z tłumu, który nieustannie na nas napierał. Było to... nie mogę znaleźć słów... po prostu piekło, istne piekło.

Wreszcie ochroniarze oczyścili z ludzi wąskie przejście, którym zdołaliśmy uciec. Słyszałam jeszcze za sobą koszmarnie bluzganie jednego z fotoreporterów, który groził sądem i tym podobnymi bzdurami. Dobrze mu tak, beczelnemu bucowi.

Kiedy już znaleźliśmy się w środku, Jennie zachowywała się jak anioł. Kogo tam nie było! Gubernator Volpe, Bobby i Teddy Kennedy, senator Brooks. A świat artystyczny! Zawsze lubiłam sztukę nowoczesną; nic mnie nie obchodzi, co o niej mówią. A więc znaleźli się tam Jackson Pollock, Andy Warhol, Kenneth Noland,

Rothko, Lichtenstein, Jasper Johns — całkiem pokaźna grupka.

Jennie niewątpliwie stanowiła przebój wieczoru. Ludzie potrafili odsunąć gubernatora czy wepchnąć się przed któregoś z Kennedych, żeby tylko uścisnąć jej dłoń. (Śmiech). Pamiętam, jak Bobby Kennedy podniósł ją do góry i powiedział: „Jak się masz, ślicznotko”, a ja na to: „Tylko ręce z daleka od mojej córki”. Myślałam, że pęknie ze śmiechu.

Andy Warhol przechadzał się z wielkim napisem na koszuli: „Słynny artysta”. Myślał pewnie, że jest szalenie zabawny. Boże, jak Jennie nie znosiła takich nadętych ludzi! Podeszła prosto do niego i jednym ruchem zdarła mu ten napis. Wszyscy pokładali się ze śmiechu. Nigdy nie podobały mi się jego prace. Facet całe życie miał tylko jedno w głowie.

Co takiego? Aha tak, przyjęcie. Muszę powiedzieć, że Jennie zachowywała się po prostu wzorowo. Zjadła po trochu każdego dania, chociaż jedzenie było dosyć ciężkie, zupełnie nie wjej guście. Nic jednak nie wypluwała, a nawet prowadziła rozmowę. Naturalnie pełniliśmy rolę tłumaczy. Siedzący na lewo od nas pan, prezes jakiejś spółki, zapytał Jennie, czy smakuje jej kolacja.

Tłumaczył Hugo, więc zapytał Jennie: „Jennie lubić jedzenie?” A Jennie w odpowiedzi niewiele się zastanawiając: „Jedzenie fuj!”

Chce pan, żebym to zademonstrowała? O, Boże. No, dobrze, spróbuję. W każdym razie Jennie była sensacją. Zaraz... może sobie przypomnę...

Ktoś spytał Jennie, czy lubi towarzystwo. Hugo przetłumaczył: „Jennie lubi ludzi?” Hugo bardzo elegancko wykonywał te znaki, tak, trzeba mu to przyznać. Powoli i precyzyjnie, ale z zawijasami. Jak dyrygent orkiestry symfonicznej. A jak wytwornie wyglądał w tym smokingu. Nigdy nie zapomnę tego wieczoru... ach...

Tak czy siak, Jennie odpowiedziała: „Jennie lubić Jennie”. Ta jej deklaracja została skwitowana nowym wybuchem śmiechu. Daję słowo, teraz, kiedy patrzę na to z perspektywy lat, ledwie mogę uwierzyć. Jaka ta szympansica była mądra! Zawsze wiedziała, co odpowiedzieć.

Ale nade wszystko lubiła być w centrum uwagi, więc zaczęła powtarzać: „Przytulić Jennie, przytulić Jennie”. Hugo znów to przetłumaczył i naturalnie przytulił Jennie mocno. Goście byli oczarowani.

Potem zażądała banana. Ponieważ powtarzała to w kółko, ktoś zapytał, o co jej chodzi. Kiedy Hugo powiedział, wszyscy zerwali się z miejsc i zaczęli wzywać kelnerów, każąc sobie przynieść banana. Zupełnie jakby Jennie była jakąś księżniczką. A że nikt nie mógł znaleźć banana, zrobiło się wielkie zamieszanie i jeden z kelnerów został solidnie zbesztany. Wreszcie zjawił się banan; musieli kogoś specjalnie posłać do sklepu.

Jennie była w wyjątkowej formie. Przy naszym stole siedział Jackson Pollock — wie pan, ten co to tak packa farbą. Popił sobie biedaczysko i zapytał Jennie, czy go lubi. A Jennie na to: „Ty głupi”. Do licha, nie należy zadawać jej takich pytań. W naszym końcu stołu ludzie dosłownie turlali się ze śmiechu. Wszyscy się na nas gapili i żalowali, że nie siedzą przy tym samym stole. Hugo bawił się fantastycznie.

Zapytał Jennie: „Kto głupi?” i Jennie odpowiedziała natychmiast: „Ty głupi”. No to Hugo dalej: „On głupi?” — pokazując na Pollocka. Ach, straszny był z niego kawalarz. Powiedział panu Pollockowi, że jeśli chodzi o styl malarstwa, ma z Jennie wiele wspólnego. Akurat tak się składa, że ja dosyć lubię malarstwo Pollocka, ale Hugo miał w tych sprawach dość staroświeckie upodobania. Ojej, ale znów zoczyłam z tematu. W każdym razie Jennie, szalenie podniecona, zaczęła powtarzać w kółko: „Głupi, głupi, wszyscy głupi”, jednocześnie podskakując na krześle. Było to naprawdę bardzo zabawne. Tego wieczoru błysnęła wspaniałą formą; czarowała wszystkich.

Podczas deseru podszedł do nas Bobby Kennedy i kucnął koło jej krzesła. Tej rozmowy nigdy nie zapomnę. Kennedy chciał wiedzieć, czy Jennie dobrze się bawi. Hugo przetłumaczył.

Jennie odpowiedziała: „Jennie bawić, Jennie bawić”. A potem poprosiła senatora, żeby się z nią zabawił w berka łaskotanego.

Hugo powiedział, że Jennie domaga się, żeby ją trochę pogonił, a potem połaskotał. Senator Kennedy roześmiał się i odparł, że chyba jego żona nie byłaby tym zachwycona.

Hugo przetłumaczył: „Żona mówi nie”.

Jennie natychmiast zasygnalizowała w odpowiedzi: „Żona głupi, głupi”.

Kennedy ryczał ze śmiechu, a potem zapytał, na kogo Jennie będzie głosowała w wyborach wstępnych.

To pytanie okazało się dość trudne do przetłumaczenia i Hugo musiał je trochę zmodyfikować. „Jennie lubi jego najbardziej?” — zasygnalizował.

„Głupi” — odparła Jennie. Wyglądało na to, że się uczepliła tego słowa. Często powtarzała do znudzenia ten znak, na który ludzie reagowali śmiechem.

Hugo skłamał i powiedział Kennedy'emu, że będzie głosowała na niego.

Senator wyciągnął do Jennie rękę i wygłosił krótką zabawną mowę o tym, że jak zostanie wybrany, to w każdym garnku znajdzie się banan. Mimo to Jennie nie podała mu ręki. Odsunęła jego dłoń i otworzyła ramiona, pokazując, że ma ją przytulić. Kiedy nie zrobił tego na zawołanie, zaczęła natarczywie powtarzać: „Przytulić, przytulić, przytulić”, ponownie otwierając ramiona. No więc w końcu przygarnął ją i uściskał, po czym dalej potrząsał dłońmi siedzących przy naszym stole gości. Biedaczysko — w miesiąc czy dwa później został zamordowany. Wielka szkoda, byłby świetnym prezydentem, nie tak jak ten koszmarne Nixon.

Kiedy rozpoczęły się tańce, karnecik Jennie był zapełniony. Każdy chciał z nią zatańczyć. Tańczyli z nią gubernator Volpe i Ted Kennedy. Nikt nie chciał iść do domu, nie zaliczywszy tańca z szympansem. Zgłosił się nawet Warhol; widocznie należało to do dobrego tonu. Ale nie spodobał się Jennie i obcięła go bardzo krótko. (Śmiech). Obcięła go krótko! Boże, jakie to było zabawne. A wyglądało mniej więcej tak: Warhol podszedł do Jennie i wyciągnął do niej rękę ruchem omdlewającym i, powiedziałabym, wyszukany. Wyglądał dosłownie jak trup — cały biały, z tą swoją pozbawioną wyrazu twarzą. Pomyślałam, że Jennie będzie

się go bała. Tymczasem ona wzięła go za rękę, pociągnęła lekko w dół i wywinęła wargi. Jak do pocałunku. Warhol nachylił się, żeby ją pocałować, a tymczasem Jennie jak mu nie strzyknie śliną w samo ucho! Rany boskie! Zaraz potem czmychnęła i schowała się za moją spódnicę, cały czas kłapiąc zębami i śmiejąc się. Nie wiedziałam już potem Warhola, ale założę się, że wyszedł mocno skonfundowany.

Jennie lubiła upokarzać takich ludzi jak on. I zawsze wiedziała, co zrobić. Do dziś nie mogę się nadziwić, skąd czerpała taką wiedzę. Po tym drobnym incydencie była bardzo z siebie zadowolona i zaczęła zdradzać oznaki nadmiernego podniecenia, więc w obawie, że kogoś ugryzie, musieliśmy ją wcześniej zabrać do domu.

Kiedy podrosła, stała się dla nas prawdziwym problemem. Nie gryzła często — i nigdy nas — ale byliśmy wiecznie niespokojni. Na wszystkich drzwiach pozakładaliśmy zasuwę, a kiedy Jennie skończyła trzy lata czy coś koło tego, zawsze ktoś musiał z nią wychodzić. Dawniej bała się oddalać poza obręb naszego podwórka, ale kiedy miała trzy lata... nigdy nie wiedzieliśmy, do czyich drzwi zacznie się nagle dobijać. Stała się naprawdę bardzo śmiałą dziewczynką.

Fragment z „Szympanica podbija Boston,” notatki zamieszczonej w kronice towarzyskiej bostońskiego „Herald-Travelera”, 12 września 1969 r. Wykorzystane za zezwoleniem.

Nie, wśród zaproszonych na uroczystości z okazji setnej rocznicy powstania bostońskiego Muzeum Sztuk Pięknych nie było katarzyniarza.

Małpa, którą państwo oglądali w wieczornych wiadomościach telewizyjnych, paradująca niczym księżniczka w czerwonej sukni i biżuterii, była to ni mniej, ni więcej tylko panna Jennie Archibald, latorośl szlacheckiego rodu Archibaldów z Kibbencook, przybrana

córka znanego uczonego, doktora Hugona Archibalda, absolwenta Harvardu.

W opinii wszystkich zainteresowanych urocza panna Archibald stała się niekwestionowaną gwiazdą wieczoru. Słyszano, jak niejedna usunięta przez nią w cień młoda dama mamrotała pod nosem: „Ależ ta szympansica ma czelność... żeby przyjść na przyjęcie w dokładnie takiej samej sukni jak moja”...

Coś podobnego!

Rozumiemy, że panna Archibald jest stworzona do wyższych celów niż kręcenie korbką katarynki. Pobiera ona prywatne lekcje dykcji, wyrażania się i gramatyki u profesora Uniwersytetu Tuftsa, a religii u wielbnego doktora Hendricksa Pallisera, proboszcza kościoła episkopalnego w Kibbencook. Niewykluczone, że wkrótce usłyszymy, iż została przyjęta w mury szacownej Alma Mater swojego ojca, Uniwersytetu Harvarda z — nie wątpimy ani przez chwilę — pełnym stypendium tegoż.

Panna Archibald bawiła gości uroczymi dowcipami i bon motami, zRĘCZNIE — bez najmniejszej złośliwości — podawanymi w języku migowym, który studiuje od kilku lat. Przetoczyła noc z obydwojema braćmi Kennedy, w przerwach przechadzając się pod rękę z takimi osobistościami, jak Andy Warhol, gubernator i wielu innych dygnitarzy i artystów.

Na przyjęciu nie zabrakło takich znakomitości, jak...

Rozdział 7

Z listu Aleksandra, Sandy'ego, Archibalda do autora z dnia 10 września 1992 roku.

Drogi panie Preston,

Pański list leżał przez trzy tygodnie na poczcie towarowej w Totsoh, zanim do mnie dotarł. Stąd opóźnienie mojej odpowiedzi, za które bardzo przepraszam.

Słyszałem naturalnie o pańskiej książce. Wątpię, czy potrafiłbym dodać cokolwiek do materiałów, którymi pan dysponuje. Co do wywiadu ze mną, to chętnie z panem porozmawiam, ale musiałby się pan tutaj pofatygować, a to mogłoby się okazać trudne. Najbliższe miasto to Lukachukai w Arizonie, położone po zachodniej stronie gór Chuska na zachód od granicy pomiędzy Arizoną a Nowym Meksykiem. Zapadła dziura. Ale na większości dobrych map można ją znaleźć. Mieszkam jakieś trzydzieści dwa kilometry na północ od Lukachukai w miejscowości zwanej przez Nawahów *Hosh ditsahitsoh*, co znaczy Miejsce Trujących Wielkich Sowich Kaktusów. Będzie panu potrzebny solidny wóz terenowy i nie radzę wybierać się w zimie, bo jeśli spadnie śnieg, to może pan nie odnaleźć drogi. Cała droga przez pustynię to koleiny szerokości jednego pojazdu.

Zajmuję się wypasem bydła i owiec dla pewnej rodziny Nawaho i nie mam żadnego stałego rozkładu zajęć. Jeśli pan chce mnie złapać, to po prostu musi pan tu przyjechać i próbować mnie

odnaleźć. Nie ma innego wyjścia, bo nie chciałbym załatwiać tej sprawy drogą listowną. Ja też jestem pana ciekaw.

Łączę ukłony S.A.

*Wyjątki z nie publikowanego rękopisu
doktor Pameli Prentiss zatytułowanego
„Rozmowy z szympansem”. Wykorzysta-
no za zgodą.*

Miejsce akcji: pokój zabaw w domu Archibaldów, 10 grudnia 1969 r., 10.00 rano; Jennie przymierza przed lustrem kapelusz.

Pam: „To ładny kapelusz. Ładny kapelusz”. Powiedz: „Ładny kapelusz”.

Jennie: Zdejmuje kapelusz i rzuca. Wyciąga rękę po następny, który trzyma Pam.

Pam: „Nie, Jennie nie rzucać kapelusz. Nie”.

Jennie: „Ja kapelusz. Ja kapelusz”. Jennie sygnalizuje jednocześnie „ja”, jedną rękę kładąc na piersi, i „kapelusz”, drugą kładąc na głowie.

Pam: „Jennie nie rzucać kapelusz?”

Jennie: „Ja kapelusz!”

Pam: „Jennie być dobra”. Daje Jennie kapelusz.

Jennie: Zakłada kapelusz. Kapelusz jest duży i wpada jej na oczy. Jennie ściąga go i rzuca na ziemię.

Pam: „Nie, niegrzeczna Jennie. Nie rzucać kapelusz. Idź, weź kapelusz! Idź! Idź!”

Jennie: „Idź!”

Pam: „Nie, Jennie idź”.

Jennie: „Idź! Kapelusz!”

Pam: „Nie, niegrzeczna Jennie. Nie rzucać kapelusz. Idź weź kapelusz. Jabłko?”

Jennie: Wstaje, podnosi oba kapelusze i podaje Pameli. „Jabłko!”

Pam: „Dziękuję, Jennie. Masz jabłko”. Daje kawałek

jabłka Jennie, która natychmiast wpycha go do buzi, wyciągając rękę po więcej. Pam nie reaguje.

Jennie: „Jeszcze!”

Pam: „Jeszcze czego?”

Jennie: „Jeszcze!”

Pam: „Jeszcze czego?”

Jennie: „Jeszcze! Jeszcze!”

Pam: „Nie”.

Jennie: „Jabłko!”

Pam: Daje Jennie następny kawałek jabłka.

Jennie: „Jeszcze!”

Pam: „Nie. Nie ma więcej jabłka. Jennie chce bawić zabawkami?” Pokazuje małego majsterkowicza, jedną z ulubionych zabawek Jennie.

Jennie: „Bawić. Bawić”.

Pam: „Bawić czym?”

Jennie: Podbiega do skrzynki (która jest zamknięta), bębni w wieko i pokrzykuje w podnieceniu.

Pam: „Nie, Jennie cicho”.

Jennie: Wskakuje na skrzynkę, tupie nogami. „Bawić! Bawić!”

Pam: „Jennie zejść ze skrzynki. Jennie bawić, jeśli Jennie zejść”.

Jennie: Schodzi ze skrzynki i czeka, żeby ją Pamela otworzyła. Zaraz po uniesieniu wieka nabiera całe naręcze elementów i rzuca na podłogę. „Bawić! Pam bawić!”

Pam: „Jennie robić dom?”

Jennie: „Dom!”

Pam: „Ty i ja robić dom. Powiedz: Jennie robić dom”.

Jennie: „Jennie”.

Pam: „Jennie robić dom. Jennie... robić... dom”.

Jennie: „Ja Jennie”.

Pam: „Robić. Robić”.

Jennie: Jennie krzyczy rozczarowana i wali w kółko rękami o podłogę, co stanowi jej znak „bawić się”.

Pam: „Nie. Jennie być cicho. Robić. Robić. Powiedz robić”.

Jennie: „Powiedz robić”.

Pam: „Dobrze! Dom. Dom”.

Jennie: „Dom”.

Pam: „Jennie robić dom?”

Jennie: „Bawić!”

Pam: „Powiedz: Jennie robić dom. Jennie robić dom”.

Jennie: „Jennie robić dom”.

Pam: „Dobrze! Dobrze, Jennie! Dobrze! Jennie robić dom!” Pam zaczyna budować dom z elementów, wkładając ośki w kółka, podczas gdy Jennie przygląda się zafascynowana. Najwspanialszy moment, na który Jennie czeka, przyjdzie, kiedy budowla będzie już gotowa i Jennie będzie mogła ją przewrócić i rozebrać na kawałki.

Jennie: Podskakując z podniecenia. „Dobra Jennie! Ja dobra, Jennie dobra!”

Z wywiadu z Haroldem Epsteinem.

Ciągle pan mnie pyta o agresywność Jennie. Spróbuję panu wytłumaczyć to, co wiemy na temat agresywności szympanów w ogóle. Żeby nie wiem jak długo rozmawiać na ten temat z wami, dziennikarzami, nic z tego nie łąpicie. Proszę się nie obrażać, nie mam na myśli akurat pana. Po prostu nie mogę pojąć, dlaczego niektórym ludziom wydaje się to takie trudne.

Otóż z wiekiem Jennie stawała się coraz bardziej agresywna. To normalne. Proszę jednak pamiętać, że nie była to taka agresywność, jaką się widuje u sfrustrowanych istot ludzkich. Jej agresja występowała w granicach określonego zespołu zasad. Była to agresja normalna, właściwa szympanom. Rozumiemy się?

Druga sprawa: szympany nie są łagodnymi, miłującymi pokój zwierzętami, za jakie je ludzie pierwotnie mieli. Jane Goodall spędziła całe lata na obserwowaniu dziko żyjących szympanów i stwierdziła, że są bardzo agresywne. Są ponadto — a odnosi się to szczególnie do samców — obsesyjnie wrażliwe na punkcie swojej pozycji w hierarchii społecznej. We wspinaniu się po jej drabinie wykazują całkowitą bezwzględność. Spędzają masę czasu na ustalaniu, kto jest szefem, a kto nie. Goodall była świadkiem licznych

przypadków gwałtu, morderstw z premedytacją, dzieciobójstwa, a nawet kanibalizmu wśród szympanów. Walczą nie fair; rzucają się na słabszego. Czasami samce biją samice. Boją się i nienawidzą obcych. Są też bardzo zaborcze. Zdarza się, że grupy samców zachowują się jak gangi uliczne, walcząc się po obrzeżach swojego terytorium po to, by napadać i zabijać obcych. Jane Goodall była zrozpaczona, kiedy odkryła, że szympansy w Gombe przejawiają coraz więcej negatywnych ludzkich cech.

Celowo używam tutaj terminów antropocentrycznych. Etologowie mnie zabijają, jak to przeczytają. A niech tam! Chcę po prostu dowieść tezy, że szympansy (i w ogóle większość zwierząt) nie prowadzą pokojowej egzystencji, zabijając tylko dla zaspokojenia głodu. Również ludzkość nie żyje w jakimś zdemoralizowanym nienaturalnym stanie, o czym by mógł świadczyć wysoki poziom przestępczości w naszym społeczeństwie. Przestańmy wreszcie mówić o zbrodni jako o dewiacji — zarówno u szympanów, jak i u ludzi. Agresja jest wbudowana w nasze geny, i to wszystko.

Jeśli chce pan napisać książkę o Jennie, musi pan te rzeczy zrozumieć. Większość dziennikarzy, którzy o niej pisali, nie rozumiała źródeł jej agresji. Ci tak zwani dziennikarze popularyzatorzy wiedzą o nauce mniej więcej tyle, co ja o naprawie samochodów. Jak większość ludzi posługujących się obiegowymi opiniami, zakładają, że wszelka agresja u Jennie była skutkiem demoralizującego wpływu ludzkiego społeczeństwa. Albo że było to nadużycie ze strony badaczy naukowych. Albo że to wynik życia w nienormalnej rodzinie czy co tam innego. Tymczasem jest to błędny sposób rozumowania. Twierdzenie, że zwierzęta na swobodzie są łagodne i nie zepsute, podczas gdy człowiek jest zepsuty, brutalny i żyje w sposób niezgodny z naturą, to czysta, oczywista, stuprocentowa bzdura.

Gdyby zastosować wskaźnik liczby morderstw, stwierdzony przez Jane Goodall w społeczności kilkudziesięciu szympanów w Gombe, do ludności Nowego Jorku, okazałoby się, że mielibyśmy

ponad pięćdziesiąt tysięcy morderstw rocznie. Często się słyszy, że „Człowiek jest jedynym zwierzęciem, które zabija dla przyjemności”. Co za bzdura! Skąd ludziom przychodzi do głowy takie pomysły! To tak, jakby ktoś powiedział, że ziemia jest płaska. Każdy, kto kiedykolwiek miał kota — no i przynajmniej dwie szare komórki, które się spotkały — wie, że to nie może być prawda. Behawiorysty, uczeni zajmujący się zachowaniem zwierząt, sygnalizują co jakiś czas, że gatunki drapieżne często zabijają wcale nie z głodu. Zabijają, ponieważ instynkt zabijania jest w nich bardzo silny. Czy odczuwają przy tym „przyjemność”, to sprawa sporna.

A jak pan myśli, co to może znaczyć: nakarmił pan psa i wypuścił go z domu, a on goni wiewiórkę? Nie jest przecież głodny; po prostu ma potrzebę zabijania. Albo pański kot, który godzinami podchodzi ptaki na podwórku... Nawet przedstawiciele gatunków niedrapieżnych, jak na przykład konie czy kurczęta, potrafią być złe i agresywne. W świecie zwierząt kanibalizm i zabijanie nie należą do rzadkości. Skąd więc to przekonanie, że tylko człowiek jest zły, agresywny i zepsuty? Otóż z myślenia „uproszczonego”, które jest antyhumanistyczne i faryzejskie. Niby to nowoczesna nauka, a gdzieś na dnie czai się myślenie oparte na najbardziej niedorzecznej idei wykoncypowanej przez nas, żydów, ale przez was, chrześcijan, doprowadzonej do kompletnego absurdu. Mam na myśli mit grzechu pierworodnego. Człowiek jest zepsuty. Człowiek jest zły. Człowiek jest grzesznikiem przez sam fakt urodzenia. (Śmiech). Co za cholerny idiotyzm!

A teraz coś panu powiem. Chce pan wiedzieć, na czym polega prawdziwy grzech pierworodny? Bo jest taki rodzaj grzechu, z którym istota ludzka przychodzi na świat. Niech pan posłucha. Jest to agresja wbudowana w nasze geny przez ewolucję! Kiedyś agresja czemuś służyła. Ale dziś, w dobie nowoczesnej broni, stała się przeraźliwie nieprzystosowana...

Przepraszam bardzo. Proszę mi wybaczyć. Dziękuję. Zaczynam się niepotrzebnie podniecać. Muszę złapać oddech.

Chodzi mi o to, że ludziom — w porównaniu z większością społeczności zwierzęcych, które badaliśmy — jeszcze stosunkowo najlepiej udało się ująć tę agresję w ryzy. Naturalnie były spektakularne porażki — głównie w dwudziestym wieku. Nasza zdolność do agresji jest chyba większa, co nie oznacza większych potrzeb w tej dziedzinie. Ale do rzeczy. Otóż agresja Jennie była wbudowana. Niezależna od czynników zewnętrznych. Ludzie też mają agresywne skłonności. Ci, którzy ich nie potrafią powściągnąć, albo idą do więzienia, albo się leczą. W znacznej mierze zależy to od poziomu społeczeństwa, z którego się wywodzą. Ci z kolei, którzy nadmiernie dławią w sobie te odruchy, ludzie bierni, popadają w stany depresyjne albo popełniają samobójstwa. Przypomina to stąpanie po bardzo cienkiej linii.

Podejrzewam, że po takiej właśnie cienkiej linii musiała chodzić Jennie. Tyle że dla niej było to znacznie trudniejsze, ponieważ została zaprogramowana według zupełnie innego kompletu reguł. Kiedy patrzę na to z perspektywy lat, nasze oczekiwania, by przedstawiciel innego gatunku rozumiał i przestrzegał ludzkich zasad społecznych, wydają mi się niedorzeczne. Do diabła, przecież sami mamy z tym nieliczne kłopoty.

Rozumie pan, do czego zmierzam? Okay, wobec tego porozmawiajmy o agresji Jennie w tym kontekście. Ilekroć Jennie zachowywała się agresywnie, prawie zawsze wynikało to z jej szympanziej koncepcji pozycji, dominacji czy hierarchii społecznej.

Posłużę się przykładem. W świecie Jennie dominującym samcem, samcem „alfa”, był Hugo. Nikt nie posiadał wyższej pozycji. Dlatego gdy na przykład Hugo się z kimś pokłócił (powiedzmy ze mną), Jennie stawała się dla tej osoby niebezpieczna.

Przypominam sobie kilka tego rodzaju sytuacji. Kiedyś siedzieliśmy z Hugonem na podłodze w jednym z pomieszczeń znajdujących się w suterenie muzeum i bawiliśmy się z Jennie, jednocześnie obmyślając jakiś kolejny eksperyment. Powstało między nami nieporozumienie — już nie pamiętam, na jaki temat. Nigdy zresztą nie podnosiliśmy głosu ani nie zachowywaliśmy się w sposób

ostentacyjny. Po prostu mieliśmy w jakiejś tam sprawie odmienne zdania. Dowodząc swoich racji, dotknąłem ramienia Hugona. Jennie rzuciła się na mnie z szybkością błyskawicy, sygnalizując jednocześnie: „Zły, gryźć, zły”.

Kiedy Hugo ją skarcił, skuliła się, bardzo zdziwiona, po czym uniosła ugiętą w nadgarstku bezwładną rękę w szympansim geście poddania i powiedziała: „Przepraszam, przepraszam”.

Hugo zapytał ją, dlaczego mnie ugryzła, na co odpowiedziała: „Człowiek skrzywdzić”.

„Człowiek skrzywdzić kogo?” — zapytał Hugo.

„Ty Hugo, Hugo”.

„Harold nie krzywdzić Hugo, Harold przyjaciel”.

„Przepraszam, przepraszam, przepraszam. Harold przyjaciel. Harold przyjaciel”.

(Doktor Epstein pokazał całą tę wymianę zdań w języku migowym).

Tak mniej więcej wyglądała ta rozmowa. Jennie nie rozumiała naszych wzajemnych ludzkich relacji. Oceniała je w kategoriach szympansich.

Kiedy miała trzy—cztery lata, nic nie uszło jej uwagi. Wystarczyło podczas rozmowy dotknąć Hugona czy poklepać go po plecach, żeby się zjeżyła i zaczęła szczeleć. Bo w chwilach zagrożenia wydawała odgłos przypominający „Wrrra!” Otóż gratulując Hugonowi jakiegoś sukcesu, klepnałem go odrobinę za mocno. Natychmiast odezwałem się do Jennie ostrym tonem... Właśnie, z tym się wiąże inna sprawa: gdybym bowiem okazał strach albo niezdecydowanie, z pewnością by mnie ugryzła. W podobnych sytuacjach należało konsekwentnie trwać przy swoim albo ją gniewnie zbesztać — wtedy zwykle tchórzyła. I znów było to zachowanie zgodne z szympansimi regułami gry. Szympansy są równie tchórzliwe, jak ludzie. Zastanówmy się przez chwilę, co oznacza tchórzostwo w kategoriach ewolucji. Albo nie. Wróćmy do naszej opowieści!

Nie zawsze Jennie była słodka i rozkoszna. Jak zresztą każda skomplikowana, inteligentna, myśląca istota. A do tego jeszcze obdarzona bardzo wyraźną, a nawet wybitną osobowością.

Jak wszyscy, miała i nieprzyjemne cechy charakteru.

Wystarczy wspomnieć jej chciwość! Z wiekiem stawała się coraz bardziej zachłanna. Miała na przykład rzeczy, które uważała za swoje. Nie chciałbym być w skórze tego, kto by się odważył ich dotknąć albo nie daj Boże wziąć do ręki! Kiedyś wszedłem do gabinetu Hugona i oglądaliśmy coś na jego biurku. Chciałem sobie przysunąć taki stary rozklekotany fotel, w którym siadywała Jennie. I jak pan myśli, co z tego wynikło? Natychmiast cała się zjeżyła, zaczęła na mnie warczeć i chciała zaatakować. Pozwoliłem sobie ruszyć jej fotel! (Śmiech). I wtedy Hugo powiedział mi, że kiedy przychodzi do nich sprzątaczką, muszą zamykać Jennie w pokoju, bo nie znosi, kiedy tamta przesuwa meble.

Czy Lea opowiadała panu o tym, jak Jennie zbiła dywan? To bardzo zabawna historia. Pewnego dnia, kiedy Jennie była w muzeum, Lea położyła w living-roomie nowy dywan. Po powrocie do domu Jennie wpadła do living-roomu i natychmiast się zjeżyła. Warcząc, z twarzą wykrzywioną strachem, zaczęła się wycofywać. W pewnej chwili zawróciła i zaatakowała dywan. Dosłownie zaatakowała. Deptała go, młóciła rękami, próbowała zerwać, drąc się przy tym wniebogłosy. Była wściekła.

Chcę powiedzieć, że w tej rosnącej z wiekiem agresji Jennie nie ma nic nienaturalnego. Wszystkie szympansy, czy to żyjące w niewoli, czy na wolności, stają się z wiekiem coraz bardziej zaborcze i agresywne. Ale przecież na miłość boską, czy ludzkie dzieci są inne?

Otóż moja teza brzmi: szympansy i ludzie mają ze sobą wiele wspólnego, nie wyłączając egoizmu, okrucieństwa, tchórzostwa, zachłanności i skłonności do przemocy. Nie chciałbym jednak, żeby to miało zbyt przykrą wymowę. Szympansy bowiem przejawiają i takie pozytywne ludzkie cechy, jak uczucia rodzinne, dobroć, altruizm, przyjaźń i odwaga. Te najgorsze, ale i te najlepsze. *Simia quam similis, turpissima bestia, nobis!*

Fragment z „Jennie dorasta”, artykułu zamieszczonego w piśmie „Psychologia dzisiaj”, 16 marca 1970 r. Wykorzystano za zezwoleniem.

W wyniku długofalowego eksperymentu dokonanego w bostońskim Muzeum Historii Naturalnej nauczono szympansię porozumiewania się za pomocą języka migowego. Jennie jest wychowywana przez doktora Hugona Archibalda, kustosa Działu Antropologii. Doktor Archibald znalazł Jennie jako noworodka w dżungli afrykańskiej i przywiózł do Ameryki. Państwo Archibald, którzy mieszkają na przedmieściach Bostonu, wychowują ją jak córkę...

Ów eksperyment nie jest pierwszą próbą nauczania szympansię języka migowego. Jednak w opinii licznych prymatologów dzieli z tamtymi wcześniejszymi próbami pewną zasadniczą wadę.

„Jest to marnowanie Narodowego Funduszu Nauki” — twierdzi doktor Craig Miller z Uniwersytetu Pensylwanii, główny krytyk nauczania szympansię języka. Doktor Miller powołał specjalny zespół psychologów dla dokładnego przestudiowania dwugodzinnej wideokasety, na której została zarejestrowana Jennie mówiąca do swojej instruktorki, Pamelii Prentiss z Ośrodka Badań nad Naczelnymi Uniwersytetu Tuftsa. Taśma została dokładnie przestudiowana metodą stopklatki. „Jeden z naszych psychologów spędził dwadzieścia godzin na analizowaniu sześciominutowego odcinka taśmy” — mówi doktor Miller. — „Były to najintensywniejsze badania nad używaniem znaków przez szympansię, jakich kiedykolwiek dokonano”.

A konkluzja? Oto opinia doktora Millera: „Szympanię nie posługuje się językiem. Kropka”. Specjaliści od nauk poznawczych, którzy zajmowali się tą taśmą, podkreślają, że większość „wypowiedzi” Jennie była poprzedzona użyciem tych samych znaków przez instruktorkę. Z tego wynika — wnioskuje doktor Miller — że szympanię jedynie powtarza znaki. Odrębny problem to składnia. Ani Jennie, ani żaden z szympansię uczonych języka migowego nie opanował składni.

„Składnia ma zasadnicze znaczenie dla zdefiniowania języka” — uważa doktor Miller. „Pies gryzie człowieka” znaczy coś zupełnie innego niż „człowiek gryzie psa”. Bez zrozumienia składni Jennie nie może władać językiem w ogólnie przyjętym tego słowa znaczeniu.

Doktor Miller porusza także sprawę motywacji. Za każdym razem celem wykonania przez Jennie znaku było natychmiastowe uzyskanie nagrody w postaci zaspokojenia jakiegoś pragnienia, zwykle było to jedzenie, pieszczota czy zabawka. „Bardzo proszę, niech no ci naukowcy sprawią, żeby szympanś powiedział cokolwiek, co nie jest w bezpośredni sposób umotywowane uzyskaniem natychmiastowej nagrody” — wyzywa swoich przeciwników doktor Miller. Inny naukowiec, który badał taśmę, nazwał sygnalizowanie przez Jennie „wymachiwaniem rękami aż do uzyskania tego, na czym jej akurat zależy”.

Analiza taśmy dokonana przez zespół Millera pokazała, że Jennie często przerywała rozmowę i że nie uchwyciła „dwustronności” komunikacji. Rzadko też sama rozpoczynała rozmowy. Wreszcie jej dłuższe wypowiedzi nie wnosiły niczego w sensie znaczenia i polegały głównie na powtarzaniu tych samych słów.

„Główny problem — konkluduje doktor Miller — polega na tym, że ci tak zwani naukowcy rozpaczliwie chcą uwierzyć, że małpy mają potencjalną możliwość posługiwania się językiem. Istnieje zbyt silna emocjonalna więź pomiędzy naukowcem a przedmiotem jego badań, żeby można było mówić o jakiegokolwiek obiektywnej analizie. To tak, jakby ktoś poprosił matkę, żeby oceniła inteligencję swego syna. Brakuje tu pewnej dyscypliny i dystansu. Ja bym w początkowej fazie nauczania szympanśa zastąpił instruktora monitorem wideo. To by naturalnie wyeliminowało jakąkolwiek możliwość «podpowiadania». Wprowadziłbym też bardzo rygorystyczną podwójną ślepą próbę. Wreszcie wyeliminowałbym wszelkie zakłócenia w tle — zamęt i brak struktury — przez trzymanie zwierzęcia w jakimś ograniczonym i ściśle kontrolowanym środowisku. Duży hałaśliwy dom z nieustannie kręcącymi się dziećmi i sąsiadami nie jest najlepszym otoczeniem do przeprowadzania badań”.

Za każdym razem, kiedy poddawaliśmy Jennie jakiemuś testowi, odkrywaliśmy coś nowego. Każdy kolejny eksperyment otwierał przed naszymi badaniami szersze perspektywy. Były to naprawdę gorące dni. Umysł szympansa jest bardzo skomplikowany. Największy problem stanowiło dla nas maksymalne wyeliminowanie różnych zmiennych i stworzenie „czystego” środowiska dla naszych badań. Zawsze bowiem badaliśmy przynajmniej pięć rzeczy naraz.

Nasz psycholog, doktor Sonnenblick, interesował się „teorią intencjonalności”. Po lekturze „Gramatyki generatywnej i głębokich struktur” orientuje się pan z pewnością, o co chodzi. Czytał pan oczywiście tę książkę, prawda? Owszem, jest dosyć obszerna, ale jak pan zamierza pisać o tych sprawach, skoro jest pan za leniwy na to, żeby... Przepraszam, przepraszam pana, ale to jest ważne. W takim razie proszę przynajmniej przeczytać „Analizę intencjonalną, dwuznaczność, zdolność abstrakcyjnego myślenia i uogólniania w umyśle małpy człekokształtnej”. To jest krótkie opracowanie, tam pan znajdzie wszystko.

Doktor Sonnenblick poszukiwał odpowiedzi na pytanie: Czy szympansy wiedzą, że my mamy intencje? Zaraz to wyjaśnię. Powiedzmy, że sprawiłam panu ból przypadkowo. Jest pan mniej urażony, niż gdybym zrobiła to rozmyślnie, prawda? Bo zna pan moje intencje. Z psem byłoby inaczej. Jeśli nadeśniemy psu na ogon, ugryzie nas niezależnie od tego, czy zrobiliśmy to przypadkiem, czy celowo. Nie zna naszych intencji. I nie może znać; pies nie myśli. Do pewnego momentu uważaliśmy, że tylko człowiek jest zdolny interpretować intencje innych. Stąd pytanie: czy szympansy wiedzą, że mamy intencje? A jeśli tak, to czy potrafią je oceniać?

Dokonałiśmy tego eksperymentu, żeby się przekonać, czy szympansy potrafią kłamać. Aha, doktor Epstein panu o tym mówił. To dobrze. Proszę posłuchać. Nasz eksperyment nie tylko dowiódł, że szympansy potrafią kłamać. Pokazał on jednocześnie, że Jennie wie, kto da jej banana, a kto nie.

A zatem Jennie znała intencje tych osób. Zgadza się pan?

Sonnenblick chciał pójść dalej w tych poszukiwaniach. To sprawa dość skomplikowana, więc proszę słuchać uważnie. Czy szympanś potrafi przypisywać intencje osobie trzeciej? Sonnenblick obmyślił bardzo sprytny test. W tym teście Jennie nie miała sama rozwiązywać problemu. Miała odpowiedzieć na pytanie, jak rozwiąże go osoba trzecia.

A oto, co zrobiliśmy. Nagraliśmy kilka taśm wideo. Jennie tak często oglądała telewizję u Archibaldów, że patrzeć na ekran stało się jej drugą naturą. Przynajmniej tyle wynikało dobrego z tego jej gapienia się w telewizor. Bo pani Archibald sadzała ją po prostu przed telewizorem, żeby pozbyć się kłopotu. To przecież telewizja zmarnowała jej syna Sandy'ego. Chcę panu powiedzieć, że...

Ale zbaczam z tematu. Otóż te filmy ukazywały ludzi stojących wobec różnych problemów, a my prosiliśmy Jennie, żeby te problemy za nich rozwiązywała. Na przykład: na jednym z filmów człowiek usiłował sięgnąć do kiści bananów zwisającej z sufitu. Niedaleko stało krzesło. Po skończonym filmie przedstawiliśmy Jennie fotografie ilustrujące dwa możliwe rozwiązania problemu. Na jednej był człowiek leżący na podłodze, a obok niego przewrócone na bok krzesło. Człowiek spadł z krzesła; to jasne. Na drugiej człowiek wchodził na krzesło ustawione pod bananami. Daliśmy jej oba zdjęcia i powiedzieliśmy, żeby umieściła gdzieś „właściwe”, a następnie zadzwoniła na nas, jak już będzie gotowa. Po czym wyszliśmy z pokoju, żeby uniknąć nawet najmniejszej, choćby przypadkowej, okazji do podpowiedzenia jej właściwej odpowiedzi.

Jennie wybrała dobre rozwiązanie. Oczywiście. Pokazaliśmy jej wobec tego jeszcze trzy skomplikowane sytuacje: człowieka dygoczącego z zimna w pokoju, w którym znajduje się nie włączony grzejnik, dwa klucze — zgięty i prosty — i parę szlauchów: podłączony i nie podłączony.

Ze wszystkim Jennie sobie świetnie poradziła. O, tak jak tu! Każda z tych sytuacji jest w tej pracy opisana. Zdaje mi się, że... zaraz, muszę zajrzeć do tego artykułu. Tak, na dwadzieścia cztery

próby miała dwadzieścia udanych. A to jest dwa razy lepszy wynik niż u przeciętnego trzyipółlatka.

Przejdę teraz do najciekawszego przykładu. Niech pan słucha uważnie. Sonnenblick doszedł do wniosku, iż można te wyniki interpretować na różne sposoby. Czy Jennie dlatego wybierała te odpowiedzi, że sama by tak postąpiła w podobnych sytuacjach? Czy może dlatego, że chciałaby, by ktoś tak postąpił? Czy dlatego, że ten ktoś tak powinien postąpić?

Sonnenblick rozwiązał to w sposób bardzo błyskotliwy. Nie uwierzy pan. Posłużył się mianowicie „złym” pomocnikiem. Czy Epstein panu o tym mówił? Aha. No więc kazał się tej osobie przebrać za bandytę. Wie pan: chustka na twarzy, ciemne okulary itp. I ten ktoś robił Jennie różne przykrości. Nie w sensie fizycznym naturalnie. Były to po prostu złośliwości. Na przykład na oczach Jennie zjadał banana, nie dzieląc się z nią. Albo kiedy Jennie sygnalizowała „przytulić”, po prostu ją ignorował.

Doprowadziliśmy do tego, że Jennie zniechęciła tego faceta. Kiedy widziała, że nadchodzi, wrzeszczała i cała się jeżyła. A on wydawał złowrogie pomruki i się skradał. Było to bardzo zabawne.

No więc najpierw pokazaliśmy Jennie taśmę z nagraniem „złego” człowiekiem, który sięgał po banany. A potem pokazaliśmy jej dwa zdjęcia: jedno przedstawiało dobre krzesło, a drugie krzesło bez nogi. Czy pan da wiarę, że Jennie wybrała krzesło o trzech nogach?!

Następnie puściliśmy Jennie film, na którym „zły” facet próbował wydostać się z zamkniętej klatki, po czym daliśmy jej do wyboru tamte dwa klucze. Jennie wskazała zgięty klucz! Często dokonywała takich wyborów z wyraźnymi objawami radości: śmiała się i obracała dokoła. Było to po prostu niewiarygodne. Czy pan rozumie, do czego zmierzam? Dla ludzi, których lubiła, miała w zanadrzu dobre rozwiązania. Dla nie lubianych — rozwiązania nieprzyjemne czy wręcz katastrofalne. A tym samym pokazywała, co chciałaby, żeby się stało.

Proszę pomyśleć, co to znaczy. Jennie potrafiła ocenić, że „zły” człowiek zamierzał wziąć banany, i dawała do zrozumienia, że

zrobi to po jej trupie! Ona udaremniała jego intencje. Jeśli ten eksperyment nie jest dowodem na to, że szympansy potrafią przypisywać intencje innym, to co nim jest?

Robiliśmy najróżniejsze doświadczenia. Zaraz, spójrzmy tutaj. Tak, powinien pan przeczytać niektóre z tych opracowań. Tam jest wszystko wyjaśnione. Byliśmy na przykład ciekawi, czy szympansy potrafią liczyć. Okazało się, że jeszcze jak! Pod warunkiem naturalnie, że nie będą to zbyt wysokie liczby. Kładliśmy powiedzmy pięć guzików i pokazywaliśmy Jennie kilka tacek z pięcioma, czterema i sześcioma kamykami. Pytana o rozwiązanie, wybierała tacę z pięcioma kamykami. Zresztą tylko właśnie do pięciu potrafiła liczyć w sposób wiarygodny. Kiedy próbowaliśmy wyższych liczb, jej wyniki spadły. A przy siedmiu były zupełnie przypadkowe. Chociaż w miarę ponawianych prób wyraźnie się poprawiała. Jestem przekonana, że gdybyśmy nad nią popracowali, nauczylibyśmy ją dodawania i odejmowania. Nie żartuję.

A co pan powie na to, że Jennie rozumiała ułamki? Niech pan posłucha: napełniliśmy szklankę wodą, ale tylko częściowo. I daliśmy Jennie żetony odpowiadające trzem czwartym, połowie i ćwiartce. Kiedy tylko zrozumiała, czego od niej oczekujemy, zawsze wybierała żeton odpowiadający właściwej ilości wody w szklance. Ten sam eksperyment powtórzyliśmy z grudkami gliny, kawałkami drewna itd.

Mogłabym panu cały dzień opowiadać o naszych doświadczeniach. Niech pan przeczyta moje prace. Przyniosłam tu jeszcze kilka odbitek. O, proszę. To zadziwiające, naprawdę zadziwiające.

*Ze „Wspomnień z pewnego życia”
Hugona Archibalda.*

Co roku nasza rodzina wyjeżdżała w sierpniu na wakacje do Maine na farmę, którą kiedyś kupił mój ojciec. Farma znajdowała się w pobliżu Franklins Pond Harbor, rybackiej osady położonej

nad brzegiem zatoki Muscongus. Posiadłość miała ponad sto akrów pól i lasów i niecały kilometr skalistego wybrzeża, z małą zatoczką i skrawkiem kamienistej plaży.

Wszyscy zasłużyli sobie na tegoroczne wakacje, a szczególnie Jennie, chyba najbardziej zapracowany szympan na świecie. Miała za sobą rok wypełniony nauką: trzy razy w tygodniu lekcje języka migowego, dwa razy w tygodniu udział w eksperymentach poznawczych w muzeum i raz w tygodniu zajęcia z religii z wielbnym Palliserem. Nasi sąsiedzi z Kibbencook zazdrościli jej tego rozkładu zajęć. Gdyby była człowiekiem, przyjęcie na Harvard miałyby w kieszeni.

Sandy i Jennie byli nierozłączni jak para ludzkich bliźniąt. Wszędzie chodzili razem. Codziennie rano, kiedy Sandy wybierał się do szkoły, Jennie była niespokojna i wyraźnie nieszczęśliwa. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Sandy musi gdzieś wychodzić. W Maine wszystko się zmieniało. Mogła cały dzień spędzać z Sandym, który nie mając poza nią żadnego towarzystwa, całymi godzinami włóczył się z nią po lasach. Łowili razem kraby w małych bajorkach i poszukiwali skarbu ukrytego rzekomo na jednym z pobliskich półwyspów. W Maine Jennie korzystała z pełnej swobody. Najbliżsi sąsiedzi mieszkali w odległości niecałego kilometra, a ona była zbyt tchórzliwa na to, żeby się samodzielnie tak daleko wypuścić. Pozwalaliśmy jej szaleć po polach i sadach bez stresującego poczucia, że stale musimy mieć ją na oku. Jeśli bowiem zła mała gałąź, narobiła wrzasku czy rzuciła jabłkami, nikomu to nie przeszkadzało.

Ta swoboda, z jakiej Jennie korzystała w Maine, wywarła dziwny wpływ na jej osobowość. Zamiast stać się bardziej dzika i trudna do poskromienia, zrobiła się jak gdyby łagodniejsza i bardziej posłuszna. Pomyślałem, że jej życie w Maine przypominało warunki, w jakich szympansy żyją na swobodzie, i dlatego wydawała się spokojniejsza i mniej napięta.

Obok domu znajdowała się stara stodoła z bali, ze stryszkciem i sąsiekiem pełnym siana. Jej wnętrze z pionowymi palami przypominało dżunglę i Jennie spędzała tam całe godziny, włączając na nie i zwisając z poprzecznych belek.

Lea była o nią bardzo niespokojna i chciała położyć temu kres, ale uświadomiłem jej, że ostatecznie Jennie jest przecież szympansem. Sandy'emu nie wolno było wdrapywać się na górę i stało się to przyczyną wielkiej frustracji obojga. Jennie bowiem błyskawicznie włąziła na belkę, skąd sygnalizowała: „Bawić, bawić, Sandy bawić”. „Nie bawić, Sandy nie wolno” — odpowiadał jej nasz syn. Na stryszku było stare łóżko, w którym Jennie sypiała.

Jej ulubionym miejscem zabaw był stary sad jabłkowy za domem. Przypominał Jennie dżunglę, ze zwisającymi z gałęzi drzew ulubionymi owocami. Wdrapywała się na wierzchołek jabłoni, skąd mogła obserwować wszystkie nasze poczynania i gdzie obzebrała się jabłkami aż do przesytu. Strzegła zresztą tych jabłek bardzo czujnie. Któregoś ranka usłyszeliśmy potworny wrzask i zobaczyliśmy, jak Jennie na łeb, na szyję pędzi do sadu, gdzie dwa jelenie miały czelność raczyć się jej jabłkami. Z krzykiem obrzuciła je kamieniami i przerażone jelenie sromotnie podały tyły. Kiedy Jennie była w pobliżu, nikt z nas nie ośmieliłby się wziąć jabłka.

Wiele czasu spędzałem siedząc na kamiennej przyzbie i obserwując Jennie, jak się huśta w sadzie na gałęzi. Kiedy tak igrała wśród drzew, pohukując, paplając do siebie i opychając się jabłkami, bardziej niż kiedykolwiek przypominała małpę. Potrafiła zjeść nieprawdopodobne ilości jabłek; kiedyś policzyłem, że za jednym posiedzeniem pochłonęła dwadzieścia.

To właśnie w sadzie Jennie nabrała upodobania do alkoholu. Pewnego dnia późnym latem 1969 roku gdzieś nam zniknęła; nie mogliśmy jej nigdzie znaleźć. Lea i Sandy chodzili po polach szukając jej i nawołując. Wreszcie znaleźli ją w wysokiej trawie — spała jak kamień. Kiedy ją obudzili, zachowywała się dziwnie; była wyraźnie pijana. Powlokła się do stodoły, runęła na postanie i natychmiast zasnęła, co było nietypowe dla niej w środku dnia. Następnego rano obudziła się rześka i widzieliśmy, jak wcześniej rano idzie prosto do sadu. Zaczęła zbierać z ziemi zgniłe jabłka i zjadać je, mimo że na gałęziach wisało pełno dojrzałych, zdrowych owoców. Zastanawialiśmy się, co to może znaczyć, dopóki nie

zauważyliśmy, że zaczyna się zataczać jak pijana, śmiejąc się i koziołkując w trawie. Wtedy zrozumieliśmy: Jennie upijała się sfermentowanymi jabłkami.

Zawsze chciała próbować wszystkiego, co jedliśmy i piliśmy. Domagała się na przykład, żeby dać jej łyżek z naszych wieczornych koktajli, ale z reguły krzywiła się i wypluwała alkohol. Zdarzyło się to wkrótce po incydencie z jabłkami: siedzieliśmy w living-roomie sącząc koktajl, kiedy nagle zobaczyliśmy, jak Jennie sygnalizuje:

„Jennie pić”.

„Jennie pić to?”

„Jennie pić, pić”.

Wręczyłem jej mój dzin z tonikiem. Spróbowała trochę i skrzywiła się, ale ku naszemu zdumieniu przełknęła napój. Szybko wyjąłem jej szklankę z ręki.

„Jennie pić!” — zasygnalizowała gwałtownie.

Lea i ja byliśmy przerażeni. Nie mieliśmy pojęcia, jak mocny koktajl może podzielać na ważącego ponad dwadzieścia kilo szympansa!

— Nie, nie — powiedziałem stanowczo. Wyglądało na to, że Jennie zaraz zrobi nam piekło za to, że jej odmawiamy drinka, kiedy nagle jej twarz przybrała zupełnie inny wyraz. Jennie wstała, wyprostowana, jakby usłyszała jakiś zew z oddali, i rozejrzała się dokoła z maniackim uśmieszkiem.

— Och — jęknęła Lea.

Jennie pohukując cicho, weszła na kanapę, usiadła i już ze swoim zwykłym rozkosznym uśmiechem zaczęła nam się przyglądać spod przymkniętych powiek.

Od tej pory co wieczór domagała się drinka. Sok czy pepsi jej nie zadawały; chciała czegoś mocniejszego. Lea początkowo bardzo ostro się temu sprzeciwiała, ale Jennie poznała już ten smak i wiedziała dobrze, że my w naszych szklankach mamy coś specjalnego. Po serii dzikich awantur Lea poddała się wreszcie.

— A masz, zapij się, jak jesteś taka głupia — powiedziała, wręczając Jennie jej koktajl. Jennie wypła go spokojnie i rozsiadła się na kanapie z tym samym pełnym zadowolenia wyrazem przymkniętych oczu.

Odbyliśmy z Leą kilka rozmów na temat etycznego aspektu pozwalania Jennie na picie alkoholu. Czy to jest dla niej dobre? Czy to jej nie zniszczy w sensie psychicznym? Czy ona się nie uzależni? Wreszcie sprawę rozwiązało poważne i odpowiedzialne zachowanie samej Jennie. Popijanie miało na nią taki wpływ jak na przeciętnego dorosłego człowieka. Nie była ani podniecona, ani zła; raczej spokojna i rozluźniona i nigdy nie chciała pić więcej niż my, podobnie jak nie nalegała na picie, kiedy myśmy przestawali. Z reguły też nie dostawała więcej niż równowartość jednego drinka; staraliśmy się robić jej słabe koktajle. Zachowywała się jak człowiek, który w sposób kulturalny „popija towarzysko”.

Jennie oficjalnie uczestniczyła w naszych wieczornych drinkach, co bardzo szybko wywołało reakcję ze strony Sandy'ego: nie lubił, kiedy korzystała z jakichś specjalnych przywilejów.

— To niesprawiedliwe! — narzekał. — Dlaczego ona może pić, a ja nie mogę?

Próbowaliśmy mu tłumaczyć, że to jest dla niego niezdrowe, ale on bardzo szybko zapędził nas w kozi róg.

— Jak to, dla Jennie jest zdrowe, a dla mnie nie? A może wobec tego mniej ją kochacie, co? O to chodzi?

Nie mogąc sprostać logice mego syna, powiedziałem w końcu prawdę: awantury, jakie robi nam Jennie, są dla nas znacznie trudniejsze do zniesienia niż te, które robi nam on. Ale i to go nie usatysfakcjonowało.

— Jej pozwalacie na wszystko, a mnie na nic! — szlochał Sandy. — Jej nawet morderstwo uszło na sucho, a cokolwiek ja zrobię, to mnie zaraz każecie. Jesteście śmierdziele! — I wybiegł z pokoju.

Były to normalne pretensje Sandy'ego w okresie, kiedy wchodził w wiek dojrzewanania. Jednak bez względu na to, jak bardzo narzekał, że faworyzujemy Jennie, nie miało to żadnego wpływu na ich wzajemne stosunki, co świadczyło o naprawdę głębokiej przyjaźni.

Kiedy Jennie zaczęła pić, domagała się także wina do posiłków. Uświadomiłem sobie szybko, że nasz zapas drogiego wina — zawsze miałem słabość do bordeaux — znika w szalonym tempie w gardle małpy. Po prostu nie mogłem patrzeć, jak szympans jednym

haustem wychyla pełny kieliszek leoville-poyferre rocznik 1956, szlachetnego trunku, który dziesięć lat temu zostawiłem, by leżakował, z bezgraniczną cierpliwością obserwując, jak dojrzewa.

Kupiłem więc dla Jennie skrzynkę cold duck w nadziei, że spodoba jej się słodki smak wina, ale przede wszystkim dlatego, że kosztowało dziewięćdziesiąt dziewięć centów za butelkę. Kiedy po raz pierwszy daliśmy jej cold duck, upiła trochę, ale bardzo szybko zorientowała się, że jej wino ma inny kolor niż nasze chateau petrus. Inny kolor i gorszy gatunek — musiała dojść do wniosku. Była wściekła: zbywamy ją byle czym, podczas gdy dla siebie rezerwujemy coś znacznie lepszego. Energicznym ruchem odstawiła swój kieliszek, złapała mój i błyskawicznie wychyliła wartą pięć dolarów porcję bordeaux, po czym z wyzywającą miną opadła na oparcie swego krzesła.

Problem rozwiązaliśmy w ten sposób, że od tej pory kupowaliśmy dla Jennie tanie wino, czerwone i białe, tego samego koloru co nasze i w podobnym opakowaniu. Jak długo butelka miała ten sam kształt, a wino kolor, Jennie nie przeszkadzało, że ona pije gallo chablis, a my raczymy się puligny-montrachet.

Jak to nieraz bywa z ludzkim rodzeństwem w podobnym wieku, Jennie i Sara nie najlepiej ze sobą współżyły. Latem 1969 roku obie miały po pięć lat. Ich wzajemne stosunki można by określić jako przymierze zaczepno-odporne. Miały całkowicie różne osobowości. Sara już jako małe dziecko była dość zdyscyplinowana i raziła ją niesforność Jennie. Lubiła porządek; Jennie chaos. Sara lubiła ciszę; Jennie hałas. Sara była myślicielką; Jennie istotą czynu. Sara była wiecznie uśmiechnięta, cicha i słodka; Jennie głośna i przekorna. Niewiele miały ze sobą wspólnego. Sara wprawdzie nie uczyła się języka migowego z zapalem Sandy'ego, ale umiała dość, żeby zbesztać, obrazić, zagrozić Jennie i ostro osadzić ją w miejscu.

Sara, mimo całej swojej słodyczy, miała w sobie pewną stanowczość i nieustępliwość, dzięki którym potrafiła poskromić Jennie.

Modus operandi Jennie polegał na rozpoznaniu słabej strony przeciwnika i wykorzystaniu jej, nigdy jednak nie zdołała znaleźć szczeliny w litej zbroi Sary. Sara ze swej strony znała doskonale wszystkie słabości Jennie — jej interesowność i zachłanność, lęk przed odrzuceniem i wrażliwość na płacz człowieka. W razie potrzeby wykorzystywała to bez żadnych skrupułów. Sara nie nadużywała pokazywania Jennie, gdzie jest jej miejsce, ale kiedy Jennie przekroczyła jakąś niewidzialną granicę, zawsze wiedziała, jak zareagować.

Już w wieku pięciu lat Sara po mistrzowsku radziła sobie z Jennie. Pewnego dnia w Maine Jennie połamała jakąś zabawkę Sary i części schowała pod krzesłem w living-roomie. Nie mówiąc nikomu ani słowa, Sara zaniósła te części do stodoły na stryszek, rozsyłała je w łóżku Jennie i starannie zakryła kocem. Innym razem Jennie ściągnęła Sarze jedną z jej ulubionych koszul i pobrudziła bawiąc się w błocie. Sara złapała ją na tym, ale zamiast próbować ściągnąć z niej koszulę (co i tak by się nie udało), poszła do pokoju Jennie, wyciągnęła jedną z jej koszul i zaczęła nią wymachiwać Jennie przed nosem. Jennie, bardzo wrażliwa na punkcie swoich rzeczy, próbowała zdjąć koszulę Sary i odzyskać swoją sygnalizując: „Dać koszula! Dać koszula!”, ale Sara pokazała jej na palcach „figę” i odeszła, zostawiając Jennie wrzeszczącą i walącą pięściami w ziemię ze złości.

Jennie zawsze wiedziała, kiedy zbliżały się wakacje w Maine, i na parę tygodni przedtem robiła się niespokojna. A gdy zaczynaliśmy pakować samochód, ogarniało ją szaleństwo. Latała dokoła domu, wbiegała na schody i z powrotem i kursowała między samochodem a domem, cały czas sygnalizując: „Jechać! Jechać! Jechać samochód! Szybko!” Czasami waliła w samochód zaparkowany na podjeździe sygnalizując: „Zły samochód! Zły!”, jak gdyby to z jego winy wyjazd się opóźniał.

Jennie znała każdy szczegół po drodze, a kiedy zbliżaliśmy się do farmy, była coraz bardziej podniecona. Wielka postać Indianina przed wjazdem do fabryki obuwia doprowadzała ją niemal do szaleństwa. Zapowiadała bowiem bliski skręt z autostrady w drogę lokalną. W dziesięć minut później naszym oczom ukazywała się

wielka bryła stodoły i wtedy Jennie całkowicie traciła panowanie nad sobą — zaczynała wydawać przytłumione pohukiwanie, które przybierając stopniowo na intensywności, kończyło się przeciągłym wrzaskiem nieopisanego szczęścia.

*Z rozmowy telefonicznej z Sarą Archibald
Burnham, zamieszkałą na Manhattanie, 23
października 1992 r.*

Dostałam pańskie listy i inne wiadomości. Może pan sobie dzwonić bez końca, a ja i tak nie zamierzam z panem rozmawiać. Po prostu nie, i już. Nie mam nic do powiedzenia. Nie życzę sobie, żeby pan czy ktokolwiek inny wsadzał nos w nasze rodzinne sprawy. Żadnego listu nie przeczytam. Na żaden list nie odpowiem. Dlatego bardzo proszę więcej mnie nie niepokoić. Nie chciałabym być niegrzeczna, bo być może jest pan sympatycznym człowiekiem, tego nie wiem.

Powiem tylko jedną rzecz, jedną jedyną rzecz, której nigdy do tej pory nikomu nie mówiłam. Ale teraz... dlaczego nie? Mój ojciec nie żyje, więc mu nie sprawię w ten sposób przykrości. A to powinno zostać powiedziane. Długo trwało i potrzebowałam wiele pomocy, żeby dać sobie z tym radę. Chciałabym jednak, żeby przynajmniej jedno prawdziwe zdanie znalazło się w tej książce, o ile naturalnie będzie pan miał odwagę je opublikować. Mówię poważnie. Może pan sobie pisać najrozmaitsze bzdury, ale zależy mi na tym, żeby w pańskiej książce znalazło się miejsce na takie zdanie: Nienawidziłam tej szympansicy. I powiem panu dlaczego. Bo mój ojciec kochał ją bardziej niż mnie.

No więc już, stało się, powiedziałam. A teraz do widzenia.

Z wywiadu z Leą Archibald.

Jeśli mam być szczerą, to do chwili kiedy Jennie skończyła cztery czy pięć lat, nasze życie zostało całkowicie... nie bardzo wiem,

jak to wyrazić... no zanarchizowane. Mając w domu szympansa, można się bardzo szybko przekonać, kto jest prawdziwym przyjacielem. Niektórzy z naszych znajomych przestali nas po prostu odwiedzać. Jedni bali się Jennie. Dla innych jej hałaśliwość i ruchliwość były zbyt męczące. Ale wielu ją kochało. Bo trzeba było kochać Jennie, żeby znaleźć przyjemność w takich odwiedzinach, które często kończyły się potłuczeniem okularów, poplamieniem krawata czy zrujnowaniem fryzury. Naturalnie przy odrobinie szczęścia. Jennie miała wprost nieograniczone możliwości rozrabiania. Ludzie mówią, że u dziecka taki krytyczny wiek to dwa lata. U szympansa ten wiek to dwa, trzy, cztery lata. I pięć. I sześć. O Boże, jak sobie przypomnę te wszystkie numery, które nam Jennie robiła! Dam panu kilka przykładów. Potrafiła wejść do kuchni, wyjąć z szafki słoik miodu, zjeść trochę, a potem zostawić przewrócony słoik na dywanie w living-roomie. Naturalnie otwarty. Kiedy się wściekałam, Hugo mówił: „Ale popatrz, potrafiła odkręcić słoik! Czy to nie zdumiewające?” On oczywiście nie musiał tego sprzątać. Albo jak Jennie zdjęła obudowę od telewizora i w kaskadzie iskier wyszarpała wszystkie przewody. Przecież mogła spalić dom. No cóż, jeden z eksperymentów Hugona polegał na tym, że nauczył Jennie posługiwać się śrubokrętem. Był to z jego strony wielki błąd! Zabraliśmy jej ten śrubokręt, ale ona znalazła potem jakiś inny i go schowała. Odkryliśmy jej schowek, ale za parę tygodni Jennie znalazła kolejny śrubokręt. Zaczęło się odkręcanie uchwytów, zawiasów i zamków u drzwi, które dyndały niebezpiecznie, wisząc na włosku. Dosłownie szalałam, żeby znaleźć ten cholerny śrubokręt, ale wszystko na nic.

Próbowałam ją pytać: „Gdzie jest śrubokręt?”, ale ta mała kłamczucha odpowiadała: „Nie wiem”. To jeszcze jedno, czego się nauczyła dzięki tym eksperymentom: kłamstwo. Dostałam furii i powiedziałam: „Zła! Fuj! Gdzie śrubokręt?” Ale Jennie nic sobie z tego nie robiła, powtarzała tylko, z poczuciem winy w oczach: „Nie wiem, nie wiem”. Końmi by z niej tego nie wyciągnął. Tak było przez kilka dni, a potem na jakiś czas mieliśmy spokój i myśleliś-

my nawet, że Jennie zgubiła śrubokręt. Aż tu nagle...! Pewnego dnia patrzymy, a śruby od zamka w drzwiczkach barku są odkręcone i brakuje butelki dżinu. Pobiełam do jej pokoju, no i oczywiście: Jennie leży na podłodze, chichocząc i kłapiąc zębami. Zalana w trupa. Wzięła butelkę dżinu, tubkę pasty do zębów i głęboki talerz. Wycisnęła trochę pasty, dołała dżinu, zamieszała palcem i wychleptała. Powtarzała tę czynność aż do skutku. Na kilometr śmierdziało od niej pastą i dżinem. Coś obrzydliwego.

Kiedy nas zobaczyła, usiłowała wstać, ale przewróciła się chichocząc. A potem obrzygała się od stóp do głów. Byłam wściekła, ale Hugo uznał, że cała ta sprawa jest szalenie intrygująca. „Nie rozumiesz — powiedział — to przecież dowód, że ona potrafi oszukiwać. Planować naprzód!” I tym podobne bzdury. Nie pamiętam już, na co to jeszcze miał być dowód, w każdym razie jedno było dla mnie jasne: że Jennie zasłużyła na porządne lanie. Zamknęłam ją więc w łazience, ale przypadek chciał, że to właśnie tam Jennie ukryła śrubokręt. A skoro tak, to nic prostszego: odkreśliła gałkę u drzwi i uciekła. W ten sposób wreszcie natrafiłam na cholerny śrubokręt; przewróciłam łazienkę do góry nogami i zobaczyłam, że leży sobie spokojnie w apteczce.

I tak to właśnie wyglądało. Jennie wymyślała coraz to sprytniejsze psikusy, Hugo zachwycał się jej inteligencją, a ja po niej sprzątałam! Czy wyczuwa pan w moim głosie rozgoryczenie? Z pewnością tak. Hugo miał przyjemność, a ja myłam podłogę.

Czasem urządzaliśmy prozowane kolacje, ale w miarę jak Jennie dorastała, zdarzało się to coraz rzadziej. Tylko wyjątkowi goście lubili jeść w jej towarzystwie. Nieraz taki posiłek oznaczał kompletną katastrofę. O Boże, pamiętam jedno przyjęcie, na którym był prezydent Uniwersytetu Harvarda, Julius Whitehead. Z żoną. Koszmar. Zdarzyło się to wkrótce po tryumfalnym wystąpieniu Jennie na benefisie Muzeum Sztuk Pięknych. Hugo dostał profesora tytularnego na Harvardzie i czuliśmy się w obowiązku zaprosić prezydenta uczelni na kolację. Poza tym Whiteheadowie czytali o Jennie w kolumnach towarzyskich i koniecznie chcieli ją poznać. No to ją poznali!

A więc najpierw były koktajle. Whitehead poprosił o daiquiri, a Jennie dostała dżin z tonikiem. Myślę, że już samym widokiem popijającego szympansa nasi goście byli zgorzeleni, chociaż naleliśmy Jennie naprawdę niewiele alkoholu. No, ale do rzeczy: otóż Jennie popatrzyła na swój nieciekawym przezroczysty napój, a potem na ładnego zielonego drinka Whiteheada i w tym momencie podjęła decyzję. Podeszła do naszego gościa, wręczając mu swój dżin z tonikiem. „O, to dla mnie?” — zdziwił się Whitehead i odstawił swoją szklankę, żeby mieć wolną rękę. Na to tylko Jennie czekała. Błyskawicznym ruchem kosmatej łapy sprzątnęła mu drinka sprzed nosa, a następnie schowała się z nim pod stół i wypijała go z głośnym siorbaniem. Hugo próbował ją jak zwykle nieudolnie skarcić, ale nie odniosło to żadnego skutku.

„Ojej” — zdołał tylko powiedzieć Whitehead, człowiek dość sztywny i bez poczucia humoru. Żałowaliśmy, że ostrzej na to nie zareagował. Każdy obcy powinien z miejsca pokazywać Jennie, kto tu jest panem, w przeciwnym razie pozwalała sobie w stosunku do niego na coraz więcej. Dlatego przy kolacji po zjedzeniu swojej sałatki owocowej sięgnęła po porcję Whiteheada, jeszcze zanim biedak zdążył unieść łyżkę do ust. Tak był zajęty wygłaszaniem mowy pontyfikalnej, że nawet nie zaczął jeść. Próbowałam ratować sytuację sygnalizując: „Nie, Jennie, oddać”, ale w odpowiedzi pokazała „figę”, co było dość wulgarnym gestem. A potem wrzuciła sobie całą zawartość miseczki do ust, zalewając sobie koszulę i obrus. Na koniec zaczęła wargami zbierać ze stołu rozsypane kawałki owoców. O Boże! Nasi goście siedzieli po prostu w niemym przerażeniu. Była w Whiteheadzie... jakaś bierność i słabość, które Jennie natychmiast wyczuła i wykorzystała. A to wszystko dlatego, że facet należał do ginącej klasy arystokratycznej i otrzymał wychowanie typowe dla bostońskich wyższych sfer. Nie utrzymał się długo na swoim stanowisku; szybko połapali się na Harvardzie i wzięli na jego miejsce fantastycznego człowieka, zaraz... zapomniałam jego nazwiska... Bok. No, w każdym razie powiedziałam do Jennie: „Nie, brzydka Jennie, następnym razem precz od stołu”. Wiedziałam, że bardzo nie lubi, jak się ją wyrzuca od stołu,

i myślałam, że to poskutkuje.

Kolejnym daniem były steki. Jennie nie lubiła steków, więc pomyślałam, że tym razem Whiteheadowi nic z jej strony nie grozi. Zwłaszcza że dla niej przygotowaliśmy jej ulubioną potrawę: owsiankę z owocami i miodem. Ale nie, tym razem stek Whiteheada wydał jej się atrakcyjniejszy. Błyskawicznym ruchem ściągnęła mu stek z talerza i władowała sobie do ust. Ale zaraz potem skrzywiła się, wypluła go i cisnęła na podłogę. Byłam zrozpaczona!

Wyrzuciliśmy ją od stołu wśród krzyków i żalosnych szlochów i zamknęliśmy w łazience. Do końca kolacji byliśmy skazani na wysłuchiwanie piekielnych wrzasków i łomotów, od których dom trząsł się w posadach. Naturalnie Whiteheadowie nie mogli się doczekać, kiedy wyjdą. Ja byłam potwornie speszona, ale Hugo uznał to za dość zabawny epizod. Nazwał Whiteheada sztywniakiem. Obawiałam się, że może mu to zaszkodzić na Harvardzie, ale Hugo powiedział, że Whitehead to tylko figurant, facet od zbierania funduszy.

Cóż więcej mogę panu powiedzieć o tamtych latach? Jennie uwielbiała jeździć samochodem. Przypominała w tym psa. Wystawiała głowę na wiatr, a kiedy zobaczyła coś interesującego, krzyczała i waliła pięściami w karoserię.

Kiedy zatrzymaliśmy się pod światłami i wypatrzyła w sąsiednim samochodzie coś ciekawego, zaczynała piszczeć z radości, mówić w języku migowym, pohukiwać i wymachiwać rękami. Naturalnie wszystkie głowy odwracały się w jej stronę i trzeba było widzieć szok malujący się na twarzach tych osób! Ludzie są bez wyobraźni. Wszystko, cokolwiek odbiega od zwykłej rutyny, wytrąca ich z równowagi. A już nie daj Boże, żeby w samochodzie był pies! Psy na widok Jennie dosłownie dostawały szału.

Pewnego razu, było to chyba w 1970 roku, jechałyśmy samochodem i Jennie jak zwykle wystawiła głowę przez okno. Nagle cofnęła głowę, sygnalizując „jechać, jechać” i pokazując na ulicę. Zupełnie nie rozumiałam, o co jej chodzi. Ale byłam ciekawa, więc się odwróciłam. Od tej chwili zaczęła mnie prowadzić sygnalizując „jechać” i pokazując ręką. Skręcałyśmy i skręcałyśmy, dopóki nie

znalazłyśmy się przed Pałacem Lodów, gdzie Jennie pokazała: „Stop! Stop!”, wydając całą serię odgłosów związanych z jedzeniem.

Jak tylko się zatrzymałam, wyskoczyła z samochodu i roztrzącając kolejkę, w jednej chwili znalazła się przy okienku, gdzie wałąc w ladę i wsadzając ręce do środka sygnalizowała gorączkowo, że jest głodna. Dziewczyny w okienku zaczęły piszczeć: „Szympans! Jest znów szympans! Wróciła Jennie! Hej, Jennie!” itp. Narobiły straszego szumu. Kiedy później zapytałam o to Hugona, powiedział mi, że tydzień wcześniej zabrał tam Sandy'ego i Jennie na lody. I ona zapamiętała drogę! Czy to nie jest zdumiewające? Naprawdę Jennie była genialna.

Poznała różne punkty z szybkimi daniami i po sukcesie z Pałacem Lodów, zawsze kiedy jeździliśmy po mieście, nieustannie sygnalizowała „jechać” i „stop”, z rozczarowania wałąc pięściami w drzwi samochodu, ilekroć mijaliśmy bez zatrzymywania się takie miejsca, jak Howard Johnson, Pałac Lodów czy choćby automat na stacji benzynowej. Jeśli mam być szczerą, dało mi się to dotkliwie we znaki.

Sara skończyła sześć lat i zaczęły się z Jennie jako tako rozumieć. Sara miała swój pokój, do którego Jennie nie wolno było wchodzić. I muszę powiedzieć, że ta szympansica to respektowała. Sara nie zamierzała tolerować żadnych jej numerów i Jennie doskonale o tym wiedziała. Moja córka nie należała do tych małych dziewczynek, co to ciu-ciu-puciu. Od czasu do czasu zdarzały się między nimi oczywiście starcia, ale Sara zawsze wychodziła z nich zwycięsko. Kiedyś — Sara miała wtedy pięć lat — Jennie wzięła z jej talerza garść klusek. Ze stoickim spokojem Sara również zaczerpnęła ze swojego talerza klusek i rozpaćkała je Jennie na głowie. Gdy ryknęliśmy śmiechem, Jennie popatrzyła na nas ze zdumieniem i upokorzeniem. Był to ostatni raz, kiedy pozwoliła sobie na coś podobnego w stosunku do Sary. Innym razem weszła do jej pokoju — zwykle go zamykaliśmy, ale widocznie ktoś z nas musiał zapomnieć — i porwała kilka zabawek, które schowała w swojej skrzyni z zabawkami.

Ale nie z Sarą takie numery! Nie zamierzała puścić tego płazem. Weszła do pokoju Jennie, co już samo w sobie było niepokojące, jako że nigdy tego nie robiła, otworzyła skrzynię i zaczęła metodycznie wyciągać najpierw swoje, a potem Jennie zabawki. Normalnie Jennie dostałaby szafu, ale tym razem wiedziała, że przeskrobała, więc siedziała spokojnie. O ile dobrze pamiętam, Sara zrobiła ze cztery czy pięć takich kursów, wynosząc po kolei, aż do ostatniej, wszystkie zabawki Jennie, która cały czas siedziała w kącie sygnalizując „Zły! Zły!” i pochlipując. Dopiero po wyjściu Sary zaczęła się awanturować wrzeszcząc i waląc w wieko pustej skrzyni. Wtedy Sara, w dalszym ciągu z zimną krwią, zaczęła zwracać Jennie zabawki, naturalnie zatrzymując swoje. W ten sposób pokazała Jennie, kto jest ważniejszy, i muszę powiedzieć, że było to z jej strony bardzo sprytne posunięcie. Jennie już chyba nigdy nie ośmieliła się ruszyć żadnej zabawki Sary. Wydaje mi się, że pod wieloma względami Sara lepiej sobie z nią radziła niż ktokolwiek z nas.

*Wyjątki z nie publikowanego rękopisu pt.
„Rozmowy z szympansem” doktor Pameli
Prentiss.*

Otoczenie: podwórko Archibaldów, pod dziką jabłonką, środa,
16 kwietnia 1970 r., godz. 16.00.

Pam: „Co to jest?”

Jennie: „Robak”.

Pam: „Jaki robak?”

Jennie: „Robak, robak”.

Pam: „Motyl. Powiedz: motyl”.

Jennie: Próbuje wykonać znak. Zna ten znak, ale nie opanowała go zbyt dobrze.

Pam: „Motyl”.

Jennie: „Czerwony motyl”.

Pam: „Ładny motyl żółto-czerwony”.

Jennie: „Czerwony motyl żółty”.

Pam: „Żółty”.
Jennie: „Czerwony”.
Pam: „Żółty”.
Jennie: „Żółty, żółty, fuj”.
Pam: „Jennie fuj”.
Jennie: „Berek łaskotany, Jennie”.
Pam: Ignoruje życzenie Jennie i pokazuje na mrówkę. „Co to jest?”
Jennie: „Berek łaskotany, Jennie!”
Pam: „Co to jest?”
Jennie: „Zły robak”.
Pam: „Mrówka. Powiedz: mrówka”.
Jennie: „Czarny robak”. Miazdży mrówkę nogą.
Pam: „Ouu! Mrówka martwa”.
Jennie: „Mrówka”. Jennie nie zna znaku „martwy”.
Pam: „Powiedz: martwa. Martwa”. Układa ręce Jennie w znak „martwy”.
Jennie: „Martwy. Martwy”.
Pam: „Mrówka teraz martwa”. Pam bierze do ręki martwą mrówkę i pokazuje Jennie.
Jennie: „Mrówka”.
Pam: „Mrówka martwa”.
Jennie: „Mrówka, mrówka”.
Pam: „Powiedz: mrówka. Mrówka martwa”.
Jennie: „Martwa”.
Pam: Odkłada mrówkę.
Jennie: „Banan”.
Pam: „Nie teraz. Banan później. Jennie wspinać na drzewo?”
Jennie: „Wspinać!” Wskakuje na drzewo i wdrapuje się wyżej.
Pam: „Jennie lubić drzewo?”
Jennie: Ignoruje pytanie.
Pam: „Jennie lubić drzewo?”
Jennie: Dalej ignoruje pytanie, wdrapując się wyżej.
Pam: „Jennie wspinać wyżej”.
Jennie: Wreszcie zatrzymuje się, siada na gałęzi i spogląda w dół.
„Ty wspinać, wspinać”.
Pam: „Nie, ja nie umiem wspinać na drzewo”.

Jennie: „Przykro”.
Pam: „Ludzie nie umieją wspiąć na drzewa”.
Jennie: „Przykro”.
Pam: „Jennie schodzić”.
Jennie: Odwraca się, z rozmysłem ignorując Pam.
Pam: „Bawić w berka łaskotanego”.
Jennie: Schodzi natychmiast. Przez kilka minut Jennie i Pam bawią się w berka łaskotanego.
Pam: „Jennie chcieć banan?”
Jennie: „Banan! Banan!”
Pam: Daje Jennie banana.

Otoczenie: pokój zabaw u Archibaldów, poniedziałek 19 kwietnia 1970 r” godz. 22.00.

Pam: „Prezent dla Jennie”.
Jennie: Wyciąga rękę.
Pam: „Co Jennie mówi?”
Jennie: „Proszę, proszę, proszę”.
Pam: „Co to jest?” Pokazuje na pudełko.
Jennie: „Proszę”.
Pam: „Co to jest?”
Jennie: „Jabłko”.
Pam: „Nie, pudełko”.
Jennie: „Przepraszam, proszę pudełko”.
Pam: Daje Jennie pudełko. „Otworzyć pudełko”.
Jennie: Podnosi pudełko do góry i węża dziurki wentylacyjne. Potem usiłuje zajrzeć do środka.
Pam: „Otworzyć pudełko”.
Jennie: „Otworzyć, otworzyć”. Próbuje wręczyć pudełko Pam.
Pam: „Nie, ty otworzyć pudełko”.
Jennie: Obraca pudełko w palcach, próbując się do niego dostać, wreszcie stawia je i zawiedziona wali w nie pięścią.
Pam: „Jennie nie może otworzyć pudełka?”
Jennie: „Nie, Jennie nie”.
Pam: „Jennie chce klucz?”

Jennie: Wyciąga rękę.
Pam: „Jennie chce klucz?”
Jennie: „Dać, dać”.
Pam: „Co dać?”
Jennie: „To”.
Pam: „Co to jest to?”
Jennie: „Klucz”.
Pam: Daje Jennie klucz. Jennie natychmiast otwiera pudełko, z którego wygląda umęczona swoimi przejściami mysz. Jennie wyjmuje mysz i wkłada ją sobie do ust.
Pam: „Nie!” Wyjmuje mysz z ust Jennie i trzyma tak, żeby ją Jennie mogła obejrzeć.
Jennie: „Dać, dać!”
Pam: „Co to jest?”
Jennie: „Dać”.
Pam: „To jest mysz. Mysz. Powiedz: mysz”.
Jennie: Wali w pudełko.
Pam: „Mysz. Mysz. Jeśli powiesz: mysz, dam ci mysz”.
Jennie: „Dać ja Jennie”.
Pam: „Mysz. Mysz”.
Jennie: „Jennie! Jennie! Dać! Faj!”
Pam: „Powiedz: mysz. Mysz. Mysz”.
Jennie: „Dać!” Znowu wali w pudełko, następnie bierze je do ręki i rzuca.
Pam: „Nie, zła Jennie. Nie rzucaj, powiedz: mysz. Mysz. Mysz”.
Jennie: „Mysz”.
Pam: „Dobrze! Nie jedz myszy. Bawić myszą”. Daje Jennie mysz.
Jennie: „Bawić, bawić!” Pokazuje na mysz, potem bierze ją, bardzo delikatnie przytula do piersi, patrzy na nią z „buzią w ciup” i całuje.
Pam: „Całować mysz”.
Jennie: „Mysz, Jennie ja”. Ponownie całuje mysz i próbuje ją językiem.
Pam: „Mysz dobrze smakuje?”
Jennie: „Dobre. Jabłko”.
Pam: „Mysz smakuje jak jabłko?”
Jennie: „Dać jabłko”.

Pam: „Teraz nie ma jabłka. Jennie jadła jabłko. Jennie lubi mysz?”

Jennie: „Mysz”. Obwąchuje mysz, obraca w rękach, szturcha palcem w brzuch.

Pam: „Grzeczna. Bądź grzeczna dla myszy”.

Jennie: „Grzeczna mysz”.

Pam: „Grzeczna mysz”.

Jennie: „Mysz Jennie”.

Pam: „Tak, to jest mysz Jennie. Wsadź mysz z powrotem do pudełka”.

Jennie: Wkłada mysz do pudełka. „Jennie jeść jabłko”.

Pam: „Jennie już jadła jabłko”.

Jennie: „Jabłko!”

Pam: „Nie. Jennie bawić tabelą słów?”

Jennie: „Brudne”. Jennie nie lubi tabeli słów, jest to deska z obrazkami przedstawiającymi różne słowa. Deska ta służy do uczenia Jennie pewnych pojęć za pomocą obrazków.

Pam: „Jennie do toalety?”

Jennie: „Brudne, brudne”.

Pam: „Jennie kłamie”.

Jennie: „Brudne”.

Pam: „Jennie nie brudne. Jennie już była w toalecie”.

Jennie: „Brudne”.

Pam: „Jennie bawić się teraz tabelą słów”.

Jennie: „Brudne! Brudne! Brudne!”

Pam: „Nie, Jennie nie brudne”. Przynosi tabelę słów.

Jennie: „Fuj! Fuj! Fuj!”

Otoczenie: podwórko za domem Archibaldów, środa, 23 kwietnia 1970 r., godz. 15.30. Sandy wraca ze szkoły. Słowa wyróżnione zostały wypowiedziane, nie pokazane na migi.

Sandy: „Jennie! Jestem!”

Jennie: Przerywa lekcję i biegnie w stronę żywopłotu, wydając różne odgłosy.

Sandy: „Gdzie jest Jennie? Gdzie jest Jennie?”

Jennie: Zachowuje się głośno, krzyczy i pohukuje. „Przytulić!”

Sandy: „Nie widzę Jennie! Gdzie jest Jennie?” Sandy kuca za żywoplotem. Jennie przedziera się przez gęste krzewy, rzuca się na Sandy'ego i obejmuje go w pasie. „O, jest Jennie. Halo, Jennie. Ratunku, dusi mnie kudłata małpa!”

Jennie: „Przytulić, przytulić Jennie”.

Sandy: Przytula Jennie. „Gdzie jest Pam?”

Jennie: Pokazuje w moją stronę.

Sandy: „Cześć, doktor Prentiss”.

Pam: „Cześć, Sandy. Pobawcie się, ja popatrzę”.

Sandy: „Okay”. „Jennie bawić w berka łaskotanego?”

Jennie: Krzyczy z radości i biegnie w stronę rzeki. Sandy goni ją i łapie. Jennie przewraca się brzuchem do góry, a Sandy łaskocze ją w różne miejsca przy akompaniamencie jej pisków. Nagle Jennie zrywa się i zaczyna uciekać, by po chwili znów dać się złapać. Ponownie przewraca się na plecy, tarzając się i zasłaniając rękami i chwytynymi stopami. Jakiś czas baraszkuje, po czym Sandy przerywa zabawę.

Sandy: „Jennie idzie do domu, przyniesie od mamy dwa jabłka. Jedno dla Sandy'ego, drugie dla Jennie”.

Jennie: Idzie do domu. Pięć minut później wraca z jednym jabłkiem.

Sandy: „Gdzie dwa jabłka?”

Jennie: „Jennie jeść”.

Sandy: „To jabłko dla mnie?”

Jennie: „Dać Jennie”.

Sandy: „Wykluczone, Jose. Zjadłaś swoje, to jest dla mnie”. „Jennie już zjadła jabłko, to dać Sandy'emu”.

Jennie: Daje Sandy'emu jabłko. „Dać jabłko”.

Sandy: „Dać Jennie kawałek”. Daje jej kawałek.

Jennie: „Jeszcze”.

Sandy: „Nie, jabłko moje, ty kudłaty małpiszonie”.

Jennie: „Fuj!”

Sandy: „Sama jesteś fuj! Jennie jeździć na rowerku?”

Jennie: „Rowerek”.

Sandy: „Idziemy! Jeździć na rowerku. Przyprowadź rower”. „Tak!”

Jennie: Biegnie do garażu, podnosi skobel i otwiera drzwi. Wchodzi do środka i wyjeżdża na rowerku. Sandy wyprowadza swój rower i mijając ją pokrzykuje: „Prędeż, prędeż!”

Jadą podjazdem i Sandy czeka na Jennie na zakręcie, po czym znikają razem za zakrętem.

Z wywiadu z Leą Archibald.

Latami zastanawialiśmy się, kiedy Sandy przestanie zajmować się Jennie. Byli ze sobą bardzo blisko, ale przecież wiedzieliśmy, że w pewnym wieku chłopiec zaczyna mieć inne zainteresowania. Pan chyba rozumie, o co mi chodzi. Jeszcze trochę — myśleliśmy — i zacznie się oglądać za dziewczynami, robić prawo jazdy. Wtedy Jennie będzie musiała znaleźć sobie innego przyjaciela.

Drugim naszym zmartwieniem był wiek dojrzewania w ogóle i związane z nim problemy, których się obawialiśmy. I do tego wszystkiego niezrównoważony szympans w domu... Bóg jeden raczy wiedzieć, co się mogło wydarzyć. Był to przełom lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych i niektórzy z naszych sąsiadów przeżywali straszne tragedie. Syn Millerów, kilka domów od nas, umarł z przedawkowania narkotyków, córka Newcombów popełniła samobójstwo... Chłopak Hoytów zginął oczywiście w Wietnamie, nie mówiąc o tych wszystkich strasznych wypadkach samochodowych, które też zebrały swoje żniwo! Boże, ileż kosztownych niebezpieczeństw czyha na dziecko, zanim się je wychowa. Dopiero kiedy się ma dzieci, człowiek zdaje sobie sprawę, jak groźnym miejscem jest świat. Naprawdę, może mi pan wierzyć.

Zawsze się martwiłam o Sandy'ego. W przeciwieństwie do Sary wydawał mi się jakiś taki delikatny i bezbronny. Był słodki i niewinny, nawet kiedy jego czupryna przypominała wronie gniazdo. I miał żelazne zasady. A żelazne zasady to najskuteczniejsza tarcza ochronna w dzisiejszym świecie. Wystarczy popatrzeć na inne rodziny, które nie zdołały wpoić w swoje dzieci żadnych zasad. Ci ludzie tak byli nastawieni na zarabianie pieniędzy, sukces za wszelką cenę i dobre maniery, że uszły ich uwagi znacznie ważniejsze rzeczy. Kiedy dzieci im się buntowały, nie miały się do czego

odwołać. Należały do ekskluzywnych klubów sportowych o bardzo restrykcyjnym charakterze, zapisywały się do skautów i na kursy tańca towarzyskiego i rok w rok co rano przysięgały wierność sztandarowi. Co to jest za system wartości? — ja się pytam. Te dzieci robiły wszystko to, co im kazali rodzice. Kiedy chłopcy kończyli osiemnaście lat i okazywało się, że ojczyzna wysłała ich na drugi koniec świata, żeby ginęli gdzieś w dżungli, nic dziwnego, że się buntowali. Może pan sobie wyobrazić, jaki to szok dla takiego młodego człowieka?

Myśmy inaczej wychowywali swoje dzieci. Przede wszystkim nauczyliśmy je samodzielnego myślenia. Nie mówiliśmy im, co mają robić, i że powiedzmy należy krótko strzyc włosy. Jeżeli chcieli wyglądać śmiesznie, dlaczego nie? To w końcu ich sprawa. Pozwalaliśmy im decydować o sobie. Kiedy więc Sandy zaczął się buntować, mógł odrzucić nas i nasz styl życia, ale zawsze jeszcze miał się do czego odwołać. Może dziś trudno by nazwać jego życie udanym według ogólnie przyjętych standardów, w każdym razie miał zawsze mocne zasady, których się trzymał. A dla mnie tylko to się naprawdę liczy. Kiedy przyjdzie taka chwila, że znajdzie dla siebie miejsce w życiu, to z pewnością będzie robił coś pożyteczniejszego.

15 sierpnia 1971 roku Sandy skończył czternaście lat. Jennie miała sześć. Pierwszą rzeczą, jaka się wtedy wydarzyła, było to, że Sandy przestał grać w szachy. A był bardzo dobrym szachistą, miał na swoim koncie kilka wygranych szkolnych turniejów. I nagle — przestało go to interesować. Zrobił się ponury i niechlujny. A jego pokój...! Chyba nigdy pan nie widział takiego bałaganu. Od razu wiedzieliśmy z Hugonem, o co chodzi: wiek dojrzewania.

A najbardziej dziwiło nas to, że w miarę dorastania Sandy wcale nie przestał być blisko z Jennie. Wybierał się na party, a ona z nim. Kiedy długo nie wracał i ja odchodziłam od zmysłów, Jennie była z nim. Kiedy szedł pod most, szła z nim.

O Boże. Most był miejscem, w którym zbierały się wszystkie nastolatki. Ten most, znajdujący się za polem golfowym w Kibbencook, tam gdzie stara linia kolei Boston—Albany krzyżowała się z

Charles River, był właściwie zamknięty i dzieciaki zbierały się pod filarami nad rzeką. Palili tam ognisko i popijali piwo. Nie wiem dokładnie, co jeszcze robili, ale z pewnością nic dobrego. Były tam i dziewczyny. Okropnie się niepokoiłam, ilekroć Sandy chodził pod most. Nie chciałam mu tego zabraniać, wiedziałam, że to z nastolatkami najgorsza metoda. Chodziłby i tak, tylko by mnie oszukiwał. Jediną rzeczą, której wymagaliśmy od naszych dzieci w sposób bezwzględny, była uczciwość. A przecież pan wie doskonale, że wystarczy takiemu dzieciakowi czegoś zabronić, żeby ta rzecz stała się dla niego szczególnie atrakcyjna.

No więc kiedy Sandy miał trzynaście czy czternaście lat, zaczął chodzić pod most. Jak powiedziałam, most znajdował się za polem golfowym w odległości kilku minut spacerem. Już w wieku lat trzynastu Sandy zdradzał skłonności do radykalnych poglądów. Zapuścił włosy i przynosił książki rosyjskich anarchistów, jak Bakunin i inni; udawał, że je czyta i rozumie. Wieształ też sobie nad łóżkiem nadpaloną i rozdartą flagę amerykańską z namalowanym na niej dużym znakiem pokoju. Zaczął też wtedy wygadywać najrozmaitsze nonsensy. Sprzedał swoją kolekcję monet, a pieniądze przeznaczył na Czarne Pantery. To wszystko działo się tak szybko, jak szybko rosły jego włosy. I co było robić z takim czternastoletnim intelektualistą, który miał trockizm w małym palcu i wspierał finansowo Czarne Pantery?

Można by pomyśleć, że szympans to kula u nogi dla młodego obiecującego anarchisty. Nic z tych rzeczy. Nie zdawaliśmy sobie nawet sprawy, jak bardzo Sandy był przywiązany do Jennie. Odwrotnie niż się tego spodziewaliśmy, nigdy z niej nie wyrósł. Podobnie przyjaciele Sandy'ego, zamiast ją odrzucić, uznali, że jest stuprocentowym „człowiekiem”. (Śmiech). I oto Jennie stała się najbardziej hippisowską z hippisek. Piła piwo, jestem przekonana, że paliła z nimi trawkę i Bóg jeden raczy wiedzieć, jakie jeszcze dawali jej narkotyki. Zgadzała się na wszystko, co oni robili. „Zgadzała się” to nie jest właściwie powiedziane; jestem przekonana, że Jennie domagała się udziału we wszystkim, co oni robili. O Boże, wolę nie myśleć, co oni tam pod tym mostem wyprawiali.

Rozmawialiśmy z Sandym, doksztalciliśmy się na temat niebezpieczeństw, jakie niesie ze sobą przyjmowanie narkotyków, a kilka razy, kiedy już nie mogłam tego nerwowo wytrzymać, zmusiłam Hugona, żeby tam poszedł i sprowadził Sandy'ego i Jennie do domu. Hugo rozmawiał też z Sandym na temat seksu i odpowiedzialności w ogóle. A przynajmniej mówił mi, że rozmawiał. Może zresztą przesadzam, może tam pod mostem nie działo się nic aż tak złego. Nie mam pojęcia.

Pan jest za młody, żeby wiedzieć takie rzeczy, ale może mi pan wierzyć, świadomość utraty panowania nad własnymi dziećmi jest czymś potwornym. Nie ma siły, żeby je powstrzymać przed robieniem różnych głupich rzeczy, jeśli przyjdzie im na to ochota. Jak im zabronić używania LSD czy heroiny? Nie ma jak. Można się tylko modlić i ufać, że kiedy były małe, skutecznie wbiło im się pewne rzeczy do głowy. I że będą na tyle mądre, żeby nie popełnić jakiegoś wielkiego głupstwa. To naprawdę straszne uczucie, niech mi pan wierzy. A Sandy, mimo całej swojej inteligencji, był taki nie zepsuty, taki naiwny. Umierałam ze strachu.

Czułam, że tracę kontrolę jednocześnie nad dwójką moich dzieci — nad Sandym i Jennie. Martwiliśmy się, jaki wpływ wywrą na nią narkotyki, późne powroty, jednym słowem to wszystko, w co ją Sandy wprowadzał. Bo Jennie stawiała się coraz bardziej niesforna i buntownicza. Harold ostrzegał nas, że z wiekiem będzie też coraz bardziej agresywna. Tak jest ze wszystkimi szympansami — czy się wychowują w domu, czy nie. Hugo wiódł na ten temat długie dyskusje z Haroldem, który orzekł, że agresywność Jennie jest w normie. Nie wiem, nie znam się na tym. W każdym razie widać było wyraźnie, że udzieliła jej się buntowniczość Sandy'ego, bo odmawiała wykonania dosłownie wszystkiego, o co ją prosiliśmy. Jej ulubionym znakiem stało się „fuj”, którego używała w znaczeniu „idź do diabła”, krótko mówiąc, w charakterze przekleństwa. Jakby tego wszystkiego było mało, ktoś — z pewnością któryś z kolegów Sandy'ego — nauczył ją gestu „tu się zgina”. Pan wie, co mam na myśli, prawda? Mój Boże, karaliśmy ją surowo za każdym razem, kiedy go pokazywała, ale teraz, z perspektywy lat, widzę, że to

tylko pogarszało sprawę. Zorientowała się, jak gwałtownie na to reagujemy, i tym chętniej robiła nam na złość. Wie pan, co na to powiedział Hugo? „Czy nie uważasz, że to fascynujące, jak Jennie czuje potęgę słowa wyrażonego gestem?” Tak, dosłownie tak powiedział. Widzi pan teraz, z jakimi problemami musiałam się borykać?

Stoimy pod światłami, Jennie jakimś obcemu Bogu ducha winnemu człowiekowi pokazuje „tu się zgina”, a Hugo się rozczulił, jakie to rozkoszne, i mówi: „Któż by to brał poważnie? Przecież Jennie jest tylko szympansem”. Owszem, ale to przecież świadczy o naszej rodzinie. O tym, jak wychowujemy dzieci. Ta piekielna szympanśca zawsze wiedziała, kiedy pokazać ten gest, żeby wywołać jak największy skandal.

Jest Boże Narodzenie chyba 1972 roku, kolacja świąteczna, nagle dzwonek. Jennie pędzi do drzwi — zawsze była pierwsza — i otwiera. Okazało się, że to moja matka. Jennie zagroziła jej drogę i powitała ją tym ordynarnym gestem. Matka wybuchnęła płaczem. Trzeba panu wiedzieć, że dopiero co umarł mój ojciec i miały to być jej pierwsze święta bez męża. Sytuacja zupełnie groteskowa. Stojąca w drzwiach małpa wykonująca ten obrzydliwy gest. Do dziś nie rozumiem, jak mogła zrobić przykrość komuś takiemu jak moja matka, którą przecież lubiła!

A potem przyszli świadkowie Jehowy i Jennie ukradła jednej z kobiet kapelusz. Kiedy kobieta domagała się zwrotu kapelusza, Jennie uraczyła ją tym gestem. Było to bardzo krępujące. Ale miało i swoją dobrą stronę, bo świadkowie Jehowy więcej już się u nas nie pokazali. Widocznie uznali, że i tak jesteśmy skazani na potępienie wieczne. (Śmiech).

No i doktor Prentiss, z którą Jennie też spróbowała tego numeru. Doktor Prentiss wkroczyła do nas pewnego dnia z bardzo kwaśną miną i oświadczyła, że musimy poważnie porozmawiać. Jakbym była jakimś potworem, a nie matką. Co za wstrętna... suka. Proszę mi wybaczyć. Trzeba było ją słyszeć, jak rozpuściła buzię! A jakie słowa z tej buzi wychodziły, kiedy pani doktor się zdenerwowała! Klęła jak szewc.

Była też na nas wściekła za picie Jennie. „Zmuszać do picia

biedne, bezbronne zwierzę!” Ładnie mi bezbronne! Sandy też zrobił się w stosunku do doktor Prentiss ordynarny. O Boże. Naturalnie był ordynarny dla wszystkich. Ale jako bystry chłopak wiedział doskonale, jak jej dokuczyć. Oskarżał ją na przykład, że przeprowadza na jego „siostrze” te swoje „faszystowskie eksperymenty”. I że jej stosunek do Jennie jest „burżuazyjny”, cokolwiek to miało znaczyć. Muszę uczciwie przyznać, że te oskarżenia były niesprawiedliwe. Gdybym chociaż przez jedną chwilę podejrzewała, że doktor Prentiss w jakikolwiek sposób nadużywa Jennie, natychmiast bym ją przegnała. Te oskarżenia doprowadzały ją do szału. Uważała się za osobę o szerokich horyzontach i posądzenie o poglądy drobnomieszczańskie stanowiło dla niej największy kamień obrazy. Uważała, że Sandy usiłuje nastawić Jennie przeciwko niej. I chyba się nie myliła. Nic z tego nie wyszło. Jennie kochała doktor Prentiss i ufała jej bezgranicznie. Właściwie nie wiem dlaczego, ale tak było. Sandy pierwszy przejrzał tę kobietę.

Jedno muszę mu przyznać: mimo różnych nieporozumień, jakie się między nami zdarzały, nigdy nie mówił do Jennie nic złego o mnie ani nie próbował jej przeciwko mnie nastawiać. Ani przeciwko Hugonowi.

Wszystko zmieniało się tak szybko. Był to dla mnie bardzo ciężki okres. O tak, bardzo ciężki. I cały czas miałam to straszne uczucie, że stanie się coś złego.

Rozdział 8

*Wyjątki z dzienników wielebnego
Hendricksa Pallisera.*

10 lutego 1971 r.

Ranek był mroźny. Podczas mojej zwykłej porannej przechadzki stwierdziłem, że rzeczka zamarzła. Słyszałem, jak woda szemrze pod warstwą lodu. Nawet żwawy spacer nie pomógł mi wyrwać mojej duszy z letargu, w jaki zapadła po śmierci Reby.

Dziś właśnie mija miesiąc od jej odejścia. Tyle jest wokół nas śmierci: w dżunglach Wietnamu giną młodzi wspaniali mężczyźni, w miastach pełno morderstw, a te wszystkie protesty, a morderstwa popełniane na studentach... Nie mogę uwierzyć, że to w dalszym ciągu ten sam mój ukochany kraj. Bóg powiedział: „Nie zabijaj”. Nie przypominam sobie, żeby ustanowił jakieś wyjątki od tej zasady. Wszystkie filary, na jakich wspierało się moje życie, wał się w gruzy. Nieustannie muszę sobie przypominać, że nie jestem jedyną istotą na świecie, która cierpi. Mimo to utrata Reby to dla mnie ciężki krzyż, do którego dźwigania nie widzę w sobie sił.

Kiedy rano przyszła Jennie na cotygodniową lekcję, poczułem się, jakby kamień spadł mi z serca. Jest tak radosna, tak wolna od wszelkich trosk, że działa niczym balsam na obolałą duszę. Z przyjemnością patrzyłem, jak chodzi po pokoju, biorąc do ręki różne rzeczy, wachając je i smakując, a potem rzucając na dywan, kiedy przestawały ją interesować. Nie miałem sił, żeby ją karcnąć. Przypomniało mi to, jak bardzo jej zachowanie denerwowało Rebę,

i nawet uroniłem łzę. Jennie podeszła do mnie wtedy z zatroskaną miną, objęła mnie czule i dotykając moich łez próbowała je wytrzeć. Dobroć i miłość to dwa wielkie dary, którymi Bóg szczerze ją obdarzył. Nie potrzeba mi lepszego dowodu na to, że Jennie jest dzieckiem Bożym.

Zastanawiam się, czy moje daremne wysiłki zmierzające do tego, by ją wprowadzić do grona chrześcijan, nie były jedynie świadectwem mojej ślepoty, tego, że — jak to mówią — za drzewami nie widziałem lasu. Na wszelkie bowiem możliwe sposoby i w każdej chwili Jennie okazuje dobroć i altruizm, które w sposób jakżeż oczywisty świadczą o łasce Bożej, jaką jest obdarzona. Podobnie jak niemowlęta i dzieci ciężko upośledzone umysłowo korzystają z łaski, mimo że intelektualnie nie dorastają do zrozumienia Wielkiej Tajemnicy. Chrześcijański stosunek Jennie do bliźnich to najlepszy dowód, że jest ona dzieckiem Bożym. Jeśli bowiem spontaniczna dobroć bez wyrachowanej nadziei na zapłatę nie jest dowodem łaski Bożej, to co nim jest? Zdaję sobie sprawę z tego, że w swoich konkluzjach poszedłem daleko i że może są one niezupełnie zgodne z linią Kościoła, któremu służę, ale trudno, niech już tak będzie. Nie w tym jednym ostatnio pozostaję w sprzeczności z Kościołem.

Zdecydowałem się wreszcie wygłosić to kazanie na temat Jennie. Dotychczas powstrzymywał mnie przed tym jedynie lęk przed ośmieszeniem. Po przyjsciu Jennie nastawiłem płytę z jednym z moich ulubionych religijnych utworów muzycznych, „Requiem” Duruflego, który wyraźnie podziałał na nią uspokajająco. Usiadła na podłodze zasłuchana. Powiedziałem jej za pomocą znaków, że to utwór o Bogu, i Jennie spojrzała na mnie z zainteresowaniem, ale nie odpowiedziała.

24 lutego 1971 r.

W środku nocy usłyszałem w kominie wiewiórkę i teraz boję się rozpalić ogień. Zawsze myślałem, że wiewiórki zapadają w sen zimowy.

Jennie była dziś bardzo ożywiona. Chciała słuchać muzyki, o czym powiadomiła mnie, bębniąc w aparaturę. Spełniłem jej życzenie, nastawiając „Passacaglia” i „Fugę c-moll” Bacha. Okazało się, że bardzo lubi głośną muzykę organową. Ku swojej wielkiej ucieście odkryła gałkę, którą się reguluje głośność, i za każdym razem kiedy się odwróć, podkręca ją ile się da, prawdopodobnie w nadziei, że ja się nie zorientuję.

Przeglądaliśmy ostatni numer „Centów z nieba” i kiedy doszliśmy do obrazka przedstawiającego wskrzeszenie Łazarza, sygnalizowała „Jezus, Jezus”. Ilustracja pokazywała najpierw Łazarza leżącego w długiej szacie, a potem wstającego z aureolą świętości nad głową. Jennie zaczęła pytać: „Co to?”, więc próbowałem jej opowiedzieć historię Łazarza. Nasza rozmowa była dość szczegółowa i na swój sposób zdumiewająca. Przytoczę tutaj na podstawie moich notatek dotyczących Jennie odpowiednie fragmenty.

Ja: „Człowiek martwy”.

Jennie: „Co?”

Ja: „Człowiek martwy”.

Jennie: „Co?” Myślę, że chciała raczej zapytać: „Dlaczego?”

Ja: „Człowiek martwy. Jezus robi człowiek żywy”.

Jennie wpatrywała się w obrazek z wielkim zainteresowaniem. Przypuszczam, że nie rozumiała, o co chodzi. Pięć czy sześć razy zapytała wolno: „Co?” A potem powtarzała w kółko: „Martwy, martwy, martwy, martwy”. Opowiedziałem jej jeszcze raz historię Łazarza: „Człowiek martwy, Jezus robi człowiek żywy”. Jennie marszczyła czoło, drapała się w głowę, popiskiwała i pohukiwała do siebie, jakby była głęboko zamyślona.

A potem zasygnalizowała coś plus „martwy”; „...martwy”. Nie znalazłem w słowniku języka migowego znaczenia tego znaku, poza „robak”, ale przecież nie o to chodziło. Jennie jednak cały czas natarczywie sygnalizowała „...martwy”, jednocześnie zdradzając objawy zaciekawienia połączonego z zakłopotaniem, jakby samo słowo „martwy” kryło w sobie jakąś tajemnicę.

W czym nie ma nic dziwnego. Jest to bowiem jedna z najstarszych i najbardziej intrygujących zagadek, przed jakimi została postawiona ludzkość, dopóki nie objawił jej się Bóg poprzez Swojego Syna Jezusa Chrystusa, kiedy to właśnie, i dopiero wtedy, śmierć przestała być tajemnicą. Mam nadzieję, że w którymś momencie swego życia lennie zda sobie z tego sprawę, aczkolwiek niewykluczone, że problem ten przekroczy jej intelektualne możliwości. A oto dalszy ciąg naszej szczególnej rozmowy.

Ja: „Jezus robi martwy człowiek żywy”.

Jennie: „Martwy, martwy, martwy człowiek”.

Ja: „Człowiek martwy”. Pokazuję przy tym ilustrację.

Jennie: „Co martwy?”

Ja: „Człowiek”.

Jennie robiła wrażenie wyraźnie zdezorientowanej. „Co martwy?” — sygnalizowała raz po raz w szybkim tempie. Pomyślałem, że chce zapytać: „Co to znaczy być martwym? Co to jest śmierć?”, więc odpowiedziałem: „Śmierć jest jak sen”.

Jennie zaczęła tupać nogami i głośno pohukiwać. „Martwy! Martwy!” — pokazała na palcach, a potem: „Co martwy?” — spytała.

W odpowiedzi położyłem się na podłodze, udając martwego. To ją uspokoiło, ale kiedy uchyliłem powiekę i spojrzałem na nią ukradkiem, zobaczyłem grymas strachu na jej twarzy. Przestraszyłem biedne stworzenie! Poderwałem się szybko, a Jennie w kółko powtarzała: „Przytulić! Przytulić!”

Potem wzięła książkę, cisnęła ją o podłogę, kilkakrotnie uderzyła ręką i zaczęła kopać po pokoju. Najwyraźniej śmierć jest czymś równie nieprzyjemnym dla szympansa, jak i dla człowieka.

Nie chciałem jednak tej sprawy pozostawić nie wyjaśnionej. Czułem, że przełom może być bliski. Lęk przed śmiercią niejednego już przywiódł do Boga, a ja osobiście podejrzewam, że po to właśnie nas Stwórca w ten lęk wyposażył. Dlatego też, mimo całego bólu, jaki mi to sprawiło, wprowadziłem do naszej rozmowy Rebę.

„Reba martwa” — powiedziałem w języku migowym.
Jennie spojrzała na mnie.
„Pamiętasz Rebę?” — spytałem.
Jennie odpowiedziała: „Reba”.
„Reba martwa” — powtórzyłem.

Jennie kilkakrotnie sygnalizowała „Reba”, jakby o niej zupełnie zapomniała. A potem rozejrzała się dokoła zaniepokojona. Jestem przekonany, że po raz pierwszy zdała sobie sprawę z dłuższej nieobecności Reby.

W jednej chwili pobiegła na górę i zaczęła walić w drzwi dawnej sypialni Reby, które trzymam zamknięte, ale nie na klucz. Reba spędziła w tym pokoju kilka miesięcy przed śmiercią. Poszedłem za Jennie na górę i stwierdziłem, że drzwi są szeroko otwarte, a ona stoi w progu. Nagle obróciła się na pięcie i pognąła na dół, do kuchni, drugiego miejsca, w którym Reba często przebywała, tak szybko, że jej nie mogłem dogonić. Kiedy tam za nią dotarłem, stała na środku kuchni, zdezorientowana, i pytała: „Gdzie Reba?”

„Reba martwa” — odpowiedziałem. — „Reba w niebie”. Serce waliło mi jak młotem z żalu i pełnego niepokoju oczekiwania. Czuję, że w umyśle Jennie dokonuje się jakiś głęboki przełom, jakieś objawienie. A jednocześnie ogarnął mnie bezbrzeżny smutek.

Jennie znów zaszygnalizowała: „Gdzie Reba?” — obydwoma rękami naraz.

„Reba martwa” — powtórzyłem. — „Reba u Boga w niebie”. — Wskazałem na niebo. — „Reba martwa, poszła do nieba. Reba u Boga”.

Jennie robiła wrażenie tak zagubionej, że ją spytałem: „Jennie, co myślisz?”

Popatrzyła na mnie i znów powtórzyła: „Gdzie Reba?” Tupąła przy tym głośno z rozczarowania.

I wtedy przypomniałem sobie kociaka, którego Jennie miała kilka lat temu przez krótki czas i który zdechł. Spytałem: „Pamiętasz kota? Kota Jennie? Kot Jennie martwy. Reba martwa. Tak samo. Tak samo”.

Jennie zrobiła się nagle bardzo spokojna. Stała nieruchomo,

wpatrując się we mnie, więc powtórzyłem jeszcze raz: „Kot Jennie martwy. Reba martwa. Tak samo”.

Jennie zareagowała na to w bardzo dramatyczny sposób. Trwała dalej jak gdyby w osłupieniu, ale jej włosy zaczęły nagle stawać dęba, a ona sama, wsparta na kłykciach, kołysząc się w przód i w tył, wydawała skądś z gardła przedziwne piski. Odgłos, jakiego nigdy u niej nie słyszałem, świadczący niewątpliwie o głębokiej rozpacz. Nie wiem, czy był to strach, czy ból. Podejrzewam, że raczej to pierwsze.

Kilka razy powtórzyła: „Kot Jennie”, po czym usiadła w kącie, przodem do ściany, obejmując się ramionami i popiskując. Nie pozwoliła mi ani się pocieszyć, ani nawet do siebie podejść, co wydało mi się bardzo dla niej nietypowe. Byłem w rozterce; nie wiedziałem, czy Jennie na swój sposób dzieli ze mną mój ból, czy może, jak wielu niewierzących, gdzieś w połowie życia doznaje straszliwego i niepohamowanego lęku przed śmiercią. Ledwie mogłem oddychać.

Ze wszystkich sił próbowałem ją pocieszyć. „Reba szczęśliwa. Reba w niebie. Reba u Boga i Jezusa” — sygnalizowałem. Ale Jennie kołysząc się dalej w przód i w tył, pogrążona w jakichś bardzo osobistych przeżyciach, powtarzała do siebie w kółko: „Kot Jennie” i „Reba, Reba, Reba”, nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi. Wreszcie wziąłem ją za rękę i odprowadziłem do domu. Była bierna i apatyczna.

Świadomość śmierci — która w pewien szczególny sposób oznacza również umiejętność rozróżnienia pomiędzy dobrem a złem — jest najstraszliwszym ciężarem, jaki my, ludzie, musimy dźwigać, i zastanawiam się nieraz, czy wrzucenie tego ciężaru na barki biednej Jennie nie było z mojej strony okrucieństwem.

*Ze „Wspomnień z pewnego życia”
Hugona Archibalda.*

Mniej więcej jesienią 1971 roku zauważyliśmy, że Jennie szybko dorasta. Codziennie wydawała nam się większa i silniejsza,

bardziej pewna siebie i samodzielna. Porzuciła wiele swoich dzieciennych zwyczajów. Przestała gromadzić zabawki i zazdrośnie ich strzec. Zachowywała się swobodniej w obecności obcych. Nie była tak jak dawniej skora do wywoływania awantur, ale już jeśli do nich dochodziło, to były długotrwałe i gwałtowniejsze.

Jednocześnie nasz syn przeżywał kłopoty dojrzewania. Zapuścił włosy i brał udział w proteście przeciwko wojnie w Wietnamie, który na Kibbencook Square zgromadził uczestników Marszu Pokoju. Sami postanowiliśmy wziąć w nim udział, po części dlatego, że się solidaryzowaliśmy ze sprawą, a po części ze względu na Sandy'ego. Baliśmy się, żeby nie został ranny czy żeby go nie przymknęli, gdyby doszło do starć z policją. Naturalnie Jennie poszła z nami.

Protestujący zebrali się o zachodzie słońca na parkingu liceum i ruszyli Grove Street do wieży zegarowej na Kibbencook Square. Manifestantów było kilkuset, głównie młodzież licealna i niespokojni o nią rodzice. Sandy i jego młodzi przyjaciele mieli we włosach kwiaty, a w rękach świece. Lea i ja szliśmy z tyłu, jednym okiem patrząc na nich, a drugim na policję. Obawialiśmy się, że któryś z głębszych kolegów Sandy'ego zapali skręta z marihuany i tym samym da policji pretekst do aresztowania wszystkich.

Trzymając się za ręce, śpiewali „Dajcie szansę pokojowi”, oczywiście z Jennie w samym środku największego tłumu. Nie miała zielonego pojęcia, o co chodzi, ale uwielbiała tłum, śpiew i atmosferę podniecenia. Była w swoim żywiole.

Trasę manifestacji obstawiała policja i jednostka Gwardii Narodowej, ale nie było ani wycelowanej w ludzi broni, ani gazów łzawiących. Policja zachowywała się przyzwoicie i jedynym nieprzyjemnym zgrzytem była wrogość okazana manifestantom przez grupy robotników w czarnych skórzanych kurtkach, którzy pozwalali sobie na drwiny i gwizdy. Kibbencook to nie kolebka radykalizmu i nawet marsze antywojenne organizowano z zachowaniem wszelkich form. Ten miał charakter typowo podmiejski.

Podczas manifestacji Jennie zachowywała się bez zarzutu. Nie wszczyniała rozruchów, nie atakowała policji, nie paliła flagi ani nie pluła na członków Gwardii Narodowej. Był to naprawdę

niesamowity widok — ten tłum nastolatków traktujący małpę jak przyjaciela — choć dość, trzeba przyznać, specyficznego. Jennie cały czas gadała w języku migowym, mało jej ręce nie odpadły, ale i tak nikt nic nie rozumiał, chyba że Sandy tłumaczył. Nikomu to jednak specjalnie nie przeszkadzało. Kiedy Jennie naprawdę zależało, miała swoje sposoby na to, żeby ją rozumiano.

Naturalnie pojawili się przedstawiciele miejscowej prasy i nazajutrz, na pierwszej stronie „Townsmána”, ukazało się zdjęcie Jennie i całego szeregu trzymających się za ręce manifestantów. Opublikowano też kilka listów do redakcji, których autorzy pozwalali sobie na ordynarne porównania między Jennie a uczestnikami marszu. Te listy bardzo zdenerwowały Sandy'ego, który odpowiedział na nie listem do redakcji, podkreślając w nim, że szympansy są inteligentniejsze od wielu amerykańskich polityków, jako że wojna jest zjawiskiem nie znanym wśród małp. Było to, jeszcze zanim doktor Jane Goodall dokonała swoich sławetnych obserwacji na szympanсах w Gombe, gdzie doszło do krwawego konfliktu pomiędzy dwiema grupami tych zwierząt.

Ten marsz wywarł na mnie głębokie wrażenie. Widok młodych ludzi tak poważnie i szczerze zaniepokojonych moralnym aspektem naszego udziału w konflikcie wietnamskim bardzo mnie poruszył. Może niektóre ich poglądy są niedojrzałe i młodzieńczo nie wyważone, ale jednak serca mają z pewnością na swoim miejscu. Był to jeden z pierwszych przypadków w historii Ameryki, kiedy znacząca część społeczeństwa zakwestionowała moralną stronę wojny — nie tej konkretnej, ale wojny w ogóle. Sygnał, że młodzi ludzie nie zamierzają ślepo akceptować wartości wyznaczonych przez swoich rodziców.

Sandy właśnie skończył czternaście lat, a ja czułem, że na moich oczach dokonują się w Ameryce wielkie zmiany. Byłem głęboko poruszony. Wierzyłem, że poprzez mękę wojny wietnamskiej mój kraj dojdzie wreszcie do urzeczywistnienia wizji swoich ojców — do społeczeństwa, które byłoby sumieniem narodów i otaczało troską wszystkich swoich obywateli. Ufałem, że będziemy jeszcze

świadkami załamania się cynicznej wersji Nixonowsko-Kissingerowskiej *realpolitik*.

Tak się, niestety, nie stało, ale jesteśmy teraz wszyscy trochę starsi i mądrzejsi.

Wkrótce po tym marszu protestacyjnym kupiłem cichobieżną kamerę filmową ósemkę Trans-Lux, projektor i komplet lamp oświetleniowych. Chciałem utrwalić na taśmie całą dziecięcą radość i bez troskę Jennie, zanim będzie za późno. I rzeczywiście niewiele brakowało, a nic by z tego nie wyszło.

Zacząłem ją filmować przy normalnych domowych czynnościach: kiedy je, polewa trawę z węża, biega koło domu, bawi się z Sandym. Gdy pierwsze taśmy wróciły z wywołania, zawiesiliśmy ekran i zasiedliśmy wieczorem do oglądania filmów. Byliśmy bardzo ciekawi, jak zareaguje Jennie, kiedy zobaczy siebie na ekranie. Miała w sobie coś z ekshibicjonistki, coś z gwiazdy filmowej.

Kiedy światła zgasły i na ekranie pojawił się obraz, uspokoiła się i zaczęła patrzeć w wielkim skupieniu. Nagle zobaczyliśmy ją, jak przykucnięta na stołku wali w klawiaturę naszego starego wesera. Na ten widok Jennie wstała i zaczęła podskakiwać, w podnieceniu wskazując palcem na ekran. Potem, sygnalizując „Jennie” znów zaczęła pokazywać na ekran. Jeżeli kiedykolwiek dała świadectwo świadomości siebie, to właśnie wtedy.

„Tak” — powiedział Sandy — „To jest Jennie, gra na pianinie”.

„Ja Jennie!” — zasignalizowała w odpowiedzi Jennie. Podeszła do ekranu, żeby lepiej przyjrzeć się swojemu wizerunkowi. Ale jej cień przesłonił ekran i zaczęła go pokazywać palcem i pomrukiwać ze zdziwieniem. A potem podeszła do projektora, zaglądając w obiektyw, ale światło było tak jaskrawe, że cofnęła się, mrugając i marszcząc czoło. Usiłowaliśmy ją namówić, żeby usiadła spokojnie i oglądała film, ale ilekroć na ekranie pojawiała się jej postać, znów zaczynała podskakiwać popiskując w podnieceniu.

Obserwowanie jej reakcji było bardzo ciekawe. Za każdą zmianą

na ekranie Jennie mówiła, co się dzieje: „Jennie jeść” albo „Jennie mokry” albo „Ogień, ogień”, kiedy widać było, jak Jennie wybiera z ognia pieczone jabłka. A kiedy na ekranie ukazała się scena z Jennie goniącą jednego z psów sąsiada, podskoczyła z szyderczym wrzaskiem i podbiegła do ekranu sygnalizując „zły” i „precz”. Innym razem daliśmy jej hamburgera z marynatami i keczupem, żeby zarejestrować dla potomności jej zachowanie przy stole. Kiedy na filmie cisnęła hamburgera na podłogę, zaczęła się śmiać i kręcąc się w kółko, sygnalizować: „Zła Jennie!”, „Zła, zła Jennie!”

Jeden z najciekawszych epizodów nastąpił, kiedy Sandy przyniósł pospolitego niejadowitego węża, którego schwytał na łąkach w Maine. Wiedzieliśmy, że Jennie żywi zupełnie irracjonalny lęk i nienawiść do węży. Wsadziliśmy więc węża do pudełka po butach i położyliśmy na stoliku w living-roomie. Ustawiłem kamerę w strategicznym punkcie, żeby nic nie stracić z tego, co się będzie działo, i Sandy zawołał Jennie z sadu.

Wpadła do domu jak burza i pobiegła prosto do living-roomu. Była niesamowicie spostrzegawcza i natychmiast zauważała, kiedy przybywało coś nowego. Zaraz też zobaczyła pudełko po butach i stanęła jak wryta. Dotknęła go, ale gwałtownie cofnęła rękę i cała się zjeżyła. Do dziś nie mogę zrozumieć, skąd ona wiedziała, że w pudełku jest wąż. Szympansy nie mają węchu lepszego niż ludzie, a te węży są czyste i nie wydzielają żadnego specyficznego zapachu. Jennie wzięła Leę za rękę, przytupując w miejscu, ale nie cofnęła się. Ciekawość była silniejsza niż strach. Zbliżyła się do pudełka, ciągnąc Leę za rękę, uderzyła w nie i szybko się schowała.

Pudełko nie otworzyło się.

Jennie zaszygnalizowała: „Pudełko, otworzyć pudełko”, ale Lea odpowiedziała: „Jennie otworzyć pudełko”.

Jennie dała jeszcze jeden szybki krok w stronę pudełka i uderzyła w nie jeszcze mocniej, w wyniku czego pudełko spadło na podłogę i wąż wyleciał na dywan.

W tym momencie Jennie wydała potworny wrzask i rzuciła się do drzwi, gdzie zatrzymała się w pozycji na czworaka, podparta

kłykciami, i kołyszając się w przód i w tył i tupiąc, darła się wniebogłosy. W pewnym momencie podbiegła do węża na pewną odległość, wałąc pięściami w podłogę i tupiąc w ataku złości, po czym cofnęła się z powrotem do drzwi. Ten wspaniały popis nie został doceniony przez biednego gada, który leżał nieruchomo ogłuszony przez upadek albo po prostu drzemał na miękkim dywanie.

Jennie zaszygnowała „Zły, zły!” i dokonała kolejnej bezskutecznej szarży. Wąż leżał sobie spokojnie, od czasu do czasu błyskawicznym ruchem wysuwając język. Sandy podniósł go i ostatecznie skłonił Jennie, by dotknęła węża z daleka, ale zrobiła to na odległość wyciągniętej ręki, z odwróconą głową i grymasem strachu na twarzy. Zarejestrowałem całą tę scenę na filmie, który zarówno Harold Epstein, jak i doktor Prentiss obejrżeli z wielkim zainteresowaniem. Doszliśmy do wspólnego wniosku, że szympansy mają genetycznie zaprogramowany lęk przed wężami, jak również zdolność wykrywania ich, gdy są niewidoczne, którą to zdolność my, ludzie, zatraciliśmy całkowicie.

W następnym roku nakręciłem z tysiąc metrów taśmy z Jennie i Sandym: jak pieką w ognisku kasztany i tańczą wokół ognia na polach za domem w Maine, jak jeżdżą na rowerach po najbliższej okolicy, jak Jennie i wielbny Palliser machają do kamery, która zresztą ujawniła przy okazji pewien niewątpliwy niedostatek inteligencji szympansa: Jennie mianowicie zupełnie nie kojarzyła oglądanych w domu filmów z kamerą. Skutek był taki, że nigdy nie czuła się przed nią skrępowana, odwrotnie niż Sandy, który z czasem coraz bardziej irytował się, gdy go filmowałem. Skończył właśnie piętnaście lat i jak większość nastolatków był bardzo nieśmiały.

Jennie zbliżała się do wieku dojrzewania i tak jak nas ostrzegał Harold Epstein, robiła się coraz bardziej niesforna. Nieustannie próbowała granic naszej wytrzymałości, ale kiedy osiągnęła wiek ośmiu lat, te próby stały się szczególnie prowokacyjne i agresywne. Chwilami byliśmy całkowicie bezradni.

Buntowniczość Jennie w wieku lat ośmiu zbiegła się z podobną postawą piętnastoletniego wówczas Sandy'ego i często ta dwójka całkowicie odrzucała nasz rodzicielski autorytet. Było to coś w rodzaju konspiracji: każde z nich starało się zniweczyć nasze wysiłki zmierzające do zdyscyplinowania tego drugiego. Nie należało wcale do rzadkości, że gdy karmiłem za coś Sandy'ego, Jennie jeżyła się, szczerkała i nacierała na mnie groźnie. A bywało i odwrotnie: kiedy staraliśmy się ująć w karby Jennie, Sandy potrafił powiedzieć: „Zostawcie ją w spokoju” albo „Chodź, Jennie, wynosimy się stąd” i wtedy Jennie, porzucając wszelką skruchę, patrzyła na nas bezczelnie i wyzywająco.

Szczególnie jeden taki epizod utkwił mi w pamięci. Jennie długo bębniła na pianinie, podczas gdy ja usiłowałem pracować, i wreszcie krzyknąłem, żeby przestała. Sandy w tym czasie siedział i czytał książkę. Jennie zeszła ze stołka i przycupnęła na podłodze z wyraźnym poczuciem winy. I wtedy odezwał się Sandy: „Może byś tak wreszcie przestał się jej czepiać. Cokolwiek robi, wszystkim ci przeszkadza. A to źle, a tamto niedobrze i tak w kółko”.

Jennie, jakby zrozumiała, co Sandy powiedział, z powrotem wskoczyła na stołek i kilka razy uderzyła w klawisze. Kiedy znów na nią krzyknąłem, zaczęła wirować na stołku obrotowym, za każdym obrotem pokazując znak „fuj”. Następnie powtórzyła swój numer z bębnieniem w szczególnie bezczelny sposób, żeby mi pokazać, czyje na wierzchu.

Dziś, kiedy patrzę na to z perspektywy czasu łagodzącego, jak wiemy, wszystko, widzę humorystyczną stronę tej sytuacji, w której para, szympans i nastolatek, zatruwają ojcu życie. Wtedy jednak byłem naprawdę wściekły. Zrozumieć, a co więcej, zareagować właściwie na zachowanie syna nastolatka to rzecz niesłychanie trudna, zwłaszcza dla ojca, szczególnie kiedy ma do czynienia ze wzajemnie wspierającą się dwójką buntowników. Ich wyzywająca bezczelność sprawiła, że poczułem się całkowicie bezradny i stary — facet w średnim wieku wyrzucony poza nawias życia.

Wszystko wskazuje na to, że ten mój cholerny magnetofon jest do kitu. Mógłby mi pan przysłać przyzwoicie nagrany taśmę? Dziękuję bardzo.

Muszę powiedzieć, że jednak jestem bardzo rozczarowana tym, że pan nie przeczytał tych materiałów. Jak pan może pisać książkę o Jennie, nie przeczytawszy tego wszystkiego? Miał pan na to przecież cały miesiąc. Wiem, że tego jest dużo, ale pan to powinien wiedzieć.

Zaraz, chwileczkę... mam tu dla pana jedną rzecz. My to nazywamy analizą macierzową. Jest to trójwymiarowy wykres komputerowy. Zrobiłam go sama, posługując się jednostką centralną staro IBM 300 na Uniwersytecie Tuftsa. Dzisiaj mógłby pan zrobić taki sam wykres, posługując się małym notebookiem Macintosha. W każdym razie ten wykres pokazuje postępy Jennie w nauce języka. Koniecznie powinien pan to zamieścić w swojej książce, to bardzo ważna sprawa.

No więc tak: oś x oznacza czas, oś y liczbę pokazującą, ile razy każdy znak był wykonywany w jednostce czasu, a oś z średnią liczbę słów w wypowiedzi. Widzę, że nie bardzo pan to rozumie... Nie, to jest oś z. Proszę pamiętać, że wykres jest trójwymiarowy. Nic dziwnego... trzyma go pan bokiem. Każdy punkt wyznacza trzy stopnie swobody, trzy zmienne. Jeżeli pan tego nie rozumie, mogę to panu wytłumaczyć. Czasami aż się dziwię, po co ja sobie tym zawracam głowę.

W 1972 roku program miał już cztery lata, a Jennie nauczyła się ponad stu pięćdziesięciu znaków. Nie do wiary, jak ona je wykonywała. Już pan to chwycił? A co? Ten spadek? Nie, niech pan patrzy, to wszystko jest tutaj, na tym wykresie. Nasze wielkie rozczarowanie. Mielśmy nadzieję, że w miarę jak Jennie będzie opanowywała więcej znaków, jej wypowiedzi będą dłuższe i coraz bardziej skomplikowane, aż zaczną tworzyć zdania. Gdyby tak się stało, o to tutaj byłoby gładką płaszczyzną, bez tego wielkiego spadku. A to wygląda jak wielki kanion. Widzi pan? Nawet mimo

znacznego wzbogacenia się słownika Jennie, jej wypowiedzi pozostały krótkie — liczyły od jednego do trzech słów. Czterowyrzowe należały do rzadkości, a pięcio-, jeśli się w ogóle zdarzały, wymagały wielkiego podpowiadania.

Miała kłopoty z budowaniem zdań składających się z podmiotu, orzeczenia i dopełnienia bliższego, co w sposób naturalny chwytają dzieci ludzkie. W języku angielskim oczywiście. Inne języki mają swoją inną specyfikę. To wszystko jest tam w tych opracowaniach, które panu dałam.

Jennie miała kłopoty z rozróżnieniem pomiędzy „dać piłkę” a „dać mi piłkę”. A pojęcie dopełnienia dalszego, jak na przykład w zdaniu „dać piłkę Sandy'emu”, całkowicie przekraczało jej możliwości. Rozumiała to, ale nie potrafiła powiedzieć.

Składnia była jej słabym punktem. Krótko mówiąc, Jennie była w tym beznadziejna. Dokonywaliśmy statystycznej analizy jej wypowiedzi, z której wynikało, że zdania o poprawnej składni stanowiły w tym wszystkim stosunkowo nikły procent. To znaczy, że równie często mówiła na przykład „piłka dać”, jak „dać piłkę”. Oczywiście nasi wrogowie — mam na myśli wspomnianego już wcześniej świra, Craiga Millera z Uniwersytetu Pensylwanii — natychmiast się tego uczepili i oświadczyli, że bez składni nie ma języka. Co za cholerne bzdury. Proszę mi wybaczyć mój słownik. Przecież nie wszystkie języki polegają na konstrukcjach składniowych. Jak choćby łacina! Ten Miller to był naprawdę kretyn. Zrobiłby wszystko, żeby tylko nas załatwić. O, widzę, że magnetofon jest włączony. Nie, tego proszę nie nagrywać. (Śmiech).

Niech pan mnie źle nie zrozumie. Nie byliśmy rozczarowani osiągnięciami Jennie. Po prostu jej fantastyczne postępy w ciągu tych pierwszych trzech lat podniosły nasze oczekiwania na wyższy poziom; spodziewaliśmy się po niej bardziej skomplikowanych zdań. Ale te nadzieje się nie spełniły. U naszych szympanów z kolonii Barnuma zaobserwowaliśmy to samo *plateau*, tyle że na niższym poziomie słownictwa. W tym właśnie punkcie odnotowaliśmy wielką różnicę w nauce języka pomiędzy Jennie a dziećmi ludzkimi, co samo w sobie było bardzo interesujące. Ale przecież

sprawa nie zasługiwała aż na taki szum, jaki zrobił wokół tego Miller.

Przeczytał pan może te transkrypcje, które panu dałam? „Rozmowy z szympansem”? To dobrze. Po historii z Proxmire'em nie mogę tego nigdzie opublikować. W każdym razie nawet pan widzi, jak fantastyczne było porozumienie z Jennie. Porozumiewaliśmy się we dwie tak wspaniale, że nikt by w to nie uwierzył. Jednego w każdym razie się pan z tych transkrypcji nie dowie: chodzi mi o język ciała. Na przykład w języku migowym nie istnieje znak zapytania ani żadna specjalna składnia typowa dla zdania pytającego. Efekt pytania osiąga się za pomocą pauzy i pytającego wyrazu twarzy, uniesienia brwi. Tak jak w języku włoskim. O, tak: „Jennie jeść” i „Jennie jeść?” (doktor Prentiss demonstruje). Widzi pan. Znaki są dokładnie te same, ale pytanie to już język ciała.

Jeśli pan kiedykolwiek widział osobę posługującą się biegle językiem migowym, to musiał pan zauważyć, że w rozmowie biorą udział i jej twarz, i całe ciało. Proszę na mnie spojrzeć. Opowiem panu historyjkę o Jennie. W języku migowym naturalnie. Mam nadzieję, że nie zapomniłam wszystkiego przez te lata. Zamiast jednak układać wargi w słowa — jak to robią prawdziwi tłumacze języka migowego, żeby ułatwić tym, co czytają z ust — będę je po prostu mówiła. Zgoda? No więc tak. (Doktor Prentiss wstaje i demonstruje).

„Jakiś czas temu Jennie i Pam iść na spacer. Iść, iść, iść nad rzekę. Widzieć tam woda. Jennie chcieć pływać? Nie! Jennie nie lubić woda! Jennie i Pam iść drzewo. Jennie wspinać, wspinać, wspinać drzewo. Jennie widzieć wszystko! Jennie królowa wszystkiego. Jennie huczeć. Całe miasto słyszeć Jennie. Pam nie umieć wspinać. Pam zostać na dół. Pam płakać, płakać, płakać”.

Widzi pan teraz? Całe ciało bierze udział w tej opowieści.

Jeden z największych mitów powstałych wokół języka migowego to twierdzenie, że ten język jest „sztuczny”, „wymyślony”. Nic podobnego. Język migowy ma tak samo jak język mówiony swoje korzenie biologiczne tkwiące w ewolucji. Czy pan wie, że badania przeprowadzone na gorylach wykazały, że porozumiewają się one

za pomocą gestów? A teraz niech pan posłucha: wcale nie jest wykluczone, że język migowy poprzedził normalny język mówiony w rozwoju człowieka. Jakiś rodzaj języka składającego się z gestów i dźwięków. Stopniowo dźwięki zaczęły wypierać gesty, ponieważ łatwiej jest mówić, niż gestykulować. To jest coś wprost niewiarygodnego.

Jeśli chodzi o mnie i o Jennie, potrafiłyśmy sobie nawzajem przekazać znacznie więcej niż to, co mówiłyśmy znakami. Znacznie więcej niż to, co pan może przeczytać w tych transkrypcjach. Trudno wprost zliczyć sposoby komunikowania się między nami, które składały się na tak wysoki poziom porozumienia, jaki osiągnęłyśmy.

Zarówno Jennie, jak i tamte szympansy posiadały zdolność przekazywania informacji poprzez wyraz twarzy, gest, no i w ogóle język ciała. Podczas gdy wypowiedzi pozostawały na poziomie jednego do trzech słów, język gestów i mimika twarzy stawały się coraz bardziej wyrafinowane. Ten problem trudno jednak ująć w liczbach. W pewnym sensie było to porozumienie duchowe. Oczywiście nie jest to ani policzalne, ani naukowe. Gdybym ośmieliła się powiedzieć coś podobnego na przykład na seminarium, wyśmieliby mnie i zrobili ze mnie idiotkę. Bo przecież nikt nie wie, czym tak naprawdę jest język. Że nie jedynie mową, to pewne. Ale niechby ktoś spróbował to wytłumaczyć tym tępym lingwistom strukturalnym.

W każdym razie mam swoją teorię na ten temat. Otóż uważam, że my, ludzie, ucząc szympansy i goryle języka migowego, natrafiliśmy na już istniejący i będący w użyciu system porozumiewania się, któryśmy jedynie udoskonalili. Ale to jest tylko moja prywatna opinia i nie odważyłabym się jej opublikować. Zwłaszcza wobec tak zaciekłych ataków na cały program z Jennie... Pewnych rzeczy nie można było nawet rzetelnie zbadać...

Nasz program był zaplanowany na sześć lat. Musieliśmy go jednak przerwać po niecałych pięciu. Pod koniec miałam z Jennie bardzo poważne kłopoty. Chaos i brak konsekwencji w czymkolwiek, typowe dla domu Archibaldów, dały o sobie w przykry

sposób znać. Jennie stała się bardzo nieposłuszna. Przejęła od pani Archibald wiele zwyczajów; zrobiła się agresywna.

Z prawdziwą przykrością muszę panu donieść, że Archibaldowie zaczęli jej dawać alkohol. Sami popijali regularnie. Koktajl przed kolacją, a potem do kolacji kieliszek wina. W tym wszystkim na równych prawach uczestniczyła Jennie. Niemal co wieczór. Próbowaliśmy położyć temu kres, ale bezskutecznie. Wiem, że sprawa wydaje się szokująca, ale była to publiczna tajemnica. Smutna prawda. Jak więc pan widzi, Jennie nie miała w domu idealnych warunków.

Kiedy Sandy był małym chłopcem, mieliśmy wspaniały kontakt. Był naprawdę bardzo zdolnym dzieckiem i wyrósł — jeśli mogę użyć tego wyświechtanego słowa — na geniusza.

Jako nastolatek jednak zaczął przejawiać w stosunku do mnie dziwny antagonizm. Oczywiście przykład matki. Występował ciągle z jakimiś absurdalnymi oskarżeniami pod moim adresem, włóczył się gdzieś z Jennie do późnej nocy, a potem rano, kiedy przychodziłam, Jennie była półprzytomna i rozdrażniona. Poza tym przerywał nam lekcje, mówiąc o mnie do niej za moimi plecami. Ale mimo to Jennie nigdy mnie nie odrzuciła. Co to, to nie. Kochała mnie aż do samego końca. Jej uczucie do mnie było silniejsze niż wszystko to, co Archibaldowie próbowali wymyślić, żeby je zniszczyć.

Kiedy Sandy dorósł, zbuntował się. Stał się idolem Jennie w najgorszym tego słowa znaczeniu. Pozował na radykała, identyfikując się z takimi ruchami, jak SDS * czy Yippie. Naturalnie nie był żadnym prawdziwym radykałem; był po prostu zepsutym białym nastolatkiem, typowym przedstawicielem amerykańskiej klasy średniej. Sandy'emu nigdy też nie groziło wezwanie do wojska.

* SDS — (amer.) Students for a Democratic Society — Studencki Ruch na rzecz Demokratycznego Społeczeństwa; Yippie — członek Youth International Party — Młodzieżowej Partii Międzynarodowej — lewicującej grupy z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych.

Ale to mu zupełnie nie przeszkadzało protestować i nawoływać do palenia banków.

Jennie nabrała od niego różnych koszmarnych obyczajów. Jestem prawie pewna, że paliła trawkę, a niewykluczone, że wraz z Sandym i jego przyjaciółmi brała LSD.

Prawdziwy cios spotkał nasz program w 1973 roku, kiedy to spodziewałam się kolejnego przedłużenia grantu Narodowego Funduszu Nauki. Zwykle odbywa się to automatycznie. NFN rzadko kiedy cofa grant w trakcie programu, zwłaszcza o tak spektakularnych wynikach jak nasz. Ale działały tu inne siły. Czy przypomina pan sobie może senatora Proxmire'a i jego Nagrodę Złotego Runa? Otóż ten sukinsyn wykombinował sobie, że może zyskać głosy, poddając krytyce subsydiowane przez rząd badania, których znaczenia zupełnie nie rozumiał. Jeśli chodzi o nauki ścisłe, Proxmire miał wiedzę na poziomie piątej klasy szkoły podstawowej. Co roku wybierał kilka programów badawczych, jego zdaniem bezwartościowych, i przyznawał im Nagrodę Złotego Runa. Że niby to podatnicy są w ten sposób oszukiwani.

O Boże, nigdy nie zapomnę tego dnia, kiedy otworzyłam „New York Timesa” i przeczytałam, że naszemu lingwistyczno-szympansiemu programowi „przyznano” Złote Runo. Wiadomość z pierwszej strony. Myślałam, że zemdleję. Proxmire oświadczył, że amerykańscy podatnicy zmarnowali pięćset pięćdziesiąt tysięcy dolarów na uczenie pięciu szympansów języka migowego. Ciekawe, co takiego interesującego ma do powiedzenia szympans? — zapytywał Proxmire. A oto, proszę, czarno na białym mamy dowód na to, jak sensacyjne są wypowiedzi szympansa po kursie językowym wartym pół miliona dolarów! „Daj mi banana!” i „Muszę iść do toalety!” Wziął to oczywiście z jednego z moich referatów wygłoszonych na forum Senatu. Ohydny, tłusty, nadęty dureń! Powinnam była skurwysyna podać do sądu! I potem dalej bredził o tym, jak to wielu młodych ludzi nie ma pięciu tysięcy dolarów na studia, a tu się wydaje miliony na naukę szympansów. Jakby te pieniądze zostały odebrane tym, którzy na nie zasłużyli. Stary, tłusty kretyn.

Tak więc mimo wspaniałych wyników i doskonałych recenzji

specjalistów program przestał istnieć. Cofnięcie nam grantu NFN nie byłoby jeszcze taką straszną tragedią, gdyby nie fakt, że już po historii z Proxmire'em żadna prywatna fundacja by się do tego nie dotknęła. Straciliśmy wszelkie fundusze, staliśmy się trędowatymi nauki. Za tym wszystkim stał naturalnie ten Craig Miller z Uniwersytetu Pensylwanii, o którym panu wspominałam. Miller zdobył pod jakimś pretekstem jeden z filmów wideo z Jennie posługującą się językiem migowym i poddał go dokładnej analizie. W konkluzji oświadczył, że wszystko, co mówiła, polegało na powtarzaniu znaków wykonywanych uprzednio przez instruktora. No i potem jeszcze ta absurdalna historia ze składnią. Że jakoby nie ma języka bez składni. A co z łaciną!? Przecież ci kretyni nawet nie znali łaciny! Gdzie oni chodzili do szkoły?

W każdym razie autorami tych opinii byli ludzie, którzy nigdy nie mieli do czynienia z szympanсами. Co można powiedzieć na podstawie dwugodzinnego filmu wideo? Ja przez pięć lat obcowalam z pięcioma szympanсами. Istnieje tyle sposobów porozumiewania się pomiędzy człowiekiem a szympansem, że nie sposób ich zliczyć. Język ciała. Gwałtowność i szybkość ruchów, wyraz twarzy. Trzeba było tak jak ja przebywać z Jennie, żeby zrozumieć głębię naszego porozumienia. Mając takich nieprzyjaciół i jeszcze senatora przeciwko sobie, byliśmy na straconych pozycjach.

Nasz program badawczy okazał się bardzo kosztowny. Potrzebowaliśmy funduszy na utrzymanie całej posiadłości Barnuma, na opłacenie w kolonii szympanсів nauczycieli, trenerów i obsługi przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, na moje honorarium za pracę z Jennie, nie mówiąc już o tysiącach godzin spędzonych na analizowaniu danych. Stworzenie szympansom „ludzkich” warunków życia na potrzeby badań wymaga wielkich nakładów. Z pewnością Miller by wołał, żebyśmy zamknęli je wszystkie w klatce cztery na pięć. Kiedy więc straciliśmy fundusze, musieliśmy natychmiast przerwać program.

Była to dla nauki wprost nieopisana strata. Nie potrafię tego nawet wyrazić. Ale naturalnie cała ta sprawa odbiła się i na Jennie. Był to, krótko mówiąc, początek końca.

Z artykułu zamieszczonego w „Boston Globe”, 1 lutego 1973 r. Wykorzystane za zezwoleniem.

Co roku zarówno Kongres, jak i publiczność z wielkim zainteresowaniem oczekuje przyznania przez senatora Williama Proxmire'a nagród Złotego Runa. Senator Proxmire, „pies policyjny” środowiska naukowego, tropi i piętnuje te spośród subsydiowanych z pieniędzy podatnika programów badawczych, które są zbędne, wręcz niepotrzebne czy po prostu głupie. Programy, które stanowią oczywiste marnotrawienie pieniędzy podatników, otrzymują najwyższe wyróżnienie znane pod nazwą Nagrody Złotego Runa. Wiele spośród tych programów badawczych wydaje się zabawnych, dopóki nie dokona się analizy ich kosztów.

W tym roku senator Proxmire przyznał tę niepożądaną nagrodę programowi prowadzonemu w Bostonie i sponsorowanemu wspólnie przez Uniwersytet Tuftsa i tutejsze Muzeum Historii Naturalnej. Od rozpoczęcia programu w 1967 roku poszło na ten cel ponad pół miliona dolarów pochodzących z Narodowego Funduszu Nauki. A cel programu? Uczenie szympansów „mówienia” za pomocą języka migowego.

Nasuwa się w związku z tym pytanie: czy rzeczywiście mówiące szympansy są nam potrzebne? Zwolennicy tego programu tłumaczą, że pozwala on dotrzeć do tajemnic ludzkiego języka. Senator Proxmire — przy poparciu wybitnego uczonego z Uniwersytetu Pensylwanii, doktora Craiga Millera — kwestionuje tę tezę. Badania bowiem nie ujawniły nic poza szczególnymi zdolnościami naśladowczymi małych człekokształtnych. Nic, co by przypominało prawdziwe porozumiewanie się, czyli język. I to wszystko za pół miliona dolarów publicznych funduszy. W sytuacji, w której nasze miasta prowincjonalne są w opłakanym stanie, wiele dzieci głoduje, a ludzie w czynszowych kamienicach zamarzają na śmierć, nie mogą sobie pozwolić na ogrzewanie, z pewnością są lepsze sposoby na spożytkowanie pół miliona dolarów. Senatorze Proxmire, złapał pan byka za rogi! Czy może raczej należałoby powiedzieć: szympansa za słowo!

Z listu do redaktora naczelnego „Boston Globe” opublikowanego 11 lutego 1973 roku.

Szanowny Panie Redaktorze,

Uważa pan, że światu nie są potrzebne mówiące szympansy. Czy którykolwiek z pana „wszystkowiedzących” autorów wstępniaków pofatygował się do Kibbencook, żeby na własne oczy zobaczyć „mówiącą” szympansicę? Na imię ma Jennie, jest członkiem naszej rodziny i porozumiewa się z nami lepiej niż przeciętne ludzkie dziecko w jej wieku. Otwieram rano pańską gazetę i nawet nie jestem w stanie przebrnąć przez ten bełkot, który pan wciska ludziom jako sensacyjne wiadomości. Jeśli to pan nazywa porozumiewaniem się, to zasługuje pan nie na Złote, ale na Platynowe Runo. A co do pana Craiga Millera, to ani razu, a n i razu nie widział on Jennie! Więc co w takiej sytuacji może o niej wiedzieć? Albo, jakby to ujęła sama Jennie, „Fuj dla pana”!

Według mnie tym, czego świat naprawdę nie potrzebuje, są mówiący redaktorzy.

Z poważaniem, Lea Archibald

Z wywiadu z Leą Archibald.

Sandy dostał warunkowe prawo jazdy dla uczących się, kiedy skończył piętnaście i pół lat. Niech nas Bóg ma w swojej opiece. Naturalnie, żeby móc prowadzić samochód, powinien mieć przynajmniej skończone szesnaście lat czy coś koło tego. Ale to nie stanowiło dla niego przeszkody. Zaczął brać samochód bez naszej wiedzy, no a Jennie naturalnie zawsze mu towarzyszyła. Jennie uwielbiała jeździć samochodem. Wywieszała się przez okno, wydając ordynarne odgłosy i pokazując gest „tu się zgina”. Na samą myśl o tym dostaję gęsiej skórki. Hugo nie był specjalistą od egzekwowania dyscypliny, a ja sama sobie z tym wszystkim nie radziłam.

Tej zimy, zimy 1973 roku, miało miejsce wielkie wydarzenie, dzięki

któremu Jennie stała się znów sławna. Nadeszła burza śnieżna i wszystko pokryła warstwa lodu. Ja wyruszyłam na zakupy, a Hugo siedział jak zwykle w swoim gabinecie. Sandy po kryjomu wyprawał naszego falcon'a i pojechali z Jennie na parking liceum. Kiedy przyszedłam do domu, samochodu nie było. Dziwne — pomyślałam — Hugo nic mi nie mówił, że się gdzieś wybiera. I właśnie w tym momencie Hugo wyłonił się ze swojego gabinetu. „Gdzie są Sandy i Jennie?” — spytałam. „Jak to, a nie ma ich w domu?” — zdziwił się Hugo.

Jakby na dane hasło, zadzwonił telefon. Policja miejska Kibbencook. Jest tu jakaś wielka awantura, powiedzieli, i mamy natychmiast przyjeżdżać. O Boże, słyszałam w tle ten przerażający wrzask, który mógł pochodzić tylko od małpy. Policjant szalał z wściekłości. Już przez telefon zaczął się na mnie drzeć. Że zapłacę ogromną grzywnę za spowodowanie szkód, że są tu na miejscu przedstawiciele organizacji pilnującej przestrzegania porządku i bezpieczeństwa przez właścicieli zwierząt, ponieważ Jennie ugryzła policjanta i w związku z tym będzie musiała zostać uśpiona.

Może pan sobie wyobrazić, w jakim byliśmy stanie. Przyjeżdżamy, a tu wszystko w ruinie i na miejscu jest już hycel, wezwany, żeby zabrał Jennie. Biedak bał się otworzyć celę, w której ją zamknęli. Demolowała dosłownie wszystko. Proszę mi wybaczyć, że się śmieję. Teraz mi się to wydaje zabawne, ale wtedy naprawdę nie było w tym nic wesołego.

Okazało się, że Sandy wziął samochód, żeby sobie poszaleć po parkingu. Robił chyba tzw. ósemki, rozpędzając wóz na lodzie coraz bardziej. Przyjechała policja i jeden z policjantów kazał mu natychmiast wysiąść z samochodu. Był wściekły i zachowywał się agresywnie, jak to często bywa z policjantami. Nazywał się Russo. Bill Russo. Znałam go od lat i wiedziałam, że to facet trochę ograniczony. Powinien był znać Sandy'ego, ale z tymi długimi włosami po prostu go nie poznał. Wziął go za jakiegoś zwariowanego hippisa. Kazał mu wysiąść z samochodu i podnieść ręce do góry i zaczął go obszukiwać. Ale pan przecież wie, jaka opiekuńcza była Jennie. Wyrwała się z samochodu ze strasznym wrzaskiem i porządnie

ugryzła Russa w nogę. Rozwaliła mu ją do kości. Ta szympansica była naprawdę silna.

Jak kompletny idiota, którym w istocie był, Russo wyciągnął służbowy rewolwer i wycelował go w Jennie. A wtedy Sandy dosłownie oszalał wrzeszcząc, łapiąc za broń i zasłaniając sobą Jennie. Zaczął wyzywać Russa od najgorszych, od świń faszystowskich itp. Myśl o tym, że ten kretyn może zastrzelić Jennie, musiała być dla niego straszna. Jestem zresztą przekonana, że Russo by to zrobił, gdyby go Sandy nie powstrzymał. Sandy uratował jej życie. No więc wrzucili Sandy'ego i Jennie do wozu policyjnego i przywieźli do komisariatu na Washington Street. Zostali rozdzieleni, mimo że Sandy, zupełnie zresztą słusznie, poprosił, żeby go wsadzili do jednej celi z Jennie. A Jennie — która nienawidziła klatek — mój Boże! — po prostu zdemolowała celę. Rozpruła materac, rozwaliła klozet, wszystko poodkręcała i potłukła umywalkę. Przyjechał hycel, ten ohydny tłusciuch, który bał się otworzyć drzwi, i właśnie się szykował, żeby strzelić w Jennie taką specjalną strzałą z jakimś środkiem uspokajającym. Sandy powiedział mi, że Jennie bierze udział w tajnym rządowym programie badawczym i że jeśli jej choćby włos spadnie z głowy, to go FBI wsadzi za kratki. Wyobraża pan sobie? Serio, to było naprawdę bardzo zabawne. Nie wiem, czy ten dureń hycel w to uwierzył, czy nie, w każdym razie komendant policji kazał mi się wstrzymać do naszego przyjazdu.

Kiedy się zjawiliśmy, Bill Russo właśnie wsiadał do samochodu, żeby jechać do szpitala. Cały był czerwony ze złości, że szympans z nim wygrał. Oświadczył, że Jennie trzeba koniecznie zlikwidować, że Sandy stanowi zagrożenie dla społeczeństwa i że chyba jego fryzjer umarł czy co? A może jest jednym z tych hippisowskich radykałów, którzy chcieliby widzieć w Ameryce komunizm? Gdyby tak jego chłopak pozwolił sobie zapuścić włosy, to już on dałby mu pas do powąchania. Niech pan sobie wyobrazi. I to całe przemówienie Bill Russo wygłosił do mnie! Powiedziałam mu, że jest to pomówienie w najczystszej postaci i jeżeli w tej chwili nie zamknie swojej ohydnej tłustej gęby, to się spotkamy w sądzie. A on na to, że przede wszystkim my będziemy odpowiadać przed

sądem za hodowanie w domu niebezpiecznej mały, która o mało nie odgryzła mu nogi. O Boże, ależ byłam wściekła!

Kiedy weszliśmy do środka, już z daleka usłyszeliśmy piekło, które robiła Jennie, drąc się i waląc w kraty. Panował taki hałas, że nie było słycać ani słowa. Hugo poszedł do cel — w korytarzu znajdowały się trzy małe pomieszczenia — i powiedział Jennie, żeby się zamknęła, i Jennie się uspokoiła. Za Sandy'ego musieliśmy zapłacić kaucję, a hycel wręczył nam wezwanie do sądu. Oznajmił, że będziemy mieli sprawę, a na razie musi zamknąć Jennie w specjalnym pomieszczeniu dla zwierząt.

Hugo był wspaniały. Bardzo spokojny i cierpliwy. Wyjaśnił temu człowiekowi, kim i czym jest Jennie i dlaczego nie może być mowy o żadnym zamknięciu. Nawiasem wspomniał o jej sile i o tym, że potrafi się wydostać praktycznie z każdej klatki przeznaczonej dla zwierząt. Tak nastraszył faceta, że ten zgodził się, w tej sytuacji niech już będzie w domu, ale pod ścisłą kuratelą, aż do terminu rozprawy. Jeśli zdarzy się, że jeszcze kogoś ugryzie, to znajdziemy się w bardzo poważnych kłopotach.

Do domu jechaliśmy w milczeniu. Hugo był wściekły. Szczerze mówiąc, ja też. Sandy i Jennie siedzieli potulni i spokojni; wiedzieli, że przebrali miarę. Hugo powiedział Sandy'emu, że ma przyjść do niego do gabinetu, a do Jennie: „Zła Jennie iść do łazienki”.

Jennie udawała, że nie słyszy, ale kiedy tylko samochód się zatrzymał i drzwi się otworzyły, wyskoczyła jak z procy i schowała się w garażu. Hugo szalał z wściekłości; zamknął ją tam i przetrzymał przez godzinę. W garażu było zimno, a Jennie miała na sobie tylko koszulkę trykotową z Kaczorem Donaldem i spodnie.

Sandy spędził kilka weekendów zamiatając śnieg, żeby zarobić na grzywnę. Sędzia cofnął mu warunkowe prawo jazdy i zakazał prowadzenia samochodu aż do ukończenia szesnastu i pół roku.

Sytuacja Jennie była znacznie poważniejsza. W gruncie rzeczy władze miejskie miały prawo domagać się jej śmierci. W Kibbencook obowiązywały bardzo surowe przepisy do tycające zwierząt i

na przykład pies, który ugryzł kogoś do krwi, był z reguły usypiany. I to za pierwszym razem; żadnych drugich szans.

Hugo tak był tym wszystkim przejęty, że zaangażował adwokata. To jasne, że nigdy nie poświęcilibyśmy Jennie. Gdyby przyszło co do czego, gotowi byliśmy nawet się wyprowadzić.

Adwokat okazał się wspaniały. Nazywał się Alterman. Artur Alterman. Kosztował nas sto dolarów za godzinę, ale naprawdę był tego wart.

Trudno sobie wyobrazić coś zabawniejszego od tej sprawy. Chyba historia sądownictwa nie zna nic podobnego. Nie była to zresztą rozprawa sądowa w całym tego słowa znaczeniu; raczej przesłuchanie bez prokuratora. Prowadził ją urzędnik odpowiedzialny za porządek, niski Włoch nazwiskiem Fiorello. Mimo to finał mógł być tragiczny. Ostatecznie w grę wchodził najwyższy wymiar kary.

Najpierw zeznawali Russo i jego partner. A potem hycel, cały spocony i czerwony. Na koniec wstał Alterman i powołał Jennie na świadka.

Zauważyłam, że gdzieś na końcu sali drzemał młody reporter. Kiedy weszła Jennie, obudził się natychmiast, zaczął gorączkowo poszukiwać długopisu, robić notatki i telefonować.

Alterman wynajął fachową tłumaczkę języka migowego ze Szkoły dla Głuchoniemych w Somerville. Miała najwyższe referencje. Była wspaniała, a myśmy bardzo starannie przygotowali Jennie do składania wyjaśnień. Całymi dniami powtarzaliśmy to, co ma powiedzieć na sali, odbywając z nią regularne próby. Jestem przekonana, że gdyby była człowiekiem, takie postępowanie byłoby niedopuszczalne.

Alterman nie posadził Jennie w ławie świadków samej; dokładnie nam zresztą wyjaśnił dlaczego. Było wiadomo, że w chwili kiedy sędzia zobaczy ją, jak ubrana w niebieski garniturek z dużą czerwoną kokardą rozmawia z tłumaczką w języku migowym, nigdy przenigdy nie uzna jej za zagrożenie społeczne i nie skaze na śmierć. Jakżeby mógł? Przecież była jak mały człowieczek!

Tłumaczka zaprowadziła Jennie i Hugona na ławę świadków,

gdzie usiedli we dwójkę, jako że ktoś musiał wziąć na siebie odpowiedzialność za zachowanie Jennie. Niech Pan Bóg broni, gdyby tak ugryzła sędziego albo adwokata!

Alterman był wspaniały. Urodzony aktor. Najpierw wyjaśnił, że świadek nie może przysięgać na Biblię, ponieważ nie jest chrześcijanką. Sala zareagowała na to gromkim śmiechem. Gdyby był obecny wielbny Palliser, jestem przekonana, że by zaprotestował. Sędzia wyjaśnił następnie, chyba tylko do protokołu, że zeznania Jennie nie mają żadnego znaczenia, jeśli chodzi o ustalanie faktów, ale że mimo wszystko na nie zezwała. Koniecznie chciał zobaczyć szympansa posługującego się językiem migowym.

No więc Jennie zasiadła na ławie świadków. Wyglądała prze-komicznie na wielkim dębowym krześle, z krótkimi nóżkami dyn-dającymi w powietrzu i paciorkowatymi oczkami strzelającymi dokoła z najwyższym zainteresowaniem. Szkoda, że pana tam nie było. W tej uroczystej sali z dębową boazerią, flagami i sędzią w todze robiła wrażenie maleńkiej i bezbronnej. Zaraz, spróbuję sobie przypomnieć, jak to było. Czy mam demonstrować znaki? Zdumiewające, jak mimo wszystko mało zapomniałam. Musi być z tym podobnie jak z jazdą na rowerze. (Nota wydawcy: tu pani Archibald wstała i cytując pytania, jednocześnie wykonywała odpowiednie znaki).

Pan Alterman zwracał się tylko do tłumaczki. Poprosił ją na początek, żeby spytała Jennie — którą nazywał świadkiem — co się wydarzyło takiego to a takiego lutowego popołudnia 1973 roku. Kobieta zasygnalizowała więc: „Co się stało?” i kiedy Jennie odpowiedziała, natychmiast tę wypowiedź przetłumaczyła.

A Jennie oczywiście zażądała jabłka czy czegoś w tym rodzaju. „Jabłko! Dać jabłko!” — powiedziała i naturalnie od razu wypadła ze scenariusza. Miałam serce w gardle. Ale tłumaczka nie mogła niczego pominąć.

I cóż na to sędzia? Otóż sędzia uderzył młotkiem i oznajmił: „O żadnym jedzeniu w sądzie nie ma mowy!” Wszyscy ryknęli śmiechem, a ja odczułam wielką ulgę. Od tej chwili wiedziałam, że wygramy sprawę i że sędzia wyśmienie się bawi. Zaraz potem jednak zrobił poważną minę i zażądał:

„Proszę powiedzieć świadkowi, żeby odpowiedziała na pytanie”.

Tłumaczka zasygnalizowała: „Jennie jabłko nie. Później. Co się stało?” Jennie odparła: „Krzywdzić”.

„Kto krzywdzić? Kto?” — zapytała tłumaczka.

„Człowiek” — wyjaśniła Jennie.

„Gdzie człowiek?” — zapytała tłumaczka.

„Człowiek, człowiek” — powtarzała w kółko Jennie.

Tłumaczka kilkakrotnie prosiła, żeby wskazała tego człowieka, i Jennie pokazała od razu Russa.

W tym momencie Alterman zagrzmiął: „Proszę zapisać w protokole, że świadek zidentyfikowała funkcjonariusza policji Williama H. Russa!” Wrażenie było piorunujące. Ze wstydem muszę przyznać, że tę scenę ćwiczyliśmy z Jennie przez wiele dni, używając do tego celu fotografii Russa w dużym powiększeniu. Pojęcia nie miałam, skąd Alterman ją wytrzasnął. Dosłownie każde pytanie przerabialiśmy dziesiątki razy.

Kiedy Jennie pokazała na Russa, przez salę przeszło głośnie „Aaaach!” i natychmiast zobaczyłam, jak reporter pochyla się nad notatnikiem i gorączkowo coś zapisuje. Dla niego to musiała być życiowa szansa. Prawdopodobnie przesiadywał miesiącami w sądzie Kibbencook, gdzie wśród zwykłej „sieczeni” największą sensacją mógł być co najwyżej pijany kierowca. Aż tu nagle, bardzo proszę! Wcale nie jestem pewna, czy obecność tego reportera na sali to nie była przypadkiem sprawka pana Altermana. Nie pomyślałam o tym wcześniej, ale ta rozprawa zdecydowanie rozślawiła jego nazwisko. Pisali o nim nawet w „Timie”.

Ale wracam do rzeczy. Otóż pan Alterman poprosił tłumaczkę, żeby zapytała Jennie, kogo człowiek skrzywdził i dlaczego. Tłumaczka zapytała: „Człowiek skrzywdzić kto?” Na co Jennie odparła: „Sandy”.

Znów po sali poszedł pomruk i sędzia znów uderzył młotkiem w stół. Rozprawa była pasjonująca, zupełnie jak w „Ironsides” z Perym Masonem. Jennie wstała i zaczęła podskakiwać i pohukiwać z podniecenia i Hugo musiał ją dość energicznie usadzić. Podejrzewam, że cała ta sprawa z legalnością miała niewiele wspólnego, w każdym razie zabawa była nie z tej ziemi. A już najlepiej bawił się

sędzia. Ponieważ nie miała ona charakteru normalnej rozprawy sądowej, nie musiał się specjalnie przejmować subtelnościami proceduralnymi.

Tłumaczka zapytała: „Człowiek skrzywdzić Sandy?”

I Jennie, jak przystało na wiarygodnego świadka, powtórzyła: „Człowiek skrzywdzić Sandy”. W tym momencie Russo zerwał się z miejsca, rozindyczony i wściekły na sędziego. Dosłownie kipiał ze złości. „Czy sędzia wierzy bardziej małpie niż mnie?” — zapytał. „Kto tutaj ostatecznie jest sądzony? To zwykła farsa, a nie sąd”. Oczywiście wyszedł na jeszcze gorszego kretyna, niż był w rzeczywistości.

Wtedy już sędzia był całkowicie po naszej stronie. Rozparł się wygodnie w swoim fotelu i oznajmił z uśmiechem: „Pozwolę sobie na drobne sprostowanie: jeśli już, to nie farsa, a cyrk”. Zostało to skwitowane gromkim śmiechem. I wtedy tłumaczka spytała: „Jak człowiek skrzywdzić Sandy? Co człowiek zrobić?” Ale tu niestety Jennie znów wypadła ze scenariusza. Powiedziała: „Ugryźć. Człowiek ugryźć”. Mój Boże, kiedyż to Jennie trzymała się scenariusza? Jeśli tylko istniała jakaś możliwość zrobienia zamieszania, nigdy jej nie pominęła.

Russo znów się poderwał. Biedak zupełnie nie wiedział, kiedy trzymać buzię na kłódkę. Wykrzyknął: „Wysoki Sądzie! Ja naprawdę nikogo nie ugryzłem! To kłamstwo!”

Była to przysłowiowa kropla, która przepełniła kielich. Wszyscy dosłownie pokładali się ze śmiechu. Sędzia próbował zachować powagę, ale mu to zupełnie nie wychodziło. Wreszcie uderzył młotkiem, zrobił surową minę i zapytał pana Altermana, jak należy traktować to zeznanie. „Czyba nie chce pan, żeby Wysoki Sąd uwierzył, że funkcjonariusz policji ugryzł tę małpę?” Wybuchnął jednak śmiechem, zanim jeszcze skończył mówić. Chyba nigdy w życiu tak się nie zaśmiewałam jak wtedy. Russo i hycel siedzieli z bardzo kwaśnymi minami. Fiorello na przemian to walił młotkiem, to się śmiał, ale na koniec zezłościł się i zagroził, że wyrzuci wszystkich z sali.

Pan Alterman wyjaśnił, że chciał tylko ustalić, w jakim stanie

ducha była Jennie w chwili, kiedy „uszczygnęła” policjanta, i wobec tego sędzia pozwolił mu kontynuować.

Jennie powiedziała: „Jabłko, dać jabłko!” — bo przecież uczyliśmy ją mówić, nagradzając jabłkami. Ciągłe więc oczekiwała nagrody. Z jej punktu widzenia było coś nie w porządku: dobrze odpowiadała na pytania, a tu nikt jej nie dawał jabłek! Tłumaczka powiedziała: „Nie, jabłko później. Zła Jennie, nie jeść teraz. Co człowiek zrobić Sandy?”

Jennie odpowiedziała: „Krzywdzić”.

Sędzia przerwał i oświadczył, że daje panu Altermanowi jeszcze tylko minutę na wyciągnięcie od świadka informacji. I zwracając się do tłumaczki dodał: „Czy mogłaby pani zapytać świadka, dlaczego ugryzła funkcjonariusza policji?”

„Dlaczego Jennie ugryźć człowiek?” — zapytała tłumaczka.

Jennie odparła: „Człowiek krzywdzić Sandy”.

Pan Alterman, cały w uśmiechach, zakończył: „To wszystko, Wysoki Sądzie. Dziękuję, Jennie!” Sala zaczęła wiwatować, a sędzia na próżno walił młotkiem.

W podsumowaniu pan Alterman powiedział... zaraz... spróbuję sobie przypomnieć. Aha, więc powiedział, że Jennie najwyraźniej myślała, iż policjant krzywdzi Sandy’ego, mimo że tego nie robił. Jennie omyłkowo przyjęła, że jakiś obcy człowiek krzywdzi czy atakuje jej przyjaciela i brata, tzn. Sandy’ego. Jej reakcja była prawidłowa: chciała go bronić. Popełniła błąd, ale błąd szlachetny. Wystąpiła w obronie kogoś, kogo kochała. Czyżby rzeczywiście sędzia zamierzał zniszczyć tę dzielną, lojalną i dobrą szympansicę za to tylko, że się pomyliła? Z pewnością nie. I tak dalej, w tym stylu. Pan Alterman przemawiał jeszcze jakiś czas. Nie trwało nawet minuty, a sędzia uniewinnił Jennie. Nie chcę przez to powiedzieć, że była niewinna, owszem, była winna. W gruncie rzeczy rozprawa miała służyć ustaleniu, czy jest niebezpieczna dla otoczenia i czy powinna zostać zlikwidowana. A rzecz sprowadzała się do tego, że Jennie była winna ugryzienia funkcjonariusza policji Russa, nie będąc jednocześnie niebezpieczna dla otoczenia.

Ale co działo się później! O Boże, historia tamtego młodego reportera trafiła na łamy dosłownie wszystkich gazet. Pierwsze strony „Globe”, „Herald Traveler” i „Townsmans” były jej pełne, a potem przyszła kolej na wszystkie stacje telewizyjne i prasę krajową: pisały o tym „Los Angeles Times”, „Chicago Tribune”, magazyn „People” i „New York Times”. Nawiasem mówiąc, artykuł w „New York Times” był bardzo dobry, był to właściwie jedyny inteligentny materiał o Jennie napisany w ciągu tych wszystkich lat. Zaraz, jak się nazywał ten dziennikarz? Bardzo miły człowiek. O, już wiem, Sullivan. Walter Sullivan. I znów zaczęli dzwonić ze wszystkich programów typu „talk show”. Gazety oferowały nam wprost niebotyczne sumy. Odmówiliśmy wszystkim. Nie mogliśmy się jakoś pozbierać po tym incydencie. Woleliśmy nie ryzykować dalszych publicznych występów Jennie. Była w okresie dojrzewania i zrobiła się szczególnie niesforna i rozwichrzona. I bardzo silna. Potrafiła bez trudu ukręcić u drzwi gałkę z solidnego metalu. Stała się też dla nas poważnym problemem. To już nie były żarty.

*Transkrypcja ze zbioru danych doktor
Pameli Prentiss, archiwa Ośrodka Badań
nad Naczelnymi Uniwersytetu Tufts.*

Otoczenie: pod dziką jabłonką, 10.00 rano, 20 lipca 1973 r. Jennie właśnie zjadła lunch i zwisa z jednej z niższych gałęzi. Schodzi na ziemię i siada naprzeciwko Pam. (Nota wydawcy: była to ostatnia sesja doktor Prentiss i Jennie).

Jennie: „Berek łaskotany. Berek łaskotany, Jennie”.

Pam: „Nie, Pam zmęczona”.

Jennie: „Berek łaskotany”.

Pam: „Jennie usiąść. Teraz Jennie porozmawiać z Pam”.

Jennie: „Nie”. Wstaje i nadeptuje Pam na nogę.

Pam: „Jennie, proszę, bądź grzeczna. Pam mówić do Jennie. Ważne. To jest ważne”.

Jennie: Dalej stoi.
Pam: „Pam odchodzić. Pam odchodzić na długo”.
Jennie: Siada.
Pam: „Pam odchodzić na długo. Jennie rozumieć?”
Jennie: Brak reakcji.
Pam: „Jennie rozumieć? Pam odchodzić na długo. Jennie nie widzieć Pam długo”.
Jennie: „Źle”.
Pam: „Pam odchodzić na długo. Jennie rozumieć?”
Jennie: „Zła Pam”.
Pam: „Pam kochać Jennie”.
Jennie: „Źle, źle”.
Pam: „Pam kochać Jennie. Jennie kochać Pam?”
Jennie: „Źle”.
Pam: „Jennie rozumieć? Tak czy nie? Pam odchodzić na długo”.
Jennie: „Jennie zła”.
Pam: „Jennie dobra. Jennie bardzo dobra. Pam kochać Jennie”.
Jennie: „Źle”.
Pam: „Jennie dobra”.
Jennie: „Zła, zła”.
Pam: „Pam kochać Jennie. Jennie przytulić Pam?”
Jennie: Nie reaguje. „Źle”.
Pam: „Proszę, Jennie, przytulić Pam”.
Jennie: Nie reaguje. Stopniowo jeżą jej się włosy.
Pam: „Proszę, Jennie, przytulić Pam”.
Jennie: „Jennie zła. Przepraszam, przepraszam”.
Pam: „Nie, Jennie dobra, Jennie dobra”.
Jennie: „Zła. Niedobra”.
Pam: „Proszę, Jennie, przytulić Pam. Pam krzywda”.
Jennie: „Źle, źle, źle, źle”.
Pam: Wstaje i bierze Jennie za rękę. Jennie odsuwa jej rękę i odwraca się. Pam siada i zaczyna drapać Jennie po grzbiecie. Jennie stopniowo rozluźnia się, jej włosy powoli opadają, aż wreszcie kładzie się na grzbiecie i nadstawia brzuch do drapania.

(Nota wydawcy: transkrypcja kończy się następującą rozmową, jaka miała miejsce przy dżipie doktor Prentiss).

Pam: „Jennie przytulić Pam?”

Jennie: Otwiera ramiona. Pam przytula Jennie. Jennie długo pozostaje przytulona do Pam, zanim ją wreszcie puszcza.

Pam: „Pam kochać Jennie”.

Jennie: „Iść?”

Pam: „Pam odejść”.

Jennie: „Źle, źle. Pam martwa”.

Pam: „Pam nie martwa. Pam odejść. Ja wiem. Źle, źle. Pam odejść bardzo źle. Pam kochać Jennie”.

Jennie: „Pam, Pam, Pam, przepraszam, przepraszam Pam. Jennie źle. Źle, źle, źle, źle, źle, martwa, martwa, martwa”.

Rozdział 9

*Ze „Wspomnień z pewnego życia”
Hugona Archibalda.*

Jesień 1973 roku zachowałem w pamięci jako jeden z najtrudniejszych okresów w moim życiu.

Pierwszym ciosem była utrata przez doktor Prentiss grantu przeznaczonego na finansowanie programu „Jennie”. Dopóki nie przestała przyjeżdżać do nas trzy razy w tygodniu, nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak dalece byliśmy od niej zależni. Cofnięcie grantu oznaczało również koniec naszej pracy z Jennie w muzeum. Harold odszedł na emeryturę, a ja musiałem zająć się innymi programami badawczymi. Cały ciężar opieki nad Jennie spadł na barki Lei. Jednocześnie Sandy, przeżywający okres buntu przeciwko wszelkim uznanym autorytetom, stał się przykładem niezwykle destrukcyjnych postaw. Ta jesień stanowiła przykry kontrast w stosunku do sierpniowych wakacji, które spędziliśmy, jak zwykle, na farmie w Maine. Było to wspaniałe lato, jedno z najwspanialszych w naszym życiu, a zarazem ostatni pobyt Jennie w Maine. Nigdy tego nie zapomnę.

Kiedy już dojeżdżaliśmy na miejsce, może na jakąś godzinę przed dotarciem do celu, Jennie zaczęła pohukiwać i walić rękami w siedzenie. Na widok drewnianego Indianina nie wytrzymała: wydała okrzyk radości, odkręciła okno i wyskoczyła, zanim samochód zdążył się na dobre zatrzymać. Zobaczyliśmy tylko czarną postać, jak gna przez łąkę w stronę jabłonek, a potem jak siedzi na swoim ulubionym drzewie, drąc się z radości, potrząsając gałęziami i klaszcząc w ręce.

Szesnastoletni Sandy też chętnie opuszczał Kibbencook, które uważał za męczące i bardzo „drobnomieszczańskie”.

Tego lata Sara skończyła dziewięć lat. Interesowała się przede wszystkim książkami i muzyką. Dosłownie pożerała książki, nieraz po dwie dziennie. Lea musiała co wieczór sprawdzać, czy Sara zgasiła światło, w przeciwnym razie potrafiła czytać do rana, a potem z wielkim trudem i z podbitymi oczami zwlekała się na śniadanie. Uwielbiała muzykę klasyczną. Zaczęła się uczyć gry na pianinie i grała już zupełnie nie najgorzej. Kupiliśmy jej przenośny adapter, który ustawiała sobie w living-roomie, bez końca słuchając preludium Szopena aż do zdarcia płyty. W Maine mogła się spokojnie oddawać muzyce i czytaniu, w czym nie przeszkadzały jej zajęcia szkolne.

Muzyka była jedynym wspólnym zainteresowaniem Jennie i Sary. Niestety, chłonęły ją na dwa zupełnie odmienne sposoby. Kiedy tylko dźwięki preludium Szopena zaczynały się wydostawać z pokoju, Jennie wyrastała jak spod ziemi i siadała na kanapie z półprzymkniętymi oczami i „buzią w ciup”. W miarę jak muzyka zbliżała się do finału, zaczynała wydawać nieprzyjemne odgłosy. Myśmy to uprzejmie nazywali „śpiewem”, ale te dźwięki bardziej przypominały rżenie zdychającego pudła. Sara nie zamierzała tolerować żadnych hałasów podczas słuchania swojego ukochanego Szopena i na wiele sprytnych sposobów radziła sobie z Jennie. Czasem zatrzymywała płytę, szła do kuchni i pobrzękiwała kłódką przy lodówce. Jennie nigdy nie potrafiła się oprzeć odgłosom otwierania lodówki i pędziła wtedy do kuchni. W tym czasie Sara szybko wracała do living-roomu przez tylny korytarz, zamykała drzwi i z powrotem nastawiała płytę, podczas gdy Jennie dobijała się do lodówki. (Podobnie jak w naszym domu w Kibbencook, tak samo i w Maine mieliśmy zainstalowane zamki po obu stronach wszystkich drzwi, przy lodówce i szafkach). Gdy ten wybieg zawodził, Sara brała banana i rzucała go na trawnik; kiedy Jennie po niego biegła, zamykała drzwi od środka.

Tej wiosny kupiłem łódź, używaną łajbę z osiemnastokonnym silnikiem nadającą się do żeglugi morskiej. Po raz pierwszy postanowiliśmy ją wypróbować w tym roku w sierpniu. Naturalnie Jennie uparła się, że będzie pływać z nami. Gdy już oswoiliśmy się z łodzią, pozwalaliśmy jej sterować. Brałem ją na kolana, pilnując koła, a ona szalała po morzu, skręcając ster to w tę, to w tamtą stronę, pohukując i podskakując z radości. Kiedyś, w chwili najwyższego podniecenia, puściła koło sterowe i zaczęła się kręcić w kółko, co było u niej wyrazem największego szczęścia. Obsługiwanie steru dawało jej niezwykle ekscytujące poczucie władzy i pewności siebie.

Zawieźliśmy łódź do Brackett's Ledge. Był to niski, ostry, czarny od wodorostów występ skalny, o który nieustannie rozbijały się fale. Przy odpływie roilo się tam od fok. Jennie nigdy w życiu nie widziała foki. Patrzyła i patrzyła, i nie potrafiła odróżnić foki od skały. Kiedy podpłynęliśmy zbyt blisko takiej kolonii i foki zaczęły się ześlizgiwać do wody, Jennie piszcząc ze strachu, schowała się pod siedzeniem. Po pewnym czasie foki zaczęły dokoła nas wystawiać głowy i udało nam się wreszcie namówić Jennie, żeby wyszła z ukrycia i razem z nami je obserwowała.

Wpatrywała się w foki z wielką uwagą i zainteresowaniem. Wkrótce pozbyła się strachu całkowicie i pokazując na nie, powtarzała: „Bawić, bawić!” Nie wiedzieliśmy, jak jest w języku migowym „foka”, i nie mieliśmy przy sobie słownika, więc wymyśliliśmy naprędce znak i nauczyliśmy go Jennie.

Od tej chwili nie dawała nam spokoju, powtarzając w kółko: „Iść foka! Iść foka! Iść łódka foka!” i stając się fanatyczną obserwatorką fok.

Często zawoziliśmy łódź do Brackett's Ledge i stamtąd płynęliśmy na Wyspę Pustelnika, wprost wymarzony teren zabaw dla Jennie. Nikt by nie wymyślił lepszego środowiska dla niesfornego szympansa. Miejsce było odosobnione i Jennie mogła w nim szaleć do woli: biegać, łązić po drzewach, wyrwać rośliny, rzucać kamieniami, walić kijem w ziemię, wrzeszczeć, łamać gałęzie — słowem robić wszystko to, czego zabranialiśmy jej w domu. Łódź stała w zatoce na kotwicy poza jej zasięgiem. Jennie mogła tu

korzystać z pełnej swobody, a my nie musieliśmy mieć jej stale na oku ani się o nią martwić.

Na północnym skraju wyspy rosła gęsta kępa świerków, na które Jennie chętnie się wdrapywała. Czasem, kiedy osiągnęła wierzchołek, złapawszy się go jedną ręką kołysała się w tył i w przód, wyjąc z zapamiętaniem do morza, upojona wolnością. Po zejściu ze świerka całe nogi i ręce miała lepkie od żywicy. Często też biegała po łąkach, łapiąc pazie królowej, które fruwały wśród rosnących tam w obfitości mleczy i innych polnych kwiatów. Kiedy udało jej się złapać motyla, trzymała go w dłoniach i wachała, jakby był kwiatem. Czasem taki motyl po wypuszczeniu spadał na ziemię okaleczony, a czasem spiralnym lotem w panice strzelał w górę, podczas gdy Jennie, z nosem i rękami w pomarańczowym pyłku z jego skrzydeł, śledziła lot swojej niedoszłej ofiary.

Wyspa zawdzięczała nazwę pewnemu starym pustelnikowi, który tu kiedyś żył i po którym została chata. Była zbudowana z nadmorskich kamieni, a dach miała drewniany. Ściany były grube na sześćdziesiąt centymetrów, a w kącie znajdował się kominek. Jeśli nie liczyć kilku dziur w dachu, było to doskonałe miejsce noclegowe. Chroniliśmy się tam też przed wiatrami, słonym pyłem wodnym i porannymi wilgotnymi mgłami.

Pustelnik nazywał się John Tundish i miał ciekawą biografię. Według opowieści miejscowych ludzi urodził się na farmie na stałym lądzie i był prostym, sympatycznym chłopakiem. Podobno nie wypuszczał się dalej niż do Blacks Cove położonego w odległości niecałych dziesięciu kilometrów na południe. Kiedy wybuchła druga wojna światowa, został powołany do wojska i wysłany do Fortu Pendleton w Kalifornii, a stamtąd na południowy Pacyfik.

Nadchodziły od niego skąpe wiadomości. Kiedy wrócił z wojny w 1945 roku, przestał mówić. Ani słowa do nikogo. Za dwadzieścia pięć dolarów kupił wyspę, która się wówczas nazywała Thrumcap, i zamieszkał na niej. Raz na miesiąc robił zakupy w jednym ze sklepów na stałym lądzie. Któregoś miesiąca się nie pojawił. Kiedy nie pojawił się również i następnego, ktoś z miejscowych wybrał się na wyspę, żeby sprawdzić, czy nie jest chory albo czy nie potrzebuje

jakiejś pomocy. Znalaziono jego łódź wciągniętą na brzeg, zaścienione łóżko, puszki z żywnością poustawiane w rogu izby, ubranie poskładane w kufrze. Ale jego samego ani śladu; nigdy go od tamtej pory nie widziano. Przepadł bez wieści.

Niektórzy mówili, że podczas porannej kąpieli w morzu porwała go przybrzeżna fala i utonął, inni że odziedziczył pieniądze i wyjechał się do Bostonu. Ponieważ nie miał żadnej rodziny, wyspa przeszła na własność stanu Maine.

Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że Tundish nigdy nie został wysłany na front i nie widział walk, a więc ani szok wywołany wybuchem, ani żadne inne potworności wojny nie mogły być przyczyną jego milczenia. Miejscowi ludzie nie potrafili sobie wytłumaczyć, co się z nim stało. Kiwali tylko głowami i mówili: „Oni tam wszyscy w tej rodzinie byli lekko stuknięci”.

Kiedy obozowaliśmy na wyspie, czasami po południu wypływaliśmy łódką, żeby nałapać na kolację świeżych makreli. Gdy po raz pierwszy popłynęliśmy na ryby, Jennie z wielką uwagą obserwowała nasze przygotowania, ale kiedy wciągnęliśmy na pokład pierwszą trzepoczącą się rybę, z krzykiem schowała się pod siedzenie. Szybko jednak przewyciężyła strach i pewnego dnia daliśmy jej wędkę do ręki. Niemal natychmiast dopisało jej szczęście. Sandy wrzeszczał: „Nawijaj, nawijaj”, ale początkowo tak się gorączkowała, że tylko krzyczała i podskakiwała, podczas gdy wędka drgała szarpana we wszystkie strony. Wreszcie udało nam się jakoś skłonić Jennie, żeby nawinęła żyłkę na kołowrotek, i kiedy wyciągnęła rybę, była nieprzytomna z podniecenia. Złapała ją, rzuciła na dno łodzi i podeptała. Nieraz widziała, jak zabijamy i patroszymy ryby i w ten sposób chciała nam pomóc. Kiedy ryba znalazła się bezpiecznie w koszyku, Jennie zaczynała sygnalizować gorączkowo: „Ryba, ryba!” i łapać za wędkę. Stała się prawdziwą fanatyczką wędkarstwa.

Jennie łapała jedną makrełę za drugą. Był to dobry rok na makrele i wystarczyło zarzucić wędkę i pociągnąć ją przez kilka minut za łodzią, żeby coś złapać. Mimo zapału, z jakim Jennie wędkowa-

ła, martwe ryby jej nie interesowały; nie lubiła ich też jeść. Kiedy je smażyliśmy na kolację, krzywiła się i odsuwała od kominka jak najdalej.

Spała skulona, zawinięta w koc i przytulona do Sandy'ego śpiącego w śpiworze. Pewnego ranka, kiedy przez okna chaty wpadło słońce, Lea zrobiła im takie zdjęcie. Stoi ono teraz w ramce w moim gabinecie. Sandy, pogrążony w głębokim śnie, z długimi włosami sterczącymi we wszystkie strony, ma otwarte usta, z których sączy się na poduszkę strużka śliny, zupełnie jak wtedy, kiedy był małym chłopcem. Miałem wrażenie, że odarty przez sen ze swych „piórek” radykała, leży nagi w swojej niewinności. Obok Jennie, obejmująca go ramieniem z wyrazem głębokiego zadowolenia na brązowej twarzy. Kiedy patrzę na to zdjęcie, jeszcze dziś słyszę krzyk mew i szum morza i czuję zapach wodorostów i słonego powietrza wdzierający się przez powybijane szyby chaty. To było magiczne lato.

Podczas jednego z wypadów na wyspę przy końcu lata Sandy dokonał niezwykłego odkrycia. Czyszcząc kominek (przeciwko czemu bardzo się buntował), natrafił na luźny kamień w głębi paleniska. Wyciągnął go i odkrył tajną skrytkę, a w niej małą drewnianą sześciokątną szkatułkę.

Zawołał nas do środka i otworzył szkatułkę, której wieko rozpadło mu się w rękach. Spodziewaliśmy się skarbów z Mórz Południowych albo złotych dublonów, ale zamiast tego znaleźliśmy w szkatułce długi list, plik fotografii i zawinięte w kawałek papieru srebrnego dolara z głową Morgana i turkusowy paciorek.

Byliśmy zawiedzeni. Fotografie niszczały całkowicie pod działaniem czasu, wilgoci i pleśni. Nie było na nich widać kompletnie nic. List także spleśniał i kartki się posklejały. Co więcej, wpadający przez komin deszcz wypłukał atrament. Srebrny dolar i paciorek były praktycznie jedynymi przedmiotami, jakie ocalały. Sandy zatrzymał sobie dolara, a co stało się z resztą, nie mam pojęcia.

Po Świącie Pracy wróciliśmy do Kibbencook. To właśnie wtedy doktor Prentiss powiadomiła nas z żalem, że nie może dalej

prowadzić zajęć. Jennie, która się bardzo do niej przywiązała i ogromnie tę rozłąkę przeżyła, w stałe dni ich spotkań wypatrywała samochodu Pam, do wieczora chodząc smutna i nie mogąc sobie znaleźć miejsca.

Najtrudniejsze jednak mieliśmy jeszcze przed sobą. W październiku i listopadzie Jennie po raz pierwszy przeżywała okres pobudzenia seksualnego. Nie była to jeszcze pełna ruja dorosłej szympannicy, tylko łagodniejsza, młodzieńcza jej wersja właściwa procesowi dojrzewania. W tym okresie części rodne szympansie podlegają niebywałym zmianom: nabrzmiwiają i nabierają jaskraworóżowego koloru. A seksualne impulsy samic szympansi są znacznie silniejsze niż u człowieka.

Jennie zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, co się z nią dzieje, ani nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić. W pierwszym okresie była bardzo niespokojna i trudna do opanowania. Zachowywała się w sposób nieprzyzwoity i niemożliwy do zaakceptowania w towarzystwie. Szczególnie w obecności mojej i Sandy'ego. Nie pozwalała nam się do siebie zbliżyć, nie mówiąc już o dotykaniu, a często kiedy próbowaliśmy do niej podejść, darła się jak opętana. Stała się też mało komunikatywna i często ignorowała nasze próby nawiązania z nią kontaktu za pomocą znaków. Lea i ja wiedzieliśmy, że w okresie dojrzewania szympansy robią się trudne. A mimo to zdołaliśmy sobie jakoś wmówić, że z Jennie będzie inaczej. Wydawało nam się, że znamy ją lepiej niż siebie nawzajem. Byliśmy w błędzie.

W tym okresie wszelkie formy niewoli Jennie znosiła bardzo źle, mimo że dotychczas sypiała w zamkniętym pokoju. Po całych nocach słuchaliśmy jej krzyków i walenia w drzwi, a pewnej nocy, podczas pierwszego okresu rui, zdołała wyłamać zamek i wydostać się na zewnątrz.

W kuchni urządziła piekło: podczas prób wyrwania kłódki przewróciła lodówkę. Musieliśmy wziąć człowieka, który założył w jej pokoju stalowe drzwi ze sztabami i kraty w oknach. Widok pokoju zamienionego w klatkę był dla nas bardzo przykry, ale nie mieliśmy innego wyjścia. Baliśmy się, że zrobi krzywdę sobie albo komuś z nas.

W tych okresach Jennie zdawała się nie panować nad niczym;

nie trzymała nawet moczu, a zdarzało się też, że z przyczyn zupełnie nam nie znanych oddawała go w różnych miejscach domu. Radziłem się w tej sprawie doktora Epsteina i doktor Prentiss, ale nie znaleźliśmy żadnych opracowań naukowych na temat szympanśców, które by nam pozwoliły zrozumieć takie zachowania.

Do tej pory Jennie i Sandy'ego łączyła przyjaźń typowa dla rodzeństwa. Ruja Jennie zniszczyła i to. Przestało jej zależeć na towarzystwie Sandy'ego, przestała go słuchać i za każdym razem gdy próbował się z nią bawić, okazywała irytację. Sandy miał szesnaście lat i zachowanie Jennie dziwiło go i oburzało. Szesnastoletni chłopcy bywają w stosunku do innych sztywni i nietolerancyjni, a Sandy nie potrafił zrozumieć, że zachodzące w Jennie zmiany są naturalne. Spowodowało to pewne rozluźnienie związków pomiędzy nimi i Sandy wychodząc z domu, prawie przestał ją ze sobą zabierać.

Wszystko to razem miało jeden fatalny skutek, a mianowicie stało się dodatkowym wielkim obciążeniem dla Lei. Jennie nie bywała już w muzeum, skończyły się zajęcia z doktor Prentiss i coraz rzadziej wychodziła z Sandym. Zamiast tego po całych dniach przesiadywała w domu, zła i dokuczliwa. Żeby nie zwariować, Lea była zmuszona zamykać ją w okratowanym pokoju na całe godziny, gdzie szympanśca dosłownie szalała wrzeszcząc i demolując, co się dało. Trzeba było nawet zaprzestać posyłania jej do wielbego Pallisera. Pastor na starość stał się bardzo roztargniony i baliśmy się o jego bezpieczeństwo. Jennie zrobiła się zupełnie nieobliczalna.

Po zakończeniu pierwszego okresu pobudzenia seksualnego jej osobowość nie całkowicie wróciła do normy, chociaż Jennie się naturalnie uspokoiła. Ale jej stosunki z Sandym pozostały chłodne. W kilka miesięcy później wszystko się powtórzyło, tylko w ostrzejszej formie. Coraz częściej Lea wzywała mnie z muzeum do domu, żebym pomógł jej zażegnać kolejny kryzys. Moja praca bardzo na tym cierpiała. Dla Sary obecność Jennie w domu była jeszcze bardziej uciążliwa, tak że zaczęła spędzać czas głównie u przyjaciółki.

Na początku 1974 roku wyglądało na to, że nasza rodzina kompletnie się rozpada.

Z wywiadu z Haroldem Epsteinem.

Żyjemy w społeczeństwie ignorantów. Przeciętny Amerykanin nie ma zielonego pojęcia o nauce. Pewien człowiek spytał mnie, czy kiedy słońce wschodzi, gwiazdy znikają, czy pozostają, tylko przestają być dla nas widoczne. Był to makler giełdowy, którego miałem nieszczęście zatrudnić i który zarabiał rocznie ponad sto tysięcy dolarów! W każdym razie bardzo szybko cofnąłem mu pełnomocnictwo do obracania moimi papierami. I wtedy giełda odnotowała wzrost o pięćset punktów! Ale to już zupełnie inna historia.

Nie bronię przeciętnemu Amerykaninowi bycia ignorantem. Stany to wolny kraj. Jeżeli jednak chodzi o wysokich urzędników państwowych pochodzących z wyboru, ludzi obdarzonych wielką władzą, którzy się obnoszą ze swoją ignorancją, to już przestaje być zabawne.

Senator William Proxmire był właśnie jednym z nich. Człowiek o wybujałym ego i wielkiej władzy, głupi jak przysłowiowy but, który rujnował kariery wielu wspaniałym naukowcom. Co roku cały kraj miał okazję czytać o nagrodach Złotego Runa, naśmiewać się i szydzić z tych głupich uczonych, którzy zajmują się różnymi absurdalnymi eksperymentami. Owszem, zgadzam się, że niektóre eksperymenty są głupie. To fakt, że nauka często bywa przyziemna. Ale Proxmire zwykle tracił z oczu główny cel — mam na myśli błędne badania — i rujnował coś naprawdę cennego i ważnego.

Tak właśnie stało się z programem „Jennie”. Uznał, że marnujemy pieniądze podatników na to, żeby nauczyć gromadkę szympanсів kilkuset znaków języka migowego, ale zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo wyniki tych badań pomogą w wyjaśnieniu problemów ludzkiej lingwistyki czy ewolucji języka. Proxmire nie rozumiał, że te badania mogą się przyczynić do udoskonalenia nauki języka dzieci opóźnionych w rozwoju czy

upośledzonych w inny sposób. Nie doceniał ich odkrywczosci, tego, że po raz pierwszy zaczęło się mówić o świadomości u małp człekokształtnych i że pokazaliśmy, co naprawdę znaczy być człowiekiem. Nikt się nie zastanawiał nad tym, jakie znaczenie ma otwarcie przed ludzkością zupełnie nowej możliwości porozumiewania się z przedstawicielami innego gatunku! Nie, oni sprowadzili to do trywialnego: „No i co te szympany powiedziały za pół miliona?!” Rzeczywiście niewiele, jak się tak temu dobrze przyjrzeć. Ale przecież nie o to chodziło, na miłość boską! A ci naukowcy, którzy nas popierali, nabrali wody w usta. Nie chcieli się narazić Proxmire'owi. Paskudni tchórze, jeden w drugiego!

W każdym razie w 1974 roku sytuacja stała się bardzo trudna dla Hugona i Lei. Wiele razy zastanawialiśmy się z Hugonem, co to będzie, jak Jennie wkroczy w wiek dojrzenia. Ja się tego obawiałem znacznie bardziej niż sam Hugo. Próbowałem mu uświadomić, że żadna rodzina nie trzymała w domu oswojonego szympana dłużej niż do osiągnięcia przez niego dojrzałości płciowej. Tłumaczyłem mu, że Jennie to nie kot ani pies, tylko dzikie zwierzę. Hugo mi nie wierzył. Był naiwnym optymistą. Powiedział, że już wiele z Jennie przeżyli i że zniosą wszystko. Jennie jest na zawsze członkiem ich rodziny i nigdy jej nie opuszczą.

Zwróciłem mu uwagę, że szympany potrafią żyć czterdzieści, a nawet pięćdziesiąt lat i kto zajmie się Jennie, jak on i Lea będą już za starzy? Na to pytanie Hugo nie był przygotowany, ale w końcu powiedział, że z pewnością zajmie się nią Sandy. A nie pomyślałeś, co na to przyszła żona Sandy'ego? — spytałem. — Skąd wiesz, że zechce mieć szympana w domu? I czy Sandy się na to zgodził?

Hugo odparł, że jego problem niczym się nie różni od problemu, jakim jest posiadanie niedorozwiniętego umysłowo dziecka. Ale — zaproponowałem — jej przecież nie oddacie do zakładu. Dla Jennie nie ma żadnych instytucji socjalnych. Zapomogi, zasiłki, lecnicstwo — to wszystko nie dla niej. Jennie jest zwierzęciem — kładłem Hugonowi w głowę — zwierzęciem. Czy stać go na to, żeby jej zapewnić do końca życia utrzymanie i opiekę? Czy zdaje sobie sprawę, jakiego potrzeba kapitału, żeby osiągnąć roczny dochód

w wysokości stu tysięcy dolarów? A może zamierza oddać Jennie do zoo?

W takim krzyżowym ogniu pytań Hugo stawał się drażliwy, a nawet zły. Mówił, że jestem jak Kasandra, że we wszystkim widzę tylko złe strony. Uświadamianie mu, co go czeka, było dla mnie bardzo przykrym obowiązkiem, ale kto poza mną mógł się tego podjąć? Przynajmniej, myślałem, Hugo będzie na to wszystko w jakiś sposób przygotowany. W każdym razie taką miałem nadzieję.

Wreszcie stało się nieuchronne. Jennie osiągnęła dojrzałość płciową, a wraz z nią nadeszła ruja. Cała jej osobowość uległa zmianie. I to bardzo nagle. Zaistniała zupełnie nowa sytuacja. Zdaje pan sobie zapewne sprawę, jak wielkim przeżyciem jest to dla ludzkiego dziecka; dla Jennie, osobnika o zupełnie innej biologii, ta zmiana była jeszcze gwałtowniejsza. Samice szympansa są znacznie bardziej seksualnie pobudliwe od ludzkich osobników płci żeńskiej.

Codziennie w muzeum słyszałem od Hugona o jakiejś nowej katastrofie. Lea goniła resztkami sił. Nie było tygodnia bez jakiejś awantury, bez nowego kryzysu. Tymczasem Sandy, który do tej pory stanowił czynnik łagodzący w stosunku do Jennie, zaczął im się wymykać z rąk, angażując się w jakieś radykalne działania i zadając się z nieciekawymi ludźmi. Nie chciał słyszeć o studiach. Nie zamierzał poddać się testom na inteligencję. Lea i Hugo byli załamani. Lata sześćdziesiąte się skończyły i Nixon odszedł, ale na początku lat siedemdziesiątych ciągle jeszcze było w Stanach dużo radykalizmu. Ludzie zapomnieli, że tzw. lata sześćdziesiąte jako era polityczna faktycznie oznaczały dekadę od około 1964 do 1974 roku. Sandy dojrzywał pod koniec tej ery, ale buntował się równie gruntownie, jakby się urodził o pięć lat wcześniej.

Ale zaczynam zbaczać z tematu. Pamiętam, że pewnego dnia rano Hugo przyszedł do mojego gabinetu wykończony. Poprzedniej nocy nie zmrzążył oka. Powiedział, że Jennie odmówiła pójścia na noc do swojego pokoju. Zmuszenie jej do tego okazało się fizycznie niemożliwe. Pan rozumie: chociaż ważyła zaledwie trzydzieści parę kilo, była pięć razy silniejsza od dorosłego mężczyzny.

Próbowali wszystkiego. Usiłowali zwabić ją jedzeniem. Założyli jej smycz i myśleli, że ją wciągną. Przemawiali do niej w języku migowym, aż im ręce omdlały. Nauczyła się od kogoś ordynarnego gestu ze zginaniem ręki w łokciu, pan wie, co to znaczy, i bez przerwy demonstrowała go zamiast innych znaków. W ten sposób chciała zniechęcić do jakichkolwiek prób porozumienia się z nią. Oni do niej mówią: „Jennie, uspokój się!”, a ona w odpowiedzi zgina rękę. To było naprawdę coś obrzydliwego. Oni do niej: „Nie, brzydka Jennie”, a ona im przed samym nosem zgina rękę. Proszę sobie to wyobrazić. Kilka razy podczas wizyty u Archibaldów byłem świadkiem takiej sceny. Wracam do tamtej nocy. Dali w końcu za wygraną i próbowali położyć się spać, zostawiając ją nie zamkniętą. Jennie zaczęła szaleć po domu, łamiąc i tłukąc wszystko co na drodze i przewracając lodówkę. Całą noc spędzili na próbach ujarznienia jej.

Kiedy Hugo skończył tę opowieść, usiadł, ukrył twarz w dłoniach i najzwyczajniej się rozplakał... Byłem zaskoczony. Byłem... wstrząśnięty. Nie miałem pojęcia, jak daleko sprawy zaszyły. Wspomniał, że to się zdarzyło nie po raz pierwszy, i co on ma robić? Rozmawialiśmy bardzo długo i Hugo w końcu powiedział, że oto jesteśmy — dwaj światowi eksperci od zachowań szympanсів — i nie potrafimy sobie poradzić z jednym zwierzęciem. I roześmiał się z goryczą. Po raz pierwszy w życiu poczułem się całkowicie bezradny. Nie wiedziałem, co robić, jak mu pomóc. Ogarnął mnie lęk na myśl o tym, czym to się może skończyć.

W jakiś czas później, ale jeszcze w tym samym roku... aha, słyszał pan może o tym, że pomiędzy Sandym a Jennie wyniknęła sprzeczka... nie? No tak, pokłócili się. Wolałbym zresztą o tym nie mówić. Właściwie to nie bardzo nawet wiem, co się stało. Naprawdę nie wiem. Musi pan porozmawiać z Leą Archibald.

28 października 1973 r.

W niedzielę miałem bardzo dobre kazanie — niech mi Bóg wybaczy grzech pychy — na temat winy i cierpienia Judasza Iskarioty. Nie sądzę jednak, żeby wierni byli zadowoleni. Zadałem pytanie: Czy Judasz został wybrany do dokonania tego czynu? A ten czyn był w prorocztwie, prawda? Gdzie zatem jest wina Judasza? Pomieszałem im w głowach. Poczciwi mieszkańcy Kibbencook, jak to ludzie, chcą od swoich religijnych przywódców odpowiedzi, a nie pytań. Zresztą nieważne.

Jednym z najtrudniejszych pytań dla mnie jako chrześcijanina jest następujące: dlaczego istnieje cierpienie, skoro Bóg jest wielki i nieskończenie miłosierny? Czy to nie dziwne, że w miarę jak rośnie nasze cierpienie, pogłębia się też nasze zrozumienie tajemnicy i paradoksu życia? Może na tym właśnie polega oczyszczająca siła cierpienia, jak uczył Chrystus? Ja cierpię, a nie czuję się oczyszczony.

Jesień była zawsze moją ulubioną porą roku, a dziś zdarzył się jeden z tych bajecznie cudnych jesiennych dni z nieskalanym błękitem nieba i porywami wiatru niosącymi zapach palonych liści. To już ostatni rok, kiedy palenie liści na ulicach jest dozwolone. No cóż, starzeję się!

Dzisiaj wszystko mi przypomina Rebę. Ale nie mam na myśli jej obecności. Nie czuję jej obecności, choć zawsze myślałem, że będę czuł, gdyby umarła pierwsza. Zastanawiam się, gdzie ona jest. Boję się o nią i o siebie.

Dziś rano wsadziłem gdzieś buty. Po długich i denerwujących poszukiwaniach znalazłem je za komodą. Skąd się tam wzięły? Czy to już skleroza? Jak to możliwe, skoro wygłaszam teraz najlepsze kazania w moim życiu?

Brak mi Reby. Brak mi Jennie. Bóg zabrał mi wszystko, co kochałem. Dlaczego Jennie nie przychodzi?

2 listopada 1973 r.

Szczególnie dziwny wydaje mi się jesienią życia zupełnie irracjonalny i stale narastający lęk przed śmiercią. Nie przed towarzyszącym jej bólem, co jest zrozumiałe u każdego normalnego człowieka, ale strach przed samą istotą śmierci. Jak to możliwe? Nie kwestionuję przecież istnienia Boga ani mojego Zbawiciela Jezusa Chrystusa. Nie, w żadnym razie. Dlaczego zatem tak bardzo boję się śmierci? Może to atawistyczny impuls? Tak, z pewnością atawizm z czasów naszej mrocznej przeszłości jako małp.

Widziałem Jennie w samochodzie u nich na podjeździe. Kiedy odjeżdżali, wychyliła się przez okno, bębniąc w karoserię i śmiejąc się. Nie rozumiem, dlaczego już do mnie nie przychodzi. Chyba nawet dzwoniłem w tej sprawie do pani Archibald. Nie pamiętam, co mi powiedziała. Że Jennie jest zaziębiona? Czy że znów złamała nogę? Tak, chyba złamała nogę. Dlaczego ciągle jestem taki zmęczony?

5 listopada 1973 r.

Mignęła mi Jennie w oknie swego pokoju. Patrzyła na ostatnie liście dzikiej jabłonki, które wiatr porywał gdzieś w nieskończoność. Był w jej twarzy jakiś bezbrzeżny smutek, wyraz zagubienia. Przestałem ją widywać na dworze. Może jest za zimno? Opuściła ostatnią lekcję. Muszę zadzwonić do pani Archibald i spytać dlaczego.

15 stycznia 1974 r.

Tej nocy znów padał śnieg. Obudziłem się późno; przez nagie gałęzie brzozy przeświecało słońce. Słyszałem w kuchni głos Reby besztającej Jennie. Kiedy zszedłem na dół, nie było już ani Reby, ani Jennie. Poczułem się zawiedziony i zdezorientowany. W domu panowała cisza i drzwi były zamknięte. Jak to się mogło stać? Dzieją się tu jakieś dziwne rzeczy. Wrócił mi bronchit.

Próbowałem dzwonić do Archibaldów, ale nikt nie odpowiada.

W nocy śniło mi się Langemarck. Było popołudnie pod koniec kwietnia. Niemieckie działa nagle ucichły. Jaka urocza cisza... I ten śmiech. Z przyzwyczajenia mówili głośno. Czekaliśmy za starym Lycee przy ambulansach, paląc papierosy. Na wszystkim była rdza i ta paskudna zielona śniedź. Nawet na twarzach ludzi. Nagle zobaczyłem szczury biegające po opuszczonych ulicach. Tyle szczurów! A potem nadpłynęła ta zielonkawożółta chmura i ta straszna duszność... Jechaliśmy po wysuszonych drogach, załadowani, zostawiając całą resztę. Obudziłem się z dusznością i gwałtownym atakiem kaszlu.

17 stycznia 1974 r.

Obecność Reby wróciła, o tak. Dzięki Ci, Panie. Znow widziałem w oknie Jennie. Patrzyła na dzieci, jak ciągną sanki w stronę górki na polach golfowych. Miała w oczach taki smutek, jakby chciała iść z nimi. Ciekawe, dlaczego nie było dziś wśród dziewczynek jej i Sandy'ego. Ostatnio Jennie bardzo się opuściła w lekcjach. Ale zaraz... co ja takiego miałem robić...? Aha, miałem pisać to kazanie, ale nie mogę znaleźć moich notatników ani w ogóle nic. To ta piekielna sprzątaczką. Nic nie leży na swoim miejscu. W zeszłym tygodniu ktoś mi ukradł prawy but. Słyszałem, jak wchodzi przez okno, wykrzykując jakieś świństwa. Trzeba wreszcie zrobić z tym porządek. Co noc przychodzą i mnie duszą. Już wzywałem policję, ale nawet palcem w tej sprawie nie kiwnęli. Wszystko znow jest pokryte tym zielonym nalotem. Nawet monety w mojej kieszeni zrobiły się zielone. Chcesz zobaczyć? A to co takiego? Przepraszam, nie umiem pływać. Odpocznę w domu, dziękuję. Boję się wody. Nie wpuszczajcie dzieci do tej komórki, oni tam trzymają chlor. Pielęgniarka mówi mi, żebym przestał kaślać, że sobie poszarpię płuca. Gdzie ona jest? Nie chcę tych monet. Co to było?

Z wywiadu z Aleksandrem, Sandym, Archibaldem, styczeń 1993 roku, w jego „hoganie” w pobliżu Lukachukai w Arizonie.

Przyjechał pan z bardzo daleka, żeby ze mną porozmawiać. Jestem wzruszony. Naprawdę nie spodziewałem się, że pan przyjdzie. Magnetofon? Nie, nie przeszkadza mi. Skoro pokonał pan odległość trzech tysięcy dwustu kilometrów, żeby się czegoś ode mnie dowiedzieć, to równie dobrze może pan naszą rozmowę nagrać. Nie chciałbym, żeby to, co mówię, zostało w jakikolwiek sposób przekręcone.

Proszę bardzo, niech pan usiądzie na tym „szezlongu”, o tam. To znaczy na tej skrzynce. Zaraz rozpalę ogień i nastawię wodę na kawę. Czy mógłby pan z tej kupki na lewo od drzwi przynieść parę kawałków węgla?

Dzięki. Witam w moim hoganiu. Może to nie Ritz, ale przynajmniej nie zmarzniemy. Jest pan pierwszym białym, jakiego widzę od miesiąca, nie licząc takiego jednego handlarza z Lukachukai, ale to praktycznie Indianin, więc się nie liczy. Podziwiam, że w tym śniegu znalazł pan drogę. A, wypożyczalnia. Nie wiedziałem, że mają tam dżipy. Bardzo sprytnie.

Kawa już się chyba gotuje. Według przepisu Nawahów. Po prostu dosypuje się stopniowo mieloną kawę i gotuje. A wymienia się ją raz na tydzień, raz na dwa tygodnie. Oni tu są tacy biedni, że zjadają te fusy. Nazywają to smażoną kawą. Wysypują fusy na patelnię, mieszają z tłuszczem od bekonu, podsmażają i jedzą. Kiedy tego spróbowałem, to potem cały dzień chodziłem na kofeinowym haju.

Pam Prentiss? O Boże, co za... Aha, ma pan włączony magnetofon, muszę uważać na słowa. To była bardzo skomplikowana osoba, bardzo. I jak wiele skomplikowanych osób kompletnie zwariowana. Kochała dzieci i szympany, ale dla dorosłych nie miała serca. Lubiła mnie, jak byłem małym chłopakiem, ale jako nastolatek już jej nie interesowałem. Nie, było znacznie gorzej: ja ją zdradziłem. Przez sam fakt dorastania. Uważała, że w dorosłości jest coś nieuczciwego. Ona była mądra, owszem, ale nie taka mądra,

jak jej się wydawało. W gruncie rzeczy tam, gdzie chodziło o ludzi, była bardzo głupia. A o szympansach też niewiele wiedziała. Owszem, była światowym ekspertem w sprawach szympansiej lingwistyki, ale o uczuciach szympansów nie miała zielonego pojęcia. To naprawdę niesamowite, bo z Jennie łączył ją stosunek bardzo dobry i bliski.

Chciałbym na początek wyjaśnić pewne sprawy. Przede wszystkim, na czym polegały kłopoty Jennie. Miała ona swój system wartości, ale nie zdawała sobie sprawy, że są to wartości inne niż nasze. Nie rozumiała, dlaczego nieustannie wpada w tarapaty. To znaczy pod koniec. Dlaczego ciągle jest zła. Ja panu powiem dlaczego. Sprawa jest bardzo prosta: nasze społeczeństwo usiłowało ją za wszelką cenę złamać i zrobić z niej pocziwą drobnomieszczankę. Jak z nas wszystkich.

Jennie dysponowała władzą, jaką daje język. Wierzyła, że jest człowiekiem. To ją odróżniało od szympansów w zoo. I to była niewątpliwa zasługa Prentiss. Inne rzeczy może i spieprzyła, ale język Jennie dała ona. Ich wzajemny stosunek to nie była relacja matka—córka, nie miał też on charakteru siostrzanego czy przyjacielskiego. To był stosunek nauczyciel—uczeń. Bardzo głęboki; jak między zakonikiem a akolitą. Chcę przez to powiedzieć, że miał wymiar duchowy. Proszę się nad tym przez chwilę zastanowić. Język to władza. Prentiss była dla Jennie czymś w rodzaju duchowego przewodnika. Dała jej władzę i Jennie z tej władzy korzystała. Tak, korzystała z niej. Za pomocą języka burzyła i od nowa budowała swój świat. A właściwie tworzyła go na nowo. Dla mnie patrzenie, jak ten zwierzak opanowuje język, a następnie z jego pomocą przetwarza swój świat, było rewelacją.

Mój związek z Jennie miał zupełnie inny charakter. Były czasy, kiedy nie istniały między nami żadne granice. Przypominaliśmy braci syjamskich. Nie wiedzieliśmy, gdzie się kończy jedno, a zaczyna drugie. (Śmiech). Dlaczego? Nie mam pojęcia dlaczego. Jako dziecko byłem samotnikiem. Miałem w Jennie jedynego przyjaciela, który akceptował mnie bez żadnych zastrzeżeń. Jennie mnie nie osądzała, nie krytykowała, nie wciskała mi ciemnoty. Przyjmowała mnie takim, jaki byłem. A temu nikt się nie oprze.

Jennie wiele mnie nauczyła. Byłem mądrym dzieciakiem. Mówili o mnie nawet geniusz. Niech pan broń Boże nie myśli, że ja takie bzdury biorę poważnie. Jennie mnie właśnie nauczyła, jak bardzo są bezwartościowe. Być mądrym. Jennie może nie była mądra według ludzkich norm, ale miała przynajmniej swój własny system wartości. Prawdziwych wartości. O, na przykład dla niej najwyższą wartością była wolność. I tę wolność zawdzięczała językowi. Choć wtedy jeszcze nie zdawałem sobie z tego sprawy, to właśnie Jennie nauczyła mnie prawdziwego znaczenia słowa „wolność”, a nie jacyś tam pieprzeni politycy czy księża.

A oto, czego mnie Jennie nauczyła: ludzie boją się prawdziwej wolności. Życie dla nich to nic innego, jak niewolnictwo, które sobie sami fundują. O to niewolnictwo całe życie walczą. Szkoła, wyższa uczelnia, piękny dom na przedmieściu, praca od dziewiątej do piątej, awansy, emerytura. Ludzie dopiero wtedy są szczęśliwi, kiedy zrobią wszystko, żeby się pozbyć wolności. Gromadzą wszelkie dobra, ładują się w długi i obowiązki. Jest dokładnie tak, jak powiedział Dostojewski w „Braciach Karamazow”. Chrystus ofiarował ludziom wolność, a to ich tak przeraziło, że Go ukrzyżowali.

Jennie była inna. Ona walczyła o swoją wolność do ostatniej kropli krwi. Nie mam pojęcia, w którym punkcie ewolucji my, biali ludzie, popełniliśmy błąd czy może gdzie poszliśmy na kompromis, dlaczego wybraliśmy niewolnictwo. Kojot złapany w sidła potrafi odgryźć sobie łapę. W ubiegłym roku miałem tu tarantulę. Wielką, starą i kosmatą. Znalazłem ją jesienią, jak łąziła szukając partnera. One to często robią jesienią. Przyniosłem ją do domu i wsadziłem do dużego szklanego słoja. Karmiłem ją konikami polnymi, poilem i trzymałem w cieple, kiedy na zewnątrz było minus piętnaście stopni. Miała wszystko, czego dusza zapagnie. A mimo to dzień i noc, tydzień w tydzień, robiła wszystko, żeby się wydostać na wolność. Nieraz całą noc słyszałem cichutkie skrobanie o ścianki słoja, a kiedy się budziłem rano, pierwszą rzeczą, jaką widziałem, była niezmiennie próbująca wydostać się na wolność tarantula. Pomyślałem sobie: cholera, nawet pająk, którego mózg jest tak maleńki,

że trzeba by mikroskopu, żeby go w ogóle dostrzec, ma to wszechogarniające pragnienie wolności. No więc wracam do mojego pytania: w którym miejscu popełniliśmy błąd?

Jennie miała to samo wszechogarniające pragnienie wolności co tarantula. Nie mogła żyć w naszym społeczeństwie, ponieważ próbowaliśmy pozbawić ją tej wolności, dokładnie tak samo, jak pozbawiamy jej siebie. Chcieliśmy złamać Jennie i zrobić z niej ludzkiego niewolnika, takiego, jakimi sami jesteśmy. Życ wolnym albo umrzeć — taka była jej odpowiedź. Dosłownie.

Zaczynam bredzić. Ale niech pan i to nagra na taśmę. Panu pewnie zależy na jakichś ciekawostkach, tak? W rodzaju skąd ja się tu wziąłem. Dlaczego pan tak obsesyjnie próbuje się tego dowiedzieć?

Koniecznien chce pan poznać przyczyny, tak? Jak skończymy rozmawiać, zabiorę pana na przejażdżkę. Widział pan, wchodząc tutaj, te dwa konie w korralu? No więc wybierzemy się na przejażdżkę i pokażę panu niektóre widoki. Nie jest źle, jakieś piętnaście stopni, a przy wietrze jeszcze z pięć mniej. Pojedziemy do Los Gigantes.

Nie mogę panu powiedzieć, dlaczego tu jestem. I tak by pan nie zrozumiał. Mogę panu jedynie pokazać. Zaraz, dorzucę trochę węgla do ognia.

Wolność, o jakiej mówię, to wolność według koncepcji Nawahów. Tradycyjni Nawahowie z pogardą patrzą na tych, którzy gromadzą dobra. Uważają to za słabość, jak picie czy cudzołóstwo. Ale i za coś niebezpiecznego, co czyni z człowieka łatwy cel dla czarów.

Te góry za nami to Lukachukai Mountains, a ten niski płaskowyż to Black Mesa. Cały ten obszar jest święty. Nawahowie nigdy nie zostali wygnani ze swego raj. I na tym to właśnie polega. Surowy krajobraz, ale na swój sposób piękny. Musiałby pan tu pobyć przynajmniej z miesiąc, żeby wiedzieć, o czym mówię. Cała ta zgniła łupina naszego wieku w obliczu czegoś takiego opada i nagle widzimy świat takim, jaki on naprawdę jest.

Dorastanie z Jennie. Nie jestem w stanie nawet sobie wyobrazić, czym byłoby bez niej moje dzieciństwo. Pra tycznie nic nie

pamiętam z czasów poprzedzających jej przybycie do nas. To zupełnie jakby była... jakby była moim cieniem, który się w końcu pojawił, czyniąc mnie kompletnym. Przeżywaliśmy wspaniałe wspólne chwile. Chodziliśmy razem w takie miejsce... zwane mostem. Jennie mnie nie odstępowała. Czy moja matka mówiła panu o tym? Ha! Nie znosiła, jak tam chodziłem. Jej wyobraźnia wyczarowywała najpotworniejsze sceny, które się tam rzekomo działy.

Ten most to był most kolejowy na Sudbury River. Stara linia kolejowa Boston—Albany. Pod mostem, wzdłuż rzeki, biegła nie utwardzona droga. Piękne miejsce, z białymi od gliny brzegami i szczurami piżmowymi, które się tam pluskały. Przez filary sączyło się światło księżyca odbijając się w wodzie i tworząc dziwne cienie. I gwiazdy, miliony gwiazd widoczne między filarami mostu. Jesienią, kiedy nastały chłody, rozpaliliśmy wielkie ognisko i zasiadaliśmy dokoła niego gadając. Zamierzaliśmy zmienić świat. Knuliśmy najróżniejsze spiski — a to wysadzimy świat w powietrze, a to wzniciemy rewolucję... Kiedy byliśmy na haju, nasze plany stawały się jeszcze bardziej wyrafinowane. Ale nigdy nic z tego nie wychodziło. To wszystko bzdura. Świata nie można zmienić. Trzeba być cholernym szczęściarzem, żeby zmienić siebie samego, choćby o tycią odrobinę.

Aby coś zmienić, trzeba najpierw dokonać wewnętrznej rewolucji. Trzeba zacząć cholerną rewolucję od własnej mentalności. Trzeba być Hamletem, wyrotowcem na własnym dworze. Żeby więc w końcu odpowiedzieć na pańskie pytanie: po to tu jestem. Żeby dokonać wewnętrznej rewolucji. Żeby znaleźć wolność.

Tam pod mostem spotykała się cała grupa młodzieży. Uważaliśmy, że mamy nieograniczone możliwości. Ale jednocześnie — o dziwo — wszystkie te plany wydawały nam się daremne. Może to zabrzmiało jak paradoks. Bo zresztą to jest paradoks. Zażywaliśmy „strawberry fields” — rodzaj LSD w postaci różowych tabletek — i kładliśmy się na piasku. I patrzyliśmy pomiędzy filarami mostu w nocne niebo, które wrzało fioletem i czernią. I wtedy myślałem: pies to jebał, w każdej chwili mogą się pojawić smugi rakiet

wystrzelonych w Boston, i tyle. I koniec. Wzrastaliśmy z poczuciem, że w każdej chwili może być koniec świata. Myśmy tego oczekiwali. Ale jednocześnie zamierzaliśmy ten cholerny świat zreformować, zmienić całkowicie w anarchistyczną utopię. (Śmiech). Tyle o nastolatku specjalnie dla pana.

No więc zbieraliśmy się dokoła ogniska, śpiewając „Międzynarodówkę”, popijając tanie wino, paląc trawkę i wyobrażając sobie, że coś robimy. Jennie zwykle przychodziła ze mną. Nie odstępowała mnie na krok. Była jak młodsza siostra, piekielnie zazdrosna o wszystkie przywileje. Była członkiem-założycielem naszej rady rewolucyjnej. Podczas kiedy myśmy obradowali, ona popijała piwo Old Milwaukee. Dlaczego nie? To jej poprawiało samopoczucie; była na luzie, była szczęśliwa. Jak stary pocziwy ochlapus. Czasami wszyscy byliśmy pijani albo na haju i wtedy zataczaliśmy się i śmieli, a Jennie pokazując „Fuj! Fuj!”, tarzała się po ziemi i kłapała zębami. Kiedyś cała się obrzygała i musieliśmy ją myć w rzece. Rany, co to był za numer!

Jennie nie lubiła trawki. Nie brała do ręki skręta, mimo że wiedziała, jak ja paliłem. Nigdy nie dawaliśmy jej innych narkotyków. Moi przyjaciele chcieli jej dać LSD, ale ja się nie zgodziłem. Jennie oczywiście nie wiedziała, ani co to jest, ani jakie ma działanie.

Odbywaliśmy z nią po pijaku i na haju najróżniejsze rozmowy, w których zawsze pełniłem rolę tłumacza. W większości wypadków nie miała pojęcia, o co chodzi, ale bardzo lubiła, kiedy śmialiśmy się ze wszystkiego, co powiedziała. Żałuję, że nie spisałem przynajmniej części tych rozmów. Pytaliśmy ją na przykład, co myśli o Nixonie, Kissingerze i Ameryce. I inne bzdury w tym stylu. Uczyliśmy ją, żeby mówiła „Nixon kutafon”, „Pieprzyć AmeryK-K-K-K-ę!” z naciskiem na „K” w języku migowym. Jennie wyrażała swoje opinie na temat wojny jądrowej, Wietnamu i Huberta Humphreya. Zwykle sprowadzały się do jednego słowa: „Zły!” albo „Fuj!”. Brawo, Jennie!

Te spotkania pod mostem były dla mnie szkołą życia. Chociaż młodzi i naiwni, prowadziliśmy poważne dyskusje. To właśnie tam straciłem cnotę”. Bo przychodziły i dziewczyny.

Myślały, że my jesteśmy równe chłopaki. Była taka jedna dziewczyna, miała na imię Crystal. Ta już z niejednego pieca chleb jadła. Czasami, kiedy byliśmy na haju, turlaliśmy się z takiego trawiastego pagórka, a potem próbowaliśmy wstać, ale kręciło nam się w głowie. Kiedyś Crystal i ja turlaliśmy się z tego zbocza i ja wylądowałem na dole, a ona na mnie. Oboje byliśmy na haju i cały czas chichotaliśmy, a jej spódniczka mini tak jakoś podjechała do góry i... sam nie wiem, jak to się stało. Miałem wtedy piętnaście lat. Kiedy już było po wszystkim, patrzę — a tu Jennie siedzi i gapi się na nas. Miała taki wyraz... sam nie wiem, czy była to fascynacja, czy zgroza. W każdym razie cała była zjeżona. Crystal nie zwróciła na to uwagi — pewnie była przyzwyczajona do uprawiania seksu na oczach innych — ale ja się zdenerwowałem. Przeszły mnie ciarki, zupełnie jakby mnie matka złapała in flagranti.

No, w każdym razie w jakiś rok potem dorobiłem się już prawdziwej dziewczyny. Nazywała się Sammie. Samanta. Oboje mieliśmy wielkie zadęcia intelektualne. Ja zamierzałem zostać artystą; ona pisarką. Czytaliśmy sobie głośno Czechowa. I byliśmy praktycznie nierozłączni.

Jeździliśmy na taki opuszczony parking za szkołą powszechną i tam paliliśmy skręty, i kochaliśmy się. Naturalnie towarzystwo Jennie było nam nie w smak. Nie chciałem, żeby patrzyła na mnie tak jak wtedy. Jennie była z tego powodu nieszczęśliwa. Czuła się pominięta. Robiła piekło, kiedy odjeżdżałem z Sammie samochodem, albo mnie ignorowała całkowicie, jakbym w ogóle nie istniał. Była bardzo zazdrosna. Nienawidziła Sammie. Na sam jej widok cała się jeżyła.

Sammie usiłowała być dla niej miła i nawet nauczyła się kilku znaków w języku migowym, ale w odpowiedzi Jennie sygnalizowała niezmiennie: „Wynocha, zła, zła, fuj!” albo „Ugryźć, zła, ugryźć”. Sammie pytała wtedy: „Co ona mówi?”, a ja kłamałem: „Chce jabłko”. A kiedy Sammie przynosiła jej jabłko, Jennie cofała się robiąc miny. Mówiłem wtedy: „Jennie, bądź grzeczna”, ale ona niezmiennie odpowiadała: „Fuj!” Naturalnie wkrótce Sammie zorientowała się, że Jennie jej nienawidzi. Położyło się to cieniem

na naszym wzajemnym stosunku. Sammie czuła się urażona. W głębi serca wiedziałem, dlaczego Jennie jest dla niej taka ordynarna, ale złościło mnie jej zachowanie. A poza tym gnębiło mnie poczucie winy. Jakbym zdradzał ją z Sammie.

Cholernie komplikujemy sobie życie. To, co wydaje nam się wartościowe, w gruncie rzeczy nie ma żadnej wartości. A to, czego nie cenimy, jest bezcenne.

Rozdział 10

Z wywiadu z Leą Archibald.

1974. O Boże, nigdy nie zapomnę tego roku. Zapisał się w mojej pamięci jako potwornie trudny. I taki ciężki dla Hugona. Hugo był bardzo wrażliwym człowiekiem, jak Sandy. Byli do siebie bardzo podobni.

To właśnie w tym roku pewnego ranka znalazłam śpiącego w naszym żywopłocie wielebnego Pallisera. Biedaczysko miał już kompletną sklerozę. Przychodził do nas ostatnio, pukał do drzwi i chciał się bawić z Jennie. Jak mały chłopiec. Mylił ją z jakąś swoją młodszą siostrą, z którą się wychowywał. I bez przerwy rozmawiał ze swoją zmarłą żoną, zupełnie jakby koło niego stała. Nieustannie się przed nią usprawiedliwiał i przeproszał za Bóg wie jakie przewinienia, powtarzając w kółko: „Tak, kochanie, nie, kochanie, tak mi przykro, kochanie”. I w tym stylu. Aż ciarki człowieka przecho-dziły. Pętał się po okolicy, wchodząc do cudzych domów, aż poczciwi mieszkańcy Kibbencook mieli już tego dość i oddali go do domu starców.

Było to bardzo smutne, że taki przykry koniec spotkał tego przyzwoitego człowieka. Jego dom kupili jacyś straszni ludzie, którzy dobudowali do niego koszarne skrzydło, same chromy i szkło. Podobno wzięty architekt z Nowego Jorku. Coś przerażającego. Budowa była bardzo głośna, a poza tym wycięli przepiękną starą brzozę, która musiała mieć ze sto lat.

Dzisiaj ludzie się w ogóle nie zastanawiają nad tym, ile lat trzeba, żeby wyhodować drzewo.

Jennie śledziła ich poczynania z wielkim niepokojem. Wyglądała przez okno, na pół zjeżona, popiskując. Szczególne podniecenie okazała, kiedy wprowadzali się nowi ludzie. Przypuszczam, że gdybyśmy jej krótko wtedy nie trzymali, poszłaby tam i narobiła kłopotu.

Bardzo też tęskniła za Palliserem. Kiedy go zabrali do domu starców, stała się dziwna rzecz. Od czasu do czasu pytała: „Iść tam? Iść tam?”, pokazując jednocześnie na drugą stronę ulicy albo sygnalizując „Bóg” i „Jezus”. To były znaki, które wymyślił Palliser, próbując nawrócić Jennie na chrześcijaństwo. Boże! Kiedyś zaczęła pokazywać w kółko: „Iść tam? Jezus, Bóg” z bardzo smutną miną.

Pamiętam, że pewnego dnia próbowałam jej wytłumaczyć, co się stało. Powiedziałam: „Hendricks pójść”. Jennie nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Nachmurzona, obejmowała się ramionami. „Hendricks pójść” — powtórzyłam.

I wtedy wydarzyło się coś bardzo dziwnego. Jennie nagle wrzasnęła. Przeraziłam się. Z włosiem zjeżonym, jak nigdy dotychczas, zapytała: „Hendricks martwy?”

Byłam wstrząśnięta. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby Jennie posługiwała się słowem „martwy”. Fakt, że je rozumie, że pojmuje ideę śmierci, wydał mi się zdumiewający. Wprost niewiarygodny. Ale właściwie ten jej krzyk powiedział mi wszystko.

Zasygnalizowałam: „Nie, Hendricks odejść”.

Jennie pytała dalej: „Gdzie Hendricks? Gdzie? Gdzie?” Odpowiedziałam: „W mieście”. A wtedy Jennie: „Iść zobaczyć Hendricks. Iść! Iść!”

Przecież nie mogłam zaprowadzić do domu starców niesfornego szympansa! Powiedziałam: „Nie”.

Była bardzo zdenerwowana. Zrobiła piekło i musiałam ją zamknąć w pokoju. O Boże, jak sobie przypomnę te awantury, to mi się robi słabo. Codziennie co innego. Myślałam, że nie wytrzymam nerwowo. Pan nie ma dzieci, więc pan sobie tego nie wyobraża, ale tak było na okrągło po całych dniach.

Mimo to jednak Jennie nie przestała interesować się Palliserem. Kiedy jechaliśmy do miasta, sygnalizowała: „Hendricks! Iść Hendricks!”, a kiedy nie spełnialiśmy jej życzenia, wybuchała kolejna awantura. Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo była do niego przywiązana. Nigdy go nie zapomniała.

W tym okresie życia Jennie awanturowała się dosłownie o wszystko. Na przykład o to, że nie pozwalaliśmy jej odebrać telefonu czy usiąść na jakimś określonym krześle, obojętne zresztą o co. A kiedy już odebrała telefon, to potrafiła wrzeszczeć w słuchawkę, walić nią o stół czy deptać. Boże, jakie to było czasem krępujące. Zwłaszcza gdy dzwonił ktoś, kto nie wiedział, że mamy w domu szympansa. Ciekawe, co sobie myślał.

Musiałam traktować Jennie coraz bardziej restrykcyjnie. Praktycznie przestaliśmy ją wypuszczać na dwór bez smyczy, a poza tym musieliśmy wzmocnić jej pokój i coraz częściej ją zamykać. Było to dla mnie bardzo przykre, ale nie miałam innego wyjścia. Naprawdę nie miałam. Jennie nie słuchała dosłownie nikogo, poza Hugonem, a i to nie zawsze. A jego nie było po całych dniach. I co ja biedna miałam robić? Proszę, niech mi pan powie: co miałam robić? Sama w tym wielkim domu. Tylko z Sarą.

Z tym się zresztą wiąże jeszcze inna sprawa. Jennie kompletnie zatruła życie Sarze, która tak lubiła spokój, ciszę i porządek. Trzymały się oczywiście na dystans, ale te domowe warunki wykańczały Sarę. Mnie zresztą też.

Jennie waliła w zakratowane okna swojego pokoju, robiąc piekielny hałas. Demolowała wszystko. Paskudziła wszędzie, w okresie rui posikiwała nieustannie. Musiałam ciągle szorować jej pokój. Nie wiem, czy panu wspominałam o naszych kłopotach z utrzymaniem sprzątaczkę? Już od wielu lat machnęliśmy na to ręką.

Co miałam robić? Opieka nad Jennie zajmowała mi dosłownie cały dzień. Dla Sary praktycznie nie starczało mi czasu. Była wtedy dziesięcioletnią pełną inicjatywy i planów dziewczynką, a ja czułam, że cały ten okres jej życia tracę. Poza tym zaczęłam się obawiać o jej bezpieczeństwo. Jennie wyrosła na dużą, pobudliwą i gwałtowną młodą szympansię. Sara w dalszym ciągu była odważ-

nym małym smykiem, który sobie z nią nieźle radził, ale nie mogłam zapominać, jak potwornie silny jest szympans.

No a Sandy... Sandy'ego właściwie przestaliśmy widywać. Prowadzał się z dziewczyną imieniem Sammie. Och... ta Sammie... ta Sammie była... była ładna i... to wszystko, co można o niej powiedzieć. Filigranowa brunetka. Chyba nigdy się nie myła, a jej włosy przypominały wronie gniazdo. Taki styl. Sandy spędzał z nią cały czas, a biedna Jennie, jak to się mówi, została na lodzie. Za każdym razem kiedy przychodziła Sammie, Jennie była podniecona i zdeenerwowana. Przypominam sobie, że któregoś dnia Sandy przyprowadził Sammie i po ich wyjściu Jennie pobiegła do pokoju Sandy'ego i dosłownie rozszarpała jego materac. Pewnie coś tam się na nim działo... O Boże, czy to nie straszne, że ja pamiętam takie rzeczy? Najpierw porzuciła to, czym materac był wypchany, a potem jeszcze obsikała łóżko. Ze zgrozą to wszystko wspominam. Kiedy z panem rozmawiam, wracają te wszystkie koszmarnie przeżycia...

Wreszcie między mną a Hugonem doszło do rozmowy. Nigdy tego nie zapomnę. Oboje byliśmy bardzo spięci. Hugo ledwie mógł mówić. Zgodziliśmy się co do tego, że Jennie stała się niebezpieczna. Naprawdę tak było. Powiedziałam Hugonowi, że musimy znaleźć jakieś wyjście z tej sytuacji. Rozmawialiśmy i rozmawialiśmy bez końca, ale Hugo nie chciał spojrzeć prawdzie w oczy. Kochał tę szympansicę. Doprowadził wreszcie do tego, że oznajmiłam: albo ja, albo Jennie. Zagroziłam, że wezmę Sarę do samochodu i wywiozę ją gdzieś, gdzie będę mogła jej zapewnić normalne dzieciństwo. W gruncie rzeczy chodziło przecież o Sarę. Jennie albo Sara.

Do Hugona wreszcie dotarło, jak poważny jest problem. Tyle że dalej nie mieliśmy pojęcia, co z tym fantem zrobić. Przyjąć kogoś do Jennie? Kogo? Jennie była bardzo silna i bardzo samowolna. Nikt nie poradziłby sobie z nią lepiej od nas, a i my ledwie dawaliśmy sobie radę. Obojętne, kogo byśmy zaangażowali, z pewnością ten ktoś zostałby pogryziony. A tego nie mogliśmy ryzykować. Również nie mogliśmy zamykać Jennie w jej pokoju na cały dzień.

Dać ją do zoo? To było nie do pomyślenia. Widzieć, jak siedzi w klatce i ludzie się na nią gapią...?

Wreszcie Hugo obiecał mi, że porozmawia na ten temat z Haroldem i doktor Prentiss. I rzeczywiście pewnego popołudnia przyszli. Było to w 1974 roku. Chyba wiosną.

Jennie na widok doktor Prentiss dosłownie oszalała. Tak była szczęśliwa. Otwierała w uśmiechu swoje szerokie różowe usta i śmiała się, śmiała bez końca. Wzruszający widok. Wzruszyło mnie i to, że nawet doktor Prentiss uroniła parę łez. Nigdy bym jej o to nie posądzała. Była to bardzo dziwna młoda dama, ale nie pozbawiona uczuć. Całowały się i ścisnęły, i nie mogły się sobą nacieszyć. Potem zasiedliśmy w living-roomie przy kawie.

Doktor Prentiss z miejsca zaofiarowała się, że weźmie Jennie. Widziałam wyraźnie, że tego chce. Byłam tym wstrząśnięta, a nawet zła. Mało jej nie wyrzuciłam z domu. Potem jednak, gdy zaczęła wyjaśniać, o co chodzi, zabrzmiało to naprawdę przekonująco.

Powiedziała, że jest dyrektorem Ośrodka Rehabilitacji Szympanów na Florydzie. Mieścił się on na wyspie, gdzie wypuszczano szympansy na wolność. Wyspa była położona u wybrzeży zatoki w pobliżu Sarasoty. Tam chowane w warunkach laboratoryjnych szympansy przywracano ich naturalnemu środowisku, ucząc je samodzielnie zdobywać pożywienie, polować, budować gniazda.

Nie chodziło o to, żeby z tych szympansów uczynić na powrót dzikie samowystarczalne zwierzęta, tylko żeby im zapewnić szczęśliwe życie na wolności. Wiele z nich stało się, jak Jennie, zbyt trudnymi do chowania w warunkach laboratoryjnych czy domowych. Wniosły ogromny wkład do nauki i wiele dały z siebie ludzkości, powiedziała doktor Prentiss, zasłużyły więc sobie na przyzwoity los i naszą troskę. Niektóre z nich przeżyły w laboratoriach medycznych ciężkie lata i należało im się od ludzi zadośćuczynienie. To wszystko brzmiało bardzo wzniosłe i humanitarnie. Musimy się czuć odpowiedzialni za te zwierzęta, ciągnęła doktor Prentiss. Gdyby nie ośrodek, pozostałyby zamknięte w swoich klatkach albo by zginęły. Szympansy z kolonii Barnuma, dodała doktor

Prentiss, też tam przebywają — szczęśliwe i zdrowe. Na wyspie nie ma klatek ani żadnych ogrodzeń; teren sam w sobie stanowi naturalną klatkę o przyrodzie maksymalnie zbliżonej do ich naturalnego afrykańskiego otoczenia.

I tak dalej, i dalej. Doktor Prentiss usta się nie zamykały. Jennie zastrzyła sobie na to, żeby stać się wreszcie szympansem w całym tego słowa znaczeniu. Przez dłuższy czas była człowiekiem, ale to się nie powiodło. Nie rozumiała, czego ludzie od niej oczekują, nie ma po temu warunków biologicznych i dlatego jest nieszczęśliwa. Itd., itp. Żyjąc na wyspie może sobie znaleźć partnera, może założyć rodzinę, ku czemu ostatecznie natura ją stworzyła. Wszystko będzie wspaniale. W każdym razie brzmiało to bardzo wiarygodnie i przekonywująco.

Naprawdę nie wiedziałam, co powiedzieć. Hugo też milczał. Harold zgadzał się z doktor Prentiss i zachęcał nas, żebyśmy się zastanowili. Wie, że decyzja jest trudna, ale on sam sprawę przemyślał i uważa, że tak należy postąpić. Że owszem, przypomina to wyrzeczenie się dziecka. Musimy jednak sami sobie odpowiedzieć na pytanie, czy będzie nas na to stać? Czy będziemy potrafili interes Jennie postawić na pierwszym miejscu i pozwolić jej pójść za głosem biologicznego powołania? Czy się na to zdobędziemy?

No cóż, siedzę tutaj i z panem rozmawiam, a jednocześnie przez cały czas zastanawiam się: po jakiego diabła ja ich w ogóle słuchałam? Dlaczego chociaż przez chwilę wydało mi się, że oni wiedzą lepiej niż matka? Przeklęci uczeni. Niech ich wszystkich trafi szlag!

*Z wywiadu z Aleksandrem, Sandym,
Archibaldem.*

Wspaniały ten ogień, prawda? A tu, proszę, kawa dla pana. No co, zaczyna pan rozumieć, o co mi chodzi? Prostota. Żeby człowiek dobrze się czuł, nie musi mieć domu o powierzchni tysiąca metrów kwadratowych.

Proszę mi podać tę lampę, to sobie zrobimy trochę jaśniej. Fasola będzie gotowa za jakąś godzinę. Słyszysz pan, jaki się zrywa wiatr? Dziś w nocy będzie burza śnieżna. Nawahowie nazywają to *yasytosh*. Uczę się ich języka. Jest fonetycznie trudny, może nawet najtrudniejszy na świecie. Przynajmniej dla człowieka anglojęzycznego. Dużo trudniejszy na przykład od języka głuchoniemych, to pewne.

Zaraz, na czym to stanęliśmy? Aha, słyszysz pan ten wiatr w rurze piecyka? Te jęki? Jakby wydawał je umierający człowiek. Dziwne, bo mimo to ma się tu poczucie bezpieczeństwa, nie uważa pan? I o to właśnie chodzi. Że czuję się tu bezpieczny. Tam, skąd pan przyjechał, jest niebezpiecznie jak cholera. Nigdy, dopóki się tu nie znalazłem, nie miałem poczucia bezpieczeństwa.

No więc co jeszcze? Wyspa Pustelnika? Jasne, że ją pamiętam. Kiedy miałem jakieś piętnaście—szesnaście lat, ojciec kupił łódź i obozowaliśmy sobie na tej wyspie. Znajdowała się tam stara chata, z dużym kamiennym paleniskiem, w której spędzaliśmy noce. Jennie uwielbiała tę wyspę. Mogła tam sobie swobodnie biegać i robić, co jej się żywnie podobało. Przypuszczam, że było to jedyne miejsce, gdzie czuła się naprawdę wolna.

Któregoś roku spędziliśmy na wyspie ze cztery czy pięć dni, łowiąc ryby; jedliśmy je potem na kolację. Pewnej pogodnej nocy spaliliśmy pod gołym niebem. Naliczyliśmy wtedy ze trzydzieści spadających gwiazd jedną po drugiej. Patrzyliśmy, jak ukośnym lotem przekreślają niebo. Musiał to być początek sierpnia. Jennie nie od razu zdała sobie sprawę, co to jest. Ale wkrótce zaczęła liczyć razem z nami. „Hiii!” — powiedziała na widok takiej spadającej gwiazdy. Niektóre duże gwiazdy odbywały tylko pół drogi po niebie.

Woda fosforyzowała. Wieczorami pływaliśmy w zatoce i kiedy się poruszaliśmy, wokół nas na wodzie tańczyły iskierki. Było pięknie. Jennie nigdy z nami nie pływała. Bała się wody. Nienawidziła pływania. Dreptała po brzegu i posikując, i jęcząc sygnalizowała: „Chodź! Chodź przytulić Jennie! Ratunku! Brudne! Brudne!” Robiła wszystko, co tylko jej przyszło do głowy, żeby nas wyciągnąć z wody.

Była przekonana, że tam zginiemy. Tak bardzo nas kochała, że chwilami było to aż przerażające.

Kiedyś czyszcząc palenisko w chacie pustelnika, natrafiłem w głębi na luźny kamień. Pod nim znalazłem szkatułkę pełną różnych rzeczy. Przypuszczam, że był to cały dobytek tego człowieka, na który składało się trochę fotografii, list, srebrny dolar i... zaraz... aha, i mały turkusik. Pustelnik gdzieś zniknął i nikt nie wiedział, co się z nim stało.

Jak sobie o tym liście pomyślę, to mnie ciarki przechodzą. Czy był czytelny? Naturalnie, nawet bardzo. I wiele mówiący. To tylko fotografie wyblakły tak, że nic na nich nie było widać. Aha, czytał pan książkę mojego ojca! Z przykrością muszę powiedzieć, że ojciec napisał nieprawdę. List był całkowicie czytelny.

Tak. Zupełnie poważnie. Ten facet, John Tundish, napisał historię swojego życia. Co się stało, kiedy go wysłali na Pacyfik, i dlaczego został pustelnikiem. W formie pożegnania ze światem, tylko zaadresowanego do Boga.

Szkoda, że nie pamiętam lepiej treści tego listu. Tundish zastanawiał się w nim, dlaczego Bóg stworzył tyle ludzi. Zbyt wiele, jego zdaniem, ludzi okrutnych, bezmyślnych i podłych. Miał też do Boga pretensję o powołanie do życia pewnych konkretnych osób. Dlaczego stworzyłeś, Boże, Freddiego Hutchinsa? — zapytywał na przykład. — Ten obrzydliwy sukinsyn zrobił mi krzywdę, odebrał mi jedyną dziewczynę, jaką kiedykolwiek kochałem. A jeśli już musiałeś go stworzyć, to dlaczego akurat właśnie na Hooley Island? Dlaczego na przykład nie na Guam? Albo jeżeli już musiał być na Hooley Island, to dlaczego kazałeś mi poznać Tinę? Dlaczego nie zostawiłeś mnie w spokoju? Gdybyś nie kazał mi jej poznawać, to bym nigdy za nią nie tęsknił. A taki pułkownik Gault. Dlaczego stworzyłeś tego... takiego owego? A już jeśli musiałeś, to dlaczego stworzyłeś go takim podłym? A już jeśli musiałeś go stworzyć takim podłym, to dlaczego on nie jest szeregowym, a ja pułkownikiem? I jeszcze, Boże: dlaczego sprawiłeś, że moja mama uciekła z Billem Hastingsem, tym sukinsynem, który poza piciem nie robił w życiu dosłownie nic i tylko wygadywał „cholera” to i „cholera” tamto? A co ze mną, Boże, który nigdy w życiu nie

wzywałem Twego imienia nadaremno? Co ze mną? Dlaczego nie zrobiłeś dla mnie nic? Co z Ciebie za Bóg, skoro tak traktujesz tych, którzy Cię kochają? Tylko popatrz, co to za wstrętny pieprznik z tego świata! I kto go takim stworzył, jeśli nie Ty?

Chcę powiedzieć, że ten facet to był nieszczęsny prostak z Franklins Pond Harbor w Maine, który nic z tego świata nie rozumiał. Nie miał do niego klucza.

To wszystko było naprawdę niesamowite. I potem, na końcu listu, pisze, że wyjeżdża tutaj. I wyjechał. Myślał, że tu znajdzie odpowiedzi na swoje pytania. Chwilę nam zajęło, nim zrozumieliśmy, o czym on, do diabła, świadczy. Mój Boże, dopiero wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że to nie jest zwykły list, tylko pożegnanie samobójcy. Że Tundish napisał go i włożył pod kamień w palenisku, a potem po prostu rzucił się do morza.

Mój ojciec czytał głośno ten list, a kiedy skończył, głos mu się załamał i widziałem, że trzęsą mu się ręce. Bez przesady: trzęsły mu się ręce. Odłożył list z tak strasznym wyrazem twarzy, że... że zrobiło mi się zimno. Nigdy nie widziałem ojca tak przestraszonego. Zrobił się jakiś opryskliwy, wepchnął list do kieszeni i powiedział, że go odda w miejscowym towarzystwie historycznym. Przypuszczam, że go po prostu wyrzucił. W każdym razie nikt więcej słowem się na jego temat nie odezwał.

W swojej książce ojciec całą tę sprawę — jak zresztą wiele innych — sfalszował, pisząc, że list był nieczytelny. No cóż, to właśnie całą ojciec. Kiedy wydarzyło się coś nieprzyjemnego czy trudnego, po prostu chował głowę w piasek. Wsadzał nos w pracę albo zachowywał się tak, jakby tego w ogóle nie było.

Muszę panu powiedzieć, że niejedno w swojej książce pominął. Nawet bardzo dużo. I jeszcze coś panu powiem. W pana książce też wielu rzeczy nie będzie. Bo pan za przeproszeniem może mniej więcej tyle zrozumieć i napisać o Jennie, co ten facet z „Esquire'a”. Nawet gdybyśmy panu wszystko powiedzieli. Czego nie zrobimy. A to dlatego, że nikt nigdy nie mówi całej prawdy.

Cholera! Niech no pan posłucha tego wiatru!

Nie widziałam Jennie od chwili zakończenia programu latem 1973 aż do wiosny 1974 roku. Czyli prawie rok. Żyjąc w sztucznych warunkach, stała się bardzo trudna. Ponadto weszła w okres dojrzewania seksualnego. Nic dziwnego, że Archibaldowie chcieli się jej pozbyć. Zwrócili się więc do mnie, czybym nie wzięła Jennie do Ośrodka Rehabilitacji Szympanów na Tahachee Island. Była to założona przeze mnie placówka poświęcona rehabilitacji szympansów, które służyły jako obiekty doświadczeń laboratoryjnych, a zarazem kolonia nastawiona na rozmnażanie szympansów w Stanach Zjednoczonych. Niestety, żyjące dziko szympansy są bardzo poważnie zagrożone wyginięciem. Jeżeli w Afryce nic się pod tym względem nie zmieni, nie ma dla nich ratunku.

Co zaś do Archibaldów, to spodziewałam się takiego finału, a nawet go oczekiwałam. Nie znam rodziny, która by utrzymała w domu szympansa po osiągnięciu przez niego dojrzałości płciowej. Planowałam, że wezmę wtedy Jennie do kolonii Barnuma, gdzie korzystając z pełnej swobody poruszania się i zabawy, będzie mogła jednocześnie oswajać się z innymi szympansami.

Ośrodek Tahachee stanowił nieco gorszą opcję. Warunki nie były aż tak dobre jak w kolonii Barnuma, ale też bardzo przyzwoite. Pomyślałam, że będzie to dla Jennie odpowiednie miejsce. Znacznie lepsze niż chaos panujący w domu Archibaldów. Ośrodek Tahachee był hojnie subsydiowany przez Fundację MacBruce'a. Dzięki Bogu byliśmy niezależni od funduszy państwowych. Korzystaliśmy z bezpośredniego poparcia Simona MacBruce'a, człowieka niezależnego i nie przejmującego się bzdurami Proxmire'a. Miller był wściekły, jak się dowiedział, że dostałam grant od MacBruce'a!

Nawiasem mówiąc, ośrodek działa do dziś i mamy w nim obecnie czterdzieści dwa wspaniałe, szczęśliwe szympansy. Muszą być częściowo dokarmiane, ale poza tym doskonale się przystosowały do półdzikich warunków wyspy. Jest to bezsprzecznie wielki sukces.

Pamiętam, że po wyjściu Harolda i doktor Prentiss dyskutowaliśmy z Hugonem jeszcze przez jakiś czas. Pomyśl z wyspą przypomnieli nam, jak bardzo Jennie lubiła Wyspę Pustelnika i jak wspaniałe było to dla niej otoczenie. Omawialiśmy też sprawę dojrzenia. Mówiliśmy o tym, że w pewnym momencie rodzice powinni pozostawić dzieciom swobodę. Uważaliśmy, że problemy Jennie polegają na jej próbach uniezależnienia się. Tyle tylko, że Jennie nie była istotą ludzką i nie mogła „stać się niezależna”. Jennie to nie Sandy, który mógł się wyprowadzić, znaleźć pracę i mieszkanie. Jej bunt prowadził donikąd.

Wałowaliśmy ten temat, płakaliśmy i znów do niego wracaliśmy. Boże, Hugo był tak strasznie wytrącony z równowagi perspektywą oddania Jennie z domu, że już nie wiedziałam, co robić. Ja też to bardzo przeżywałam, ale nie aż tak. Zgoda na oddanie Jennie była chyba najtrudniejszą decyzją w naszym życiu. Rozmawialiśmy na ten temat z Sandym i Sarą. Sandy gwałtownie się sprzeciwił. Był na nas wściekły. I to jak! Walnął krzesłem w okno w living-roomie. Coś okropnego. Sara powiedziała, że cokolwiek postanowimy, ona się zgadza.

Nie od razu jednak przyjęliśmy propozycję doktor Prentiss. Hugo zbadał najpierw inne możliwości. W kraju było kilka ośrodków badań nad naczelnymi, ale okazało się, że we wszystkich trzymano szympansy w klatkach. Powstawał też w Afryce ośrodek rehabilitacji szympansów, ale głównie znajdowały się tam zwierzęta skonfiskowane kłusownikom i warunki były znacznie surowsze, a szympansy naprawdę dzikie i nie sądziliśmy, żeby Jennie dobrze się tam czuła. Ostatecznie nigdy w życiu nie widziała prawdziwego szympansa, nigdy.

Wreszcie zdecydowaliśmy się przyjąć propozycję doktor Prentiss. Pamiętam ten moment, kiedy Hugo do niej zatelefonował. Wybrał numer, ale jak nastąpiło połączenie, nie był w stanie wykrztusić słowa. Słyszałam w słuchawce ten cholerny głosik pytający, kto mówi, i widziałam, jak Hugo po prostu odkłada słuchawkę.

Nawet dziś te wspomnienia są bardzo bolesne. Jakże żałuję, że na tym nie poprzestał. Ale Hugo zadzwonił ponownie i powiedział, że tak, że przyjmujemy jej propozycję. Oczywiście chcielibyśmy zobaczyć wyspę i całe otoczenie i poznać pielęgniarzy. Nie nazywali ich „opiekunami” dla uniknięcia skojarzeń z zoo. No więc polecieliśmy tam... proszę mi wybaczyć, ale jestem trochę podenerwowana. O, proszę, już zaczynam płakać... No więc polecieliśmy tam i obejrzelśmy to miejsce. Przepraszam... bardzo przepraszam, widzi pan, już jestem stara, już się do niczego nie nadaję. To było siedemnaście lat temu, ale dla mnie jak gdyby wczoraj. Trudno mi nawet o tym mówić... (Nota wydawcy: w tym miejscu pani Archibald przeprosiła i podjęliśmy rozmowę następnego dnia).

Było tam pięknie. Wyspa miała powierzchnię mniej więcej półtora kilometra na trzy: piasek, eukaliptusy, sosny i palmy karłowate. Plaże piaszczyste, woda błękitna.

Sandy nie chciał z nami jechać. Zniknął na kilka dni. Przeniósł się do swojej dziewczyny. Jej matka była koszmarną alkoholiczką i zarówno Sammie, jak i jej siostra chodziły puszczane zupełnie samopas.

No, ale wracam do wyspy. Przebywało tam sześć szympansów: cztery z kolonii Barnuma i jeszcze jakieś dwa inne. Miały dla siebie całą wyspę. Od budynków ośrodka położonych na stałym lądzie dzieliło ją bagniste odgałęzienie rzeki. Była tam też przystań z motorówką. Budynki wyglądem przypominały rudery, ale wszystko robiło wrażenie wielkiego spokoju... Po palach łążyły pelikany. Było... ładnie.

Doktor Prentiss przedstawiła nas George'owi Gabrielowi, szefowi ośrodka. Czerstwy facet, pan wie, z tych co to broda, szorty koloru khaki i silna opalenizna. Kiedy się z nami witał, mało mi nie zmiażdżył ręki. Nie lubię mężczyzn, którzy tak mocno ściskają za rękę, brak im poczucia bezpieczeństwa. Szczerze mówiąc, nie spodobał mi się George Gabriel. Niestety, zamiast słuchać głosu

własnego serca, słuchałam tych wszystkich uczonych.

Najpierw Gabriel oprowadził nas po budynkach. Zaraz na początek doznałam szoku na widok szeregu klatek. Nikt nam nic nie mówił o klatkach.

Gabriel wyjaśnił, że to tylko do tymczasowego użytku. Kiedy dostają nowego szympansa, wsadzają go do klatki, żeby miał możliwość przyzwyczać się do nich i do nowego otoczenia. Nie chcą wprowadzać zwierzęcia na wyspę bez uprzedniego przygotowania. Inne szympansy muszą go najpierw poznać. I po to są właśnie klatki. A przynajmniej tak nam powiedział.

O szympanсах mówił, jakby to były rzeczy, w najlepszym razie zwierzęta! Pan rozumie, o co mi chodzi. Już samo to powinno być dla mnie wystarczającym ostrzeżeniem. Wtedy jednak te wszystkie argumenty brzmiały dla nas rozsądnie. A potem George zabrał nas motorówką na wyspę. Jak tylko szympansy usłyszały warkot silnika, natychmiast powyłaziły z gąszczu i zaczęły się pchać do furki. Wiedziały, że dostaną jeść. Czekwały na nas na przystani, robiąc straszny hałas — przytupując i pohukując. Zastanawiałam się, jak Jennie sobie poradzi wśród takich wielkich, agresywnych małp. Ale właśnie, jak na zawołanie, niektóre z nich zaczęły coś mówić w języku migowym do nas i do siebie nawzajem i to mnie pocieszyło. Ostatecznie nie były takie zupełnie dzikie.

W dalszym ciągu jednak z wielkim niepokojem myślałam o tym, że Jennie nigdy nie widziała innego szympansa. A to już, wie pan, naprawdę wina doktor Prentiss. To ona chciała, żeby jej eksperyment był „czysty”. Kiedyś nawet zaproponowałam, żeby zabrać Jennie do kolonii Barnuma, by zobaczyła inne szympansy i się z nimi pobawiła, no w każdym razie, żeby miała jakieś urozmaicenie. Wtedy ona powiedziała, że wykluczone, że to by „zaciemniło obraz” jej badań czy jakieś inne bzdury w tym sensie. George Gabriel nie miał wątpliwości, że Jennie się przystosuje. Powtarzał w kółko: „Proszę sobie wyobrazić siebie na jej miejscu. Gdyby tak państwo wychowywali się w dzikim otoczeniu, nie widząc ludzi, to przecież w końcu też byście się przystosowali, prawda?”

Skąd on to, do diabła, mógł wiedzieć? Dopiero później wpadła mi w ręce ta historia dzieciaka wychowanego wśród wilków gdzieś w górach Francji. W osiemnastym wieku. Wilk-człowiek z Aveyron czy coś w tym rodzaju. To fakt autentyczny, może pan sobie sprawdzić. Kiedy go wreszcie wyciągnęli z tych lasów, musieli go już do końca życia trzymać w domu wariatów. Nigdy się nie przystosował do środowiska ludzkiego. Skąd Gabriel mógł takie rzeczy wiedzieć? To wszystko był stek kłamstw.

Kiedy zeszedliśmy na ląd, szympany nas obstąpiły i zaczęły nam przeszukiwać kieszenie. Daliśmy im jakieś przysmaki, a Gabriel położył na ziemi stertę melonów i bananów, żebyśmy mogli spokojnie zwiedzić wyspę.

Wśród krzewów były wydeptane ścieżki — dokładnie widzieliśmy, gdzie szympany budowały sobie na drzewach gniazda! Było to bardzo interesujące dla mnie i dla Hugona. Ich ślady przypominały odciski małych ludzkich dłoni; było ich wszędzie pełno.

Wyspa miała od strony morza piękną plażę i widać było wyraźnie, gdzie się szympany bawiły w piasku, zupełnie jak dzieci. Nie budowały wprawdzie zamków, ale kopały nie wiadomo dlaczego głębokie doły. Z jakichś względów właśnie tam, na plaży, zaczęłam się zastanawiać, jak Jennie się tu przystosuje, czy inne szympany ją polubią, czy zajdzie w ciążę i urodzi na wyspie dzieci. Myślałam pewnie o sprawach, o których myślą wszystkie matki! Było to trochę przerażające, ale zarazem i ciekawe.

Gabriel powiedział nam, że jedynym celem ośrodka jest obserwowanie, czy szympany nadal używają języka migowego i czy uczą go swoich dzieci. Dodał też, że nie mają w programie żadnych badań naukowych. Aczkolwiek jeśli od czasu do czasu ktoś chciałby poobserwować szympany, to może. Żadnych eksperymentów ani nic w tym rodzaju. Tylko obserwacja. Szympany dały już z siebie ludzkości tak wiele...

Jednocześnie to wszystko... to wszystko wydawało się takie słuszne... Idealne rozwiązanie naszego problemu. Jakby Jennie wyjeżdżała do college'u.

Uwiodło nas z Hugonem to piękne otoczenie, błękit nieba, morze i okrągła gadka George'a Gabriela.

Sandy, jak już mówiłam, miał na to zupełnie inny pogląd. Po naszym powrocie powiedział, że Jennie nie zależy na błękitnie nieba ani na wyspie, tylko na ludziach. Że ją po prostu wysyłamy do więzienia. To, że chcemy, aby miała dzieci z szympansem i założyła szympanią rodzinę, uważał za straszne i wręcz niesmaczne. Zlekceważyliśmy to jako objaw hysterii nastolatka. Sandy jednak powtarzał w kółko: „Tak, ale wy jej nie znacie tak dobrze jak ja”.

*Ze „Wspomnień z pewnego życia”
Hugona Archibalda.*

W kwietniu 1974 roku wszystkie przygotowania mieliśmy za sobą i Jennie była gotowa do rozpoczęcia swego nowego życia na Florydzie. Doktor Prentiss zaproponowała, żebyśmy urządzili pożegnalne przyjęcie-niespodziankę z udziałem wszystkich przyjaciół Jennie, jej nauczycieli i rodziny. Oboje z Leą uznaliśmy to za dobry pomysł i zaplanowaliśmy uroczystość na niedzielę wielkanocną. Jennie miała lecieć na Florydę we środę po świętach.

Po wyjątkowo ciężkiej zimie zrobiło się ciepło i postanowiliśmy urządzić *barbecue* i szukanie jajka wielkanocnego na świeżym powietrzu. Za jedzeniem z różną Jennie nie przepadała, ale uwielbiała zabawę w poszukiwanie jajka wielkanocnego. Oprócz jajek, które lubiła jeść na surowo, postanowiliśmy pochować jej też ulubione owoce i warzywa. Miało to być poszukiwanie wielkanocnego jajka na jednego szympansa.

Kiedy nadszedł dzień uroczystości, zjawili się wszyscy: doktor Prentiss, Harold Epstein i liczni ochotnicy i asystenci, którzy pracowali z Jennie w trakcie programu. Lea wybrała się nawet do domu starców, żeby zorganizować wizytę wielkiego Pallisera z opiekunką. Przyjechały też nasze matki: Lei i moja. Z samego muzeum musiało być ze dwadzieścia do trzydziestu osób: kustosze, sekretarki i technicy, obecni i emerytowani, wszyscy ci, którzy

w ciągu tych lat okazywali Jennie przyjaźń. Wysłałem uroczyste zaproszenia do wszystkich pracowników muzeum, dawnych i obecnych, tak że zjawił się nawet nasz windziarz Will, stary stuknięty Szkot, który z wielką dumą przyjechał swoim nowym lincolnem continentalem.

Chcieliśmy, żeby przyjęcie było dla Jennie prawdziwą niespodzianką. Rano Harold i ja wzięliśmy ją na przejażdżkę dookoła Lake Kibbencook, a w tym czasie Lea i doktor Prentiss robiły przygotowania i przyjmowały gości.

Jeździliśmy promenadą wokół jeziora. Młode listki tworzyły na gałęziach delikatną zieloną mgiełkę, a rosnące wzdłuż brzegu narcyzy były w pełnym rozkwicie. Dzień trafił się ciepły, pogodny. Zatrzymaliśmy się w Lollipop Gardens, parku, gdzie powystrzygano drzewa w różne fantazyjne kształty. Jezioro było bardzo spokojne i zimne, a w jego taflি odbijały się drzewa i niebo — drugi świat, drżący, ciemniejszy i bardziej tajemniczy od naszego.

Kiedy szliśmy wzdłuż balustrady, podpłynęła do brzegu para łabędzi, zostawiając za sobą zmarszczki na wodzie, które zburzyły obraz tego odbitego świata, zamieniając go w chaos błękitu, zieleni i czerni. Jennie była podniecona widokiem łabędzi. Sygnalizowała do nich: „Ptak, bawić ptak”, pomrukując i popiskując z zainteresowaniem. Łabędzie jednak ignorując nas całkowicie, zniknęły nam wkrótce z oczu. Jennie, zawiedziona, powiedziała: „Fuj, zły ptak”.

Szliśmy dalej, trzymając Jennie za rękę. Była w radosnym nastroju i w pewnym momencie strząsnęła nasze dłonie, żeby się wdrapać na jedno z fantazyjnie wystrzyżonych drzew. Był to cis zrobiony na dwa ustawione jedno na drugim pudła i Jennie usadowiła się na samym szczycie, krzycząc z radości, kłapiąc zębami i potrząsając gałęziami, jakby obwieszczała swoją obecność całemu światu. „Jestem tutaj!” — zdawała się wołać. — „Istnieję!” Jej głos odbijał się echem po drugiej stronie jeziora i wracał do nas, odległy i smutny jak krzyk zagubionego zwierzęcia.

Z jakichś względów jej hałaśliwa radość podziałała na mnie przygnębiająco. Zdałem sobie sprawę, że najprawdopodobniej ostatni raz spaceruję z Jennie nad jeziorem i że Jennie ostatni raz

ma okazję zobaczyć wiosnę w Nowej Anglii. Harold też był wyraźnie przygaszony. Cały czas pocieszałem się, że Jennie będzie znacznie szczęśliwsza na Florydzie wśród przedstawicieli swojego gatunku, niż na zawsze uwięziona w świecie człowieka.

W pewnym momencie zwróciłem się do doktora Epsteina z pytaniem: „Jak sądzisz, Harold, czy na pewno robimy dobrze, wysyłając Jennie na Florydę?”

Harold tak był od początku pewien słuszności tej decyzji, że z nadzieją oczekiwałem od niego jakiegoś pocieszenia, ale Harold patrzył tylko w milczeniu na jezioro.

„Szczерze mówiąc, Hugo, naprawdę nie wiem” — odezwał się w końcu. Spojrzał w stronę błękitniejących za wodą Kibbencook Hills, jakby spodziewał się stamtąd jakiejś odpowiedzi. A potem dodał cicho: „Jedno wiem na pewno: że będzie mi brak tej szympanscy”.

W milczeniu wróciliśmy do domu.

Wszystko zostało z góry bardzo starannie zaplanowane. Goście mieli przyjść na dwunastą w południe, a my w pół godziny po nich.

Kiedy znaleźliśmy się na podjeździe, Jennie natychmiast okazała podniecenie na widok wielkiej liczby samochodów zaparkowanych po obu stronach ulicy aż do zakrętu. Dałem znać klaksonem, że jesteśmy. Zaprowadziliśmy z Haroldem Jennie od tyłu, gdzie ustawili się wszyscy goście, w liczbie sześćdziesięciu osób, żeby ją powitać. Kiedy wyłoniliśmy się zza zakrętu i zobaczyliśmy tych ludzi, Jennie stanęła jak wryta, gapiąc się na nich w osłupieniu. I wtedy wszyscy krzyknęli jednocześnie: „Wszystkiego najlepszego, Jennie!” i zaczęli klaskać.

Jennie była tak oszołomiona, że nie mogła się ruszyć. I nagle zobaczyła wielebnego Pallisera. Wydała okrzyk radości i rzuciła się w jego stronę. Starzec siedział na wózku inwalidzkim, a jego pielęgniarka robiła wrażenie lekko przestraszonej. Jennie wskoczyła mu na kolana ściskając go i całując, a stary szlochał roniąc łzy, które leciały strumieniami po jego pomarszczonych policzkach. Poznał ją w jakiś tam sposób i poklepując po głowie, powtarzał

w kółko: „Grzeczna dziewczynka, moja mała, grzeczna dziewczynka”.

Wszyscy otoczyli ich kręgiem. Jeszcze chyba nigdy nie widziałem Jennie tak szczęśliwej. Wszystkich poznała, a niektórych przecież nie widziała z rok czy dwa — i każdego przytulała i całowała.

W pewnym momencie Will wrzasnął: „Ty cholerny małpiszonie, jeszcze się ze mną nie przywitałaś!” i Jennie ruszyła po nową porcję uścisków. Wreszcie jej podniecenie osiągnęło szczyt i już tylko siedziała na ziemi po turecku i uśmiechała się od ucha do ucha, podczas gdy zebrani robili jej owację.

Doktor Prentiss pełniła rolę mistrza ceremonii. Poukrywane dookoła czekały na Jennie same smakołyki: jabłka, pomarańcze, winogrona, banany, jajka, papaje, gotowane słodkie ziemniaki, buraki cukrowe, ananasy i kawałki trzciny cukrowej.

Doktor Prentiss zapytała Jennie: „Jennie szukać jajko wielkanocne?”

Jennie zaczęła skakać i obracać się tak podniecona, że nie mogła wykonać żadnego znaku.

„Szukać jajko wielkanocne?” — powtórzyła doktor Prentiss.

„Szukać! Szukać!” — zasygnalizowała gorączkowo Jennie i rzuciła się do dzikiej jabłonki, a za nią wszyscy. Natychmiast znalazła banana i zaraz potem, w powykręcanych korzeniach drzewa, inne łakocie. Po każdym odkryciu wydawała krótki okrzyk albo pohukiwała, układając kolejne zdobycze w zagiętym ramieniu. Wkrótce miała ich tyle, że ledwie mogła iść. Tymczasem za każdym krokiem coś jej wypadło i wtedy Jennie zatrzymywała się, żeby to podnieść, przy czym gubiła jeszcze więcej, niż podniosła.

Widok był naprawdę komiczny. Kiedy już wreszcie nie mogła z tym wszystkim zrobić kroku, usiadła na ziemi, krzycząc w poczuciu bezsilności.

Doktor Prentiss delikatnie zasygnalizowała: „Pam potrzymać Jennie jedzenie. Jennie dać Pam jedzenie. Pam dać jedzenie Jennie później”.

Po długiej chwili bolesnej rozterki Jennie wreszcie upuściła na ziemię naręczne owoców i poszła podjąć swoje poszukiwania, od czasu do czasu zwalając na rosnącą stertę nowe znaleziska. Wszyscy mieli wspaniałą zabawę, chodząc za nią i udzielając jej różnych ułatwiających poszukiwania wskazówek.

Po skończonych poszukiwaniach usiadła i zaczęła jeść, pakując sobie po kolei do ust owoce i zalewając się sokiem, który ciekł jej obficie po brodzie. Kiedy jadła owoce w rodzaju pomarańczy, często wypływała przeżuty miąższ, czego na próżno staraliśmy się ją odczyścić. Wkrótce cały teren dokoła niej pokryły wyplute kawałki owoców, ale ostatecznie był to dzień Jennie i postanowiliśmy jej w niczym nie ograniczać.

Gdy piekło się *barbecue*, Jennie bawiła się z różnymi osobami w berka łaskotanego i wkrótce niemal wszyscy przyłączyli się do zabawy, więc przyniosłem kamerę i zacząłem filmować Jennie podczas zabawy jej życia.

Na zakończenie ustawiłem gości w szeregu i uwieczniłem na taśmie filmowej pożegnalne gesty i całusy, które Jennie rozdawała na prawo i lewo. Kiedy wychodzili, stała przy drzwiach, potrząsając im dłonie, całując ich albo ściskając. Ze zdziwieniem patrzyłem, jak wiele osób wzruszyło się do łez; Jennie wywarła wpływ na niejedno życie.

Harold, doktor Prentiss i ja dyskutowaliśmy jeszcze przez chwilę, jak najlepiej przewieźć Jennie na Florydę. Wyklucziliśmy samochód, ponieważ podróż musiałaby trwać dwadzieścia cztery godziny i byłaby wyczerpująca i dla nas, i dla Jennie. Samolot transportowy nie wchodził w grę — przepisy wymagały, żeby Jennie leciała w klatce w luku towarowym. Nie chcieliśmy, żeby przybyła do swego nowego domu zestresowana.

Postanowiliśmy wynająć lekki samolocik, sześciuosobowego Beechcrafta. Z przykrością też doszliśmy do wspólnego wniosku, że trzeba będzie podać Jennie na drogę środki odurzające. Niesforny szympan na pokładzie małej maszyny mógł stanowić poważne zagrożenie bezpieczeństwa. Lot został wyznaczony na środek.

Doktor Prentiss, Lea i ja mieliśmy towarzyszyć Jennie w podróży i na miejscu dopilnować, żeby wszystko odbyło się jak należy.

We środę wstaliśmy o piątej rano. Jennie, obudzona znacznie wcześniej niż zwykle, była grymaśna. Wzięliśmy jej ukochany koc, grubą kaszmirową narzutę, pogryzioną i poprzecieraną. Dostaliśmy ją w ślubnym prezencie od kolegi, z którym dzieliłem pokój podczas studiów. Zabraliśmy też worek z jej ubraniem i ulubionymi zabawkami.

Martwiliśmy się trochę, jak to będzie z tymi przygotowaniami, ale Jennie była zbyt śpiąca i zbyt niekomunikatywna, żeby zwracać na nie uwagę. Kiedy tylko wsiadła do samochodu, zawinęła się w koc i zasnęła.

Na lotnisko Nobleboro Field przybyliśmy w chwili, kiedy słońce zaczynało się przebijać przez przygruntowe mgły. Byliśmy jedynymi żywymi istotami. Płytę lotniska pokrywał szron, a niebo przypominało bezmiar nieskazitelnego ultrafioletu. Pilot przykładał do pasa startowego, a myśmy wrzucili worek z zabawkami do komory bagażowej, po czym sami wsiedliśmy do samolotu. Widząc to Jennie stała się czujna. Doktor Prentiss zasignalizowała: „Jennie lecieć?” i Jennie pohukując cicho, odpowiedziała: „Lecieć”.

Przypięliśmy ją pasem do siedzenia. Doktor Prentiss wyjęła strzykawkę i dała jej w prawe ramię zastrzyk z łagodnego środka uspokajającego sernalinu. Jennie zawsze bardzo dobrze znosiła zastrzyki i tym razem nie było wyjątku. Jak tylko zasnęła, pilot rozruszał silnik i wystartował. Unikając słońca, prowadził maszynę nad Kibbencook, nad naszym domem, nad polem golfowym i krętą rzeczką. Wieża kościoła episkopalnego rzucała długi cień na miejscowy rynek, a potem straciliśmy z oczu Kibbencook i lecieliśmy nad nieogarniętymi wzrokiem przedmieściami Bostonu, pełnymi pojazdów i ruchliwymi. Kibbencook robiło wrażenie tak spokojnego, że naszły mnie wątpliwości: czy Jennie jeszcze kiedykolwiek w życiu zobaczy to małe, niewiele znaczące miejsce na ziemi, swój świat...?

Doktor Prentiss i ja zmienialiśmy się przy Jennie, gotowi z nową porcją środka uspokajającego na wypadek, gdyby się obudziła. Lea siedziała z przodu. Obawialiśmy się, że Jennie przestraszy się

swego nowego otoczenia, ale przespała cały pięciogodzinny lot.

George Gabriel wyjechał po nas swoim dżipem na lotnisko i podczas jazdy do ośrodka Tahachee Jennie wreszcie się obudziła. Była oszołomiona i poirytowana i widząc, że podróżujemy, wydała krótki krzyk świadczący o podenerwowaniu. Lea pogłaskała ją po czole i już za chwilę Jennie się uspokoiła.

Wielokrotnie, z najdrobniejszymi detalami, przedyskutowaliśmy problem, jak Lea i ja w najlepszy sposób mamy pomóc Jennie w jej przejściu do nowego życia. Doktor Prentiss, doktor Gabriel i ja byliśmy zdania, że krótkie pożegnanie będzie lepsze od długiego rozstania, ale Lea miała co do tego obiekcje. Chciała zostać, aby się upewnić, że Jennie rzeczywiście zaczyna się adaptować do nowych warunków. Chciała też zobaczyć, jak zareaguje na widok innych szympansów. Postanowiliśmy zostać z nią jeszcze dwa dni, towarzyszyć jej w ośrodku, bawić się z nią i pozwolić jej korzystać ze swobody.

Jechaliśmy długą zniszczoną drogą. Skończyły się palmy karłowate i przez zardzewiałą bramę wjechaliśmy na teren ośrodka — wielki obszar porośnięty trawą i upstrzony budynkami. Podobnie jak ośrodek Barnuma, była to kiedyś czyjaś posiadłość, która nadal zachowała charakter parku. Główny pokryty stiukiem budynek w stylu hiszpańskiej hacjendy, został przeznaczony na biura i część mieszkalną. W długiej stodole mieściły się klatki dla szympansów, każda z wybiegiem na zewnątrz. Domy stróża i ogrodnika zostały zamienione na bungalowy dla odwiedzających ośrodek naukowców i właśnie w jednym z nich zainstalowano nas z Jennie.

Pierwszą i najtrudniejszą częścią procesu adaptacji Jennie w nowym środowisku miało być jej spotkanie z innymi szympansami. Planowaliśmy zapoznać ją na początek z małym szympansem Fredem pochodzącym z kolonii Barnuma. Fred był bardzo łagodnym samcem zajmującym w hierarchii szympansów najniższą pozycję. Jeśli Jennie oswoi się z Fredem, oswoi się i z innymi szympansami. Kiedy doktor Gabriel przekona się, że nie będzie konfliktów, wypuści ją na wyspę, żeby rozpoczęła nowe życie.

Nie można było uniknąć zamknięcia Jennie w klatce na czas naszego wyjazdu; wiedzieliśmy, że pożegnanie z nami będzie dla niej trudne. Jeszcze nigdy w życiu nie rozstawała się z całą rodziną naraz. Nie mieliśmy pojęcia, jak długo potrwa, zanim się uspokoi. W tym czasie Fred miał zajmować sąsiednią klatkę i spodziewaliśmy się, że wkrótce nawiążą przyjaźń.

Pierwszą noc spędziliśmy z Jennie w bungalowie. Była czujna, lekko podniecona i przestraszona. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie przeżywała i nie wiedziała, co o tym sądzić. W nocy była niespokojna i około północy przyszła do naszej sypialni i wśliznęła się pod kołdrę pomiędzy nas. Rano zjedliśmy z nią śniadanie w głównym budynku i spacerowaliśmy razem po terenie ośrodka. W południe miała się spotkać ze swoim pierwszym w życiu szympansem.

Na wypadek gdyby jej się Fred nie spodobał, siedział bezpiecznie zamknięty w klatce. Zaprowadziliśmy Jennie na tyły ośrodka, gdzie klatki miały wybiegi. Kiedy wyszliśmy zza zakrętu, trzymając ją za ręce, i zobaczyła Freda, stanęła jak wryta. Natychmiast zjeżyły jej się wszystkie włosy. Fred spojrzał na nią i nie okazując zbytniego zainteresowania, ssał dalej łupinę banana.

W przeciwieństwie do niego Jennie okazała zainteresowanie. Usłyszałem wydobywające się z głębi jej gardła warczenie, odgłos zupełnie u niej nie znany, przypominający złowrogi pomruk rozścieczonego kota. Jednocześnie zaczęła się powoli cofać, aż schowała się za Leę i przycupnęła na ziemi, kurczowo chwytając się jej nóg i starając się być jak najbardziej niewidoczna.

Usiedliśmy w odległości jakichś dziesięciu kroków od klatki. Jennie najwyraźniej przestraszyła się Freda i bez przerwy chowała się za nami, od czasu do czasu wychylając się nieśmiało, żeby rzucić w jego stronę ukradkowe spojrzenie. Próbowaliśmy ją drapać — zabieg zwykle niezawodnie uspokajający — ale tym razem otrząsnęła się z naszych pieszczot. Zlekceważyła też banana, którego usiłowaliśmy jej podsunąć, i tylko bez przerwy obserwowała Freda, powarkując ostrzegawczo.

Pokazałem na Freda i spytałem: „Co to jest?”

Dłuższą chwilę wpatrywała się w niego, po czym odparła: „Czarny robak, czarny robak”. Siedzieliśmy tam prawie trzy godziny, nie widząc żadnej zmiany w jej zachowaniu. Jennie przeżywała głęboki szok psychiczny.

Po spotkaniu z Fredem jej sposób bycia zmienił się zasadniczo. Gdziekolwiek szliśmy w obrębie ośrodka, była cicha i czujna. Kiedy próbowaliśmy się z nią bawić na trawniku, odpychała nas od siebie i siadała, jakby się bała, że nagle zza drzew wychynie Fred. Na pisk ptaka czy szum wiatru w liściach jeżyła się i wydawała ciche szczeknięcie „Wrrra”. Kompletnie straciła apetyt.

Doktor Gabriel pocieszył nas, że w reakcji Jennie nie ma niczego niezwykłego. Wyjaśnił, że szympansy są z reguły w stosunku do siebie podejrzliwe, nawet jeśli stale obcują z przedstawicielami swojego gatunku. Jego zdaniem trzeba po prostu okazać cierpliwość i niczego nie robić na siłę. Jennie sama wyznaczy rytm zawierania tej znajomości i kiedy będzie gotowa do nawiązania przyjaznego kontaktu, z pewnością to okaże. Jak wyjedziemy, umieści ją w klatce sąsiadującej z klatką Freda i da im tydzień czy nawet dwa tygodnie na przyzwyczajenie się do siebie.

Lea była bardzo niechętna pomysłowi umieszczenia Jennie w klatce, ale doktor Gabriel powiedział, że nie ma innego wyjścia. Klatki są ogromne, prawie jak małe domy, doskonale wewnątrz wyposażone i z wybiegami. Jennie dostanie tam wszystkie swoje zabawki i dużo dobrego jedzenia. Doktor Gabriel i inni członkowie personelu będą ją codziennie odwiedzali i się z nią bawili, a z Fredem może mieć w ten sposób stały kontakt bez żadnego zagrożenia. Spodziewał się, że proces adaptacji przebiegnie szybko i bez przykrych niespodzianek.

Naszej ostatniej nocy w bungalowie Jennie prawie nie spała. Siedziała przycupnięta w nogach łóżka, rozglądając się niespokojnie, ssąc palce i od czasu do czasu kiwając się w przód i w tył. Bez wątplenia czuła, że w jej życiu szykuje się wielka zmiana. Myśl o tym, że musimy ją opuścić, przygniatała nas nieznośnym ciężarem i prawdę mówiąc, wszyscy mieliśmy ciężką noc. Pamiętam, jak sobie powtarzałem, że Jennie to tylko zwierzę, że mamy dwójkę wspaniałych dzieci, ale po raz pierwszy w życiu mój rozum

pozostawał w niezgodzie z sercem. Nie byłem w stanie pogodzić się z myślą, że zostawiamy Jennie. Zastanawiałem się wtedy i zastanawiam się dzisiaj, jakie mogą być biologiczne podstawy takiego przywiązania. Ostatecznie Jennie nie była nawet przedstawicielką mojego gatunku. Lea zachowywała się spokojnie, ale wiedziałem, że przeżywa to równie głęboko jak ja.

Nazajutrz wstaliśmy o szóstej rano i poszliśmy z Jennie nad zatokę. Dzień był pochmurny i byliśmy świadkami, jak zamiast normalnego wschodu słońca z wody podnosi się szare światło. O siódmej znów przyprowadziliśmy Jennie do klatki Freda, ale jej reakcja była dokładnie taka sama jak przedtem: warczała, jeżyła się i chowała. Robiła wszystko, żeby nas odciągnąć od klatki Freda, szarpiąc nas za ręce, przytupując ze złością i próbując dumnie odejść. Za każdym razem jednak wracała z grymasem strachu na twarzy. Nieustannie pokazywała „Brudny, brudny” w oczywistej próbie skłonienia nas do tego, żebyśmy ją zaprowadzili do toalety, albo „Berka, Jennie bawić berek łaskotany” — żeby nas tylko odwieść od klatki. Kiedy te wszystkie zabiegi zawiodły, przycupnęła smutna za Leą, uczepiona jej spódnicy.

Na śniadanie zostaliśmy zaproszeni do doktora Gabriela. Jennie w dalszym ciągu odmawiała jedzenia. Doktor Gabriel zasugerował, żeby na początek rozdzielić szympansy pustą klatką, by niepotrzebnie nie denerwować Jennie zbytnią bliskością Freda. Podczas śniadania naradzaliśmy się też, w jaki sposób najlepiej wprowadzić Jennie do klatki przed naszym wyjazdem. Mieliśmy wracać popołudniowym samolotem do Bostonu i musieliśmy wyruszyć na lotnisko o wpół do dwunastej.

Kiedy nadszedł czas wprowadzenia Jennie do budynku, w którym znajdowały się klatki, odmówiła wejścia. Próbowaliśmy ją zwabić różnymi przysmakami, ale ignorowała wszelkie nasze wysiłki. Jeden z pracowników ośrodka, niejaki Finney, nałożył jej smycz i próbował ją wciągnąć, ale szybko się zorientował, że uwiłkła się w konflikt, w którym był z góry skazany na przegraną. Lea uznała wszystkie te próby za całkowicie bezproduktywne i

zapropnowała, żebyśmy weszli do budynku i zaczęli się przez pręty klatki bawić z Fredem. Reakcja Jennie była natychmiastowa: weszła za nami, cała zjeżona, i szczerknęła groźnie pod adresem Freda „Wrrra”. Doktor Gabriel pospiesznie zamknął drzwi.

Teraz z kolei stanęliśmy wobec problemu wprowadzenia Jennie do samej klatki. Było to ogromne pomieszczenie, z podłogą z metalowych prętów, dachem z siatki i z dużym wybiegiem zarówno na zewnątrz, jak i pod dachem, więc uznaliśmy, że nie powinno się Jennie kojarzyć z jakąkolwiek niewolą. Przynieśliśmy worek z jej zabawkami i wysypaliśmy je na podłogę klatki, a następnie oboje z Leą weszliśmy do środka i zaczęliśmy się nimi bawić, podczas kiedy doktor Gabriel i Finney czekali na zewnątrz. Wkrótce Jennie weszła za nami i zaczęła ciągnąć po klatce swój wóz strażacki. Widok znanych i lubianych zabawek uspokoił ją nieco. Bawiliśmy się tak przez kilka minut, dopóki nie zobaczyliśmy, że Jennie jest naprawdę zaabsorbowana.

Wtedy doktor Gabriel powiedział cicho: „Myślę, że teraz jest pora” — i wskazał na drzwi klatki.

Z udaną swobodą podsunęliśmy się do nich bliżej.

Doktor Gabriel polecił: „Proszę wyjść prędko, teraz”.

Oboje daliśmy susa i Finney błyskawicznie zamknął i zarygłował drzwi.

Wtedy po raz ostatni Lea i ja widzieliśmy Jennie. Był to koniec jej rozkosznej, fascynującej i niezwykle aktywnej obecności w naszym życiu.

Nigdy cię nie zapomnę, Jennie. (Nota wydawcy: to nagłe zakończenie zostało przedstawione dokładnie według tekstu doktora Archibalda. Jest to ostatnia wzmianka o Jennie w jego pamiętnikach).

Z wywiadu z Leą Archibald.

Pożegnanie z Jennie to było coś potwornego. Jeszcze dziś się wstydzę, kiedy sobie o tym pomyślę. Podstępem zwabiliśmy ją do klatki. Była taka ufna, taka... Nigdy sobie nie wybaczę tego, co

wtedy zrobiłam. Biedny Hugo. To mu złamało serce.

No więc weszliśmy do tej klatki i bawimy się zabawkami Jennie... To był mój pomysł. Powiedzieli, że będzie w klatce tylko kilka dni. Jak myśmy tam weszli, weszła za nami i Jennie. I bawiliśmy się. A przynajmniej próbowaliśmy się bawić. Ale w samym środku tego wszystkiego zobaczyłam, że ci... O mój Boże... (W tym momencie pani Archibald zaczęła płakać).

Kiedy Hugo bawił się jedną z tych zabawek, zobaczyłam łzę na jego policzku... nic wielkiego, jedna łza... Hugo nigdy nie płakał. Był pod tym względem bardzo staroświecki.

I w pewnej chwili Gabriel nam powiedział, żebyśmy wyszli. Więc szybko wstaliśmy i wymknęliśmy się. Zanim Jennie się zorientowała, o co chodzi. Zaraz potem Gabriel zatrzaskał drzwi klatki i je zaryglował.

I wtedy do Jennie dotarło. Dokładnie wiedziała, co się stało. Że ją zdradziliśmy. Dwoje ludzi, którym ufała najbardziej na świecie... O Boże... Czy musimy jeszcze raz przez ten koszmar przejść? Przepraszam bardzo. Nie, nie, już wszystko w porządku. Po prostu jestem stara i do niczego. Jennie zaczęła wrzeszczeć. To był straszny wrzask. A myśmy szli do wyjścia tej stodoły i nagle się zorientowałam, że nie ma ze mną Hugona. Rozejrzałam się... A on się zatrzymał i odwrócił. Jennie wyciągała ręce między prętami klatki. Próbowwała sięgnąć do niego, do nas... I Hugo wyciągnął do niej ręce i usłyszałam ten okropny odgłos, jakby... jakby się dławił... A on szlochał. I potem powiedział: „Och, Jennie, przepraszam cię, Jennie. Wybacz mi. O Boże, wybacz mi, Jennie. Przepraszam...”

Rozdział 11

Z wywiadu z doktor Pamelą Prentiss.

Po wyjeździe Archibaldów zostałam jeszcze jakiś czas w ośrodku. Jennie mnie znała i uważaliśmy, że ktoś z jej dawnego życia powinien jej pomóc w przejściu tej zmiany. Mimo bardzo intensywnych zajęć na Uniwersytecie Tuftsa i mimo udziału w kilku programach naukowych wygospodarowałam trochę czasu.

Jennie była inna niż wszystkie szympansy, jakie dotychczas tutaj przebywały. Mieliśmy z nią szalone kłopoty. Jej chaotyczne i błędne wychowanie sprawiło, że nie była dobrze przygotowana do swego nowego życia, które z natury rzeczy musiało być bardziej zdyscyplinowane. Wszyscy mówią teraz, że Jennie została zamknięta w klatce. To jest nieporozumienie. Klatka była ogromna. Zawierała wiwarium, huśtawki z opon, półki do wspinania, powalone pnie drzew, piaskownicę i nawet małą sadzawkę. Sufit znajdował się na wysokości dobrych siedmiu i pół metra. Była znacznie większa od pokoju Jennie w Kibbencook, który, nawiasem mówiąc, został przez panią Archibald obrócony w regularne więzienie. Przestrzeń, jaką Jennie miała do dyspozycji, odpowiadała powierzchni niewielkiego domu. Wewnątrz 40 metrów kwadratowych. I do tego jeszcze 20 metrów kwadratowych na zewnątrz. Te „klatki” były największymi pomieszczeniami dla naczelnych, jakie zostały zbudowane poza środowiskiem zoo. Więc przestańmy jęczeć, że „Jennie została zamknięta w klatce”, okay? Mam już dość wysłu-

chiwania tych bzdur. Ta klatka była większa od mojego bostońskiego mieszkania, w którym przeżyłam ponad dziesięć lat. Jennie miała tam wszystkie swoje zabawki, ulubione ubrania, smakołyki, niczego jej nie brakowało.

Cierpiała z powodu rozłąki. Wrzeszczała dzień i noc. W ten sposób u Archibaldów zawsze stawiała na swoim. Rozłąka z bliskimi wydaje się dla szympansa jeszcze trudniejsza niż dla człowieka. Z Archibaldami była przez całe swoje życie. Nigdy nawet na jeden dzień się z nimi nie rozstawała. Nic dziwnego, że była taka zestresowana!

Zdecydowaliśmy, że nie wypuścimy jej z klatki, dopóki się nie uspokoi. Nie chcieliśmy stwarzać sytuacji, w której ją „nagradzamy” za naganne zachowanie. Gdybyśmy ją potem na powrót zamknęli, krzyczałaby jeszcze bardziej. Zamiast tego postanowiliśmy po każdym uspokojeniu wypuszczać ją na jakiś czas. Ale nie codziennie, żeby nie popierać jej złego zachowania. Pan rozumie, co mam na myśli?

Ale Jennie nie uspokoiła się nawet po trzech dniach. Owszem, były chwile ciszy, ale kiedy tylko kogoś zobaczyła, zaczynała od nowa. Waląc przy tym w pręty klatki. Kiedy doktor Gabriel ją karmił, próbowała się na niego rzucić, a często ciskała w niego jedzeniem. Powzięła do tego człowieka wyraźną niechęć. Myślę, że kojarzył jej się z tą zmianą. Oczywiście niechęć Jennie nie miała żadnych racjonalnych podstaw. Może poza tym, że doktor Gabriel był wobec niej jakby niepewny. Bo Jennie często traktowała źle tych, którzy się jej bali.

Mnie nie okazywała wrogości, ale moja obecność jeszcze bardziej ją rozdrażniała. Jak gdyby właśnie mnie prosiła o pomoc i nie mogła jej uzyskać. Och! Słuchanie tego było prawdziwą męką. Ale musi pan zrozumieć, że dla dobra samej Jennie należało jak najszybciej doprowadzić do tego, żeby się przyzwyczaiła do innych szympansów. Proszę posłuchać: wypuszczanie jej z klatki za każdym razem kiedy podnosiła wrzask, z pewnością by jej na dobre nie wyszło. Nie mówiąc o tym, że już nigdy byśmy jej tam z powrotem nie zapędzili. A więc im prędzej by się przyzwyczaiła do

pozostałych szympansów, tym prędeż moglibyśmy ją przenieść na wyspę. Wszystko, co robiliśmy, było w pełni uzasadnione.

Ale Jennie nienawidziła tamtych szympansów. W pewnym momencie poczuliśmy się bezradni. Bo chociaż strach i agresja stanowią normalną reakcję tych zwierząt na nowych przedstawicieli własnego gatunku, to jeszcze nigdy nie byliśmy świadkami czegoś podobnego, objawów prawdziwej nienawiści. Sprawa by się w końcu unormowała, jeszcze tak nie było, żeby się szympans nie zaadaptował wśród swoich.

Autor tego artykułu krytykował mnie za to, że nie sprowadziłam Archibaldów. Pani Archibald nagadała mu masę różnych kłamstw. Ale to całkowite odcięcie się od dawnego życia było dla Jennie naprawdę bardzo ważne. Wszelki kontakt z Archibaldami byłby rujnujący dla całego przedsięwzięcia. Słyszał pan, co się działo. Mieliliśmy absolutną rację. To jasne, że kiedy Jennie by się już przystosowała do nowych warunków, wizyta Archibaldów byłaby jak najbardziej pożądana.

Nie mogliśmy jej tak po prostu wypuścić na wyspę. Kiedyś próbowała zabić jednego z szympansów. Aha, nie wiem, czy panu mówiłam, że kiedy Jennie odrzuciła Freda, spróbowaliśmy z Sallie, młodą, bardzo łagodną samicą. Wsadziliśmy ją do sąsiedniej klatki.

Przez jakiś czas Jennie dalej wrzeszczała, ale potem ucichła. W budynku było specjalne lustro i akurat tak się złożyło, że doktor Gabriel w nie patrzył, kiedy zdarzyła się ta straszna rzecz. Jennie uspokoiła się; stała przy prętach klatki dzielących ją od Sallie. Oczywiście Sally, przestraszona, trzymała się z daleka, w drugim końcu swojej klatki. Ale Jennie zachowywała się bardzo przyjaźnie. Wyciągała ręce między prętami i od czasu do czasu sygnalizowała: „Bawić, bawić”. Nawiasem mówiąc, Sallie nie znała języka migowego. Jennie udało się oszukać i doktora Gabriela, i Sallie. Doktor Gabriel, obserwujący w podnieceniu jej poczynania, był przekonany, że oto następuje oczekiwany przełom. Sallie zaczęła się powoli zbliżać, aż wreszcie znalazła się w zasięgu rąk Jennie. I wtedy nagle Jennie ją złapała i najzwyczajniej pod słońcem próbowała

zabić. Sallie zdołała się wyrwać, ale przypłaciła to wywichnięciem ramienia i głęboką raną dłoni od ugryzienia.

To było straszne, naprawdę straszne. I tak mieliśmy dzień w dzień.

Jennie tak się denerwowała, kiedy znajdowałam się w jej pobliżu, że o żadnym porozumieniu nie mogło być mowy. Była zbyt zajęta wrzaskiem. Chodziłam do niej kilka razy dziennie, cierpliwie próbując nawiązać rozmowę. Cały czas sygnalizowałam: „Jennie być grzeczna, proszę” i „Jennie być cicho” na przemian z „Jeśli Jennie bawić z Fredem, Jennie iść na spacer”. W jakiś możliwie prosty sposób usiłowałam jej też wyjaśnić, że nie jest człowiekiem, tylko szympansem, że Fred też jest szympansem i że chce się z nią zaprzyjaźnić. Nic z tego nie wyszło.

Wreszcie na trzeci dzień nastąpiła ze strony Jennie reakcja. Po moim półgodzinnym sygnalizowaniu wśród jej niezmiernych wrzasków zobaczyłam, że Jennie energicznie pokazuje: „Zła! Zła!”

Zapytałam szybko: „Kto zły?”

Jennie odpowiedziała: „Zła Pam, zła”.

„Dlaczego Pam zła?”

„Zła Pam, ugryźć, zła”.

Po czym wszystko zaczęło się od nowa.

Ileż we mnie było wtedy nadziei! Dialog to pierwszy krok do porozumienia. Starłam się ją zachęcić, sygnalizując cały czas: „Dlaczego Pam zła?” na przemian z: „Jeśli Jennie być spokojna, Jennie iść na spacer”. Na wszelkie możliwe sposoby starałam się ją zapewnić, że jeśli się tylko uspokoi, zostanie wypuszczona.

Nic nie pomagało. Było to ogromnie zniechęcające. Jennie zaczęła wszystko od nowa, doprowadzając się do stanu takiego szaleństwa, że nie mogła się skupić na tym, co próbowałam jej przekazać. Tak była rozwścieczona, że świat zewnętrzny przestał dla niej istnieć.

George i ja odbywaliśmy nie kończące się dyskusje. Wreszcie udało mi się go przekonać, że powinniśmy spróbować wypuścić

Jennie na kilka godzin. Tylko po to, żeby zobaczyć, co się będzie działo. To był chyba piąty czy może szósty dzień. Zaraz, sprawdzę w notatkach... Nie, to był siódmy dzień.

Weszłam więc do klatki Jennie i nałożyłam jej smycz. Nagle uspokoiła się. Znów odżyły we mnie nadzieje. Przez chwilę myślałam, że wszystko będzie dobrze, że nasze plany się powiodą. Wyszliśmy z budynku za rękę i Jennie natychmiast objęła prowadzenie. Ciągając mnie obchodziła cały teren. Po swoich dawnych śladach trafiła na przystań, a potem po kolei do każdego z budynków. Na koniec znalazłyśmy się w bungalowie, w którym zatrzymała się wtedy z Archibaldami. Pozwoliłam jej chodzić, gdzie chciała. Były to metodyczne poszukiwania. Nie chodziło jej o żadną zabawę czy o rozmowę; nie ulegało dla mnie wątpliwości, że Jennie szuka Archibaldów.

I wtedy stała się rzecz straszna. Kiedy weszliśmy do bungalowu i okazało się, że i tam ich nie ma, Jennie była strasznie zawiedziona. Zaglądała pod łóżko, do łazienki, do garderoby i za drzwi. Nie ulegało wątpliwości, że jest zawiedziona, ale zachowywała się spokojnie i cicho. Robiła wrażenie... załamanej.

Na to, co się stało zaraz potem, zupełnie nie byłam przygotowana.

Kiedy wyszliśmy z bungalowu, zobaczyliśmy idącego przez trawnik doktora Gabriela. Jennie dostrzegła go przez krzaki, wydała niskie, agresywne szczeknięcie i nagle rzuciła się w jego stronę. Wyrwała mi smycz z ręki i, cała zjeżona, pomknęła jak wicher. Przedzierając się przez krzewy, odłamała gałąź i wymachując nią groźnie szła prosto na doktora Gabriela.

Zawołałam do niego, żeby go uprzedzić, ale on już zdążył ją zauważyć. Doktor Gabriel dobrze znał szympansy. Wiedział, że Jennie zamierza go zaatakować, i odwrócił się, by stawić jej czoło. Od szympanсів się nie ucieka. Idąca wprost na niego Jennie w ostatniej chwili zboczyła z kursu i minęła go zadając mu bolesny cios gałęzią w nogi. Gałąź przecięła Gabrielowi w jednym miejscu skórę i narobiła paskudnych siniaków.

Jennie pobiegła do eukaliptusa i nie wypuszczając gałęzi z ręki,

wdrapała się na drzewo. Kiedy już znalazła się poza naszym zasięgiem, siedziała szczerkając na nas i wrzeszcząc.

Powiedziałam: „Jennie zejść!”, ale ona ani myślała mnie usłuchać; dalej się awanturowała. W pewnym momencie cisnęła we mnie gałęzią.

Zasygnalizowałam: „Zła Jennie, zejść zaraz!”

Wreszcie uspokoiła się na tyle, że mogła mi odpowiedzieć: „Fuj!” — a potem dodała: „Zła, zła, wściekła, fuj!”, prezentując cały repertuar ordynarnych słów i gestów, jakie tylko знаła. A był to imponujący zestaw, chyba najbardziej urozmaicony, na jaki się zdobyła w całym swoim życiu: „Zła, fuj, pierdołę, zła, wściekła, gryźć, brudny, brudny, pierdołę”. Proszę mi wybaczyć mój słownik. I do tego jeszcze Sandy nauczył ją gestu „tu się zgina”.

Nic dziwnego, że doktor Gabriel się zezłościł. Niczym ataku Jennie nie sprowokował. Ale kiedy stał teraz pod drzewem i na nią krzyczał, zwróciłam mu uwagę, że jego obecność zapewne nie zachęca Jennie do zejścia z drzewa. Doradziłam mu, żeby wrócił do swojego biura, co w końcu zrobił.

W pewnym momencie Jennie zaczęła powtarzać po mnie wszystko to, co do niej mówiłam. A więc: „Zła Jennie! Jennie zejść z drzewa!”, małpując mnie dosłownie w każdym geście. Byłam wściekła, dopóki nie zrozumiałam, że znawstwo, z jakim potrafiła zalać człowiekowi sadła za skórę, świadczy o tym, jak głęboko poznała ludzką psychikę!

Spędziliśmy dwa koszmarnie dni na próbach sprowadzenia Jennie na ziemię. Woląła cierpieć głód i pragnienie, niż zejść. Wreszcie — przyznaję to z wielkim wstydem — musieliśmy dać jej zastrzyk uspokajający. Zwabiliśmy ją jedzeniem na niższą gałąź i ułożyliśmy pod drzewem materace. Wtedy doktor Gabriel wystrzeżił do niej specjalną strzałę i Jennie spadła. Naturalnie nic jej się nie stało.

Jedyny wniosek, do jakiego mogliśmy dojść po tych przykrych doświadczeniach, brzmiał: dopóki Jennie nie będzie gotowa do tego, żeby ją wypuścić na wyspę, a więc innymi słowy, dopóki nie nauczy się współżyć z innymi szympanсами — musi pozostawać w klatce. W przestrzeni zamkniętej.

Kiedy Jennie obudziła się z uśpienia, była wściekła. Jeszcze bardziej niż kiedykolwiek dotychczas. Doprowadziła się do stanu

takiej furii, że godzinami dławiła się i pluła, niezdolna nawet do krzyku. Dostała biegunki i cała była we własnych odchodach, tak że musieliśmy ją myć za pomocą węża, którego końcówkę wkładaliśmy między pręty klatki. Było mi jej ogromnie żal.

Z wywiadu z Leą Archibald.

Największą pretensję mam o to, że nikt nas nie zawiadomił, co tam się dzieje! Doktor Prentiss ani razu do nas nie zatelefonowała, żeby powiedzieć, iż Jennie ma kłopoty z przystosowaniem ani nic w tym rodzaju. A myśmy przecież dzwonili! Niemal codziennie! I za każdym razem słyszeliśmy to samo: „Wszystko przebiega według oczekiwań. Owszem, są pewne problemy, ale nic takiego, z czym byśmy sobie nie mogli poradzić”. Tego typu rzeczy. Z reguły bardzo mgliste i wykrętne.

Ani słowa o tym, że krzyczała dzień i noc. Że po to, aby sprowadzić Jennie z drzewa, musieli ją uśpić. Nic podobnego. Wszystko cacy. Ci... szkoda ich nawet nazywać po imieniu... traktowali ją jak zwykłego przestępcę. Nie wiem, według jakiej naukowej teorii działali, trzymając ją w klatce, ale nie trzeba być absolwentem Harvardu, żeby przewidzieć, że to Jennie rozdrażni. A Prentiss cały czas nam tylko powtarzała, żebyśmy nie przyjeżdżali, bo to zaburzy proces adaptacji.

Kiedy Hugo i ja wróciliśmy z Florydy, Sandy'ego nie było w domu. Nie pojechał z nami i jak już panu mówiłam, był temu od początku przeciwny. On jeden pozostał lojalny. Ten chłopak ma naprawdę złote serce. Okazało się, że jest u swojej dziewczyny Sammie, która, nawiasem mówiąc, miała matkę alkoholizkę. Najwyraźniej tej matce zupełnie nie przeszkadzało, że szesnastoletnia Sammie sypia z chłopakiem pod jej dachem. Biedny Sandy, taki się czuł skrzywdzony, taki nieszczęśliwy!

Gdy wróciliśmy, dom wydawał się niesamowicie pusty! Była naturalnie Sara, kochana, poczciwa Sara, ale wszędzie panowała jakaś niesamowita cisza. A rano to już dosłownie było jak w

grobie. Żadnych wrzasków głodnego szympansa, żadnego walenia w drzwi. Koniec z piskami i pohukiwaniem radosnej Jennie. Nikt nie zebrał o jabłko ani o podrapanie. Kiedy zapaliliśmy w kominku, nie miał nam kto piec jabłek. Nie miał kto walić w klawiaturę pianina. Ta cisza była jakaś... jakaś nienaturalna. Jak czyjaś niepożądana obecność. Skarżyłam się Hugonowi, ale on miał swoje muzeum i swoją pracę, a ja musiałam znosić samotność w pustym domu. Zwalił mi się na barki nowy ciężar: Hugo, całkowicie zatopiony w swojej pracy, przestał istnieć dla świata. Był... był nie ten sam co dawniej.

Po tygodniu Sandy wrócił do domu, praktycznie jednak przestał się do nas odzywać. Nie mógł się biedak pozbierać. Miałam ochotę wziąć go w ramiona i przytulić, ale naturalnie z chłopakiem w jego wieku było to niemożliwe. Przez dłuższy czas w ogóle nie chciał mówić na ten temat. Wreszcie pewnej nocy zaczęliśmy rozmawiać.

Sandy powtarzał w kółko: „Dlaczego? Dlaczego musieliście to zrobić?”

Próbowałam mu wytłumaczyć, jak tylko mogłam najlepiej, że nie mieliśmy innego wyjścia. Opowiadałam, jaka piękna jest wyspa itd., ale on mi przerwał pytaniem, czy Jennie została wsadzona do klatki.

Musiałam przyznać, że tak. Wtedy jeszcze wierzyłam w te wszystkie bzdury doktor Prentiss i George'a Gabriela. Broniałam ich! Przed moim własnym synem!

Sandy'ego interesowało tylko, jak długo Jennie będzie w klatce.

Wyjaśniłam mu raz jeszcze, że zostanie wypuszczona na wyspę, jak tylko się przystosuje do towarzystwa innych szympanów i że doktor Prentiss przewiduje, że nastąpi to w ciągu dwóch tygodni.

„A co będzie, jeśli Jennie się nie przystosuje do innych szympanów?” — chciał wiedzieć Sandy.

Odparłam, że doktor Prentiss nas zapewniła, że w historii badań naukowych nad szympanami nigdy nic takiego się nie zdarzyło. Że szympany rozpoznają przedstawicieli swojego gatunku, nawet jeśli są wychowywane przez ludzi i widziały inne szympany jedynie we wczesnym dzieciństwie.

Sandy nie uwierzył w ani jedno słowo z tego, co mu powiedziałam. Oświadczył, że to, czy szympans widział w życiu, choćby i we wczesnym dzieciństwie, innego szympansa, czy nie, może mieć zasadnicze znaczenie. Kto w całej historii badań widział kiedy szympansa, który całkowicie i bez żadnych zastrzeżeń uważał się za człowieka? Który nigdy, ale to nigdy nie oglądał przedstawiciela swojego gatunku? Co doktor Prentiss ma do powiedzenia na ten temat? Tyle Sandy.

Na to nie miałam odpowiedzi. Tylko nadzieję. Nadzieja była wszystkim, co mi zostało. Jedyną moją odpowiedzią.

*Z wywiadu z Aleksandrem, Sandym,
Archibaldem.*

Jennie osiągnęła dojrzałość płciową z wielkim szumem. Jeżeli istnieje jakaś poważna różnica pomiędzy szympansem a człowiekiem, to jest nią popęd płciowy. Proszę mi wybaczyć, że to mówię, ale kiedy nadchodził okres rui, Jennie była najbardziej napaloną istotą, jaka kiedykolwiek chodziła po ulicach Kibbencook. W tym okresie cała okolica jej narządów płciowych obrzmiewała i stawała się różowa. I wtedy Jennie robiła się nieznośna. Ponieważ cały jej popęd płciowy skierowany był na mężczyzn. Wystarczyło, że do domu przyszedł jakiś mężczyzna — obojętne jaki — i Jennie zaraz na niego wskakiwała. Dosłownie. Rzuciła mu się w ramiona i — wiem, że to zabrzmiało niesmacznie — ocierała się o niego swoimi narządami płciowymi, jednocześnie całując go w usta. Może mi pan wierzyć, że jej intencje były zupełnie jednoznaczne. Doświadczyli tego listonosz, różni sprzedawcy, przypadkowi goście, koledzy ojca — każdemu się dostało od Jennie. Nawet tym, których wyraźnie nie lubiła. Z wyjątkiem mnie i ojca.

Ciekawe, w stosunku do nas w okresie pobudzenia płciowego stawała się wyraźnie wroga. Gorzej: nie chciała mieć z nami nic wspólnego. Kiedy któryś z nas spróbował ją wtedy przytulić czy choćby tylko dotknąć, darła się niesamowicie, jakby ją ktoś

molestował seksualnie. Robiła wszystko, żeby nas unikać. Jeżeli w ogóle można mówić o jakimś wyraźnym dowodzie na istnienie kazirodczego tabu uzasadnionego biologicznie, to była nim Jennie. Naprawdę, nie żartuję.

Niech pan posłucha. Pewnego dnia kupiłem Sammie dla żartu magazyn „Playgirl. Kręciła się koło nas Jennie, będąca akurat w okresie rui i bardzo rozdrażniona. Kiedy weszliśmy do living-roomu, wybiegła do jadalni i usiadła w kącie, pokazując do siebie „fuj”, naprawdę ciężko wkurzona. Zawsze jak miała „okres”, była w bardzo złym nastroju.

My w tym czasie, zaśmiewając się, oglądaliśmy pismo. A śmiech przyciągał Jennie jak magnes. Nie mogła mu się oprzeć. Wkrótce zobaczyliśmy, że stoi w drzwiach, dalej zła, ale jeszcze bardziej zaciekawiona.

W końcu weszła, udając, że nas nie widzi, ale cały czas krążąc za nami i próbując zobaczyć, co mamy takiego śmiesznego. Usłyszeliśmy charakterystyczne chrząknięcie, a potem wyciągnęła się kudłata ręka i wyrwała nam pismo. Jennie uciekła z nim w kąt i zaczęła oglądać. Kiedy do niej podszedłem, wstała, szczerknęła ostrzegawczo i cała się zjeżyła. W żadnym razie nie zamierzała oddać nam pisma.

Zaczęliśmy ją obserwować. Przewracając kartki natrafiła na zdjęcie nagiego mężczyzny. Gapiła się na nie przez chwilę, mało jej oczy nie wyszły z orbit, a potem wyciągnęła kosmaty palec i zaczęła nim głaskać, a potem pocierać członek tego mężczyzny. Robiła to tak długo, aż jej palec przeszedł na drugą stronę kartki. Wtedy zaczęła dalej przeglądać pismo, aż doszła do rozkładówki. Położyła pismo na podłodze, pozerając ilustrację głodnym wzrokiem i pocierając ją palcem, zanim — przepraszam bardzo, to może zabrzmieć ordynarnie — przykucnęła nad nią z rozmarzonym wyrazem twarzy pocierając penis mężczyzny swoją... pochwą. Wreszcie wyprostowała się, okrążyła pismo, ponownie nad nim przykucnęła i puściła na nie parę kropel moczu! Przez cały czas ignorowała naszą obecność, aż wreszcie wyszła, zostawiając leżące na podłodze nieapetyczne mokre pismo, a nas z poczuciem niesmaku.

Zachowanie Jennie postawiło matkę w sytuacji bez wyjścia. Wstydziła się za tę małpę, która atakowała w jej domu wszystkich

mężczyzn po kolei. Zwłaszcza że Jennie zaczęła się onanizować. A matka była wobec tych jej praktyk całkowicie bezsilna. Nieraz musiała patrzeć, jak Jennie siedzi na kanapie i się w ten sposób zabawia! Było to gorsze niż posiadanie psa wyżywającego się na nogach wszystkich gości. Dlatego za każdym razem kiedy nadchodził okres rui, matka zamykała Jennie w jej pokoju. A wtedy Jennie dała się bez przerwy. Boże, nasz dom przypominał oddział zamknięty szpitala dla wariatów. Ja sam byłem w tym okresie tak zajęty Sammie i tą kretyńską rewolucją, że nic mnie poza tym nie obchodziło i nawet palcem nie kiwnąłem, żeby pomóc rodzicom. Toteż dostałem to, na co sobie po stokroć zasłużyłem. Memento, które pozostało mi na całe życie. Uważałem, że Jennie mnie zdradziła, ale w rzeczywistości było dokładnie odwrotnie.

Jakie memento? Mam na myśli mój palec. O, to. (Nota wydawcy: w tym momencie Sandy wyciągnął rękę, której brakowało kawałka małego palca, a dokładniej: od drugiego stawu). Mój mały palec. Jeśli pan nie zauważył, to informuję: brak mi małego palca. A co, nikt panu jeszcze o tym nie powiedział? Jezu! Co z pana za dziennikarz! Pewnego dnia Jennie odgryzła mi ten palec. To przecież dlatego ją ostatecznie oddali, na litość boską. Chyba pan nie myśli, że została wtrącona do więzienia dlatego tylko, że było z nią trochę trudno. Moi rodzice kochali tego szympansa. Dla ojca pozbycie się Jennie było jak pozbycie się własnego dziecka. Naprawdę. Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że ojciec ma na jej punkcie kompletnego fioła. Ale matka cały czas bała się, że Jennie zrobi krzywdę Sarze. Bo Sara była odważnym małym smykem. To znaczy nie dawała sobie w kaszę dmuchać.

O, widzę, że pan się ożywił. Tak, bo to prawdziwa bomba dla dziennikarza. Tylko niech pan się nie stawia na jednym poziomie z tym kretynem z „Esquire'a”. Chciałbym, żeby pan tu trochę pobyl i ze mną porozmawiał, zanim pan wróci i zacznie wypisywać o tej całej sprawie jakieś kosmiczne bzdury, jak na przykład to, że pozbycie mnie palca przez moją szympansią siostrę przypłaciłem takim wstrząsem psychicznym, że stałem się pustelnikiem czy tym

podobne idiotyzmy. Mówię poważnie. Jestem tu z zupełnie innych względów, które chciałem panu wyjaśnić. To co mówię, może pan nazwać głosem wołającego na puszczy, a mnie samego zepsutym gnojkiem, synem bogatych ludzi z eleganckiego przedmieścia bawiącym się w Indian. Ale o jedno pana proszę: niech pan się nie wdaje w żaden freudowsko-jungowski bełkot na temat mojego palca. To był naprawdę drobiazg, a poza tym... wie pan co? Tak szczerze mówiąc, mały palec lewej ręki nie jest nam do niczego potrzebny.

Przede wszystkim to, że go straciłem, było moją winą. Wyłącznie. Ale wszyscy i tak mieli pretensję do Jennie.

Sammie i ja byliśmy w tym czasie bardzo blisko ze sobą związani. No cóż, pierwsza miłość. Jennie nie mogła się z tym pogodzić. Matka Sammie była typową hipochondryczką. To był numer ta kobieta. Ojciec nie żył już od dziesięciu lat. A ona po całych dniach leżała w łóżku na gorze i narzekała na ból głowy. Z butelką cutty sark. Naturalnie w celach leczniczych. Żeby uciec od matki, Sammie wyniosła się do sutereny. Wyszykowała sobie tam pokój i pomalowała podłogę na czerwono, a ściany na czarno. Wszędzie plakaty M. C. Eschera *. Wielkie łóżko z materacem wodnym. Czarne lampy. Na półce kolekcja szklanych fajek do palenia marihuany. Typowa młodzieżowa „chata” z lat sześćdziesiątych. Mogła służyć za eksponat w Smithsonian Institution.

Otóż pewnego dnia pojechaliśmy dokądś z Sammie samochodem. To musiało być gdzieś na początku 1974 roku. Jennie nie znosiła obecności Sammie, ale wtedy już nauczyła się ją tolerować. No więc jechaliśmy, jak zwykle z Jennie, która wywieszona przez okno straszyla motocyklistów i pokrzykiwała na przechodniów. Zawsze mieliśmy z tego świetną zabawę. Postanowiliśmy wpaść do Sammie. Jennie nigdy tam nie była, a z reguły w obcym domu zachowywała się bardzo nerwowo. Naprawdę, nie przesadzam. O ile pamiętam, Sammie chciała wpaść po swoją „działkę trawki” czy coś w tym rodzaju. Była biedaczka mocno uzależniona.

* Maurits Cornelis Escher (1898—1972) — artysta holenderski, znany głównie ze swoich litografii i drzeworytów przedstawiających iluzje, transformacje, zniekształcenia geometryczne i kapryśne, ale konsekwentne matematycznie sztuczki.

Weszliśmy, a tu matka Sammie jęczy i krzyczy na nią z góry. To jeszcze bardziej rozdrażniło Jennie; lubiła widzieć ludzi, z którymi miała do czynienia. A poza tym była szczególnie wrażliwa na ludzkie nastroje. No więc kiedy matka wrzeszczała, Sammie powiedziała pod nosem: „Pierdol się, stara k...”, ale wyszło jej to trochę za głośno. I wtedy matka zaczęła się drzeć: „Co takiego? Coś ty powiedziała, k... jedna? Chodź tu do mnie na górę i powtórz, coś powiedziała, ty kurwiszonie”.

Jennie nie rozumiała poszczególnych słów, ale wyczuwała intencje i nastrój tej wymiany zdań. Zjeżyła się cała, a na twarzy miała ten swój typowy uśmiech, jak zawsze wtedy, kiedy była przestraszona. Sammie zignorowała matkę i poszliśmy do suterenu. Problem polegał na tym, że Jennie, która interesowała się wszystkim, co się dokoła niej działo, nie zawsze to rozumiała. Wiedziała tylko jedno: że w powietrzu wisi jakaś wrogość. Ta atmosfera natychmiast jej się udzieliła. Czy rozumie pan cokolwiek z tego wszystkiego? Kiedy ludzie się w jej obecności kłócili, Jennie często stawiała się agresywna. Krzyczeć przy niej na kogoś było bardzo niebezpieczne.

Tam na dole w suterenie ciemność wnętrza, plakaty i czarne lampy pogłębiły jej rozdrażnienie. Powiniennem być coś zrobić, na przykład zamknąć ją w samochodzie. Widziałem, że jest wyjątkowo zdenerwowana.

Sammie schyliła się, żeby otworzyć szufladę, a ja położyłem jej rękę na plecach, no może na pupie, ale czułym gestem. I w tej chwili — Jezus, co się zaczęło dziać! To się stało tak nagle: usłyszałem charakterystyczne szczeknięcie, poczułem gwałtowny ruch, obróciłem się i... ten straszny ból w ręce. Nie pamiętam nawet, żeby mnie Jennie w ogóle dotknęła. Było tak ciemno, że niewiele widziałem, ale dostrzegłem lepką czerń na dłoni. Atramentową czerń w czarnym świetle. Sammie zaczęła krzyczeć, a ja poszedłem na górę, żeby sobie pod kranem obmyć rękę. Woda od razu zrobiła się czerwona. Wyjąłem rękę spod kranu i wtedy zobaczyłem... to znaczy zrobiło mi się słabo, bo... bo zobaczyłem, co się stało. Że nie mam małego palca. Koniec z moją karierą pierwszego basisty w zespole Boston Pops. (Śmiech).

Sam pan widzi, że to moja wina. W ogóle nie powinienem był zabierać Jennie ze sobą. Nie powinienem pozwolić jej wejść do domu, nie powinienem prowadzić do sutereny. Wiedziałem, że jest zdenerwowana. Wiedziałem, że nie lubi Sammie. Wiedziałem, że nie znosi, a nawet robi się agresywna, kiedy ludzie się przy niej dotykają. Była to z mojej strony oczywiście głupota.

Co? Dlaczego nie rzuciła się na Sammie? Nie wiem. Może dlatego, że Sammie miała w sobie coś, co ją onieśmielało. Nie mam pojęcia. A może po prostu w tych ciemnościach źle wycelowała? Jestem przekonany, że nie chciała skrzywdzić ani mnie, ani nikogo. Ona po prostu nie zdawała sobie sprawy ze swojej siły.

W tym momencie zrobiło mi się niedobrze i zwymiotowałem. Sammie była w takich sytuacjach nieoceniona. Jej matka na górze cały czas klęła i darła się, żebyśmy jej nie zniszczyli dywanu. A przynajmniej tyle pamiętam. „Co się stało? Czy on krwawi? Tylko nie na dywan! Niech ten chłopak się stąd wynosi!” Ona nawet nie wiedziała, że w domu jest małpa. Sammie jeszcze raz jej powiedziała, żeby się odpieprzyła, wsadziła mnie do samochodu i zawiozła do szpitala.

A najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że zupełnie zapomnieliśmy o Jennie — zostawiliśmy ją zamkniętą w domu z tą zwariowaną matką. Czułem się idiotycznie i na dobrą sprawę nie bardzo wiedziałem, co się dzieje. Prawdopodobnie był to szok. Sammie, przerażona, ledwie mogła prowadzić samochód.

No więc podjechaliśmy do szpitala Newton-Wellesley. Doktor chciał oczywiście wiedzieć, co się stało. Nalegał, żebyśmy poszli po ten palec. Chciał kogoś wysłać. Próbowaliśmy mu wytłumaczyć, że mój palec najprawdopodobniej znajduje się w brzuchu szympansa, ale pewnie pomyślał, że jesteśmy stuknięci. I wtedy nagle zapytałem: „Gdzie jest, do diabła, Jennie?”

Sammie zrobiła się biała jak ściana, powiedziała, że Jennie została w domu z jej matką, zerwała się i wybiegła. Doktor zawołał za nią jeszcze: „Proszę poszukać palca!”, ale ona poszła i zadzwoniła na policję. Było naprawdę śmiesznie, może mi pan wierzyć.

Całe to zamieszanie wyciągnęło wreszcie starą pijaną wiedźmę z łóżka. Zataczając się zląła z góry, niewątpliwie zobaczyła krew na dywanie, usłyszała jakieś hałasy i zeszła do sutereny. Jennie musiała się ukryć pod kołdrą w łóżku Sammie, gdzie popiskiwała cicho. Stara myśląc, że ktoś tam jest, zaczęła się wydierać, a nie uzyskując żadnej odpowiedzi, ściągnęła kołdrę... Biedna pijaczka wrzasnęła i zemdląła.

Policja zastała Jennie siedzącą na łóżku i płaczącą. Oucili matkę, która dla odmiany dostała hysterii. Odmówiła opuszczenia domu, więc policjanci zaczęli szukać mojego palca, ale bezskutecznie. Wychodząc zabrali ze sobą Jennie, którą następnie odwieźli do moich rodziców. Kiedy tam jednak dotarli, rodzice byli już w drodze do szpitala, usiedli więc i postanowili na nich zaczekać. Jennie czuła się strasznie. Była zawstydzona i bardzo smutna. Zaraz po powrocie rodziców z własnej inicjatywy poszła do łazienki, gdzie się zamknęła. Żeby się ukarać. Nie wyszła stamtąd przez cały dzień. Nic też nie jadła.

Szczerze mówiąc, niewiele z tego wszystkiego pamiętam. Dali mi jakieś zastrzyki, po których miałem takie uczucie, jakbym się unosił pół metra nad łóżkiem.

Załatwili mnie zupełnie przyzwoicie. Po pół roku przestało mi brakować tego palca, tylko od czasu do czasu śwędzi mnie on na samym czubku, tyle że nie mogę się podrapać. Cholera, co za głupie uczucie!

Oto pokrótce cała historia. Rodzice oczywiście zwalili winę na Jennie i postanowili się jej pozbyć. Koniec, kropka.

Bardzo szybko zapomniałem o tym palcu. Ani przez chwilę nie miałem żalu do Jennie. Była to moja wina. Ale matka dostała świra. Bez przerwy zamykała Jennie w jej pokoju, w którym kazała okratować drzwi i okna. Zupełnie jak w więzieniu. I tak też traktowała to Jennie, która za każdym razem, kiedy się tam znalazła, robiła piekło, waląc w drzwi i wrzeszcząc. Między mną a matką wybuchły o to awantury, a kłóciliśmy się praktycznie non stop. Sara, jak zwykle, trzymała się od tego z daleka i tylko paradowała po domu z zadartym nosem. Sara była w zasadzie dobrym dzieckiem,

ale rzeczywiście na punkcie Jennie miała uraz. Ojciec odstawił swój zwykły numer, czyli po prostu znikł. Próbował pan może rozmawiać z Sarą? Wiedziałem, że tak będzie, że Sara nie zechce z panem rozmawiać. Może pan o tym zapomnieć; jest uparta jak muł. Kiedy powie nie, nie ma na nią siły.

I wtedy pojawiła się ta Prentiss z propozycją zabrania Jennie na Florydę. Prentiss do spółki z tym starym egocentrykiem Epsteinem, któremu wydawało się, że wszystko wie najlepiej. Matka i ojciec uczepili się ich pomysłu. Byłem zdziwiony, bo matka nie lubiła Prentiss. Rodzice udawali, że z nami na ten temat rozmawiają, żebyśmy mieli złudzenie, że to jest wspólna decyzja, ale widać było wyraźnie, że już ją dawno podjęli. Byłem przeciwny wysłaniu Jennie na Florydę od samego początku. Wiedziałem, czym to się skończy. Próbowaliśmy ich przekonać, ale jako szesnastolatek niewiele miałem do powiedzenia.

Urządzili dla Jennie przyjęcie pożegnalne. Było to chyba najbardziej okrutne ze wszystkiego. Jakby zaserwowali skazańcowi ostatni posiłek: stek i langustę. Jennie nie miała zielonego pojęcia, że za trzy dni idzie do więzienia. Co za fałsz. Początkowo nie zamierzałem w tym uczestniczyć, ale pod koniec zmieniłem zdanie i jednak się pojawiłem. Pewnie trochę za dużo wypłem. Wszyscy stali ustawieni do zdjęcia, a ja wpadłem między nich, wygadując różne straszne rzeczy. Spytałem, jak mogą stać tu i uśmiechać się, i zabawiać, skoro zamierzają wysłać Jennie do obozu koncentracyjnego. Nazwałem ich hipokrytami, skurwysynami i co tylko mi ślina na język przyniosła. I wie pan co? Nikt się nie odezwał ani słowem. Nikt się nie próbował bronić. Bo wiedzieli, że mam rację. W głębi serca byli o tym przekonani. Stali tam z bardzo głupimi minami, a potem cichcem się wynieśli.

I tak to wyglądało. Można się było wyrzygać. Prentiss nalegała, żebyśmy prawo własności do Jennie przenieśli na Ośrodek Tahachee. Jakby Jennie była cholerną niewolnicą. Albo majątkiem ruchomym. A ile się nagadali: że chodzi tylko o formalność, o uregulowanie stanu prawnego, rozumie pan? O ubezpieczenie i odpowiedzialność... Tak, dziękuję, ładna mi formalność. A oni na wszystko się zgadzali: podpisali te pieprzone niewolnicze papiery,

zrzekając się na rzecz tych skurwysynów prawa własności do Jennie. Nazwali to przełomem, nowym życiem. Tak, nowym, wspa-
niałym życiem.

Rodzice polecili z Jennie na Florydę i wrócili po kilku dniach. Mnie w tym czasie nie było w domu. Byłem tak wkurzony, że się na cały tydzień przenieśliem do Sammie.

Muszę przyznać, że rodzice robili wrażenie załamanych z powodu utraty Jennie. Jediną szczęśliwą osobą była Sara, która chodziła po domu, podśpiewując i urządzając dla swoich pieprzonych lalek przyjęcia i tym podobne bzdury. No cóż, nie mogę mieć do niej pretensji. Matka płakała dzień w dzień. Nie spodziewałem się, że tak to będzie przeżywała. Sporo na ten temat rozmawialiśmy i chyba po raz pierwszy od lat doszło między nami do jakiegoś porozumienia. Wiele mówiliśmy o okresie, kiedy Jennie była młoda, o Jennie i rowerku, o jej pierwszych słowach. Matka naprawdę potrzebowała takiej rozmowy. Próbowaliśmy mi wytłumaczyć, dlaczego wystali Jennie na Florydę. Było jej trudno bronić tej decyzji, skoro najwyraźniej sama miała wątpliwości. Musiała sobie zdawać sprawę z tego, że popełniła fatalny błąd. A ojciec... ojciec po prostu uciekł. Zawsze był dosyć zamknięty, ale po tym wszystkim praktycznie cały czas siedział w muzeum. Wyglądał jak widmo. Było mi z tego powodu naprawdę przykro.

Komunikaty, które nadchodziły z Florydy, były z przeproszeniem o dupę potłuc. Wszystko „w normie”. W normie, ale czyjej? Przecież Jennie w dalszym ciągu siedziała w pieprzonej klatce. Może dla nich siedzenie w klatce było czymś normalnym, ale nie dla niej. Co za bzdury.

Po kilku tygodniach matka zaczęła coś podejrzewać. Powiedzieli jej, że za dwa tygodnie wypuszczą Jennie na wyspę, ale minął miesiąc, a ona ciągle jeszcze siedziała w klatce. Na pytania odpowiadali wykrętnie. Nie chcieli, żeby ktokolwiek z nas tam przyjechał. Doktor Prentiss wróciła do Bostonu, ale po trzech tygodniach znów była na Florydzie. I nikt nam nie chciał powiedzieć dlaczego.

Mój ojciec okazał się naiwny. Ci wszyscy ludzie byli naukowcami, a naukowcy w jego pojęciu nie popełniają błędów. Ufał im: Epsteinowi, Prentiss, Gabrielowi.

No więc wszyscyśmy siedzieli i gadali na ten temat, ale nikt nic nie robił. Dosłownie nic.

Wreszcie powiedziałem sobie: dosyć tego dobrego, wszystko razem funta kłaków niewarte, jadę tam zobaczyć, co się dzieje. Ostatecznie jestem jej bratem i nikt, absolutnie nikt mnie nie powstrzyma.

Mniej więcej w miesiąc po wyjeździe Jennie spakowałem matki, wyszedłem na drogę nr 128 w kierunku na południe i zacząłem łapać stopa.

Podróż była koszmarna. Tłukłem się z pięć dni, cały czas w deszczu. Pierwszy facet, który się zatrzymał, jechał złotym cadillakiem, był stary i tak pijany, że dosłownie tańczył po całej szosie. Musiałem go poprosić, żeby mnie wysadził, i znów znalazłem się w strugach deszczu. Potem zabrałem się mikrobusem pełnym hippisów, tych, wie pan, co to pokój i miłość, którzy przez całą drogę klócili się o narkotyki — kto bierze, kto zwinął trawkę. Spędziłem z nimi noc na kempingu pod Baltimore, a rano wynieśli się nie płacąc i ja zostałem z rachunkiem do uregulowania.

Tego ranka znów padało. Zabrał mnie do swojej półciężarówki jakiś czarny stary facet. Jechał tylko sto sześćdziesiąt kilometrów, ale zaprosił mnie do siebie na noc gdzieś pod Richmond. Nazywał się Dad Patterson. Dad i Muriel Pattersonowie. Nigdy ich nie zapomniałem. Ich dzieci były już dorosłe i się wyprowadziły z domu, a oni czuli się bardzo samotni. Zajmowali jedno piętro dwupiętrowego domu, starej rudery, której ganki dosłownie odpadały. Żona Dada ugotowała mi fantastyczny posiłek, a ja im opowiedziałem o Jennie. Słuchali zafascynowani. Zarzucili mnie pytaniami na temat tego, jak to jest, kiedy się człowiek wychowuje z szympansem. Pokazałem im mój palec, a oni naturalnie kiwali głowami i wzdychali „och” i „ach”. Wypiliśmy razem wiele butelek colta 45.

Padło następnego dnia i jeszcze następnego, a i na Florydę dojechałem w strugach deszczu. Pokonanie mniej więcej połowy długości Florydy zajęło mi półtora dnia. Tahachee było położone na wybrzeżu zatoki w pobliżu Sarasoty.

Ostatniego popołudnia wypogodziło się i spałem pod gołym niebem w rezerwacie przyrody nad morzem, zwinięty w kłębek na piasku w gęstym gaju palmowym. Niebo było wygwieżdzone, a kiedy rano wstałem, słońce dotykało zaledwie czubków palm i ptaki darły się jak opętane. Wśród gałęzi słyszałem piski i trzepot skrzydeł. Nade mną rozciągał się nieskazitelny błękit, a kiedy spojrzezałem w górę, zobaczyłem nad sobą sunącego bezszelestnie wzdłuż gałęzi węża. Co za gibkość, gracia, ileż w nim było życia! Wydał mi się czymś doskonałym. Załatwiał swoje sprawy, żył swoim własnym czystym życiem. Nie znał żadnych głupot, żadnego fałszu, komplikacji, rozterek moralnych. Po prostu samo czyste piękno. Wtedy, w tamtym momencie, żałowałem, że nie jestem wężem. Marzyłem o tym, żeby strząsnąć z siebie kłępujące mnie życie, być tam w górze w ciepłym słońcu i sunąć po gałęzi. I wtedy pomyślałem: dlaczego nie? Co mnie przed tym powstrzymuje? Przecież mogę.

Szkoda, że nie potrafię opisać panu dokładnie, co wtedy czułem. Nagle, po raz pierwszy od wielu miesięcy, zrozumiałem, że żyję. Była to wielka chwila, objawienie. Poczułem się wolny.

Od Tahachee dzieliło mnie już zaledwie kilka kilometrów. Miałem takie wrażenie, że cokolwiek się stanie, wszystko będzie w porządku. Zupełnie nie rozumiem dlaczego, ale tak się właśnie czułem. To mi pomogło przetrwać następne kilka dni.

Do Tahachee dotarłem około południa i od razu udałem się do biura George'a Gabriela. Nie wyglądałem zbyt szykownie, więc zmierzył mnie wzrokiem i zapytał, czego chcę.

Powiedziałem mu, kim jestem i że chcę zobaczyć Jennie.

Gabriel wpatrywał się we mnie, ani na chwilę nie spuszczał wzroku. Był ubrany jak typowy biały myśliwy — wszystko w kolorze khaki i wszędzie kieszenie. Miał długą brodę i opaloną twarz, ale zimne oczy hitlerowca, w kolorze jasnego błękitu. Sam fałsz od stóp do głów.

W pewnym momencie wstał i podał mi rękę. „Siadaj — powiedział — i porapujemy”.

Czy pan sobie wyobraża? Porapujemy. Wydawało mu się,

że jest z niego „człowiek”, że wie co i jak, że chciał rapować. Nie rozmawiać, tylko rapować. Co za kretyn.

A potem zaczął się ten cały ceremoniał z zakładaniem nogi na nogę i wzdychaniem, i mówieniem, że on nie wie, jak mi to powiedzieć, ale że moje widzenie się z Jennie teraz nie byłoby w jej interesie itd., itp. Oczywiście miał bardzo zatroskaną minę, był szalenie ojcowski i udawał, że traktuje mnie śmiertelnie poważnie, podczas gdy w rzeczywistości tylko marzył o tym, żeby się mnie jak najprędzej stamtąd pozbyć. Cały czas mając mnie za idiotę.

Wobec tego spytałem: „Dlaczego nie?”

W odpowiedzi zaczął się przymierzać do bardzo długiego wyjaśnienia. Chcą wypuścić Jennie na wyspę do innych szympansów, ale przedtem muszą ją przyzwyczaić do obcowania z osobnikami jej własnego gatunku. A dla niej jest to bardzo trudny proces. I tak dalej, i dalej. Że Jennie jest bardzo zestresowana i ma kłopoty z przystosowaniem. Ale robi postępy. Moja wizyta może przekreślić to wszystko, co do tej pory osiągnęli. To by wprawiło Jennie w jeszcze większe podniecenie, cofnęło cały proces. Uważa to za bardzo zły pomysł.

Wysłuchałem wszystkiego bardzo cierpliwie. Pomyślałem sobie: niech się ten kretyn wygada. A mnie i tak nic nie powstrzyma przed pójściem do Jennie.

Zapytałem go więc, bardzo grzecznie, dlaczego Jennie w ogóle jest w klatce.

W odpowiedzi na co usłyszałem nowy stek bzdur. Że jest za silna, żeby ją prowadzić na smyczy. Że jest szalenie wrogo nastawiona do innych szympansów i że jednego już zaatakowała. A nawet próbowała się rzucić na Gabriela. Kiedy to usłyszałem, nie mogłem opanować uśmiechu. Szkoda, że Jennie tego skurwysyna nie zabiła. Jediną metodą na to, twierdził, żeby przyzwyczaić Jennie do towarzystwa innych szympansów, jest klatka. I w kółko to samo. Że to sprawa przejściowa, a potem Jennie rozpocznie długie, szczęśliwe życie na wyspie.

Wszystko to razem już mnie naprawdę wkurzyło i oznajmiłem: „Mam prawo ją zobaczyć, i to zaraz!”

Znów zaczęło się jąkanie i chrząkanie, i dalsze wyjaśnienia.

Poza tym był ciekaw, czy rodzice wiedzą, że ja tu jestem. Powiedziałem mu, że to nie jego sprawa. A on na to, że nie zadzwoni do nich, dopóki go sam nie poproszę. Rozumie moje motywy i tak dalej, i dalej. W dalszym ciągu próbował być spokojny i w dalszym ciągu wciskał mi ten sam kit.

Że ja nie mam prawa widzieć Jennie. Że oddając ją do ośrodka, zrzekliśmy się do niej wszelkich praw. Może tak tego dokładnie nie powiedział, ale w każdym razie o to mu chodziło.

Myślałem, że mnie trafi szlag. „Nie mówię o prawie w sensie przepisów” — wybuchnąłem. — „Mówię o prawie moralnym”.

Ale ten kretyń ani myślał się zamknąć. Bredził dalej o tym, czyje prawo jest ważniejsze: Jennie do tego, żeby się przystosowała do nowego życia, czy moje, żebym ją zobaczył i być może wszystko zrujnował. Ich obowiązkiem w każdym razie jest dopilnować, żeby Jennie miała szczęśliwe życie. I tak dalej w kółko to samo. Zorientowałem się, że jestem w ślepej uliczce, że nikt tego palanta nie przegada.

Spróbowałem z innej beczki. „Jeżeli pan mnie do niej nie wpuści, przewrócę to całe miejsce do góry nogami” — zagroziłem.

Och, on mnie doskonale rozumie, rozumie moje wzburzenie, ale nie róbmy nic pochopnie, żebyśmy nie musieli później tego żałować. A potem dodał, że Jennie jest obecnie bardzo zdenerwowana. Że stanowi zagrożenie dla siebie samej i dla innych. Nawet gdyby z jakichś względów uznał za stosowne wpuścić mnie do klatki, to byłoby to zbyt niebezpieczne. Jennie mogłaby w sposób przypadkowy, w przystępie podniecenia i rozdrażnienia, zrobić mi krzywdę.

„Bzdura” — powiedziałem. I on takie rzeczy mówi do mnie. Do mnie, który wychowałem się z Jennie i znałem ją przez całe życie! Gapiłem się na niego w osłupieniu, dosłownie mnie zatkało.

Popatrzył na mnie i odparował: „Kto jak kto, ale ty najlepiej powinieneś wiedzieć, jak groźny potrafi być rozdrażniony szympan”. — I w tym momencie spojrzął na moją rękę.

To mnie wpieniło. Co za kretyn. Wstałem, rzuciłem: „I tak ją znajdę” i wyszedłem. Ruszył za mną, złapał mnie za ramię i dalej rozmawialiśmy już na trawniku. Słońce stało wysoko i w jego promieniach zobaczyłem duży podobny do stodoły budynek z szeregiem klatek z metalowej siatki wystających wzdłuż jednego boku. Domyśliłem się, że to tam trzymają Jennie.

Och, on oczywiście wie, co ja przeżywam, współczuje mi bardzo, ale nie powinienem się z nim już dłużej targować. Naprawdę mogłoby się stać coś bardzo nieprzyjemnego. Powiedziałem mu tylko: „Pierdol się, facet, pierdol się”. Strząsnąłem z siebie jego rękę i ruszyłem w stronę budynku. A on: żebym pomyślał o Jennie, że to dla jej dobra, że pod wpływem takiego szoku może się na mnie rzucić i że on za to nie będzie odpowiadał.

A ja po prostu szedłem dalej i on równoległe ze mną, aż wreszcie się poddał. Powiedział, że mnie wpuści do budynku. Ale nie do klatki. Bo to by mogło być naprawdę niebezpieczne. Muszę mu obiecać, że się nie zbliżę do klatki. Przypomina mi, że jestem gościem ośrodka. I tak dalej. Nie odezwałem się na to wszystko słowem, tylko szedłem dalej.

Kiedy znaleźliśmy się przy drzwiach, powiedziałem: „Proszę mnie wpuścić”.

Tańczył koło mnie z kluczami, usiłując wydobyć ze mnie obietnicę, że się nie zbliżę do klatki, ale ja nawet nie otworzyłem ust.

Wsadził klucz w zamek i kiedy tylko rozległ się zgrzyt, Jennie zaczęła krzyczeć. Jezu. Nigdy w życiu nie słyszałem, żeby się tak darła. Aż mi się zimno zrobiło. Zupełnie jak... jakby ją obdzierali ze skóry. Dosłownie zatykała się tym krzykiem, jednocześnie łomocząc w pręty klatki. Kiedy drzwi się otworzyły, była w jej najdalszym rogu. Od czasu do czasu brakło jej tchu i wtedy przestawała na chwilę, zapadała martwa cisza i znów od nowa to samo. Zaciskając oczy, waliła się pięściami po głowie... Nie mogłem na to patrzeć, nie mogłem w to uwierzyć. Była w takim szale, że nawet nas nie widziała. Na całym ciele miała łyse placki, tam gdzie sobie powyrywała sierść. A ta sierść, zamiast czarnej, puszystej i lśniącej, była matowobrazowa. I miała sterczący brzuch, jak piłka.

Wyniszczona, z wielkim, wzdętym brzuchem przypominała głodujące dzieci w Afryce. Boże, ledwie ją poznałem. To, co z nią zrobili, było przerażające.

Byłem tak wściekły, że ledwie mogłem mówić. Powiedziałem mu, żeby mnie wpuścił do pieprzonej klatki.

Zaczął: „Przepraszam, obiecałeś mi...”, ale ja mu ni cholery nie obiecywałem, więc ruszyłem w stronę klatki, a on w krzyk: „Stój! Ona cię złapie przez kraty”.

I wtedy nagle do mnie dotarło, że ten nadęty fagas, ten Wielki Biały Myśliwy, taki bardzo *macho*, po prostu boi się Jennie. Że ma niesamowitego pietra! Szkoda, że go pan nie mógł zobaczyć!

Jennie nawet nie patrzyła w naszą stronę. Była w takiej furii, że chyba nawet nie zdawała sobie sprawy ze swego otoczenia. Nie wiedziała, że to jestem ja.

Warknąłem tylko: „Klucze”.

A on swoje: „Spójrz na nią. Ona ci zrobi krzywdę”.

Złapałem skurwysyna, wykręciłem mu rękę do tyłu i pchnąłem w stronę klatki.

I wtedy się rozdarł na cały głos: „Co ty wyprawiasz! Ratunku! Ochrona!”

Niech pan na mnie popatrzy. Nie jestem dużym, silnym facetem. Raczej odwrotnie, chudziną. Nigdy w życiu się nie biłem. A ten palant był dosłownie porażony strachem. (Śmiech). Owszem, na pewno wyglądałem nieprzyjemnie z długimi włosami, zarośnięty, brudny, oblepiony błotem. Musiałem przypominać jakiegoś stukniętego włóczęgę. Ale Gabriel nawet nie próbował walczyć. Ze strachu zrobił się całkowicie bezwolny.

Kiedy Jennie zobaczyła nas z bliska, natychmiast podbiegła do krat. W dalszym ciągu była w szale. Zaczęła się rzucać na klatkę, tak bardzo chciała rozszarpać sukinsyna. Wyciągała ręce, wrzeszczała i szczyrzyła zęby, błyskając potężnymi kłami.

Gabriel darł się jak opętany: „Puszczaj! Ona zabije nas obu!”

Zwróciłem się do niego bardzo spokojnie: „Jeśli mi natychmiast nie dasz kluczy, to cię popchnę prosto na klatkę”.

I zacząłem go pchać. Nie mogę dziś w to wszystko uwierzyć. Byłem nieprzytomny z wściekłości. A on dosłownie sparaliżowany strachem. „Są w mojej bocznej kieszeni!” — krzyknął. — „O tam, w bocznej kieszeni!”

I rzeczywiście, miał tam wielki pęk kluczy. Chyba z kilkadziesiąt. Do każdej pieprzonej klatki osobny klucz.

„Który!?” — ryknąłem.

„Numer sześć! Numer sześć!” — Mało w portki nie zrobił ze strachu.

Puściłem go, a on cofnął się, ale nie wyszedł, tylko sterczał tam dalej przy drzwiach, zlany potem.

A potem powiedział: „Ty mały kutasie, mam nadzieję, że tym razem odgryzie ci całą rękę”. Był czerwony na twarzy i wyglądał tak, jakby się miał za chwilę rozplakać.

Otworzyłem drzwi klatki i wszedłem do środka. Jennie, półprzytomna, zobaczyła mnie i ruszyła w moją stronę zjeżona, z wyszczerzonymi zębami i z rykiem wściekłości. Szła prosto na mnie. Gotowa zabić.

Zawołałem: „Jennie! To ja!”, a ona stanęła jak wryta i po raz pierwszy na mnie spojrzała. Po raz pierwszy. A potem puściła się pędem i rzuciła mi się w ramiona.

I zaczęła płakać. Łzy strumieniami płynęły jej po twarzy, a ona, w kompletnej ciszy, tuliła się do mnie jak dziecko. Z głową na mojej piersi, ścisła mnie z całej siły, jakby miała już nigdy mnie nie puścić. Czułem drzenie jej drobnego, wychudzonego ciała. O Boże, myślałem, że tego nie przeżyję. Trwaliśmy tak w tym uścisku długo, w nieskończoność, a ja czułem w piersi ból, jakby mi serce miało pęknąć. Ja też płakałem oczywiście i tak staliśmy objęci szlochając.

Nie wiem, jak długo to trwało, ale w pewnym momencie usłyszałem za sobą głosy i poczułem, że ją ode mnie odrywają — że mi strzelają guziki, a cała koszula jest w strzępach. I wtedy Jennie znów zaczęła wrzeszczeć tym samym strasznym wrzaskiem co wtedy, i... i właściwie na dobrą sprawę nie wiedziałem, co się dzieje... cholera... cholera... cholera. (Nota wydawcy: w tym momencie Sandy zaczął zdradzać objawy silnego wzburzenia i musieliśmy odłożyć dalszą rozmowę do następnego dnia).

Rozdział 12

Z wywiadu z doktor Pamelą Prentiss.

Kiedy się dowiedziałam o tym koszmarnym incydencie z Sandym, natychmiast poleciałam na Florydę. Doktor Archibald i jego żona też przylecieli. Pani Archibald była dla mnie w rozmowie telefonicznej wyjątkowo niegrzeczna. Nie mogę nawet powtórzyć tego wszystkiego, co wygadywała. Nigdy jej nie wybaczę.

Otóż Sandy grożąc George'owi Gabrielowi, na siłę wdarł się do klatki. I stało się dokładnie to, co przewidywałam. Ze względu na bezpieczeństwo wszystkich musieli dać Jennie zastrzyk usypiający, a wtedy Sandy zaczął się awanturować i obrażać doktora Gabriela, który w końcu nie miał innego wyjścia, jak tylko wezwać policję. Muszę też podkreślić, że Gabriel zachował się wyjątkowo przyzwoicie, nie oddając sprawy do sądu.

Dzięki doktorowi Gabrielowi Sandy zamiast do aresztu, trafił do szpitala. A powinien iść do więzienia, bo to, co zrobił, było przestępstwem kryminalnym. To wszystko stało się rano, a ja przyjechałam późnym popołudniem i zastałam George'a w jego gabinecie. Siedział wstrząśnięty. To było... zaraz sprawdzę... tak, 17 maja 1974 roku. Denerwował się na samą myśl o tym, co się stanie, jak przyjadą Archibaldowie.

Podpisaliśmy umowę regulującą sprawy opieki i odpowiedzialności za Jennie. Mieliliśmy też tytuł własności — w sensie formalnym naturalnie. Sandy bezprawnie znalazł się na terenie Tahachee, a doktor Gabriel, o ile mogłam się zorientować, działał

bez zarzutu. Stało się tak, jak bez końca uprzedzaliśmy, że stać się może. Dokładnie im powiedzieliśmy, jak się zachowa Jennie w kontakcie z kimkolwiek z rodziny Archibaldów. Mieliśmy absolutną rację. Wina była całkowicie po ich stronie, ale odpowiedzialnością próbowali obarczyć nas.

To, co napisali w tym piśmie — że nie chcieliśmy im zwrócić Jennie — jest wierutnym kłamstwem. Zwykłym pomówieniem, za które — gdybym tylko miała pieniądze — pozwałabym ich do sądu. Nigdy, ani razu, nie poprosili nas o zwrot Jennie.

Ale wracając do tamtej sceny. Jennie została uśpiona i spała sobie spokojnie w swojej klatce. Nikt nie odniósł obrażeń — nawet Sandy. W sumie, powiedziałam doktorowi Gabrielowi, mieliśmy dużo szczęścia. Potrząsnął głową i odparł, że cały czas zastanawia się, w którym momencie sprawy wymknęły mu się z rąk.

Późnym wieczorem zadzwonili ze szpitala Archibaldowie. Rozmawiałam z doktorem Archibaldem, który był spokojny i opanowany. Przepraszał za to, co się stało. Powiedział, że chcieliby rano przyjechać do ośrodka przedyskutować sprawę. Wspomniiał, że może przyjdzie sam, co mnie bardzo ucieszyło, jako że pani Archibald była wyraźnie psychicznie nie zrównoważona. Wyraziłam zgodę i umówiliśmy się na dziesiątą rano.

A rano... rano... czy pan czytał ten artykuł w piśmie „Esquire”?

Niech pan nie bierze poważnie nic z tego, co tam było napisane. W tym nie ma ani słowa prawdy. Odpowiedziałam na to sprostowaniem, ale nigdy go nie zamieścili.

Wie pan co, pan mnie męczy, ja naprawdę nie wiem, o co panu chodzi. W każdym razie proszę sobie nie wyobrażać, że raz jeszcze wystąpię jako chłopiec do bicia w sprawie Jennie. Jeżeli była to czyjokolwiek wina, to tylko Sandy'ego. Sandy to spowodował. Bo myśmy im w kółko powtarzali, czym grożą ich odwiedziny w Tahachee.

Zaraz... o czym to ja mówiłam? Aha, że mieliśmy się spotkać o dziesiątej rano. Tak, ale... bardzo przepraszam, po zastanowieniu

zmieniam zdanie. Wolałabym już skończyć... Tak, zakończyć wywiad. Powiedziałam panu wszystko, co miałam do powiedzenia. Proszę mnie źle nie rozumieć. Nie mam nic do ukrycia. Po prostu: to wszystko, i już. Koniec, kropka. Musi pan przecież mieć z dziesięć godzin naszych rozmów na taśmach. Nie zamierzam wszystkiego podawać panu na tacy. Zwłaszcza że pan nawet nie przeczytał tych moich materiałów. Proszę bardzo, niech panu ktoś inny poda finał tej historii. Niech pan o szczegóły zapyta Harolda. To jemu zależy na tej cholernej książce. Proszę wyłączyć magnetofon. Poważnie. Już, w tej chwili.

Z rozmowy telefonicznej z Josephem Finneyem, byłym opiekunem z Ośrodka Rehabilitacji Naczelnych w Tahachee, czerwiec 1993 rok.

Owszem, pamiętam tego szympansa. Jezus. A co, pisze pan książkę? I za coś takiego panu płacą? Ile? Słyszałem, że w jakimś piśmie był na ten temat artykuł. Ja tam wtedy byłem, i tylko ja. Ale nigdy mnie o nic nie pytali. Nie dzwonili do mnie. Nigdy nikomu o tym nie opowiadałem. Tak? Chciałem powiedzieć, że w Tahachee nie płacili za byle co. Ale potem, po dwóch latach pracy, wyrzucili mnie bez gadania. Nie zrobiłem na tym majątku. A te szympansy były niebezpieczne jak cholera. Zwłaszcza ten jeden.

No więc co by pan chciał wiedzieć?

Nazywam się Joseph Finney i byłem opiekunem zwierząt w Ośrodku Rehabilitacji Naczelnych w Tahachee. O to panu chodziło? Tak nas nazywają, opiekunami. Takie było moje stanowisko służbowe.

Mój adres... zgoda, bez adresu. Nie wiem, kiedy to było. Kiedy przywieźli tę szympansicę. Nawet nie pamiętam jej imienia. Mieliśmy straszny kłopot z wsadzeniem jej do klatki. Przedtem pracowałem w Boca Grande, czyściłem baseny. Ale facet, do którego należał ośrodek, to był niezły numer. Okradał klientów, jak się dało. Oni tak robią w tych sezonowych ośrodkach. Liczył za wszelkie

możliwe usługi, których nie wykonywał. No i go złapali, a ja straciłem pracę.

Zobaczyłem to ogłoszenie. Potrzebny ktoś do opieki nad zwierzętami. O ile możliwości z doświadczeniem. Zobaczymy, pomyślałem. Ostatecznie wychowałem się w Bronksie i zdarzało mi się wyrzucać w zoo małpie gówno. (Śmiech). Zawsze lubiłem zwierzęta, psy i koty. Lubię do dziś. Jak byłem chłopakiem, miałem węzła. No więc pojechałem tam i mnie przyjęli. Pracowałem głównie na nocną zmianę. Od dziesiątej wieczór do szóstej rano. To było, jeszcze zanim się ożeniłem. Na dwie dzienne zmiany mieli kupę facetów, ale na nocną tylko mnie jednego. Niewiele było do roboty. Przejść się po całym terenie, wszystko posprawdzać, ponastawiać różne zegary. Tam trzymali same szympansy. W nocy spały prawie cały czas, więc było na ogół cicho. Pracowałem już z rok, kiedy przywieźli tę szympansicę.

Chcę powiedzieć, że nie należę do tych facetów, co to śpią w pracy czy popijają. Nawet w takiej zas... pracy staram się jak mogę. I nigdy nikt na mnie nie narzekał. Zwalniając mnie powiedzieli, że chodzi o oszczędności. No to poszedłem na zasiłek dla bezrobotnych, a potem dostałem pracę w Marine Magie na Long Boat Key.

Zaraz po przywiezieniu tego szympansa wsadzili go do klatki. Był zupełnie zwariowany. To znaczy, tamte szympansy potrafiły ugryźć, i to błyskawicznie, ale ten chciał zabić. Nie można się było nawet zbliżyć do klatki, bo zaraz ci próbował urwać rękę. Naprawdę, nie żartuję. Ja ich na szczęście nie musiałem karmić, to należało do obowiązków dziennej zmiany, ale nieraz widziałem, jak chłopaki ciskały mu żarcie z daleka. Bo on zawsze był w pogotowiu, zawsze czyhał, żeby się rzucić. Jezu.

A darł się na okrągło. Zwłaszcza jak ktoś tamtędy przechodził. Na mojej zmianie musiałem nastawiać zegar w stodole. Tam były klatki. Zawsze starałem się jakoś wśliznąć po ciemku, ale jak tylko przekręciłem ten mały kluczyk i ta małpa usłyszała delikatne tykanie zegara, zaczynała drzeć mordę jak opętana. I szarpać za siatkę. Ciągle słyszałem to „Bam! Bam!” — waliła czymś tam w środku. Jezu. Umierałem ze strachu, że się kiedyś wydostanie z tej klatki i mnie rozerwie na kawałki. I rzeczywiście kiedyś się wydostała

i dwa dni przesiedziała na drzewie, wyjąc jak potępieniec. To był stuknięty bydlak. Nie wiem, co oni tam z nią robili. Pewnie jakiś eksperyment.

Gabriel? To był kawał lepszego świra. Ja go prawie nie widywałem. A on mnie nie znał. Nawet się nie starał. Bo w niektórych miejscach to ci faceci na samej górze przynajmniej się starają zbliżyć do ludzi. A on nie. On nie był moim szefem. Moim szefem był taki jeden Oscar. Oscar był w porządku, na ogół nie rzucał się w oczy. Jak już powiedziałem, ja jeden pracowałem na nocie. Przebywało tam sporo naukowców, a wśród nich kobieta, blondyna, całkiem-całkiem. Ale niezbyt sympatyczna.

Zaraz... tak, mieli tę szympansicę przez jakieś dwa, trzy tygodnie. Może z miesiąc. No więc przychodzę do pracy, jest dziesiąta, a tu wielka awantura. Ktoś się włamał do jej klatki. Jakiś chłopak. Nie wiem, jak to zrobił, w każdym razie musiał być odważny. Kiedy ja tam przyszedłem, jego już nie było, a szympansa zdążyli uspić. Leżał w klatce i spał. Nie ma problemu. No więc robię ten swój obchód i o trzeciej nad ranem, jak zwykle, idę do stodoły. Słyszę krzyk, ale nie było w tym nic szczególnego. Tylko że jak wszedłem do środka, usłyszałem jeszcze ten drugi odgłos. Jakby trzepotania. No to zapaliłem światło i patrzę, a ten szympans leży na podłodze klatki i się trzepocze. To znaczy ma drgawki. W pierwszej chwili pomyślałem, że to od tego środka usypiającego, że się budzi... Ale potem zobaczyłem krew. Krwawy ślad. Jakby się czołgał, zostawiając na podłodze klatki krwawy ślad. I zaczął tak jakoś dziwnie chrapać.

Wystraszyłem się. Myślę sobie: nie wejdę tam za żadne skarby, więc poszedłem i obudziłem Gabriela. Ta pani, ta uczona, co to mówiłem, też miała tam swój apartament. No więc ona zaraz zadzwoniła po weterynarza, a Gabriel poleciał prosto do klatki.

Przychodzę, a on z miejsca na mnie: „Kto to zrobił? Ty to zrobiłeś?” Jak ja bym tam poszedł i zabił tego szympansa. „Spokojnie” — mówię. — „Tylko spokojnie. Ja go tak zastałem”.

„Nie — powiada — musiałeś kogoś wpuścić. Na pewno wpuściłeś tego chłopaka. A to sukinsyn, zobacz, co narobił. Ja temu gnojowi pokażę”. I takie różne. To mnie cholernie wkurzyło. Ja nie muszę wysłuchiwać takich bzdur. Powiedziałem mu to. Nikogo tu nie było, gdyby był, to bym go widział. Naprawdę nikogo nie widziałem, ale on mi nie uwierzył.

Facet był naprawdę przerażony. A ten szympans jak gdyby chrapał. I potem nagle zaczyna się czołgać przez całą klatkę. Do drzwi. Unosi się, sięga do klamki, pada i znów zaczyna się trzepotać i drgać. Gabriel kazał mi przy nim zostać, a sam poszedł po gliniarzy. I kiedy tak stałem i czekałem, ten szympans tak jakby zakasłał czy coś w tym rodzaju i padł całkiem bez ruchu. Jakby wyzionął ducha.

A potem to już się naprawdę działy niesamowite rzeczy. Przyleciała ta uczona, no ta blondyna, i wchodzi do klatki, łapie na ręce tego martwego szympansa i w krzyk. Cała upaprana krwią. I całuje go. Nie bujam. Jeszcze w nocnej koszuli. A potem popatrzyła na swoje ręce, całe we krwi, i zaczyna się tymi rękami okładać po twarzy i walić gdzie popadnie. Jezusie, nigdy bym nie uwierzył, gdybym tego nie widział na własne oczy. Przysięgam Bogu, że nigdy pan czegoś takiego nie widział, przysięgam.

A potem przyszedł tłum ludzi i go zabrali. A gliniarze, że chcą ze mną porozmawiać. No i zaczynają mi zadawać te wszystkie pytania: „Kto to zrobił? Kto tu był? Czy ja spałem? Czy piłem?” Cholernie mnie to wkurzyło i powiedziałem im, że nawet w takiej zas... pracy jestem człowiekiem solidnym. I nie muszę wysłuchiwać takich bzdur.

Następnego dnia zastałem wszystko pięknie wysprzątane, jakby nigdy nic. W tydzień później też mi zadali ileś tam pytań, ale to już było co innego. Rozmawiali ze mną znacznie grzeczniej. Bali się, że odejdę. Ciekaw jestem, kto by im przyszedł pracować po nocach za trzy pięćdziesiąt godzin? Bo tyle mi płacili, trzy pięćdziesiąt. Chcieli wiedzieć, co widziałem. „Słuchajcie — ja na to — przecież cały czas wam mówię, że nic ani nikogo nie widziałem. Tak jak wam powiedziałem na samym początku. Bo i niby dlaczego miałbym kłamać?” I tyle. Potem się dowiedziałem, że to był wypadek,

że szympans spadł z góry i uderzył głową o coś twardego.

Tak... przepracowałem tam jeszcze rok i mnie zwolnili, bo im obcięli fundusze czy coś w tym rodzaju. I wtedy dostałem pracę w Marine Magie.

Z wywiadu z Leą Archibald.

Po tym wszystkim nie mam już wiele do powiedzenia. Koniec historii. Może pan spokojnie wyłączyć magnetofon. Jennie nie żyła. A że z prawnego punktu widzenia stanowiła ich własność, nie mieliśmy nawet kogo podać do sądu. Ani do kogo iść z zażaleniem. Zabili naszą córkę, a my nawet nie mogliśmy nic w tej sprawie zrobić. Kompletnie nic. Zresztą przecież jej już i tak nie było.

Położyli ciało Jennie w szpitalu weterynaryjnym na stole ze stali nierdzewnej i zrobili sekcję. Pokroili jej całą twarz i czaszkę. Tylko ja jedna ją w tym stanie widziałam. Nie, Sandy ją chyba widział później. Hugona i Sary do niej nie dopuściłam. Może nawet ten widok nie był taki szokujący, bo to nie była ona. Po raz pierwszy wydała mi się zwierzęciem. Całe życie z niej uszło i wyglądała jak duży czarny pies, przejechany przez samochód. Jeśli nawet istnieje coś takiego jak dusza, to już dawno musiała z niej ulecieć.

Tego samego dnia wypuścili Sandy'ego ze szpitala. Psychiatra orzekł, że przeżył szok, ale że jest psychicznie zdrowy. George Gabriel w obawie o skandal wycofał się ze wszelkich roszczeń. Skremowaliśmy ciało Jennie, a jej prochy zabraliśmy do Bostonu.

Sandy zdołał się już jakoś z tym wszystkim pogodzić. Wiadomość o jej śmierci nie wprawiła go w taką rozpacz, jak się spodziewaliśmy. Przyjął ją z fatalizmem, który nas nawet trochę przeraził. Tak, jakby się z nią już wcześniej pożegnał. Bo chyba właśnie tak było.

Zaraz, o czym to ja mówiłem? Zna pan dalszy ciąg. Znaleźli Jennie na podłodze klatki. Nieprzytomną. Podczas kiedy doktor Gabriel udzielał jej pierwszej pomocy, doktor Prentiss zadzwoniła po Rogera Kuntza, weterynarza, z którego usług korzystał ośrodek. Chociaż doktor Gabriel sam był weterynarzem, to jednak doktor Kuntz miał większe doświadczenie, jeśli chodzi o wypadki. Przyjechał w ciągu dziesięciu minut i próbował nawet reanimacji, ale było jasne, że to nie tylko utrata przytomności. Że to po prostu śmierć.

Wiem, co napisali w „Esquirze”: że Jennie mogła paść ofiarą morderstwa. Chciałbym się do tego ustosunkować. Ta kompletna bzdura wynika stąd, że doktor Prentiss będąc w stanie silnego wzburzenia, stawiała Sandy'emu jakieś niedorzeczne zarzuty. Jennie została znaleziona na podłodze klatki z roztrzaskaną czaszką. Początkowo Pam nie wiedziała, jak mogło do tego dojść. Poprosiła doktora Kuntza, żeby sfotografował ciało i zabrał je w celu dokonania sekcji. Ale słowo się rzekło. I to słowo wydostało się na zewnątrz i zaczęło żyć własnym życiem. To była sensacja. A taki *macho*, „rasowy” dziennikarz jak ten facet z „Esquire'a”, po prostu nie mógł się oprzeć pokusie.

Doktor Kuntz bardzo szybko rozwiał wszelkie podejrzenia co do tego, że śmierć Jennie mogła nie być przypadkowa. Niech pan będzie spokojny, już oni bardzo starannie wykluczyli możliwość jakichkolwiek nadużyć. Doktor Prentiss osobiście tego dopilnowała. Wyniki dochodzenia okazały się zupełnie jednoznaczne. Drzwi do budynku były zamknięte. Drzwi do klatki były zamknięte. Nie stwierdzono żadnych śladów włamania. Nocny stróż nie zasnął na służbie ani w żaden inny sposób nie zaniedbał swoich obowiązków. Wszystkie zegary zostały nastawione, a sam facet miał opinię szczególnie solidnego.

Sandy ponad wszelką wątpliwość spędził noc w szpitalu. Kiedy się już wszyscy uspokoili, doszliśmy do wniosku, że był to wypadek, wyjątkowo głupi wypadek.

Wszystko wskazuje na to, że sprawa wyglądała tak: w nocy Jennie musiała skądś spaść, prawdopodobnie kiedy jeszcze była trochę zamoczona środkiem usypiającym. Normalnie szympans potrafi spaść z drzewa, z wysokości sześciu czy dwudziestu metrów, i nic sobie nie zrobić. Mogę tu jednak dodać, że Goodall zanotowała przypadki, w których szympansy zabijały się spadając. Jennie spadła tak niefortunnie, że rozbiła sobie głowę o jakiś twardy przedmiot, przypuszczamy, że była to betonowa krawędź basenu. Poważne pęknięcie czaszki, w wyniku którego nastąpił obrzęk mózgu i szczęśliwie szybka śmierć, bez żadnych cierpień.

Kiedy w tydzień później doktor Prentiss wróciła do Bostonu, była zupełnie zmieniona. Jej miłość do tej szympansicy przypominała miłość matki do córki. Ta tragedia miała poważny wpływ na jej życie. I wie pan co? Ona już nigdy nie była taka jak dawniej. Niech pan o tym nie pisze, ale cierpiała na depresję i nawet się z tego powodu leczyła. Dlatego dostaję szału, kiedy słyszę oskarżenia pod jej adresem — dlatego tylko, że jest, jak to się mówi, „pod wozem”, a to przecież bardzo ciepła, czarująca towarzysko osoba. Mam nadzieję, że nie powiększy pan grona tych, którzy ciskają w nią kamieniami. Proszę pana o odrobinę wyrozumiałości. I żeby pan miał wzgląd na Sandy'ego. To był cudowny chłopak, którego ta cała historia dosłownie zniszczyła. On tam strasznie cierpi w tej Arizonie. Przypuszczam, że ma bardzo silne poczucie winy. Sądzę, że i śmierć Hugona miała związek z całą tą sprawą. W każdym razie skończył się jako naukowiec; to pewne. Stracił wszelką motywację. Jakby mu przestało zależeć na życiu. Oczywiście nie chcę powiedzieć, że popełnił samobójstwo czy coś w tym rodzaju, ale przecież normalnie nikt dziś nie umiera z powodu operacji pęcherzyka żółciowego. Był to rutynowy zabieg; Hugo po prostu nie obudził się z narkozy.

Niech pan mnie posłucha: my tu wszyscy jesteśmy naprawdę przyzwoitymi ludźmi — ja, doktor Prentiss, Lea, Sandy, no i oczywiście Hugo. Hugo był wspaniałym człowiekiem. Wszyscy jesteśmy zwykłymi istotami ludzkimi, a nie jakimiś tam

przeklętymi uczonymi. Zadaję więc sobie pytanie: gdzie popełnił-
śmy błąd? I nie umiem na nie odpowiedzieć. Naprawdę nie umiem.

Z wywiadu z Leą Archibald.

Postanowiliśmy prochy Jennie pochować na Wyspie Pustelnika. Było to jej ulubione miejsce, jedyne, w którym naprawdę mogła być sobą. Wsypaliśmy je do glinianego garnka, który wykonał Sandy jako dziecko. Toporne naczynie, pomalowane w szerokie zielono-żółte pasy. Sandy z wielką dumą przyniósł je wtedy do domu. Zawsze stało w kuchni na parapecie okiennym. Była to chyba jedyna rzecz, której Jennie nie udało się potłuc. Ten garnek okazał się niezniszczalny.

W dwa tygodnie później pojechaliśmy na Wyspę Pustelnika. Było zimno i wietrznie jak na drugą połowę maja. Hugo wyciągnął ze stodoły łódź i zreperował silnik — coś tam się w nim w ciągu zimy popsuło — i w sobotę rano spuściliśmy ją na wodę we Franklins Pond Harbor. Zapowiadała się kiepska pogoda, więc powkładaliśmy na siebie swetry i płaszcze nieprzemakalne. W cieśninie była dość wysoka fala i popełniłam błąd zastanawiając się na głos, czy aby na pewno będzie bezpiecznie. Boże! Sandy mało się na mnie nie rzucił. Załadowaliśmy więc łódź i wypłynęliśmy.

W powietrzu czuło się jeszcze zimę; było lodowato. Do tego zaczęło mżyć, a w zatoce woda wydawała nam się dosłownie czarna. Dokładnie w chwili, kiedy przybiliśmy do brzegu, rozległ się rożek mgłowy z Monhegan, a jego długie dźwięki niosły się przez całą Muscongus Bay. Od tamtej pory zawsze kojarzyły mi się one z pogrzebem Jennie na Wyspie Pustelnika. Takie były niskie i tyle w nich było smutku, jakby pochodziły z głębin od jakiejś zagubionej, samotnej istoty.

Krążyliśmy po wyspie, wśród mokrych traw, aż przemokliśmy do suchej nitki. Sandy rozsypał trochę prochów tu i tam — po skałach i pod świerkiem, na który Jennie tak bardzo lubiła się

wdrapywać. Resztę, w glinianym naczyniu, schowaliśmy w chacie w palenisku, gdzie Sandy znalazł tajemniczy list. Przyłożyliśmy je kamieniem, a potem rozpaliliśmy ogień i zrobiliśmy sobie gorącej herbaty. No i rozmawialiśmy o Jennie, spełniając w jej intencji toasty. Trochę też popłakaliśmy, ale raczej staraliśmy się zrobić z tego radosną uroczystość. W pewnym sensie była to ulga. No bo jakie czekały Jennie losy, gdyby żyła? Gdyby nie mogła się przyzwyczaić do innych szympanów? A przecież z pewnością by nie mogła. Teraz już nie mam co do tego żadnych wątpliwości. No więc jakie życie ją czekało? W klatce? W zoo? Z czasem zaczęłam tę jej śmierć traktować jak szczęśliwe zrządzenie losu. Ona... ona była zbyt wolna jak na to, żeby żyć w świecie ludzi. Mimo że pomiędzy szympanami a ludźmi istnieje jakoby bardzo bliskie pokrewieństwo, to jednak jeszcze ciągle dzieli nas przepaść — głęboka przepaść. Wydawało nam się, żeśmy ją w znacznej mierze zasypali, ale na koniec okazało się jednak, iż były to złudzenia.

Posiedzieliśmy chwilę skuleni przy ogniu; dach przeciekał coraz bardziej; Sandy powiedział kilka słów i zabraliśmy się stamtąd. Zaraz... kiedy to było? Siedemnaście lat temu? Już nigdy potem nie byliśmy na Wyspie Pustelnika. Przypuszczam, że po tych wszystkich zimowych sztormach niewiele zostało z tej chaty. Już wtedy wiatr hulał po kątach. Nie to, żebyśmy unikali wyspy; po prostu jakoś się nie składało. Zawsze mówiliśmy, że trzeba się wybrać. Ale teraz, kiedy zabrakło Hugona, nie sądzę, żebym tam sama pojechała. Łódź sprzedana, Sandy w Arizonie, Sara w Nowym Jorku. A ja jestem już stara i nikomu niepotrzebna.

Jeżdżę jeszcze do Maine i Sara spędza tam zawsze sierpień z dziećmi. Czasem, kiedy słyszę ten rożek z Monhegan, jak buczy i buczy, przypomina mi się pogrzeb Jennie. I wtedy myślę sobie o tym zimnym naczyniu, które ukryliśmy w chacie pustelnika.

Nie jestem osobą wierzącą, ale kiedy fale biją o brzeg, wydaje mi się, że słyszę z oddali śmiech Jennie i jej pohukiwanie. Oczywiście, że to bzdury; po prostu wyobraźnia, ale przejmuję mnie wtedy dreszcz. Tak, naprawdę. A zresztą, kto wie — może rzeczywiście

Jennie jest gdzieś tam w tym naszym wielkim, dziwnym wszechświecie. Może po śmierci zobaczą ją, jak z wielką aureolą nad głową wyciąga do mnie rękę. Czy to by nie było wspaniałe?

Z wywiadu z Aleksandrem, Sandym, Archibaldem.

W nocy padał śnieg. Czy słyszał pan wycie wiatru? Kiedy tak wieje, dosłownie wysysa stąd całe ciepło. Przez dziurę na dym. Dziś znów zrobimy sobie przejażdżkę. Pustynia w śniegu to najpiękniejszy widok na świecie. Za kilka minut kawa będzie gotowa. Mogą być na śniadanie placki kukurydziane i fasola? To dobrze, bo i tak nie mam nic innego. Chyba że pan przywiózł z Zabars obwarzanki i wędzonego łososia. (Śmiech).

Późno się obudziliśmy. Ja zwykle wstaję na długo przed wschodem słońca. Niech pan otworzy drzwi, zobaczymy, jak tam wygląda. Oooo! Jaki wspaniały śnieg! Rozciąga się aż do samych gór. Białe dywan. Białe dywan przebaczenia. Śnieg działa na ziemię kojąco. Nawahowie wierzą, że śnieg przynosi żywa istota zwana *Hak'az asdzaa*, czyli Zimna Kobieta. Oddają jej boską cześć, ponieważ bez śniegu Ziemia by spłonęła, a wiosny byłyby suche.

Niech pan jeszcze dołoży węgla do ognia, trochę ogrzejemy tę dziurę.

Zaraz, przy czym to byliśmy? O widzę, że już pan zdążył włączyć ten cholerny magnetofon. Przepraszam za wczorajszy wieczór. Muszę w sobie jeszcze pewne rzeczy przetrawić. No cóż...

W szpitalu dowiedziałem się, że Jennie nie żyje. Nie było to dla mnie żadnym zaskoczeniem. Ja o tym już właściwie wiedziałem. Wiedziałem od tego ranka, kiedy spałem pod gołym niebem w rezerwacie przyrody. Że zobaczą ją po raz ostatni. Zresztą Jennie w klatce to już właściwie równało się śmierci.

Będą panu opowiadali, że to był wypadek. Tak zdecydowali. Że spadła z góry i rozbiła sobie głowę. Tak postanowili. W porządku.

Ale ja panu coś powiem: oni nie byli w stanie spojrzeć prawdzie w oczy. Owszem, oni w to wierzą, ale ja wiem swoje. Jennie nie spała. Widziałem wynik sekcji. Widziałem jej ciało. Ale, co znacznie ważniejsze, ja ją bardzo dobrze znałem. Do cholery, znałem Jennie i wiem dokładnie, co się tamtej nocy wydarzyło. Kiedy wszedłem do tego budynku, widziałem, co ona ze sobą wyprawia, jak się okłada pięściami po głowie. Widziałem łyse miejsca, z których powyrywała sobie sierść. Widziałem, jak się rzuca na pręty klatki. Nie miałem wątpliwości, że jest u kresu. Rano, kiedy się obudziłem w szpitalu, zobaczyłem na swoim boku wielkie siniaki. Zastanawiałem się, skąd się one wzięły, i rozumiałem: to były ślady jej uścisków — ona się mnie uczepliła resztkami sił. W akcie ostatecznej rozpaczy. Świadczącym o jej miłości.

Te jej rany nie powstały w wyniku upadku. To bzdury. Miała na czaszce dwa równoległe złamania. Musiało być tak: obudziła się w nocy, po ciemku, sama; wkoło cisza. I zorientowała się, że w dalszym ciągu jest w klatce. Zrozumiała, że nawet ja, największy przyjaciel i opiekun, jakiego miała, nie mogę jej uratować. Bo mnie nie było; odciągnęli mnie od niej i wywlekli stamtąd kopiącego i wrzeszczącego. Ten widok musiał ją przerazić. Uważała mnie za Boga i kiedy zobaczyła, że Gabriel i jego ludzie wloką mnie w ten sposób, uznała, że wszystko skończone. Byłem jej ostatnią nadzieją, którą utraciła bezpowrotnie. Dlatego z całej siły rzuciła się głową na pręty klatki. I złamała sobie czaszkę, po prostu ją zmasakrowała. Świadomie, celowo. Zabiła się. Chciała umrzeć, odebrała sobie życie. Mogła albo żyć wolna, albo umrzeć. Nie było dla niej stanów pośrednich.

Jennie rozumiała znaczenie śmierci. Ten stary wariat pastor nauczył ją, co to jest śmierć. Myślał biedaczysko, że zrobi z niej chrześcijankę, a on ją tylko nauczył lęku przed śmiercią. Rozmawiałem z Jennie na ten temat. Przy okazji śmierci jej kota. Pamiętała go do końca życia. Nie mogła tylko zrozumieć, na czym to polega, jak można tak nagle zniknąć. Sama istota śmierci pozostała dla niej tajemnicą, ale strachem przejmowała ją świadomość, że to się

może zdarzyć. Kiedy umarła żona Pallisera, Jennie przyszła kiedyś od nich z naprzeciwka i chodząc za mną krok w krok pytała: „Sandy martwy?” Mówiła „martwy”, ale oczywiście chciała zapytać: „Czy umrzesz?” Dlatego powtarzała: „Sandy martwy? Sandy martwy?”, popiskując i drepcząc za mną w kółko, jakby się bała stracić mnie choćby na chwilę z oczu. Tak samo bała się śmierci jak każdy człowiek. Ale bała się nie o siebie, tylko o mnie. To jest naprawdę zastanawiające.

A temu staremu Epsteinowi wydaje się, że zjadł wszystkie rozumy. Powtarza do znudzenia, że nikt nie zrobił nic złego, że to był wypadek, którego nie sposób było przewidzieć. Zgoda, ale chciałbym powiedzieć jedną rzecz. Owszem, ktoś tu w pewnym sensie zawinił. Po pierwsze mój ojciec nie powinien był zbierać martwych okazów naczelnych. Matka Jennie nie powinna była zostać zabita. Gdyby nie to, Jennie najprawdopodobniej by dziś żyła. Bardzo proste. Tu się to wszystko zaczęło. Takie podejście do świata, próby oddzielenia nauki od całej reszty, jest z gruntu fałszywe.

Mój ojciec był naukowcem. W tym wszystkim co robił, w sprowadzeniu Jennie do naszej rodziny, nie widział ludzkiego wymiaru. Bo to nie był eksperyment z jednym zwierzęciem. To był eksperyment, w którym musieli wziąć udział wszyscy: jego żona i dzieci. Ja. Bardzo niebezpieczny eksperyment.

Nie licząc Jennie, ojciec ucierpiał najbardziej. Zmienił się. Pan wie, że miał tę operację, tę, z której już nie wyszedł? Kiedy mu dawali narkozę, w jego podświadomości tkwiło coś, co się nie chciało obudzić. I dlatego się nie obudził.

Widzę w tym wszystkim wielki paradoks. Naukowcy nieustannie eksperymentując, zdołali niemal zatrzeć granicę pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem. Ale jednego nie dostrzegli. Że Jennie potrafiła zrozumieć śmierć. Rozróżnić dobro od zła. Czy to nie paradoks, że tym swoim czynem, swoim samobójstwem, usunęła tę ostatnią różnicę?

Pochowaliśmy ją na Wyspie Pustelnika. Urządziłem jej ceremonię pogrzebową. Wybrałem fragment z „Pożegnania z bronią”. W chłopięcych latach była to jedna z moich ulubionych książek i akurat ten fragment utkwił mi w pamięci. To jest książka o śmierci. Tak jak i pana książka będzie o śmierci. Hemingway nie robi już dziś na mnie takiego wrażenia jak kiedyś, ale w dalszym ciągu ten fragment uważam za ważny. Mojej matce się nie podobał. Powiedziała, że nie jest to najszcześliwiej wybrana laudacja, ale i tak ją odczytałem. To idzie mniej więcej tak: „Jeżeli ludzie przynoszą ze sobą na świat odwagę tak wielką, że świat musi ich zabić, żeby ich złamać, no to oczywiście zabija. Świat łamie wszystkich i wielu jest potem szczególnie mocnych w miejscach złamań. Ale tych, których złamać nie może — zabija. Zabija tych bardzo dobrych, bardzo łagodnych i bardzo dzielnych bez wyboru”. *

I taka właśnie była Jennie. Dobra, łagodna, ale nade wszystko dzielna. (W tyra momencie Sandy zaczął po cichu płakać). Chciała być wolną istotą ludzką albo niczym. Nie uznawała kompromisów. Powiedziałem „istotą ludzką”, bo ona nią była. Mówię bardzo poważnie. Ona by nigdy nie zaakceptowała bycia zwierzęciem, życia w klatce czy małpiego partnera na jakiejś tam beznadziejnej wysepce. Jej śmierć była szlachetna i piękna. I nauczyła mnie czegoś bardzo ważnego: że nie wolno dać się światu złamać. Tutaj mnie on nie dosięgnie. A kiedy stąd odejdę, muszę się nauczyć, jak zachować wolność w sercu — wolność w rozumieniu Jennie. Czyli swobodę. Kiedy człowiek jest naprawdę wolny, naprawdę swobodny, świat go nie zabije, nie złamie, nawet nie dotknie. Bo być wolnym znaczy być niezwyciężonym.

* Ten fragment z „Pożegnania z bronią” Ernesta Hemingwaya w przekładzie tłumacza tej książki, Bronisława Zielińskiego, brzmi: „Jeżeli ludzie przynoszą ze sobą na świat dużo odwagi, to świat musi ich zabić, żeby ich złamać, więc naturalnie ich zabija. Świat łamie każdego i potem niektórzy są jeszcze mocniejsi w miejscach złamania. Ale takich, co nie chcą się złamać, świat zabija. Zabija w równej mierze najlepszych, najdelikatniejszych i najdzielniejszych”. Wyd. PIW, Warszawa, 1975; str. 235—236.

Na użytek tej książki posłużyłam się własnym przekładem niniejszego fragmentu.

Po odczytaniu tego fragmentu z Hemingwaya napisałem kredą na kominku epitafium Jennie:

JENNIE ARCHIBALD, 1965-1974.

BARDZO DOBRA, BARDZO ŁAGODNA, BARDZO DZIELNA

Sceny z niemego ośmiomilimetrowego filmu nakręconego przez doktora Hugona Archibalda w Niedzielę Wielkanocną 1974 roku.

Jennie biegnie przez trawnik. Ma na sobie spodnie na szelkach, białą bluzkę i mokasyny. Wdrapuje się na dziką jabłonkę. Między pniem a gałęzią znajduje banana, wymachuje nim nad głową, śmiejąc się i pokrzykując z radości. Inne ujęcie: Jennie zwała owoce na stertę, podczas gdy ktoś niewidoczny podaje jej kolejne owoce. Siada koło tej sterty, obiera banana i wpycha go sobie do ust, a następnie wysysa skórę i wyrzuca ją już poza kadrem. Odwraca się, uśmiecha do kamery i sygnalizuje: „Ja Jennie! Ja Jennie!”

Jennie biegnie do wielbego Pallisera, który siedzi na wózku inwalidzkim. Wdrapuje mu się na kolana i zaczyna go całować w usta. Palliser na przemian to się śmieje, to płacze, klaszcząc w ręce jak dziecko. Jakaś nieznana kobieta, najprawdopodobniej jego pielęgniarka, staje za wózkiem i z nerwowym uśmiechem splata ręce. Jennie nagle zauważa łzy Pallisera i z zatroskaną miną zaczyna ich dotykać i wycierać rękami.

Inna scena: Widzimy Jennie od tyłu. Siedzi przykucnięta na trawie i coś zajada. W pewnym momencie ogląda się na kamerę, odwraca i puszcza się biegiem, łapiąc po drodze pieczone żeberko z jednorazowego talerzyka leżącego na czyichś kolanach. Ucieka z otwartymi ustami, trzymając żeberko i zaśmiewając się, po czym wyrzuca żeberko za żywopłot. Biegnie z powrotem w stronę kamery, sygnalizując po drodze: „Berek łaskotany, Jennie!” Kamera idzie za Jennie, która biegnie przez trawnik, a za nią kilka osób.

Łapie ją Pamela Prentiss, Jennie się przewraca i nadstawia brzuch do drapania kilku osobom naraz. Kamera skacze to tu, to tam i widzimy, jak Jennie ze śmiechem odpycha nogami drapiących. A potem zrywa się, okręca dokoła i widać jej otwarte różowe usta i odstające uszy. Jennie podskakuje, fika koziołki i ucieka przed kamerą na czele gromadki gości.

Od Autora

„Jennie” jest powieścią, ale powieścią opartą na podstawach naukowych. Przedstawione w tej książce eksperymenty językowe, doświadczenia poznawcze, genetyczne podobieństwa pomiędzy ludźmi i szympanсами, jak również umiejętność Jennie posługiwania się językiem migowym — wszystko to zostało oparte na autentycznych badaniach i eksperymentach dokonywanych na szympanсах i gorylach. Anegdota dotycząca wyobraźni i zdolności twórczych Jennie, jej konsekwentne identyfikowanie się z człowiekiem, znajomość ludzkiej psychiki i wykorzystywanie tejże, jej pociąg seksualny do mężczyzn, jej czułe i łagodne usposobienie — wszystko to zostało zaczerpnięte z autentycznych faktów z życia szympanсів wychowywanych przez człowieka. Wyraźna linia podziału pomiędzy człowiekiem a szympansem została istotnie w przebiegu dwóch ostatnich dziesięcioleci wymazana.

Nie mogę naturalnie pominąć problemu, jakim jest wielkie zagrożenie żyjących na wolności szympanсів i wszystkich małp człekokształtnych. Szympanсы, bonobo, goryle i orangutany są gatunkami poważnie zagrożonymi, w niektórych przypadkach na granicy wyginięcia. Wszystko to są najbliższe nam gatunki. Ludzie i szympanсы mają w dziewięćdziesięciu ośmiu i pół procent wspólne DNA. Najnowsze badania nad rzadkimi bonobo (kiedyś zwanymi szympanсами karłowatymi, ale obecnie uznanymi za odrębny gatunek) pokazały, że są one jeszcze bliższe człowiekowi niż szympanсы.

Jeżeli nie zrobimy czegoś, i to bardzo szybko, dla ochrony małp człekokształtnych, to wkrótce wyginą całkowicie. Byłaby to wielka zbrodnia przeciwko naturze i przeciwko naszej własnej biologicznej rodzinie.

Pozwolę sobie zadać czytelnikowi pytanie: czego możemy oczekiwać my, jako gatunek, jeśli do tego dopuścimy?

Istnieje wiele organizacji zajmujących się ochroną małą człoko-kształtnych żyjących na wolności. Wymienię tu niektóre z nich w nadziei, że czytelnik, dostatecznie poruszony przez niniejszą książkę, udzieli im wsparcia, którego tak bardzo potrzebują:

The Jane Goodall Institute
P.O. Box 599
Ridgefield, CT 06877
203-431-2099
albo
15 Clarendon Park
Lymington, Hants. S041 8AX
U.K.

Committee for Conservation and Care of Chimpanzees
3819 48th Street NW Washington, DC 20016 202-362-1993

Bonobo Protection Fund
Language Research Center
Georgia State University
University Plaza Atlanta, GA
30303-3083

The Dian Fossey Gorilla Fund
45 Inverness Drive
Englewood, CO 80112
303-790-2349
albo
110 Gloucester
Primrose Hill
London NW1 8JA
U.K.

Friends of Washoe P.O.
Box 728 Ellensburg,
WA 98926

The Gorilla Foundation P.O.
Box 620-530 Woodside, CA
94062

The Great Ape Project P.O.
Box 1023 Collingwood,
Melbourne Victoria, Australia 3066

The Orangutan Foundation International 822
South Wellesley Avenue Los Angeles, CA
90049

Projet de Protection des Gorilles
Howletts and Port Lymphe Foundation
Brazzaville BP 13977
Republique du Congo
albo
John AspinalFs Wildlife Sanctuaries
750 Lausanne Road
Los Angeles, CA 90077

Wildlife Conservation Society
The Wildlife Conservation Park
Bronx, NY 10460

World Wide Fund for Nature World
Wildlife Fund Switzerland Forrlibuck-
strasse 66 Postfach, 8037 Zurich,
Switzerland

International Primate Protection League P.O.
Box 766 Summerville, SC 29484 803-871-2280

Chimfunshi Wildlife Orphanage
P.O. Box 11190
Chingola, Zambia
albo c/o The Jane Goodall Institute

Wielu prymatologów z pewnością rozpozna w „Jennie” eksperymenty, historie i anegdoty, które zostały zaczerpnięte z publikacji dotyczących wychowywania szympansów w ludzkich rodzinach, obserwacji szympansów żyjących na wolności oraz badań lingwistycznych i poznawczych nad szympansami. Ogromnie dużo zawdzięczam różnym poświęconym szympansom opracowaniom takich autorów, jak przede wszystkim: Jane Goodall, Maurice

Temerlin, Cathy Hayes i Herbert S. Terrace. Chciałbym tu wymienić najważniejsze źródła, z jakich korzystałem:

Jane Goodall: „The Chimpanzees of Gombe: Patterns of Behavior”, Cambridge, The Belknap Press of Harvard University Press, 1986.

„In the Shadow of Man”. Wyd. popr., Boston, Houghton Mifflin Co., 1988.

„My Friends the Wild Chimpanzees”, Washington, D.C., The National Geographic Society, 1967.

„Through a Window”, Boston, Houghton Mifflin Co., 1990.

C. Hayes: „The Ape in Our House”, New York, Harper Brothers, 1951.

Eugene Linden: „Silent Partners: The Legacy of the Ape Language Experiments”, New York, Times Books, 1986.

Sy Montgomery: „Walking with the Great Apes”, Boston, Houghton Mifflin Co., 1991.

Michael Nichols przy współpracy Jane Goodall, George'a B. Schallera i Mary G. Smith: „The Great Apes: Between Two Worlds”, Washington, D.C., The National Geographic Society, 1993.

David Premack i Ann James Premack: „The Mind of an Ape”, New York, Norton, 1983.

Henry C. Raven: „Meshie: The Child of a Chimpanzee”, Natural History, vol. 32, 1932.

„Further Adventures of Meshie”, Natural History, vol. 33, 1933.

S. I. Rosen: „Introduction to the Primates: Living and Fossil”, Englewood Cliffs, N.J., Prentice Hall, 1974.

Maurice Temerlin: „Lucy: Growing Up Human”, Palo Alto, Calif., Science and Behavior Books, 1972.

Herbert S. Terrace: „Nim: A Chimpanzee Who Learned Sign Language”, New York, Alfred A. Knopf, 1979.

Podziękowania

Chciałbym tu gorąco podziękować moim agentom. Tomowi Wallace'owi i Matthew Snyderowi. Jak również mojemu wydawcy Bobowi Wyattowi za jego wspaniałą pracę. Jestem ogromnie zobowiązany Mary G. Smith z National Geographic Society za jej pełne entuzjazmu poparcie i nieocenione rady. Chciałbym też wyrazić swoje szczególne uznanie doktorowi Douglasowi Schwartzowi, prezydentowi Szkoły Badań Amerykańskich, z powodu wsparcia, jakiego mi udzielił. Dzięki Stuartowi Woodsowi i Lincolnowi Childowi za ich pomocne komentarze, dzięki za redakcyjne sugestie No Poets Society z Santa Fe. Dziękuję także memu ojcu Jerome'owi Prestonowi juniorowi za wspaniałe rady i mojemu dziadkowi Jerome'owi Prestonowi seniorowi za wielką pomoc.

Chciałbym również podziękować Ninie Root, przewodniczącej Działu Usług Bibliotecznych Amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej za udostępnienie mi prac i filmów Ravena. Chciałbym też podziękować zmarłemu doktorowi Haroldowi Shapiro z Muzeum Amerykańskiego za podzielenie się ze mną jego niesłychanie żywymi wspomnieniami dotyczącymi Henry'ego Ravena i szympansicy Meshie.

Wreszcie serdecznie dziękuję mojej żonie Christine za jej życzliwe wsparcie.

Postacie występujące w tej książce nie są wzorowane na autentycznych osobach i wszelkie podobieństwa, jakie mogą się nasunąć, są całkowicie przypadkowe. Co do autentycznych osób i organizacji wymienionych w tej książce z nazwy, większa część z tego, co zostało o nich napisane, jest nieprawdziwa. Proxmire,

ze względów oczywistych, nie „nagrodził” programu „Jennie” Złotym Runem. Walter Sullivan nie napisał artykułu o Jennie. Teddy Kennedy nie poznał Jennie. Podobnie bostoński „Globe”, bostoński „Herald-Traveler”, „Esquire”, „Psychology Today” ani żaden inny magazyn czy gazeta nie pisały o Jennie. Jennie nie wystąpiła również w programie Eda Sullivana. Przepraszam za wszelkie negatywne opinie wyrażone przez występujące w tej książce fikcyjne postacie na temat autentycznych osób. Czytelnik sam zapewne potrafi odróżnić fakty od fikcji.